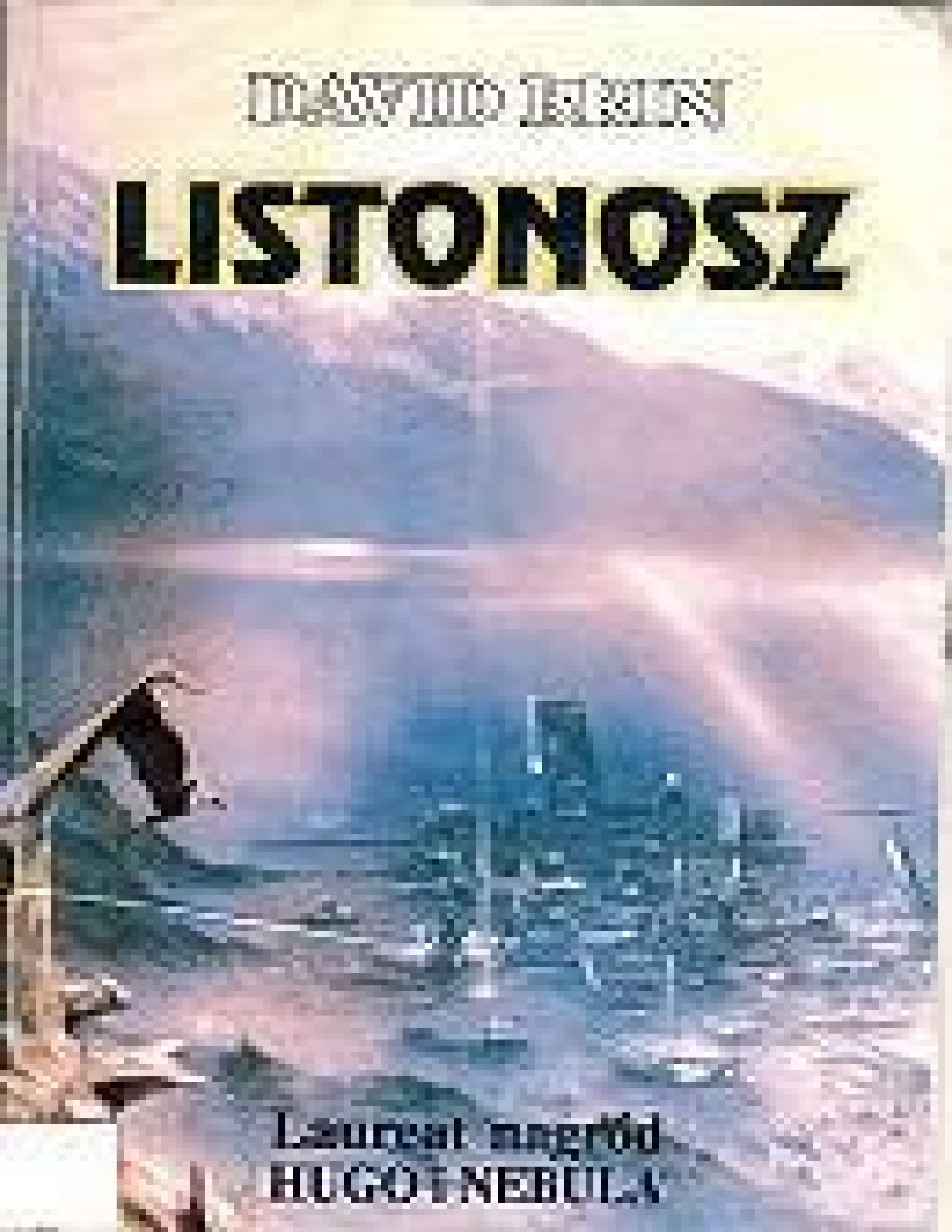


INDEPENDENT PUBLISHERS

LISTONOSZ



Laureát megírod
HUGO F. NEBUČA

Listonosz

WSTĘP

Trzynastoletnie roztopy

Lodowate wichry nie przestawały dąć. Padał brudny śnieg. Prastare morze nie знаło jednak pośpiechu.

Ziemia sześć tysięcy razy obróciła się wokół osi od chwili, kiedy rozbłysły płomienie i zginęły miasta. Teraz, gdy szesnaście razy pokonała swą trasę wokół Słońca, zniknęły już obłoki sadzy, które wzbijały się z płonących lasów, zmieniając dzień w noc.

Minęło sześć tysięcy zachodów słońca - jaskrawych, pomarańczowych, przepięknych dzięki zawieszonemu w powietrzu pyłowi - od chwili, gdy bijące w górę, przegrzane leje przebiły się do stratosfery, wypełniając ją maleńkimi, zawieszonymi w powietrzu okruchami skały i gleby. Zaciemniona nimi atmosfera przepuszczała mniej światła słonecznego i ochłodziła się.

Nie było już zbyt ważne, jaka była przyczyna - wielki meteoryt, potężny wybuch wulkanu czy wojna atomowa. Równowaga temperatury i ciśnienia załamała się. Rozszalały się potężne wichry.

Na całej północy zaczął padać brudny śnieg. Gdziekolwiek nie usuwało go nawet lato.

Prawdziwie ważny był jednak tylko ocean, ponadczasowy, wytrwały i oporny na zmiany. Niebo pociemniało i pojaśniało ponownie. Wiatry przynosiły ze sobą brunatnożółte, pełne grzmotów zachody słońca. Miejscami rozrastały się lodowce, a płytsze morza zaczynały opadać.

Lecz werdykt oceanu miał być rozstrzygający i jeszcze nie zapadł.

Ziemia wirowała. Ludzie bronili się jeszcze tu i ówdzie.

A ocean wydawał z siebie tchnienie zimy.

GÓRY KASKADOWE

I

Wśród pyłu i krwi - gdy nozdrza wypełnia ostra woń strachu - człowieka często nawiedzają dziwne skojarzenia. Choć Gordon spędził połowę życia w głuszy - z czego większość zajęła mu walka o przetrwanie - wciąż dziwiło go to, jak zapomniane dawno przeżycia budziły się na nowo w jego umyśle w samym środku walki na śmierć i życie.

Dyszząc w suchym jak pieprz gąszczu - czołgając się desperacko, by znaleźć schronienie - doświadczył nagle wspomnienia tak wyrazistego, jak pokryte pyłem kamienie przed jego nosem. Wizja kontrastowała ostro z otaczającą go rzeczywistością: deszczowe popołudnie w ciepłej, bezpiecznej bibliotece uniwersyteckiej dawno temu, zaginiony świat pełen książek, muzyki i beztroskich, filozoficznych dywagacji.

“Słowa na stronicy”.

Pełznąąc przez mocne, nieustępliwe paprocie, niemal widział litery, czarne na białym tle. Choć nie przypominał sobie nazwiska mało znanego autora, słowa powróciły do niego z absolutną jasnością.

“Pomijając śmierć, nie istnieje nic takiego jak «całkowita» klęska... Żadna katastrofa nie jest tak niszczycielska, by zdeterminowana osoba nie mogła ocalić czegoś z popiołów - ryzykując wszystko, co jej pozostało...”

Na świecie nie ma nic groźniejszego niż zdesperowany człowiek”.

Gordon żałował, że dawno nieżyjący pisarz nie znajduje się obok niego, narażony na to samo niebezpieczeństwo. Zastanowił się, jakich pokrzepiających frazesów doszukałby się w tej katastrofie.

Podrapany i pokaleczony wskutek desperackiej ucieczki w gąszcz, czołgał się tak cicho, jak tylko mógł. Zastygał w bezruchu i zaciskał powieki, gdy tylko wydawało się, że unoszący się w powietrzu pył może go sprowokować do kichnięcia. Była to powolna, bolesna wędrówka. Nie był nawet pewien, dokąd zmierza.

Kilka minut temu był tak bezpieczny i dobrze zaopatrzony, jak rzadko który samotny wędrowiec. Teraz pozostało mu niewiele więcej niż rozdarta koszula, wypłowiałe dzinsy i mokasyny, które zwykł wkładać, gdy rozbijał obóz. Ponadto ciernie szarpały to wszystko na strzępy.

Po każdym nowym draśnięciu jego ramiona i plecy ogarniał gobelin palącego bólu. W tej okropnej, suchej jak pieprz dżungli nie można jednak było zrobić nic innego, jak czołgać się naprzód i modlić się, by ta kręta trasa nie zaprowadziła go z powrotem w ręce wrogów - ludzi, którzy właściwie już go zabili.

Gdy myślał, że piekielne zielsko nigdy się nie skończy, pojawiła się przed nim otwarta przestrzeń. Gąszcz przecinała wąska rozpadlina. W dole widniało skalne rumowisko. Gordon wygramolił się wreszcie z ciernistych zarośli, przetoczył na plecy i wbił wzrok w zamglone niebo, zadowolony choćby i z tego, że powietrza nie paskudzi już kompostowa woń suchego rozkładu.

“Witajcie w Oregonie - pomyślał z gorczyzą. A myślałem, że w Idaho było kiepsko”.

Uniósł rękę i spróbował otrzeć sobie pył z oczu.

“A może po prostu robię się już za stary na takie rzeczy?”

Ostatecznie przekroczył już trzydziestkę, średnią długość życia wędrowca w postkatastroficznym epoce.

“O Boże, chciałbym wrócić do domu”.

Nie miał na myśli Minneapolis. Preria była w dzisiejszych czasach piekłem. Przez ponad dziesięć lat usiłował stamtąd uciec. Nie, dom był dla Gordona czymś więcej niż jakimś konkretnym miejscem.

“Hamburger, gorąca kąpiel, muzyka, merbromina... - zimne piwo...”

Gdy jego ciężki oddech uspokoił się, na pierwszy plan wysunęły się inne dźwięki - aż nazbyt wyraźne odgłosy radosnego plądrowania. Dobiegały z odległości jakichś stu stóp w dół zbocza. Śmiech rozlegał się, gdy zachwyceni rabusie grzebali w jego ekwipunku.

“...kilku życzliwych gliniarzy w sąsiedztwie” - dodał Gordon, nie przestając wyliczać powabów dawno minionego świata.

Bandyci zaskoczyli go, kiedy późnym popołudniem popijał herbatę z czarnego bzu przy ognisku. Od pierwszej chwili, gdy zobaczył, jak gnają wzdłuż szlaku wprost na niego, zrozumiał, że tym mężczyznom o zawziętych twarzach równie łatwo będzie go zabić, jak na niego spojrzeć.

Nie czekał, aż zdecydują, którą z tych rzeczy zrobić. Lunął wrzątkiem w twarz pierwszego z brodatych rozbójników, po czym skoczył prosto w pobliskie cierniste krzewy. W ślad za nim huknęły dwa strzały i na tym się skończyło. Zapewne jego zwłoki nie były dla złodziei warte niemożliwej do zastąpienia kuli. I tak już zdobyli jego zapasy.

“A przynajmniej tak sądzą”.

Gordon uśmiechnął się gorzko. Nim usiadł ostrożnie, opierając się o skalną grzędę, upewnił się, że nie można go dostrzec z leżącego w dole zbocza. Oczyszczył podróżny pas z gałązek i pociągnął z wypełnionej do połowy manierki długi, rozpaczliwie mu potrzebny łyk.

“Dzięki ci, paranojo” - pomyślał. Od czasu wojny zagłady ani razu nie pozwolił, by pas znalazł się dalej niż trzy stopy od jego boku. Była to jedyna rzecz, którą zdążył złapać, nim dał nura w chaszczę.

Gdy wyciągał z kabury rewolwer kalibru trzydzieści osiem, lśnienie ciemnoszarego metalu było widoczne nawet przez cienką warstwę kurzu. Dmuchnął na tępo zakończoną broń i dokładnie sprawdził jej działanie. Cichy trzask zaświadczył delikatnie, lecz dobitnie o mistrzowskim wykonaniu i śmiertelności precyzji wywodzących się z innej epoki. Stary świat był biegły nawet w sztuce zabijania.

“Zwłaszcza w sztuce zabijania” - poprawił się w myślach Gordon.

Z leżącego poniżej zbocza dobiegał ochryply śmiech.

Z reguły podczas wędrówki ładował broń tylko czterema pociskami. Teraz wyciągnął z torby u pasa jeszcze dwa bezcenne naboje i wsadził je do pustych komór leżących poniżej iglicy i za nią. “Bezpieczne obchodzenie się z bronią” nie było już istotną kwestią, zwłaszcza że i tak spodziewał się, iż umrze dziś wieczorem.

“Szesnaście lat pogoni za snem - pomyślał. Najpierw długa, bezowocna walka z upadkiem... potem wysiłki mające na celu przetrwanie trzyletniej zimy... a wreszcie ponad dziesięć lat wędrówek z miejsca na miejsce, wymykania się zaradzie i głodowi, walk z przeklętymi holnistami i sforami dzikich psów... pół życia spędzone na odgrywaniu roli wędrownego minstrela z ciemnego wieku, występów w zamian za posiłek, by przeżyć jeszcze jeden dzień, podczas gdy szukałem... jakiegoś miejsca...”

Gordon potrząsnął głową. Znał swe marzenia bardzo dobrze. Były to głupie fantazje, na które nie było miejsca we współczesnym świecie.

“...jakiegoś miejsca, gdzie ktoś wziął na siebie odpowiedzialność...”

Odpędził od siebie tę myśl. Bez względu na to, czego szukał, jego długa pielgrzymka

najwyraźniej dobiegła kresu tutaj, w suchych, zimnych górach kraju, który ongiś był wschodnim Oregonem.

Sądząc po dobiegających z dołu dźwiękach, bandyci już się pakowali, gotowi oddalić się ze swymi łupami. Gęste połacie wysuszonych pnączy zasłaniały Gordonowi widok na to, co działo się poniżej, za sosnami *ponderosa*. Wkrótce jednak pojawił się krzepki mężczyzna w wypłowiałym, myśliwskim płaszczu w szkocką kratę, oddalający się od jego obozu w kierunku północno-wschodnim, szlakiem opadającym w dół zbocza.

Jego strój potwierdził to, co Gordon niejasno zapamiętał z pierwszych chwil ataku. Na szczęście napastnicy nie nosili maskujących ubiorów z demobilu... znaku holnistowskich surwiwalistów.

“To na pewno tylko zwykli, przeciętni bandyci, niech ich piekło pochłonie”.

W takim przypadku istniał cień szansy, że plan przebłykujący w jego umyśle może coś dać.

Być może.

Pierwszy z bandytów owiazał sobie wokół pasa zdatną na każdą pogodę kurtkę Gordona. W prawej ręce trzymał powtarzalną strzelbę, którą wędrowiec przyniósł ze sobą aż z Montany.

- Chodźcie! - krzyknął brodaty rabuś. - Dość już świętowania. Zgarnijcie to wszystko i w drogę!

“Herszt” - uznał Gordon.

Następny mężczyzna, niższy i odziany w bardziej wyświechtane łachy, pojawił się szybkim krokiem w polu widzenia. Niósł płócienny plecak i sponiewieraną strzelbę.

- Chłopie, co za łup! Trzeba by to uczcić. Jak już zataszczymy wszystko na miejsce, to dasz nam tyle bimbru, ile zechcemy, co, Jas? - Niższy z rozbójników podskoczył niczym podekscytowany ptak.

- Chłopie, Sheba i dziewczyny chyba pękną, kiedy usłyszą o tym małym króliku, którego zagoniliśmy w kępę głogu. Nigdy nie widziałem, żeby coś tak szybko zwiewało!

Zachichotał.

Gordon zmarszczył brwi, usłyszawszy obelgę dodaną do poniesionych szkód. - Niemal wszędzie, gdzie dotarł, wyglądało to tak samo - postkatastroficzna nieczułość, do której nigdy się nie przyzwyczał, nawet po tych wszystkich latach. Spoglądając jednym okiem zza kępy traw porastających brzeg rozpadliny, zaczerpnął głęboko tchu i krzyknął:

- Nie liczyłbym jeszcze na popijawę, bracie niedźwiedziu!

Adrenalina sprawiła, że jego głos zabrzmiał bardziej piskliwie niż tego chciał. Nie mógł jednak nic na to poradzić.

Rosły mężczyzna padł niezgrabnie na ziemię, usiłując skryć się za najbliższym drzewem. Chudy rabuś gapił się jednak na zbocze.

- Co... Kto tam jest?

Gordon poczuł niewielką ulgę. Zachowanie tych sukinsynów potwierdzało, że nie byli prawdziwymi surwiwalistami. Z pewnością nie holnistami. W przeciwnym razie już by nie żył.

Pozostali bandyci - Gordon naliczył w sumie pięciu - pognali wzdłuż szlaku, dźwigając łupy.

- Padnij! - wrzasnął do nich wódz ze swej kryjówki.

Chudzielec najwyraźniej zdał sobie sprawę, że jest całkiem odsłonięty i pośpiesznie dołączył do swych kompanów skrytych w podszyciu. Byli tam wszyscy oprócz jednego bandyty - faceta o pożółkłej twarzy i upstrzonych siwizną czarnych bokobrodach, w tyrolskim kapeluszu na głowie. Zamiast się ukryć, przesunął się nieco do przodu, przeżuważając sosnową igłę i wpatrując się z uwagą w gąszcz.

- A po co? - zapytał ze spokojem. - Ten biedaczyna miał na sobie niewiele więcej niż bieliznę, kiedy na niego skoczyliśmy. Mamy jego strzelbę. Sprawdźmy, czego chce.

Gordon trzymał głowę nisko, nie mógł jednak nie zwrócić uwagi na leniwy, afektowany, przeciągły ton, jakim mężczyzna przemawiał. Jako jedyny z bandytów był gładko ogolony. Nawet z tej odległości Gordon dostrzegł, że jego ubranie było czystsze i staranniej utrzymane.

Gdy herszt warknął coś pod nosem, zblazowany bandyta wzruszył ramionami i bez pośpiechu skrył się za rozwidloną sosną. Schowany zaledwie odrobinę, zawołał w kierunku wzgórza:

- Jest pan tam, panie króliku? Bardzo żałuję, że nie zaczekał pan, żeby zaprosić nas na herbatę. Pamiętając jednak o tym, jak Jas i Mały Wally zwykli traktować gości, nie mogę chyba mieć do pana pretensji, że dał pan drapaka.

Gordon nie mógł uwierzyć, że ma ochotę odpowiedzieć temu głabowi żartem na żart.

- Tak właśnie wtedy sobie pomyślałem! - zawołał. - Dziękuję, że rozumie pan mój brak gościnności. Swoją drogą, z kim mam przyjemność?

Wysoki osobnik uśmiechnął się szeroko.

- Z kim mam... Ach, kształcony! Cóż za radość. Upłynęło tak wiele czasu, odkąd rozmawiałem z inteligentnym człowiekiem - zdjął tyrolski kapelusz i ukłonił się. - Jestem Roger Everett Septien, w swoim czasie makler Giełdy Pacyficznej, a teraz bandyta, który pana obrabował. A co do moich kolegów...

Zarośla zaszeleściły. Septien nastawił uszu. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Niestety! - zawołał do Gordona. - W normalnej sytuacji skusiłaby mnie okazja do porządnej konwersacji. Jestem pewien, że brakuje jej panu tak samo jak mnie. Tak się jednak niefortunnie składa, że przywódca naszego małego bractwa rzeźmieszków nalega, bym się dowiedział, czego pan chce, i zakończył sprawę. Proszę więc wygłosić swój tekst, panie króliku. Zamieniamy się w słuch.

Gordon potrząsnął głową. Ten gość najwyraźniej uważał się za dowcipnego, choć jego humor był czwartego gatunku, nawet według powojennych standardów.

- Zauważyłem, że pańscy koledzy nie zabrali całego mojego ekwipunku. Czy przypadkowo nie postanowiliście wziąć sobie tylko tyle, ile potrzebujecie, a mi zostawić chociaż tyle, bym mógł przeżyć?

Z niżej położonych chaszczki dobiegł cienki chichot. Potem dołączyły do niego inne końskie rżenia. Roger Septien popatrzył w lewo i w prawo, po czym uniósł ręce. Jego przesadne westchnienie zdawało się sugerować, że przynajmniej on docenia ironię zawartą w pytaniu Gordona.

- Niestety - powtórzył. - Przypominam sobie, że wspomniałem o podobnej możliwości mym współbraciom. Na przykład naszym kobietom mogłyby się na coś przydać pańskie aluminiowe tyczki do namiotu i stelaż plecaka, sugerowałem jednak, byśmy zostawili nylonowy śpiwór i sam namiot, które są dla nas bezużyteczne. Hmm, w pewnym sensie to właśnie zrobiliśmy. Niemniej nie sądzę, by poczynione przez Wally'ego... hm, zmiany spotkały się z pańską aprobatą.

W krzaskach znów rozległ się piskliwy chichot. Gordon podupadł nieco na duchu.

- A co z moimi butami? Wszyscy wyglądacie na porządnie obutych. Czy zresztą pasowałyby na któregoś z was? Nie moglibyście ich zostawić? I kurtki z rękawicami?

Septien kaszlnął.

- Hmm, tak. To podstawowe pozycje, prawda? Pomijając oczywiście strzelbę, która nie podlega negocjacom.

Gordon splunął. "No jasne, ty idioto. Tylko niepoprawny gaduła powtarza oczywiste rzeczy".

Ponownie dał się słyszeć stłumiony przez listowie głos herszta bandytów. Raz jeszcze rozległy się chichoty. Z grymasem bólu na twarzy były makler, westchnąwszy, powiedział:

- Mój przywódca pyta, co oferuje pan w zamian. Wiem oczywiście, że nie ma pan nic, muszę jednak zapytać.

Szczerze mówiąc, Gordon miał kilka rzeczy, których mogliby pragnąć: na przykład wbudowany w pas kompas oraz scyzoryk o wielu ostrzach. Jakie jednak miał szansę na zorganizowanie wymiany tak, by wyjść z niej z życiem? Nie trzeba było telepatii, by odgadnąć, że te sukinsyny bawią się ze swą ofiarą.

Przepelnił go okrutny gniew, zwłaszcza z powodu fałszywego współczucia okazywanego przez Septiena. W ciągu lat, które nastąpiły po upadku, spotykał się już z tym połączeniem okrutnej pogardy i uprzejmego zachowania u ludzi ongiś wykształconych. Jego zdaniem takie typki były o wiele gorsze od tych, którzy po prostu przystosowali się do barbarzyńskich czasów.

- Niech pan posłucha! - krzyknął. - Na nic wam te cholerne buty! Nie potrzebujecie też właściwie mojej kurtki, szczoteczki do zębów czy notesu. Ta okolica jest czysta, więc po co wam mój licznik Geigera? Nie jestem aż tak głupi, by wierzyć, że odzyskam strzelbę, ale bez niektórych z tamtych rzeczy zginę, niech was cholera!

Jego przekleństwo poniosło się echem wzdłuż długiego, górskiego zbocza, pozostawiając za sobą pełną napięcia ciszę. Nagle krzaki zaszeleściły i wyprostował się rosły herszt bandytów. Splunął pogardliwie w stronę ukrytej ofiary i strzelił palcami na pozostałych.

- Teraz wiem, że nie ma broni - oznajmił. Jego gęste brwi zwęziły się. Wskazał ręką mniej więcej w kierunku Gordona. - Uciekaj, mały króliku. Uciekaj, bo obedrzemy cię ze skóry i zjemy na kolację!

Dźwignął powtarzalną strzelbę Gordona, odwrócił się plecami i oddalił ścieżką, powoli i obojętnie. Pozostali podążyli za nim ze śmiechem.

Roger Septien pożegnał górski stok ironicznym wzruszeniem ramion, po czym zgarnął swoją część łupów i ruszył za kompanami. Zniknęli za zakrętem wąskiej górskiej ścieżki, lecz jeszcze przez wiele minut Gordon słyszał cichnący w oddali dźwięk czyjegoś radosnego pogwizdywania.

“Ty imbecyłu!” Choć jego szansę były kiepskie, zmarnował je całkowicie, apelując do ich rozsądku i miłosierdzia. W epoce kłów i pazurów nikt tego nie robił, chyba że był bezsilny. Wahanie bandytów zniknęło natychmiast, gdy jak głupiec poprosił ich o uczciwe traktowanie.

Oczywiście mógłby wystrzelić ze swej trzydziestkiósemki i zmarnować cenną kulę, by dowieść, że nie jest całkowicie niegroźny. W ten sposób zmusiłby ich, by ponownie zaczęli traktować go poważnie...

“Dlaczego więc tego nie zrobiłem? Czy za bardzo się bałem? Zapewne - przyznał. Najprawdopodobniej umrę dziś w nocy z zimna, ale nastąpi to za wiele godzin, wystarczająco dużo, by w tej chwili było to tylko abstrakcyjne zagrożenie, mniej przerażające i bezpośrednie niż pięciu bezlitosnych, uzbrojonych facetów”.

Walnął pięścią w otwartą dłoń.

“Och, przestań, Gordon. Możesz zrobić sobie psychoanalizę wieczorem, kiedy będziesz zamarzał na śmierć. Wszystko sprowadza się do tego, że okazałeś się konkursowym durniem i to zapewne oznacza twój koniec”.

Podniósł się sztywno i zaczął skradać się ostrożnie w dół zbocza. Choć nie był jeszcze w pełni gotów przyznać się do tego przed sobą samym, czuł narastającą pewność, że istnieje tylko jedno rozwiązanie, tylko jedno mało prawdopodobne, lecz jedynie możliwe wyjście z tej katastrofy.

Gdy tylko wydostał się spośród chaszczy, pokuśtykał do sączącego się strumyka, by obmyć twarz i najgorsze skaleczenia. Odgarnął z oczu przepecone kosmyki brązowych włosów. Zadrapania bolały go jak diabli, lecz żadne z nich nie wyglądało na tyle groźnie, by skłonić go do wydobycia cienkiej tubki cennej jodyny, którą miał w torbie u pasa.

Napełnił na nowo manierkę i zamyślił się.

Oprócz rewolweru i postrzępionych łańców, scyzoryka i kompasu, w torbie krył się miniaturowy zestaw wędkarski, który mógł się przydać, jeśli Gordon zdoła pokonać góry i dotrzeć do zlewiska jakiejś porządnej rzeki.

A także, oczywiście, dziesięć zapasowych naboji do jego trzydziestkiósemki, małego błogosławionego reliktu cywilizacji przemysłowej.

Na początku, w czasie zamieszek i wielkiego głodu, wydawało się, że jedyną rzeczą, której zapasy są nieograniczone, jest amunicja. Gdyby tylko Ameryka z przełomu stuleci magazynowała i rozprawiała żywność choć w połowie tak sprawnie, jak jej obywatele gromadzili stopy naboju...

Ostre kamienie wbijały się w obolałą, lewą stopę Gordona, gdy pobiegł ostrożnie w kierunku swego niedawnego obozowiska. Było oczywiste, że w tych na wpół podartych mokasynach daleko nie zajdzie. Porozdzierane ubranie nie pomoże mu w mroźne, jesienne noce w górach, podobnie jak jego próśby nie wzruszyły twardych serc bandytów.

Na małej polance, na której rozbił obóz nie dalej niż jakąś godzinę temu, nie było nikogo, lecz spustoszenia, jakie tam zastał, przerosły jego najgorsze obawy.

Namiot zamienił się w stos nylonowych strzępów. Śpiwór stał się małą zaspą rozsypanego gęsiego puchu. Jedyną rzeczą, jaką Gordon znalazł nie uszkodzoną, był smukły łuk, który wystrugał ze ściętego, młodego drzewka, oraz szereg eksperymentalnych cięciw z wnętrzości dzikich zwierząt.

“Pewnie myśleli, że to laska”. W szesnaście lat po tym, jak spłonęła ostatnia fabryka, bandyci, którzy na niego napadli, w ogóle nie dostrzegli potencjalnej wartości, jakiej mogły nabrać łuk i cięciwy w chwili, gdy wreszcie skończy się amunicja.

Posłużył się łukiem, by pogrzebać w stosie resztek w poszukiwaniu czegoś więcej, co dałoby się uratować.

“Nie mogę w to uwierzyć. Zabrali mój dziennik! Ten mądrała Septien pewnie nie może się doczekać chwili, gdy zasiądzie, by nad nim ślęczyć podczas śnieżycy, chichocząc nad opisami moich przygód i moją naiwnością, podczas gdy pumy i myszołowy będą obgryzać do czysta moje kości”.

Całe jedzenie oczywiście zniknęło. Suszone mięso, torba łupanych ziaren, które dano mu w małej wiosce w Idaho w zamian za kilka piosenek i opowieści, oraz mały zapas cukru lodowatego, który znalazł w mechanicznych wnętrzościach ograbionego automatu sprzedającego.

“Może to i lepiej z tym cukrem” - pomyślał Gordon, wygrzebawszy z piasku podeptaną, zniszczoną szczoteczkę do zębów.

Dlaczego, u diabła, musieli to zrobić?

W późnym okresie trzyletniej zimy - gdy niedobitki jego plutonu milicji usiłowały w imieniu rządu, od którego od miesięcy nikt nie otrzymał żadnych wiadomości, strzec jeszcze silosów z soją w Wayne w stanie Minnesota - pięciu jego towarzyszy zmarło z powodu ostrych zakażeń jamy ustnej. Były to straszliwe, pozbawione chwały zgony. Nikt nie miał pewności, czy odpowiedzialny był jeden z użytych podczas wojny drobnoustrojów czy też zimno, głód i niemal całkowity brak nowoczesnej higieny. Gordon wiedział tylko, że widmo zębów gnijących w czaszce było jego osobistą fobią.

“Sukinsyny” - pomyślał, odrzucając szczoteczkę na bok.

Kopnął resztki po raz ostatni. Nie znalazł nic, co kazałoby mu zmienić zdanie.

“Grasz na zwłokę. Jazda. Zrób to”.

Ruszył naprzód odrobinę sztywnym krokiem. Wkrótce jednak podążał już ścieżką tak szybko i cicho, jak tylko potrafił, ścigając bandytów przez suchy jak pieprz las.

Ich krzepki herszt zapowiedział, że go zjedzą, jeśli natkną się na niego raz jeszcze. Kanibalizm był tuż po wojnie pospolity i ci górale mogli zasmakować w “długiej świni”. Mimo to musiał ich

przekonać, że trzeba się liczyć z człowiekiem, który nie ma nic do stracenia.

Po przejściu około pół mili poznał dobrze ich ślady: dwa tropy o miękkich zarysach charakterystycznych dla jeleniej skóry oraz trzy pozostawione przez przedwojenne, wibramowe podeszwy. Posuwali się naprzód bez pośpiechu. Mógłby bez kłopotu po prostu dogonić swych wrogów.

Jego plan nie polegał jednak na tym. Gordon usiłował sobie przypomnieć swą poranną wędrówkę tą samą trasą w przeciwnym kierunku.

“Ta ścieżka schodzi w dół, wijąc się na północ po wschodnim zboczu góry, a potem zawraca z powrotem na południowy wschód, ku leżącej w dole pustynnej dolinie.

Co się jednak zdarzy, jeśli pójde skróttem nad głównym szlakiem i powędruję zboczem? Może mi się uda ich złapać, gdy będzie jeszcze jasno... kiedy będą nadal triumfować, nie spodziewając się niczego.

Jeśli faktycznie jest tam skrót...”

Dróżka wiła się spokojnie w dół, na północny wschód, ku wydłużającym się ceniom, w kierunku pustyń wschodniego Oregonu oraz Idaho. Musiał przejść poniżej wystawionych przez bandytów posterunków wczoraj albo dziś rano. Śledzili go bez pośpiechu, czekając, aż rozbije obóz. Ich kryjówka z pewnością znajdowała się gdzieś w bok od szlaku.

Nawet utykając, Gordon potrafił poruszać się bezgłośnie i szybko. Była to jedyna przewaga mokasynów nad butami. Wkrótce usłyszał gdzieś w przedzie i w dole niewyraźne odgłosy.

Grupa łupieżców. Mężczyźni śmiali się, sypali żartami. Ich głosy sprawiały mu ból.

Nie w tym nawet rzecz, że śmiali się z niego. Nieczułe okrucieństwo było częścią obecnego życia, a jeśli Gordon nie potrafił się z tym pogodzić, to przynajmniej rozumiał, że jest dwudziestowiecznym reliktem w dzisiejszym bestialskim świecie.

Te dźwięki przypomniały mu jednak inny śmiech i żarty ludzi, którzy kiedyś dzielili z nim niebezpieczeństwo.

“Drew Simms - piegowaty słuchacz kursu wstępnego medycyny, wiecznie gamoniowato uśmiechnięty, morderczo skuteczny gracz w szachy i pokera. Holniści załatwili go, gdy zdobyli Wayne i spalili silosy...

Tiny Kielre - dwukrotnie uratował mi życie. Gdy leżał na łożu śmierci, trawiony wojenną świnką, chciał tylko, bym czytał mu bajki...”

Był też porucznik Van, pół-Wietnamczyk, dowódca ich plutonu. Dopiero gdy było już za późno, Gordon dowiedział się, że obcinał własne racje żywnościowe, by oddać je swym ludziom. Na koniec poprosił, aby pochowano go spowitego w amerykańską flagę.

Tak długo już był samotny. Tęsknił za towarzystwem takich mężczyzn niemal równie mocno, jak za przyjaźnią kobiet.

Obserwując chaszczę po lewej stronie szlaku, dotarł do polany, która zdawała się zapowiadać pochyłą skarpe - być może skrót - wiodącą na północ po stromym stoku góry. Suche jak pieprz krzewy trzaskały, gdy zboczył ze ścieżki i zaczął sam sobie torować drogę. Miał wrażenie, że pamięta znakomite miejsce na zasadzkę: serpentynę biegnącą pod wysoką, kamienną bramą w kształcie podkowy. Snajper mógłby ukryć się tuż nad tą skalną wyniosłością i grzać z bliska do każdego, kto wędrował ścieżką.

“Jeśli tylko zdołam dotrzeć tam przed nimi...”

Mógł przyszpilić ich z zaskoczenia i zmusić do negocjacji. Fakt, że nie miał nic do stracenia, stwarzał mu pewne możliwości. Każdy zdrowy na umyśle bandyta wolałby ocalić życie, by następnego dnia obrabować kogoś innego. Musiał wierzyć, że zechcą się rozstać z butami, kurtką i

częścią żywności, by nie ryzykować utraty jednego czy dwóch spośród siebie.

Miał nadzieję, że nie będzie zmuszony nikogo zabić.

“Och, dorośnij wreszcie!” Jego najgorszym wrogiem w ciągu najbliższych kilku godzin będą archaiczne skrupuły. “Choć ten jeden raz bądź bezlitosny”.

Głosy dobiegające ze szlaku ucichły, gdy szedł na przełaj stokiem góry. Kilkakrotnie musiał omijać wyszczerbione zleby bądź połacie szorstkich, brzydkich, kolczastych krzewów. Skupił się na jak najszybszym dotarciu do swej skalnej zasadzki.

“Czy zaszedłem już wystarczająco daleko?”

Maszerował nieustępliwie naprzód. Według jego niedoskonałej pamięci zakręt, o który mu chodziło, znajdował się za długim łukiem szlaku wiodącym na północ po wschodnim stoku góry.

Wąska ścieżyna, wydeptana przez zwierzęta, pozwoliła mu przemknąć przez sosnowy gąszcz. Gordon zatrzymywał się często, by spojrzeć na kompas. Stał przed dylematem. By mieć szansę na doścignięcie swych wrogów, musiał trzymać się wyżej od nich. Jeśli jednak będzie biegł zbyt wysoko, może nieświadomie minąć swój cel.

A zmierzch był już niedaleko.

Stadko dzikich indyków rozpierzchło się, gdy wpadł na małą polankę. Rzecz jasna, zmniejszona gęstość zaludnienia miała zapewne coś wspólnego z powrotem dzikich zwierząt, był to jednak tylko jeszcze jeden znak świadczący o tym, że dotarł do krainy bogatszej w wodę niż wysuszone tereny Idaho. Łuk mógł któregoś dnia okazać się użyteczny, o ile Gordon pożyje wystarczająco długo, by nauczyć się z niego strzelać.

Skręcił w dół zbocza. Zaczynał się niepokoić. Z pewnością główny szlak był już daleko pod nim, o ile do tego czasu nie zmienił kilkakrotnie kierunku. Możliwe, że zapędził się zbyt na północ.

Wreszcie zdał sobie sprawę, że wydeptana przez zwierzynę ścieżka skręca nieubłaganie na zachód. Wydawało się też, że znowu zaczyna prowadzić w górę, ku czemuś, co wyglądało na następną górską przełęcz, spowitą w późnopołudniową mgłę.

Zatrzymał się na chwilę, by odzyskać dech w piersiach oraz określić swe położenie. Być może był to kolejny wąwóz wiodący przez zimne, na wpół wyschłe Góry Kaskadowe aż do doliny Willamette, a potem do Oceanu Spokojnego. Nie miał już mapy, wiedział jednak, że co najwyżej parę tygodni marszu w tamtym kierunku powinno doprowadzić go do wody, schronienia, strumieni pełnych ryb, zwierzyny, a może nawet...

Może nawet jakichś ludzi starających się przywrócić w świecie trochę porządku. Blask słońca podświetlający skraj wysokich chmur przypominał świetlistą aureolę. Przywodził na myśl niemal zapomnianą lunę miejskich świateł, obietnicę, która gnała go wciąż naprzód ze środkowego zachodu, każąc mu szukać. Marzenie, które - choć wiedział, że jest czcze - po prostu nie chciało go opuścić.

Gordon potrząsnął głową. W górach na pewno czekał go śnieg, pumy i głód. Nie mógł zrezygnować ze swego planu, jeśli chciał żyć.

Choć z determinacją próbował skręcić w dół, wąskie, wydeptane przez zwierzynę ścieżki wciąż wiodły go na północny zachód. Zakręt z pewnością był już za nim. Gęste, suche podszycie zmusiło go jednak do zagłębienia się w nowy wąwóz.

Mało brakowało, by sfrustrowany Gordon nie usłyszał dźwięku. Nagle jednak zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

Czy to były głosy?

Tuż przed nim, wśród lasu, otwierał się wiodący w górę stromy parów. Gordon pędził w jego stronę, dopóki nie dostrzegł zarysów góry, a także innych szczytów łańcucha, spowitych gęstą mgłą.

Wysoko na zachodnich zboczach nabierała ona koloru bursztynu, tam zaś, gdzie nie docierały już promienie słońca, ciemniejszego fioletu.

Wydawało się, że dźwięki dobiegają z dołu, z kierunku wschodniego. Rzeczywiście, były to głosy. Gordon przeszukał wzrokiem stok górski i wypatrzył wijącą się jak wąż linię szlaku. W oddali błysnęło przelotnie coś kolorowego, co posuwało się powoli do góry przez las.

Bandyci! Dlaczego jednak ponownie ruszyli pod górę? To niemożliwe, chyba że...

Chyba że Gordon był już daleko na północ od trasy, którą wędrował wczoraj. Musiał minąć miejsce zasadzki i znaleźć się nad ścieżką. Rozbójnicy posuwali się jej odgałęzieniem, którego wczoraj nie zauważył. Wiodło ono do wąwozu, w którym się znajdował, a nie do tego, w którym wpadł w pułapkę.

Tędy z pewnością wiodła droga do ich bazy!

Spojrzał na górę. Tak jest, na zachód, na występie nieopodal rzadziej uczęszczanej przełęczy dostrzegał miejsce, gdzie mogła się kryć mała kotlinka. Łatwo byłoby jej bronić. a bardzo trudno odkryć przypadkowo.

Gordon uśmiechnął się z zawziętością. On również zawrócił na zachód. Szansa na zasadzkę umknęła, jeśli jednak się pośpieszy, może dotrzeć do kryjówki bandytów przed nimi. Niewykluczone, że będzie miał kilka minut, by ukraść to, czego potrzebował: żywność, ubranie i coś, w czym mógłby nieść łupy.

A jeśli schronienie nie będzie opuszczone?

Cóż, może mu się uda wziąć ich kobiety jako zakładniczki, by spróbować dobić targu.

“To bez porównania lepszy pomysł. Tak jak trzymanie w rękach bomby zegarowej jest lepsze od biegania z nitrogliceryną”.

Szczerze mówiąc, wszystkie możliwe rozwiązania wydawały mu się nie do przyjęcia.

Zaczął biec. Gnając wąską ścieżką wydeptaną przez zwierzynę, uchylał się przed konarami i omijał wyschnięte pniaki. Wkrótce ogarnął go dziwny entuzjazm. Nie miał wyjścia. Jego zwykłe wątpliwości nie mogły mu już stanąć na przeszkodzie. Był niemal na haju od wydzielanej przed walką adrenaliny. Jego kroki wydłużyły się. Małe krzewy przemykały mu przed oczyma, tworząc zamazaną plamę. Wyciągnął nogi, by przeskoczyć nad zwałonym, zbutwiałym pniem, dokonał tego z łatwością...

Przy lądowaniu jego lewą nogę przeszył ostry ból. Coś wbiło się w stopę przez cienką podeszwę mokasy. Runął twarzą w żwir koryta wyschniętego strumienia.

Przetoczył się na plecy, ściskając kurczowo zranione miejsce. Załzawionymi, przymglonymi z bólu oczyma dostrzegł, że potknął się o grubą, tworzącą pętlę stalową linę, niewątpliwie pozostałość po jakimś starodawnym, przedwojennym wyrębie lasu. I znowu, choć w nodze czuł dotkliwy, pulsujący ból, jego naskórkowe myśli były nedorzecznie racjonalne.

“Osiemnaście lat od ostatniego szczepienia przeciw tężcowi. Cudownie”.

Ale nie, nie skaleczył się, ale tylko potknął. Było to jednak wystarczająco nieprzyjemne. Złapał się za udo i zacisnął usta, starając się przetrzymać straszliwe kurcze.

Wreszcie ustały. Gordon doczołgał się do zwałonego drzewa, po czym z wielką ostrożnością dźwignął się i usiadł. Posykiwał przez zaciśnięte zęby, gdy fale bólu ustępowały powoli.

Słyszał, jak grupa bandytów przechodzi zboczem niedaleko pod nim, pozbawiając go zdobytej przewagi, która była jego jedyną szansą.

“I tyle zostało ze wspaniałych planów dotarcia do kryjówki przed nimi”. Wsluchiwał się w głosy, dopóki nie umilkły w oddali.

Wreszcie spróbował się podnieść, używając łuku jako laski. Powoli wsparł się całym ciężarem

na lewej nodze i przekonał się, że może na niej stanąć, choć nadal drżała z bólu.

“Dziesięć lat temu po takim upadku zerwałbym się na nogi i pobiegłbym dalej bez chwili zastanowienia. Pogódź się z tym. Jesteś przeżytkiem, Gordon. Zużyłeś się. W dzisiejszych czasach mieć trzydzieści cztery lata i być samotnym znaczy tyle, co być gotowym na śmierć”.

Nie mógł już zastawić zasadzki ani nawet ścigać bandytów. Nie tak wysoko w górę, ku widocznej na stoku przełęczy. Próby wytropienia ich w bezksiężycową noc nie miałyby sensu.

Przeszedł kilka kroków. Pulsujący ból uspokajał się powoli. Wkrótce mógł już iść, nie wspierając się zbyt mocno na prowizorycznej lasce.

Świetnie, ale dokąd? Może powinien wykorzystać resztkę dnia, by znaleźć jakąś jaskinię albo stos sosnowych igieł, cokolwiek, co dałoby mu szansę na przeżycie nocy.

Chłód wzmagał się. Gordon obserwował cienie wspinające się coraz wyżej nad pustynne dno doliny. Łączyły się ze sobą, pogrążając w mroku stoki niedalekich gór. Coraz czerwieńsze słońce opuszczało ostrożnie promienie przez szczeliny w łańcuchu śnieżnych turni wznoszących się po lewej stronie.

Spojrzał na północ. Nie potrafił jeszcze znaleźć w sobie energii potrzebnej, by się ruszyć. Wtem dostrzegł nagły rozbłysk światła, ostry refleks na tle falistego, zielonego lasu, porastającego przeciwległy stok tego wąskiego wąwozu. Wciąż oszczędzając obolałą stopę, Gordon postąpił kilka kroków naprzód. Zmarszczył czoło.

Pożary lasów, które spustoszyły tak wielkie połacie suchych Gór Kaskadowych, oszczędziły gęsty bór pokrywający tamtą część stoku. Niemniej znajdowało się tam coś, co odbijało światło słoneczne niczym lustro. Ukształtowanie pobliskich wzgórz sugerowało, że można to dostrzec jedynie z miejsca, w którym stał, i to tylko późnym popołudniem.

A więc jego domysły były błędne. Schronienie bandytów nie znajdowało się w odległej kotlinie w górze wąwozu, lecz znacznie bliżej. Zdradził mu to jedynie szczęśliwy traf.

“A więc dajesz mi teraz znaki? Teraz? - oskarżył świat. Całkiem jakbym nie miał pod dostatkiem kłopotów, rzucasz mi brzytwy, których mogę się chwycić?”

Nadzieja była jak nałóg. Gnała go na zachód przez pół życia. W parę chwil po tym, jak omal się poddał, zaczął tworzyć zarysy nowego planu.

Czy mógł podjąć próbę obrabowania chaty pełnej uzbrojonych mężczyzn? Wyobraził sobie, jak otwiera kopniakiem drzwi, bandyci wybałuszają oczy ze zdumienia, a on wszystkich terroryzuje trzymanym w jednej ręce rewolwerem, drugą zaś ich wiąże!

Dlaczego by nie? Niewykluczone, że się spili, a on był wystarczająco zdesperowany, by tego spróbować. Czy mógłby wziąć zakładników? Do diabła, nawet mleczna koza byłaby dla nich cenniejsza niż jego buty! Za schwytaną kobietę powinien otrzymać w zamian więcej.

Ten pomysł wywołał cierpki smak w jego ustach. Po pierwsze, powodzenie planu zależało od tego, czy herszt bandytów zachowa się rozsądnie. Czy ten sukinsyn dostrzeże sekretną moc ukrytą w zdesperowanym człowieku i pozwoli odejść z tym, czego mu potrzeba?

Gordon widywał już, jak ludzie powodowani dumą robili głupie rzeczy. Zdarzało się tak w większości przypadków.

“Jeśli dojdzie do pościgu, jestem ugotowany. W tej chwili nie zdołałbym prześcignąć nawet borsuka”.

Popatrzył na widoczne po drugiej stronie wąwozu odbicie i doszedł do wniosku, że w ostatecznym rozrachunku ma bardzo ograniczony wybór.

Początkowo posuwał się powoli. Noga nadal go bolała. Mniej więcej co sto stóp musiał się

zatrzymać, by sprawdzić, czy na krzyżujących się i rozwidlających ścieżkach nie widać śladów nieprzyjaciela. Złapał się też na tym, że przygląda się cieniom w poszukiwaniu ewentualnych zasadzek. Zabronił tego sobie. Ci faceci nie byli holnistami. W gruncie rzeczy sprawiali wrażenie leniwych. Przypuszczał, że ich warty będą blisko domu, jeśli w ogóle jakieś wystawiali.

Gdy światło osłabło, przestał dostrzegać ślady odcisnięte w zwirowatej glebie. Wiedział jednak, dokąd idzie. Nie widział już połyskującego odbicia, ale parów rysujący się na przeciwległej skarpie górskiego siodła tworzył ciemną, porośniętą na brzegach drzewami literę „V”. Gordon wybrał najwygodniejszą ścieżkę i popędził naprzód.

Ciemność zapadała szybko. Od zamglonych górskich zboczy wiał silny wiatr, zimny i wilgotny. Gordon pokuśtykał wzdłuż koryta wyschniętego strumienia. Wspinając się serpentynami, wspierał się na swej lasce. Nagle, gdy sądził, że jest już nie dalej jak ćwierć mili od celu, ścieżka zniknęła.

Uniósł ręce, by osłonić twarz, i spróbował ruszyć bezgłośnie przez suche podszycie. Zwalczył groźne, uporczywe pragnienie kichnięcia, wywołane unoszącym się w powietrzu pyłem.

Zimna, nocna mgła spływała w dół górskich stoków. Wkrótce grunt lśnił już od słabo połyskującego szronu. Mimo to Gordon dygotał nie tyle z zimna, co z podenerwowania. Wiedział, że jest coraz bliżej. Tak czy owak, czekało go spotkanie ze śmiercią.

W młodości czytał o bohaterach, historycznych i literackich. Niemal każdy z nich, gdy nadchodził moment działania, potrafił jakoś odsunąć na bok swe osobiste problemy - niepokój, dezorientację czy trwogę - przynajmniej na czas trwania zagrożenia. Umysł Gordona nie funkcjonował jednak w ten sposób. Wypełniał się tylko wizjami coraz to nowych komplikacji, wirów żalów.

Nie w tym rzecz, że miał wątpliwości, co należy zrobić. Według wszelkich przyjętych przez niego norm był to słuszny uczynek. Konieczny dla ocalenia życia. Poza tym, jeśli i tak miał umrzeć, mógł przynajmniej uczynić góry nieco bezpieczniejszym miejscem dla następnego wędrowca, zabierając ze sobą kilku z tych sukinsynów.

Mimo to im bliżej była chwila konfrontacji, tym wyraziściej zdawał sobie sprawę, że nie pragnie, by jego dharma osiągnęła podobny stan. Właściwie nie chciał zabić żadnego z tych facetów.

Zawsze tak było, nawet wtedy, gdy wraz z małym plutonem porucznika Vana usiłował pomóc w utrzymaniu pokoju w resztkę państwa, które już umarło.

Potem zaś wybrał życie minstrela, wędrownego aktora i robotnika - częściowo po to, by ciągle pozostawać w ruchu, poszukując istniejącego gdzieś światła.

Niektóre z ocalałych powojennych społeczności były otwarte dla obcych. Kobiety oczywiście zawsze były mile widziane, ale niekiedy przyjmowano też mężczyzn. Często jednak krył się w tym jakiś haczyk. Nierzadko nowy mężczyzna musiał zabić kogoś w pojedynku, by mieć prawo zasiadać za wspólnym stołem, bądź też przynieść skalp członka wrogiego klanu, aby dowieść swej dzielności. Na równinach i w Górach Skalistych została już tylko garstka prawdziwych holnistów. Jednakże wiele ocalałych placówek, które napotkał, wymagało rytuałów, w których nie zamierzał brać udziału.

Mimo to stał teraz tutaj, licząc kule, a jakaś część jego jaźni rozważała chłodno, czy jeśli będzie strzelał celnie, wystarczy ich na wszystkich bandytów.

Drogę zagroziły mu znowu rzadkie zarośla jeżynowe. Niedostatek owoców nadrabiały obfitością cierni. Tym razem Gordon ruszył brzegiem gąszczy, ostrożnie torując sobie drogę w coraz głębszej ciemności. Jego poczucie kierunku - udoskonalone przez czternaście lat wędrówki - funkcjonowało automatycznie. Poruszał się bezgłośnie i uważnie, nie porzucając toku własnych myśli.

Ogólnie rzecz biorąc, było zdumiewające, że człowiek taki jak on przeżył aż tak długo.

Wszyscy, których znał lub podziwiał jako chłopiec, byli martwi, podobnie jak żywione przez nich nadzieje. Wygodny świat, stworzony dla takich jak on marzycieli, rozpadł się, gdy Gordon miał zaledwie osiemnaście lat. Już dawno zdał sobie sprawę, że jego uporczywy optymizm musi być formą histerycznego obłądu.

“Do diabła, w dzisiejszych czasach wszyscy mają świra. Tak - odpowiedział sam sobie. Ale paranoja i depresja mają teraz wartość przystosowawczą. Idealizm jest po prostu głupi”.

Zatrzymał się obok małej, barwnej plamki. Rozgarnął ciernie i ujrzał w odległości około jarda pojedynczą kępę czarnych jagód, najwyraźniej przeoczoną przez miejscowego baribala. Mgła wzmocniła zmysł węchu Gordona. Wyczuwał w powietrzu słabą woń jesiennej stęchlizny.

Nie zważając na ostre kolce, wyciągnął rękę i zerwał garść kleistych owoców. Ich cierpka słodycz miała w jego ustach dzikość samego życia.

Mrok zapadł już niemal zupełny. Przez ciemne chmury przeświecały nieliczne, blade gwiazdy. Zimny wiatr szarpał rozdartą koszulę Gordona, przypominając mu, że czas już, by wykonał swoją robotę, nim dłonie zgrabieją mu tak, że nie będzie w stanie nacisnąć spustu.

Omijając ostatni odcinek gąszczu, otarł lepkie dłonie o spodnie. Nagle, w odległości około stu stóp, dostrzegł błysk dużej, szklanej szyby, lśniącej w słabej poświacie nieba.

Zanurkował z powrotem za cierniste krzewy. Wyciągnął rewolwer i przytrzymał prawy nadgarstek lewą dłonią, czekając, aż oddech mu się uspokoi. Następnie sprawdził działanie broni. Trzasnęła cicho, jakby z delikatnym, mechanicznym samozadowoleniem. Czuł w kieszeni na piersi ciężar zapasowej amunicji.

W gąszczu niebezpiecznie było poruszać się szybko lub gwałtownie. Gordon napał na krzaki, które ustąpiły lekko. Nie przejął się kilkoma następnymi zadrapaniami. Zamknął oczy i zaczął medytować w poszukiwaniu spokoju i - tak jest - przebaczenia.

Owiał go powiew chłodnej mgły. “Nie - westchnął. Nie ma innego wyjścia”. Uniósł broń i odwrócił się.

Budynek wyglądał dość osobliwie. Choćby dlatego, że odległa tafla szkła była ciemna.

Było to dziwne, lecz jeszcze bardziej niezwykła była cisza. Gordon oczekiwał, że bandyci rozpalą ogień i będą głośno świętować.

Zrobiło się już niemal tak ciemno, że nie mógł dostrzec własnej dłoni. Ze wszystkich stron otaczały go drzewa, majaczące w mroku niczym potężne trolle. Słabo widoczna szyba rysowała się na tle jakiejś czarnej konstrukcji. Kłębiące się chmury odbijały się w niej srebrzystym blaskiem. Pomiędzy Gordonem a jego celem unosiły się cienkie strzępy mgły, które zamazywały obraz i sprawiały, że wszystko migotało.

Ruszył powoli naprzód. Prawie całą uwagę skupiał na tym, po czym szedł. To nie był odpowiedni moment, by nadepnąć na suchą gałązkę albo przebić sobie stopę ostrym kamieniem, teraz, gdy powłóczył nogami w ciemności.

Podniósł wzrok i raz jeszcze nawiedziło go niesamowite wrażenie. Z budynkiem, który widział przed sobą, coś było nie w porządku. Gordon dostrzegał niemal wyłącznie jego zarys za połyskującym słabo szkłem. Z jakiegoś powodu budowla wyglądała dziwnie. Przypominała pudełko. Wydawało się, że większość jej górnej części zajmuje okno. To, co znajdowało się poniżej, przywodziło na myśl raczej metal niż pomalowane drewno. Na rogach...

Mgła zgęstniała. Gordon zdał sobie sprawę, że jego ocena odległości była błędna. Sądził, że patrzy na dom bądź wielką chatę. Gdy się zbliżył, zrozumiał, że konstrukcja jest w rzeczywistości

znacznie mniej oddalona niż mu się zdawało. Jej kształt był znajomy, całkiem jakby...

Nadepnął stopą na gałązkę. Rozległ się głośny trzask! Przykucnął, wpatrując się w mrok z rozpaczliwym natężeniem, przekraczającym możliwości wzroku. Wydało mu się, że gorączkowa moc, napędzana przerażeniem, trysnęła mu z oczu i zażądała, by opary rozstały się, odsłaniając widok.

Sucha mgła nagle przed nim opadła, całkiem jakby go usłuchała. Gdy źrenice Gordona się rozszerzyły, zobaczył, że znajduje się w odległości niespełna dwóch metrów od okna... odbicia własnej twarzy o wybałuszonych oczach i potarganych włosach, i ujrzał, nałożoną na swe oblicze, pustoką, kościotrupią, śmiertelną maskę - skrytą pod kapturem czaszkę, uśmiechającą się na znak powitania.

Skulił się, zahipnotyzowany. Wzdłuż kręgosłupa przemknął dreszcz zgrozy. Nie był w stanie użyć broni, ani wydobyć z krtani żadnych dźwięków. Mgła zawirowała wokół niego. Wytężał słuch, by usłyszeć coś, co by dowiodło, że naprawdę ogarnął go obłąd. Ze wszystkich sił pragnął, by trupia głowa okazała się omamem.

Biedny Gordon!

Grobowa wizja nakładała się na jego odbicie. Wydawało się, że łśni, pozdrawiając go. Przez wszystkie te straszliwe lata Śmierć - właścicielka świata - ani razu nie ukazała się mu jako widmo. Otępiały Gordon nie potrafił zrobić nic innego, jak usłuchać polecenia wywodzącej się z Elsynoru postaci. Czekał, niezdolny oderwać wzroku ani nawet się poruszyć. Czaszka i jego twarz... jego twarz i czaszka... Schwyciła go ona bez walki, a teraz wydawało się, że wystarczy jej uśmiech.

Na koniec przyszło mu z pomocą coś tak prozaicznego, jak małpi odruch.

Bez względu na to jak hipnotyzujący czy przerażający, żaden niezmienny obraz nie może bez końca przykuwać ludzkiej uwagi. Nie wtedy, kiedy nic się najwyraźniej nie dzieje, nic nie zmienia. W chwili gdy zawiodły go odwaga i wykształcenie, gdy jego system nerwowy odmówił posłuszeństwa - władzę wreszcie przejęła nuda.

Wypuścił z płuc powietrze. Usłyszał, jak gwizdze mu między zębami. Poczuł, że jego oczy bez rozkazu świadomości odwracają się od oblicza Śmierci.

Do części jego jaźni dotarło, że okno jest wprawione w drzwi. Tuż przed nim była klamka. Po lewej stronie drugie okno. Po prawej... po prawej była maska.

Maska...

Maska dziapa.

Maska porzuconego, zardzewiałego dziapa spoczywającego w płytkiej koleinie leśnego parowu...

Zamrugnął powiekami i spojrzął na przód skorodowanego wehikułu z dawnymi znakami rządu Stanów Zjednoczonych oraz szkielet nieszczęsnego, martwego urzędnika państwowego, który leżał wewnątrz z czaszką przyciśniętą do szyby po stronie pasażera, zwróconą przodem w stronę Gordona.

Jego ulga i zawstydzenie były tak wielkie, że zdławione westchnienie, jakie z siebie wydał, wydawało się niemal ektoplazmatyczne. Gordon stanął na nogi. Było to tak, jakby wyprostował się z pozycji płodowej. Narodził się.

- Oj. O jejku - powiedział po to tylko, by usłyszeć własny głos. Zatoczył szeroki krąg wokół pojazdu, poruszając rękami i nogami. Wpatrywał się obsesyjnie w martwego pasażera. Wracił do rzeczywistości. Oddychał głęboko. Jego puls uspokoił się, a szum w uszach stopniowo cichł.

Wreszcie usiadł na leśnej ściółce, opierając się plecami o chłodne drzwi po lewej stronie dziapa. Drżał. Musiał użyć obu rąk, by zabezpieczyć rewolwer i schować go do kabury. Następnie wydobył manierkę i pociągnął powoli kilka potężnych łyków. Żałował, że nie ma czegoś mocniejszego, lecz w tej chwili woda miała smak tak słodki, jak samo życie.

Zapadła już głęboka noc. Chłód przeszywał do szpiku kości. Mimo to Gordon przez kilka chwil odwlekał oczywistą decyzję. Nie miał już szans na odnalezienie kryjówki bandytów. Zbyt długo podążał fałszywym tropem przez pogrążoną w atramentowym mroku głąsę. Samochód zapewniał przynajmniej jakieś schronienie, lepsze niż cokolwiek innego w okolicy.

Podniósł się i dotknął dłonią klamki, przypominając sobie ruch, który ongiś był drugą naturą dla dwustu milionów jego rodaków. Ruch ten po chwili oporu zmusił klamkę do ustąpienia. Drzwi skrzypnęły głośno, gdy pociągnął ze wszystkich sił i otworzył je. Wśliznął się na pokryte spękany winylem siedzenie i zbadął wnętrze pojazdu.

Był to jeden z tych dżipów, w których kierowca siedział po prawej stronie. W zamierzchłych czasach, przed wojną zagłady, używała ich poczta. Martwy listonosz - to co z niego zostało - leżał skulony na drugim siedzeniu. Gordon starał się na razie nie patrzeć na szkielet.

Skrzynia pojazdu była niemal całkowicie wypełniona brezentowymi workami. Zapach starego papieru wypełniał małą kabinę przynajmniej równie intensywnie, jak słaby już odór zмумifikowanych szczątków.

Z pełnym nadziei okrzykiem Gordon złapał za metalową manierkę leżącą obok dźwigni zmiany biegów. Plusnęło! By utrzymać w sobie płyn przez szesnaście lub więcej lat, musiała być szczelnie zamknięta. Z przekleństwem na ustach kręcił i podwazał zakrętkę. Uderzył nią o drzwi, po czym zaatakował ponownie.

Frustracja sprawiła, że oczy zaszyły mu łzami, wreszcie jednak poczuł, że zakrętka ustępuje. Wkrótce ucieszyły go powolne, odporne obroty, a potem uderzający do głowy, zapamiętany z dawnych czasów aromat whisky.

“Może jednak byłem grzecznym chłopcem. Może Bóg rzeczywiście istnieje”.

Pociągnął łyk. Kaszlnął, gdy rozgrzewający ogień spłynął mu w dół przełyku. Jeszcze dwa małe hausty i opadł na fotel. Jego oddech brzmiał niemal jak westchnienie.

Nie był jeszcze gotowy do zdjęcia kurtki zwisającej z wąskich ramion szkieletu. Złapał za worki - oznaczone napisami POCZTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH i okrył się nimi ze wszystkich stron. Pozostawił drzwi lekko uchylone, by wpuścić do środka świeże, górskie powietrze, po czym zakopał się z manierką w dłoni pod workami jak pod kocami.

Wreszcie spojrział na swego gospodarza, kontemplując ozdobione amerykańską flagą naramienniki kurtki martwego urzędnika państwowego. Odkręcił manierkę. Tym razem wzniosł ją ku strojowi z kapturem.

- Może pan wierzyć lub nie, panie listonoszu, ale zawsze uważałem, że wykonujecie dobrą i uczciwą robotę. Och, dla wielu byliście chłopcami do bicia, ja jednak wiem, jak ciężka to była praca. Byłem z was dumny, nawet jeszcze przed wojną. Ale to, panie pocztowcu... - uniósł manierkę - ...to więcej niż mógłbym się kiedykolwiek spodziewać! Uważam, że moje podatki zostały dobrze wykorzystane.

Wypił łyk na cześć listonosza. Kaszlnął lekko, lecz poczucie ciepła sprawiło mu radość.

Usadowił się głębiej między workami pełnymi listów. Popatrzył na skórzaną kurtkę, zebra rysujące się pod jej połami, ramiona zwisające swobodnie pod dziwnym kątem. Leżąc nieruchomo, Gordon poczuł głęboki smutek - coś w rodzaju tęsknoty za domem. Dżip, symboliczny, wierny doręczyciel, naramiennik z flagą... wszystko to przywoływało wspomnienie komfortu, niewinności, współpracy, łatwego życia, które pozwalało milionom ludzi odetchnąć, uśmiechać się lub spierać, kiedy chcieli, okazywać sobie tolerancję i mieć nadzieję, że z upływem czasu staną się lepsi.

Gordon był dzisiaj gotów zabić i zginać w walce. Teraz cieszył się, że do tego nie doszło. Nazwali go “panem królikiem” i zostawili na pewną śmierć. Jego przywilejem jednak było - choć

oni nawet o tym nie wiedzieli - nazwać bandytów "rodakami" i darować im życie.

Gordon pozwolił, by nadszedł sen. Z radością przywitał powrót optymizmu, nawet jeśli był on głupim anachronizmem. Leżał spowity w osłonę własnego honoru i spędził resztę nocy, śniąc o światach równoległych.

Połamane konary i osmaloną korę prastarego drzewa pokrywały śnieg i sadza. Nie było martwe, jeszcze nie do końca. Tu i ówdzie usiłowały wyrosnąć maleńkie, zielone pędy, lecz nie odnosiły sukcesu. Kres był już blisko.

Wtem zamajaczył jakiś cień, na powietrznych prądach wzniosła się jakaś istota latająca, stare, ranne stworzenie, równie bliskie śmierci jak drzewo.

Gubiąc lotki, zaczęło mozolnie budować gniazdo - miejsce śmierci. Wygrzebywało spośród sterczących z ziemi martwych drzew patyk za patykiem, piętrząc fragmenty coraz wyżej, aż wreszcie stało się jasne, że bynajmniej nie jest to gniazdo.

Był to stos.

Zakrwawione, umierające stworzenie zasiadło na jego szczycie i zaczęło nucić jęklonie. Jego cicha muzyka nie przypominała żadnej słyszanej do tej pory. Pojawiła się luna, która wkrótce otoczyła ptaka wspaniałym, fioletowym blaskiem. Buchnęły błękitne płomienie.

Drzewo najwyraźniej zareagowało. Zwróciło ku żarowi sędziwe, uschnięte konary, niczym starzec pragnący ogrzać dłonie. Śnieg drgnął i spadł z nich, a zielone plamy rozrosły się i zaczęły wypełniać powietrze wonią odnowy.

To nie stworzenie na stosie narodziło się na nowo. Nawet we śnie zaskoczyło to Gordona. Płomienie pochłonęły wielkiego ptaka, pozostawiając jedynie kości.

Drzewo jednak ożyło, a z jego kwitnących gałęzi wyłoniły się jakieś przedmioty, które wzbiły się do lotu.

Wytrzeszczył ze zdumienia oczy, gdy dostrzegł, że to balony, samoloty i rakiety. Marzenia. Odleciały we wszystkich kierunkach, a powietrze wypełniło się nadzieją.

Na masce dżipa wylądował z głuchym łoskotem wroniec amerykański poszukujący sójek błękitnych, które mógłby przegnać. Zaskrzeczał - jeden raz, by oznaczyć swe terytorium, a drugi dla przyjemności - po czym zaczął grzebać dziobem w grubej warstwie detrytusu.

Stukanie obudziło Gordona. Podniósł zaspane oczy i dostrzegł przez brudne okno ptaka o szarych skrzydłach. Potrzebował kilku chwil, by przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Szklana, przednia szyba, kierownica, woń metalu i papieru, wszystko to wydało mu się kontynuacją jednego z najbardziej wyrazistych snów, jakie nawiedziły go nocą - wizji dawnych, przedwojennych dni. Siedział oszołomiony przez pewien czas, badając dokładnie swe uczucia, podczas gdy senne obrazy blakły i oddalały się z jego świadomości.

Potaął oczy. Po chwili zaczął rozważać swą sytuację.

Jeśli nocą nie pozostawił, zmierzając do tej kotliny, śladu godnego słonia, nie powinno mu grozić absolutnie nic. Fakt, że whisky przeleżała tu nietknięta szesnaście lat, dowodził niezbicie, że bandyci byli leniwymi łowcami. Mieli miejsca, gdzie zwykli tropić zwierzynę bądź czekać na nią w zasadzce, i nigdy im się nie chciało zbadać własnej góry.

Gordon czuł lekki ciężar w głowie. Gdy zaczęła się wojna, miał osiemnaście lat. Był to jego pierwszy rok w college'u. Od tego czasu nie miał wiele okazji, by przyzwyczać się do czterdziestoprocentowego alkoholu. Whisky w połączeniu z wczorajszą serią urazów oraz przyływów adrenaliny sprawiła, że czuł niesmak w ustach i szczypanie pod powiekami.

Żałował utraconych wygod równie mocno jak poprzednio. Dziś rano nie będzie herbaty. Nie będzie wilgotnego ręcznika ani suszonej dziczyzny na śniadanie. Nie będzie mycia zębów.

Mimo to Gordon usiłował podejść do tego w sposób filozoficzny. Ostatecznie ocalał życie. Przypuszczał, że nadejdą chwile, gdy każdy z ukradzonych przedmiotów będzie tym, którego "brak mu najbardziej".

Jeśli będzie miał choć trochę szczęścia, licznik Geigera nie znajdzie się na tej liście. Promieniowanie było jednym z najważniejszych powodów, dla których od opuszczenia Dakoty wędrował nieustannie na zachód. Zmęczyło go już, że dokądkolwiek się udał, zawsze był niewolnikiem swego cennego licznika, wiecznie żył w strachu, że mu go ukradną lub że nawali. Pogłoski mówiły, że zachodnie wybrzeże ominął najgorszy opad radioaktywny. Bardziej podobno ucierpiało od epidemii przyniesionych z wiatrem z Azji.

Tak to było z tą dziwną wojną. Niekonsekwentna i chaotyczna, zatrzymała się na długo przed paroksyzmem, który wszyscy przewidywali. Przypominała raczej serię strzałów z dubeltówki: jedną katastrofę na średnią skalę po drugiej. Każda z osobna mogła być do przeżycia.

Początkowa "technowojna" na morzu i w kosmosie mogłaby nie być tak straszliwa, gdyby ograniczyła się do tych terytoriów i nie rozszerzyła na kontynenty.

Choroby nie były tak groźne, jak na wschodniej półkuli, gdzie biologiczna broń nieprzyjaciela wymknęła się spod kontroli wśród jego własnej ludności. Zapewne nie zabiłyby w Ameryce tak wielu ludzi, gdyby strefy opadu radioaktywnego nie zgromadziły tłumów uchodźców, niszcząc przy okazji kruchą sieć placówek medycznych.

Głód również mógłby nie być tak okropny, gdyby przerażeni ludzie nie blokowali dróg oraz torów kolejowych, by uchronić się przed zarazkami.

Jeśli zaś chodzi o budzącą od dawna groźbę broń atomową, zdążono wykorzystać jedynie maleńki fragment światowego arsenału nuklearnego, nim Słowiańskie Odrodzenie załamało się od wewnątrz i

ogłoszono nieoczekiwane zwycięstwo. Te kilkadziesiąt bomb wystarczyło, by wywołać trzyletnią zimę, lecz nie stuletnią noc, która mogłaby zgotować człowiekowi los dinozaurów. Przez kilka tygodni wydawało się, że cud niezwykłej powściągliwości ocalił planetę.

Tak się wydawało. I w rzeczy samej, nawet ta kombinacja - garstka bomb, trochę drobnoustrojów i trzy lata wyjątkowo kiepskich zbiorów - nie wystarczyłaby, aby zniszczyć potężne państwo, a wraz z nim cały świat.

Istniała jednak inna choroba, rak atakujący od wewnątrz.

“Bądź potępiony na wieki, Nathanie Holn” - pomyślał Gordon. Na całym pogrążonym w mroku kontynencie powszechnie wygłaszano tę klątwę.

Odsunął na bok worki z korespondencją. Nie zważając na poranny chłód, otworzył wiszącą u lewego boku torbę i wyciągnął z niej małą paczuszkę owiniętą w aluminiową folię, powleczonej warstwą stopionego wosku.

Jeśli kiedykolwiek miał do czynienia z nagłą sytuacją, to właśnie teraz. Będzie potrzebował energii, by przeżyć ten dzień. Tuzin kostek wołowego bulionu to było wszystko, co miał. Będzie mu to musiało wystarczyć.

Popiwszy gorzkostoną kostkę łykiem wody z manierki. Gordon otworzył kopniakiem lewe drzwi dżipa. Kilka worków wysypało się na oszronioną ziemię. Zwrócił się w prawo i spojrzał na opatulony szkielet, który w milczeniu dzielił z nim noc.

- Panie listonoszu, urządź panu pogrzeb tak przyzwoity, jak to tylko możliwe gołymi rękoma. Wiem, że nie jest to wystarczająca zapłata za to, co mi pan dał, niemniej to wszystko, co mogę zaoferować.

Sięgnął ręką nad wąskim barkiem kościotrupa i otworzył drzwi po stronie kierowcy.

Gdy wysiadł i ruszył ostrożnie na drugą stronę dżipa, jego mokasyny ślizgały się na pokrytym lodem gruncie.

“Dobrze chociaż, że nocą nie padał śnieg. Tu w górach jest tak sucho, że grunt powinien niedługo odtajać na tyle, by dało się w nim kopać”.

Zardzewiałe prawe drzwi skrzypnęły, gdy za nie pociągnął. Złapanie osuwającego się do przodu szkieletu w opróżniony worek na listy okazało się trudnym zadaniem. Gordonowi udało się jednak jakoś ułożyć owinięte w ubranie kości na leśnej ściółce.

Zdumiało go, jak dobrze są zachowane. W suchym klimacie szczątki pocztowca osiągnęły stan bliski mumifikacji, co dało owadom czas na zrobienie porządku i usunięcie brudów. Wyglądało na to, że choć upłynęło tak wiele lat, reszta dżipa jest wolna od pleśni.

W pierwszej kolejności sprawdził strój listonosza.

“To dziwne. Dlaczego nosił pod kurtką wełnianą koszulę?”

Strój ów, ongiś barwny, lecz teraz wyblakły i poplamiony, był do niczego, lecz skórzana kurtka stanowiła cudowne znalezisko. Jeśli nie będzie za mała, niezmiernie zwiększy jego szansę.

Obuwie wyglądało na stare i spękane, lecz mogło nadawać się do użytku. Gordon wytrząsnął ostrożnie makabryczne, suche szczątki i położył buty obok swych stóp.

“Może trochę za duże”. Wszystko jednak było lepsze od rozpadających się mokasynów.

Wsunął kości do worka, tak delikatnie, jak tylko potrafił. Zdziwił się, jak łatwo mu to przyszło. Wszelkie przesady wypaliły się w nim nocą. Pozostał jedynie łagodny szacunek oraz pełna ironii wdzięczność dla poprzedniego właściciela wszystkich tych rzeczy. Strzepnął ubranie, wstrzymując oddech z uwagi na pył, po czym powiesił je na gałęzi sosny, by się przewietrzyło. Wrócił do dżipa.

“Aha - pomyślał. Tajemnica koszuli jest rozwiązana”. Tuż obok miejsca, w którym spał, leżała niebieska bluza mundurowa o długich rękawach z naszywkami Poczty Stanów Zjednoczonych na

ramionach. Mimo upływu lat wyglądała niemal jak nowa. "Jedna dla wygody, a druga na użytek szefa".

Już jako chłopiec Gordon wiedział, że listonosze tak robią. Jeden z nich w parne, letnie popołudnia doręczał pocztę w jaskrawych, hawajskich koszulach. Zawsze z wdzięcznością przyjmował szklankę zimnej lemoniady. Gordon żałował, że nie pamięta jego nazwiska.

Drżąc od porannego chłodu, wsunął się w mundurową bluzę. Była tylko odrobinę za duża.

- Może dorosnę, by ją wypełnić - wymamrotał do siebie nieprzekonujący żart. W wieku trzydziestu czterech lat ważył zapewne mniej niż wtedy, gdy miał siedemnaście.

W schowku znajdowała się spękana mapa Oregonu. Zastąpi mu tę, którą utracił. Nagle z głośnym krzykiem Gordon złapał za małą, jasną, plastikową kostkę. Scyntylator! - Niewielkie urządzenie było znacznie lepsze niż licznik Geigera. Skryty w jego wnętrzu kryształ będzie emitował słabiutkie błyski, gdy tylko uderzy w niego promieniowanie gamma. Nie potrzebował nawet prądu! Gordon skrył przedmiot w dłoniach i podniósł do oka. Zobaczył kilka oddzielonych znacznymi odstępami czasu rozbłysków wywołanych promieniami kosmicznymi. Poza tym sześcian był spokojny.

"Po co było przedwojennemu pocztowcowi coś takiego?" - zastanawiał się leniwie Gordon, chowając scyntylator w kieszeni spodni.

Ukryta w schowku latarka była rzecz jasna do niczego. Alarmowe race zamieniły się w pokruszoną masę.

Torba, oczywiście. Na podłodze pod siedzeniem kierowcy leżał wielki, skórzany worek listonosza. Był suchy i spękany, lecz gdy pociągnął za rzemienie, nie zerwały się, a klapy nadal mogły stanowić zabezpieczenie przed wilgocią.

Absolutnie nie mógł zastąpić jego utraconego plecaka firmy Kelty, był jednak znacznie lepszy niż nic. Kiedy otworzył główną przegródkę, wypadły z niej pakiety starej korespondencji, które rozsypały się po ziemi, gdy popękały kruche gumki. Gordon podniósł kilka leżących najbliżej listów.

- Od burmistrza Bend do dziekana Wydziału Medycyny Uniwersytetu Stanu Oregon w Eugene - Gordon odczytał adres z taką intonacją, jakby grał Poloniusza. Przerzucił jeszcze kilka kopert. Adresy na nich brzmiały górnolotnie i archaicznie.

- Doktor Franklin Davis z miasteczka Gilchrist przesyła - ze słowem PILNE wypisanym wyraźnie drukowanymi literami na kopercie - dość obszerny list do dyrektora Regionalnego Urzędu Dystrybucji Artykułów Medycznych... niewątpliwie domagając się priorytetu dla swych potrzeb.

Ironiczny uśmiezek na twarzy Gordona przerodził się w zaszępioną minę, gdy tak przerzuczał jeden list za drugim. Coś tutaj nie grało.

Spodziewał się, że rozśmieszy go widok reklam i korespondencji osobistej. W torbie nie znalazł jednak ani jednej przesyłki reklamowej. A choć prywatnych listów było sporo, większość kopert wyglądała, jakby pochodziły z urzędowych papeterii.

Cóż, i tak nie miał czasu bawić się w podglądacza. Zabrał jakiś tuzin listów dla rozrywki. Mógł też na ich odwrocie pisać swój nowy dziennik.

Starał się nie myśleć o utracie starego - szesnaście lat małych bazgrołów, niewątpliwie studiowanych teraz uważnie przez bandytę, który ongiś był maklerem. Gordon był pewien, że ów przeczyta je i zachowa - podobnie jak miniaturowe tomiki wierszy, które zostały w plecaku - chyba że źle ocenił osobowość Rogera Septiena.

Któregoś dnia je odzyska.

Co w ogóle robił tu dziać Poczty Stanów Zjednoczonych? I co spowodowało śmierć listonosza?

Część odpowiedzi na te pytania znalazł z tyłu pojazdu - otwory po kulach w szybie tylnej klapy skupione gęsto u góry po prawej stronie.

Spojrzał na sosnę. Tak jest, koszula i kurtka miały po dwie dziury w okolicy górnej części klatki piersiowej.

Próba porwania pojazdu bądź rabunku nie mogła zdarzyć się przed wojną. Listonoszy niemal nigdy nie atakowano, nawet podczas zamieszek towarzyszących kryzysowi późnych lat osiemdziesiątych, poprzedzającemu "złoty wiek", który nastąpił w latach dziewięćdziesiątych. Poza tym zaginionego doręczyciela szukano by tak długo, aż by go odnaleziono.

Znaczyło to, że napad nastąpił po wojnie tygodniowej. Dlaczego jednak listonosz jechał sam przez tę okolicę po tym, jak Stany Zjednoczone praktycznie przestały istnieć? Jak długo po wojnie się to wydarzyło?

Z pewnością odjechał z miejsca zasadzki, szukając mało znanych dróg i szlaków, by umknąć napastnikom. Może nie wiedział, jak ciężko jest ranny albo po prostu wpadł w panikę.

Gordon podejrzewał jednak, że istniał inny powód, dla którego listonosz postanowił przedzierać się przez gęstsze jeżyn, aby skryć się w głębokim lesie.

- Chronił swój ładunek - wyszeptał. - Zestawił możliwość, że straci przytomność na drodze z szansą na znalezienie pomocy... i postanowił ocalić przesyłki zamiast starać się ratować życie.

Był to więc autentyczny powojenny listonosz. Bohater migotliwego zmierzchu cywilizacji. Gordon pomyślał o napisanej w dawnych czasach odzie do pracowników poczty... "Ani deszcz, ani grad..." Zadumał się nad faktem, że niektórzy tak mocno usiłowali podtrzymać światło.

To tłumaczyło urzędowe listy oraz brak reklamówek. Gordon nie zdawał sobie sprawy, że pozory normalności utrzymały się tak długo. Oczywiście siedemnastoletni rekrut służący w milicji nie miał zbyt wielu szans, by zobaczyć coś normalnego. Rządy motłochu i powszechne grabieże centrów dystrybucji dostarczały uzbrojonym przedstawicielom władzy zajęcia i przerzedzały ich szeregi, aż wreszcie milicję pochłonęły rozruchy, celem stłumienia których ją wysłano. Jeśli w ciągu tych miesięcy grozy byli gdzieś mężczyźni i kobiety, którzy zachowywali się w sposób godny ludzi, Gordon nie był tego świadkiem.

Historia odważnego listonosza przygnębiła go tylko. Opowieść o walce z chaosem toczonej przez burmistrzów, uniwersyteckich profesorów i listonoszy miała w sobie posmak pytania: "co by było, gdyby", które było dla niego zbyt bolesne, by mógł się nad nim zastanawiać przez dłuższy czas.

Tylna klapa otworzyła się opornie, po kilku próbach wyważenia. Odsunawszy na bok worki z korespondencją, Gordon znalazł kapelusz listonosza wraz z zaśniedziałą odznaką, pusty koszyk oraz cenne okulary słoneczne leżące w gęstym kurzu, w zagłębieniu obok tylnego koła.

Mała łopatką, która miała ułatwiać uwalnianie dżipa z kolein, posłuży teraz do pochowania swego dawnego właściciela.

Wreszcie, tuż za pękniętym pod naciskiem kilku ciężkich worków siedzeniem kierowcy, Gordon znalazł roztrzaskaną gitarę. Kula dużego kalibru złamała jej gryf. Obok niej, w sporej, poźółkłej torbie plastikowej, znalazł około funta suszonych ziół wydzielających mocny, piżmowy odór. Wspomnienia Gordona nie zatarły się jeszcze do tego stopnia, by nie rozpoznał woni marihuany.

Wyobrażał sobie dotąd listonosza jako łysiejącego faceta w średnim wieku o konserwatywnych poglądach. Teraz stworzył jego obraz na nowo. Uznał, że zmarły był bardziej podobny do niego: żyłasty, brodaty, z wyrazem nieustannego zdumienia na twarzy, jakby miał zamiar zaraz powiedzieć: "Do licha!"

Może był to neohippis - przedstawiciel odłamu pokoleniowego, który zaledwie zaczął rozkwitać, gdy zdmuchnęła go wojna, wraz z wszelkimi powodami do optymizmu. Neohippis, który

zginął w obronie rządowej poczty. Gordona nie zdziwiłoby to w najmniejszym stopniu. Miał przyjaciół w ruchu. Choć mogli być trochę dziwni, szczerze wierzyli w głoszone przez siebie idee.

Wyszarpnął struny z gitary. Po raz pierwszy tego ranka nawiedziło go lekkie poczucie winy.

Listonosz nie był nawet uzbrojony! Gordon przypomniał sobie, że czytał gdzieś, iż Poczta Stanów Zjednoczonych podczas wojny domowej w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku w ciągu trzech lat doręczała przesyłki przez linię frontu. Być może ten człowiek wierzył, że jego rodacy uszanują ową tradycję.

Ameryka czasów po chaosie nie miała żadnej tradycji poza walką o przetrwanie. Podczas swych wędrówek Gordon przekonał się jednak, że w niektórych izolowanych osadach witano go miło, w sposób podobny jak w średniowieczu przyjmowano minstrela. Gdzie indziej jednak panowały dzikie odmiany paranoi. Nawet w tych rzadkich przypadkach, gdy spotykał się z przyjazną reakcją, gdy przyzwoici ludzie byli skłonni z radością przywitać obcego, po krótkim czasie ruszał zawsze w dalszą drogę. Za każdym razem znowu zaczynał śnić o obracających się kołach i maszynach latających w powietrzu.

Zbliżało się już południe. Zebrał tu wystarczająco wiele łupów, by jego szanse na ocalenie życia były większe, jeśli uniknie konfrontacji z bandytami. Znaczyło to, że im szybciej znajdzie się za przełęczą i dotrze do przyzwoitego zlewiska rzeczno, tym lepiej dla niego.

W tej chwili nic nie przydałoby mu się nawet w połowie tak, jak położony gdzieś poza zasięgiem bandy strumień, w którym mógłby nałapać pstrągów, by wypełnić sobie brzuch.

Miał tu do wykonania jeszcze jedno zadanie. Uniósł łopatę.

“Głód czy nie, jesteś to dłużny temu facetowi”.

Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu ocienionego miejsca, gdzie ziemia byłaby miękka, łatwa do kopania. Powinno też być dobrze widoczne.

- "...mówił mi zdradziecko: Nie bój się, póki las Birnam nie przyjdzie pod mury twego Dunzyny. Otóż zbliża się jakiś las do Dunzyny! Dalej, do broni! do broni! i naprzód! Jestli to prawda, nie mam czego czekać, na nic mi zostać, na nic mi uciekać!"

Gordon chwycił kurczowo swój drewniany miecz, wykonany z deski i kawałka cynowanej blachy. Skinął na niewidzialnego adiutanta.

- "Zbrzydło mi słońce; rad bym, żeby cała budowa świata w proch się rozleciała. Uderzcie w dzwony! Dmij wicherze! wrzej, toni! Mamli umierać, umrę z mieczem w dłoni!"

Gordon rozprostował ramiona, machnął mieczem i wyprowadził Makbeta ze sceny ku jego przeznaczeniu.

Gdy wyszedł z kręgu światła łojowych lampek, odwrócił się, by rzucić przelotne spojrzenie na widzów. Byli zachwyceni jego poprzednimi numerami, ale ta okaleczona, jednoosobowa wersja Makbeta mogła być dla nich trudna do strawienia.

W chwilę po jego wyjściu rozległ się jednak entuzjastyczny aplauz. Wodzirejem była pani Adele Thompson, przywódczyni tej małej społeczności. Dorośli gwizdali i tupali nogami. Młodszy obywatele klaskali niezręcznie. Ci, którzy mieli mniej niż dwadzieścia lat, obserwowali starszych i uderzali nieudolnie dłonią w dłoń, całkiem jakby po raz pierwszy brali udział w tym niezwykłym rytuale.

Najwyraźniej spodobała im się jego skrócona wersja prastarej tragedii. Gordon poczuł ulgę. Szczerze mówiąc, niektóre części uprościł nie w celu zmniejszenia ich długości, lecz dlatego, że nie pamiętał oryginału w całości. Ostatni raz widział egzemplarz tej sztuki prawie dziesięć lat temu, a do tego był on na wpół spalony i niekompletny.

Niemniej ostatnie wersy jego monologu były kanoniczne. Tego kawałka o "wicherze i toni" nie zapomni nigdy.

Uśmiechnięty Gordon wrócił ukłonić się widowni ze sceny - pokrytego deskami podjazdu w garażu, który ongiś należał do jedynej stacji benzynowej w małej wiosce Pine View.

Głód i samotność skłoniły go wreszcie do poszukania gościnności w górskiej wiosce. Otaczała ją mocna palisada z drewnianych kłód. Ryzyko opłaciło się bardziej niż przypuszczał. Znaczna większość mających prawo głosu dorosłych mieszkańców zaakceptowała wstępnie propozycję wymiany serii jego występów na posiłki i prowiant. Teraz wyglądało na to, że targu dobito.

- Brawo! Znakomicie!

Pani Thompson stała w pierwszym szeregu, klaszcząc z entuzjazmem. Siwowłosa i koścista, lecz nadal krzepka, odwróciła się, by zachęcić ponad czterdziestu pozostałych widzów, w tym również małe dzieci, do okazania wyrazów uznania. Gordon wykonał szeroki gest jedną ręką i ukłonił się głębiej niż poprzednio.

Oczywiście jego występ to było wielkie nic. Jednak Gordon był zapewne jedyną osobą w promieniu stu mil, która miała w college'u teatr jako przedmiot dodatkowy. W Ameryce znowu żyli "wieśniacy" i, podobnie jak jego poprzednicy w zawodzie minstrela, Gordon nauczył się opierać swe występy na mało subtelnych efektach.

Ukłoniwszy się po raz ostatni na chwilę przed tym, nim aplauz zaczął cichnąć, zeskoczył ze sceny i zaczął zdejmować sklecony naprędce kostium. Wytyczył zdecydowane granice: żadnych bisów. Towarem był teatr i chciał, aby odczuwali jego głód, dopóki nie nadejdzie czas, by odejść.

- Wspaniałe. Po prostu cudowne! - stwierdziła pani Thompson, gdy podszedł do mieszkańców wioski, którzy gromadzili się teraz przy stole bufetowym ustawionym pod tylną ścianą. Starsze dzieci utworzyły krąg wokół Gordona, wpatrując się w niego z zachwytem.

Pine View było stosunkowo zamożną osadą w porównaniu z wieloma przymierającymi głodem wioskami na równinach i w górach. W niektórych miejscach nie było między ludźmi dużych różnic wieku, dlatego że trzyletnia zima spowodowała śmierć wielu dzieci. Tu jednak widział trochę nastolatków i nieco starszych osób, a nawet garstkę staruszków, którzy z pewnością w chwili nadejścia zagłady przekroczyli już wiek średni.

Musieli starać się ocalić wszystkich. Zdarzało się to stosunkowo rzadko, ale tu i ówdzie spotykał się z czymś podobnym.

Ślady owych lat widoczne były wszędzie. Twarze pokryte dziobami pozostałymi po chorobach bądź strawione znużeniem i wojną. Dwie kobiety i jeden mężczyzna mieli amputowane kończyny. Inny mężczyzna spoglądał na niego jednym zdrowym okiem, drugie zaś pokrywała mu mętna zaćma.

Gordon był przyzwyczajony do podobnych rzeczy. Przynajmniej na naskórkowym poziomie. Z wdzięcznością skinął głową swej gospodyni.

- Dziękuję, pani Thompson. Doceniam słowa uznania płynące z ust spostrzegawczego krytyka. Cieszę się, że podobało się pani przedstawienie.

- Nie, mówię poważnie - upierała się przywódczyni klanu, całkiem jakby Gordon był niepotrzebnie skromny. - Od lat nie byłam tak zachwycona. Od tego Makbeta na końcu ciarki przeszły mi po grzbiecie! Żałuję, że nie obejrzałam go w telewizji, kiedy miałam okazję. Nie wiedziałam, że to takie dobre! I ta podnosząca na duchu mowa, którą wygłosił pan przedtem, ta Abrahama Lincolna... Hmm, wie pan, na początku próbowaliśmy założyć tutaj szkołę, ale po prostu się nie udało. Potrzebowaliśmy wszystkich rąk do pracy, nawet dzieci. Teraz jednak, hmm, ta mowa dała mi do myślenia. Zachowaliśmy trochę starych książek. Może teraz nadszedł czas, by spróbować raz jeszcze.

Gordon skinął uprzejmie głową. Widywał już przedtem ten syndrom. Była to najlepsza z około tuzina typów reakcji, z jakimi spotkał się w ciągu tych lat, lecz również jedna z najsmutniejszych. Zawsze czuł się jak szarlatan, gdy jego przedstawienia na powrót przywoływały wielkie, dawno pogrzebane nadzieje u garstki przyzwoitych, starszych ludzi, którzy pamiętali lepsze dni... nadzieje, które - zgodnie z jego wiedzą - zawsze załamywały się w ciągu kilku tygodni bądź miesięcy.

Było to tak, jakby nasiona cywilizacji potrzebowały czegoś więcej niż dobra wola i marzenia starzejących się absolwentów szkoły średniej. Gordon często zastanawiał się, czy odpowiedni symbol - odpowiednia idea - mogłaby przynieść powodzenie. Wiedział jednak, że jego małe przedstawienia, bez względu na to, jak dobrze są przyjmowane, nie są tym właściwym środkiem. Mogły one niekiedy - choć raczej rzadko - dać czemuś początek, lecz entuzjazm tubylców zawsze szybko opadał. Gordon nie był wędrownym mesjaszem. Legendy, które miał do zaoferowania, nie były paliwem potrzebnym do przezwyciężenia inercji czasów ciemności.

“Świat wciąż się obraca. Wkrótce odejdą ostatni przedstawiciele starszego pokolenia. Kontynentem zawładną rozproszone plemiona. Może za tysiąc lat przygoda zacznie się od nowa. Tymczasem...”

Gordonowi udało się uniknąć wysłuchiwanie dalszych, tragicznie nieprawdopodobnych planów pani Thompson. Z tłumu wydobyła się mała, siwowłosa, czarnoskóra kobieta o twardych mięśniach i wysuszonej skórze. Złapała Gordona za ramię w przyjaznym, lecz mocnym jak imadło uścisku.

- Posłuchaj, Adele - zwróciła się do matriarchini klanu. - Pan Krantz nie miał nic w ustach od południa. Myślę, że jeśli chcemy, by miał siłę wystąpić jutro wieczorem, powinniśmy dać mu coś do jedzenia. Mam rację?

Uścisnęła jego prawe ramię. Najwyraźniej uznała, że jest niedożywiony. Dobiegający go aromat jedzenia sprawiał, że nie miał najmniejszej ochoty zmieniać tego wrażenia.

Pani Thompson obrzuciła starszą kobietę cierpliwym, pobłażliwym spojrzeniem.

- Oczywiście, Patrycjjo - odparła. - Porozmawiam o tym z panem później, panie Krantz, kiedy pani Howlett utuczy już pana trochę.

Jej uśmiech i błyszczące oczy pełne były inteligentnej ironii. Gordon skorygował swą ocenę Adele Thompson. Z pewnością nie była naiwna.

Pani Howlett poprowadziła go przez tłum. Uśmiechał się i kiwał głową, gdy ludzie wyciągali ręce, by dotknąć jego rękawa. Każdy ruch gościa śledzono z wybałuszonymi oczyma.

“Głód musiał zrobić ze mnie lepszego aktora. Nigdy nie spotkałem się z taką reakcją widzów. Chciałbym wiedzieć, co dokładnie wywołało u nich aż takie emocje”.

Jedną z osób obserwujących go zza długiego stołu bufetowego była młoda, niewiele wyższa od pani Howlett kobieta o głębokich, migdałowych oczach i włosach tak czarnych, że Gordon nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział podobne. Dwukrotnie odwróciła się, by trzepnąć delikatnie w rączkę któreś z dzieci, dobierające się do jedzenia przed czcigodnym gościem. I za pierwszym, i za drugim razem dziewczyna szybko skierowała wzrok z powrotem na przybysza i uśmiechnęła się.

Stojący obok niej wysoki, tęgi, młody mężczyzna pogłaskał rudawą brodę i obrzucił Gordona dziwnym spojrzeniem. Wydawało się, że jego oczy wypełnia jakaś rozpaczliwa rezygnacja. Gość miał tylko chwilę na przyjrzenie się tym dwojgu, nim pani Howlett zatrzymała się wraz z nim przed ładną brunetką.

- Abby - powiedziała - zbierzmy po trochę wszystkiego na talerzu dla pana Krantza. Potem będzie mógł się zdecydować, co chce na dokładkę. Ja pieklam placek z jagodami, panie Krantz.

Oszołomiony Gordon zanotował sobie w pamięci, by wziąć dwa kawałki placka. Trudno mu jednak było skupić się na dyplomacji. Od lat jego oczy ani nos nie natrafiły na nic w tym rodzaju. Wonie odciągnęły jego uwagę od niepokojących spojrzeń i dotykających go dłoni.

Był tam duży, pieczony na rożnie, nadziewany indyk. Kolejne danie stanowiły gotowane ziemniaki w wielkiej, parującej misie, pomieszane z maczanym w piwie suszonym mięsem, marchewką i cebulą. Gordon wypatrzył też jabłecznik oraz otwartą baryłkę suszonych płatków jabłkowych. “Muszę wyłudzić ich trochę, nim odejdę”.

Dał sobie spokój z dalszym remanentem. Wyciągnął ochoczo talerz. Abby wzięła naczynie w ręce, nie spuszczając wzroku z gościa.

Wielki, rudy facet o zasepionej minie wymamrotał nagle coś niezrozumiałego. Wyciągnął obie ręce, by uścisnąć w nich prawą dłoń Gordona. Ten wzdrygnął się, lecz małomówny tubylec nie wypuścił go, dopóki nie odwzajemnił uścisku i nie potrząsnął mocno jego dłonią.

Mężczyzna mruknął coś, zbyt cicho, by można go było zrozumieć, skinął głową i uwolnił rękę Gordona. Następnie nachylił się, by pocałować szybko brunetkę i oddalił się sztywnym krokiem ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Gordon zamrugał powiekami. “Czy coś przeoczyłem?” Miał wrażenie, że przed chwilą doszło do jakiegoś wydarzenia, którego w ogóle nie zrozumiał.

- To był Michael, mąż Abby - wyjaśniła pani Howlett. - Musi iść zmienić Edwarda przy linii sideł. Chciał jednak najpierw obejrzeć pana przedstawienie. Kiedy był mały, uwielbiał telewizję...

Para buchająca z talerza dotarła do jego twarzy. Gordonowi zakręciło się w głowie z głodu. Abby zaczerwieniła się i uśmiechnęła, gdy jej podziękował. Pani Howlett zaciągnęła go do stosu starych opon i kazała tam usiąść.

- Będzie pan mógł porozmawiać z Abby później - ciągnęła. - Teraz proszę się najęść. Smacznego.

Gordona nie trzeba było zachęcać. Zabrał się do jedzenia. Ludzie przyglądali mu się z ciekawością, a pani Howlett nie przestawała trajkotać.

- Smaczne, prawda? Niech pan sobie siedzi, je i nie zwraca na nas uwagi. A kiedy już pan się naje i będzie mógł znowu rozmawiać, wszyscy chcielibyśmy jeszcze raz usłyszeć, w jaki sposób został pan listonoszem.

Gordon popatrzył na otaczające go, pełne entuzjazmu twarze. Pociągnął pośpiesznie łyk piwa, by popić zbyt gorące ziemniaki.

- Jestem zwykłym wędrowcem - odparł z na wpół wypełnionymi ustami, unosząc z talerza indyczą nogę. - Nie ma nic szczególnie ciekawego w tym, jak znalazłem torbę i mundur.

Nie obchodziło go, czy się na niego gapią, dotykają go, czy gadają różne rzeczy, dopóki pozwalali mu jeść!

Pani Howlett przyglądała się mu przez parę chwil. Nagle, niezdolna się powstrzymać, znowu zaczęła mówić:

- Wie pan, kiedy byłem małą dziewczynką, dawaliśmy listonoszowi mleko i ciasteczka. Przed Nowym Rokiem ojciec zawsze zostawiał dla niego na płocie szklaneczkę whisky. Tata zawsze mówił nam ten wiersz. No wie pan: "Przez deszcz, przez błoto, przez wojnę i zarazę, przez bandytów i najczarniejszą noc..."

Gordon zakrztusił się, gdy kolejny kęs nagle poszedł niewłaściwą drogą. Kaszlnął i podniósł wzrok, by się przekonać, czy kobieta mówiła serio. W jego mózgu rozbłysło światełko, które pragnęło zatańczyć z radości, wywołanej przypadkowo wspaniałą pomyłką w recytacji starszej pani. To bomba.

Iskierka zgasła jednak szybko, gdy zatopił zęby w pysznym, pieczonym indyku. Brak mu było motywacji, by spróbować się domyślić, do czego kobieta zmierza.

- Nasz listonosz zawsze dla nas śpiewał!

Człowiekiem, który się odezwał, był ciemnowłosy olbrzym, z brodą usianą pasemkami siwizny. Jego wygląd pozostawał w kontraście ze słowami. Wydawało się, że oczy zaszyły mu mgłą, gdy pogrążył się we wspomnieniach.

- W soboty, kiedy nie chodziliśmy do szkoły, czasem słyszeliśmy go już wtedy, gdy był jeszcze o przecnicę od nas. Był czarny, znacznie czarniejszy niż pani Howlett czy Jim Horton. To ten tam. Chłopie, ale on miał głos! Pewnie właśnie dlatego dali mu tę robotę. Zbierałem monety. Zamawiałem je przez pocztę. Zawsze dzwonił do drzwi, żeby wręczyć mi je osobiście. Własnoręcznie. - Mówił przyciszonym głosem, przepojonym kosmiczną czcią.

- Kiedy ja byłem mała, nasz listonosz tylko gwizdał - odezwała się kobieta w średnim wieku o pooranej głębokimi bruzdami twarzy. Sprawiała wrażenie lekko tym rozczarowanej. - Ale był bardzo sympatyczny. Później, kiedy już dorosłam, wróciłam kiedyś do domu z pracy i dowiedziałam się, że listonosz uratował życie jednemu z moich sąsiadów. Usłyszał, że się dusi i robił mu sztuczne oddychanie, zanim przyjechała karetka.

W kręgu słuchaczy rozległo się zbiorowe westchnienie, całkiem jakby mowa była o heroicznym wyczynie jednej osoby, jakiegoś starożytnego bohatera. Dzieci słuchały w milczeniu, wytrzeszczając coraz szerzej oczy, w miarę jak opowieści stawały się bardziej naciągane. Tak przynajmniej sądziła drobna część jaźni Gordona, która nadal ich słuchała. Niektóre brzmiały po prostu zbyt nieprawdopodobnie, by można było w nie uwierzyć.

Pani Howlett dotknęła jego kolana.

- Niech pan nam jeszcze raz opowie, w jaki sposób został pan listonoszem.

Gordon wzruszył ramionami z lekką desperacją.

- Po prostu znalazłem jego rzeczy! - odparł wymijająco, mając usta wypełnione jedzeniem. Zachwycała go różnorodność smaków. To, jak wszyscy obecni kręcili się wokół niego, przyprawiało go niemal o panikę. Nie miał nic przeciwko temu, jeśli dorośli mieszkańcy wioski chcieli nadawać romantyczną barwę swym wspomnieniom o ludziach, których ongiś w najlepszym razie uważali za przedstawicieli niższej klasy urzędników państwowych. Najwyraźniej jego dzisiejszy występ kojarzył się im z drobnymi przykładami ekstrawertycznych zachowań, które obserwowali u okolicznych listonoszy w czasach, gdy byli dziećmi. To również było w porządku. Mogli sobie myśleć, na co tylko mieli cholerną ochotę, dopóki nie będą mu przeszkadzać w jedzeniu!

- Ach... - Kilku wieśniaków popatrzyło na siebie z mądrymi minami i pokiwało głowami, całkiem jakby udzielona przez niego odpowiedź miała jakieś głębokie znaczenie. Gordon usłyszał, jak powtarzają jego słowa tym, którzy stali na zewnętrznych granicach kręgu.

- Znalazł rzeczy listonosza... więc oczywiście został...

Jego odpowiedź najwyraźniej zadowoliła ich z jakiegoś powodu, gdyż tłum rozrzedził się. Wieśniacy ustawili się grzecznie w kolejkę za bufetem. Dopiero później, po zastanowieniu, Gordon zrozumiał znaczenie tego, co wydarzyło się w świetle łożowych lampek za zabitymi deskami oknami, podczas gdy napychał się niemal do rozpuku dobrym jedzeniem.

...przekonaliśmy się, że nasza klinika dysponuje obfitym zapasem różnych środków dezynfekcyjnych oraz przeciwbólowych. Słyszeliśmy, że w Bend oraz w ośrodkach dla przesiedleńców na północy odczuwa się ich brak. Jesteśmy skłonni zamienić pewną ich liczbę - wraz z dejonizującymi kolumnami żywicznymi, których całą ciężarówkę tu porzucono, na tysiąc opakowań tetracykliny, mogącej uchronić nas przed dżumą, która pojawiła się na wschodzie. Być może zadowolimy się aktywną kulturą drożdży produkujących balomycynę, jeśli ktoś z was mógłby się tu zjawić, by nas nauczyć, jak się z nią obchodzić.

Potrzebujemy też rozpaczliwie...

Burmistrz Gilchrist musiał być człowiekiem obdarzonym silną wolą, jeśli przekonał miejscowy komitet stanu wyjątkowego, by zgodził się na podobną wymianę. Chomikowanie - bez względu na to jak nielogiczne i samolubne - było jedną z głównych przyczyn upadku. Gordona zdumiało, że w ciągu pierwszych dwóch lat chaosu istnieli jeszcze ludzie mający tak wiele zdrowego rozsądku.

Potał oczy. Czytanie przy blasku dwóch świec domowej roboty było niełatwym zadaniem. Przekonał się jednak, że trudno mu zasnąć na miękkim materacu, lecz niech go diabli, jeśli będzie spał na podłodze po tak długim okresie marzeń o podobnym łóżku w takim właśnie pokoju!

Przedtem czuł się odrobinę niedobrze. Całe to jedzenie i piwo domowej roboty omal nie sprawiło, że przekroczyłby linię dzielącą obłąkane szczęście od okrutnych męczarni. Chwiał się na niej przez kilka godzin zabawy, którą pamiętał jak przez mgłę, aż wreszcie skierował się chwiejnym krokiem do pokoju, który dla niego przygotowali.

Na nocnym stoliku czekała szczoteczka do zębów. W izbie była też żeliwna wanna wypełniona gorącą wodą. I mydło! Podczas kąpieli żołądek mu się uspokoił, a skóra stała się czysta i ciepła.

Gordon uśmiechnął się, gdy zobaczył, że mundur listonosza wyprano i wyprasowano. Leżał na pobliskim krześle. Dziury i rozdarcia, które z grubszą załatał, były teraz porządnie zszyte.

Nie mógł mieć pretensji do mieszkańców tej maleńkiej wioski o to, że zapomnieli o jego ostatnim nie zaspokojonym pragnieniu... o czymś, bez czego obywatel się tak długo, że wołał o tym nie myśleć. Wystarczy. To był prawie raj.

Gdy leżał pogrążony w sytym otumanieniu w starej, lecz czystej pościeli, czekając leniwie na nadejście snu, pogrążył się w lekturze korespondencji między dwoma od dawna nieżyjącymi ludźmi.

Burmistrz Gilchrist kontynuował:

Mamy niesłychane trudności z miejscowymi gangami "surwiwalistów". Na szczęście stanowiący tę plagę egocentrycy są z reguły zbyt paranoidalni, by łączyć się w grupy. Podejrzewam, że sprawiają sobie nawzajem nie mniej kłopotu niż nam. Mimo to zaczynają być poważnym problemem.

Do naszego wysłannika regularnie strzelają dobrze uzbrojeni ludzie w maskujących ubiorach z demobilu. Niewątpliwie ci idioci sądzą, że jest "rosyjskim sługusem", albo coś równie bzdurnego.

Zaczęli łowy na olbrzymią skalę. Zabijają wszystko, co żyje w lesie. Ćwiartują zwierzynę i konserwują mięso w typowy dla siebie nieudolny sposób. Nasi myśliwi wracają z polowań oburzeni podobnym marnotrawstwem. Często strzela się do nich bez najmniejszej prowokacji.

Wiem, że proszę o bardzo wiele, ale czy moglibyście zwolnić choć jeden pluton od zadań związanych z tłumieniem zamieszek wśród uchodźców i wysłać go tutaj, by pomóc nam wyprzeć tych samolubnych, chomikujących, awanturniczych łobuzów z ich małych, starannie zgromadzonych arsenałów? Może jednostka armii amerykańskiej, albo i dwie, przekona ich, że wygramy wojnę i teraz musimy ze sobą współpracować...

Gordon odłożył list.

A więc tutaj również tak to wyglądało. Przysłowiową “ostatnią kroplą” była plaga “surwiwalistów” - zwłaszcza wyznawców najwyższego kapłana gwałtownej anarchii, Nathana Holna.

Jednym z zadań, jakie Gordon wykonywał w milicji, była pomoc w likwidacji niektórych z takich małych gangów miejskich rzezimieszków i zwariowanych miłośników broni. Liczba ufortyfikowanych jaskiń i chat znalezionych przez jego jednostkę - na prerii oraz wysepkach na jeziorze - była zdumiewająca. Wszystkie zbudowano w atmosferze paranoi towarzyszącej trudnym dziesięcioleciom, które poprzedzały wybuch wojny.

“Ironia kryje się w tym, że udało się nam odwrócić ten trend! Kryzys się skończył. Ludzie wrócili do roboty i współpracy. Pomijając garstkę maniaków, wszystko wskazywało na to, że nadchodzi odrodzenie, dla Ameryki i dla świata.

Zapomnieliśmy jednak, ile szkód może wyrządzić garstka maniaków, Ameryce i światu”.

Rzecz jasna, gdy faktycznie nastąpił upadek, miniaturowe fortece, tak wysoko cenione przez samotnych surwiwalistów, nie pozostały długo ich własnością. Większość maleńkich bastionów przechodziła w ciągu pierwszych kilku miesięcy z rąk do rąk tuzin albo i więcej razy. Stanowiły bardzo kuszący cel. Walki szalały na całym obszarze równin do czasu, gdy wszystkie kolektory słoneczne zostały rozbite, wszystkie wiatraki zniszczone, a wszystkie zapasy cennych lekarstw rozproszone w nie kończących się poszukiwaniach twardych narkotyków.

Na koniec przetrwały tylko rancza i wioski. Te z nich, w których w odpowiednich proporcjach połączyły się bezwzględność, wewnętrzna spoistość i zdrowy rozsądek. W chwili gdy wszystkie jednostki gwardii zginęły na posterunkach bądź też roztopiły się w wędrownych bandach walczących ze sobą surwiwalistów, tylko bardzo nieliczni spośród pierwotnej populacji uzbrojonych i obwarowanych pustelników pozostali przy życiu.

Gordon ponownie spojrzął na stempel pocztowy na liście.

“Prawie dwa lata po wojnie. - Potrząsnął głową. Nie miałem pojęcia, że ktokolwiek utrzymał się tak długo”.

Ta myśl sprawiła mu ból niczym stara rana w jego wnętrzu. Wszystko, co sugerowało, że ostatnie szesnaście lat było możliwe do uniknięcia, sprawiało po prostu zbyt wiele bólu, by o tym myśleć.

Rozległ się jakiś słaby dźwięk. Gordon podniósł wzrok, zastanawiając się, czy to wytwór jego wyobraźni. Wtem, tylko odrobinę głośniejszy, lecz bardzo delikatnie, ktoś po raz drugi zapukał do drzwi jego pokoju.

- Proszę! - zawołał.

Drzwi otworzyły się mniej więcej do połowy. Abby, drobna dziewczyna o lekko azjatyckim zarysie oczu, uśmiechnęła się nieśmiało. Gordon złożył list i schował go do koperty. Odwzajemnił jej uśmiech.

- Cześć, Abby. O co chodzi?

- Przy... przyszedłam zapytać, czy potrzeba ci czegoś jeszcze - zapytała odrobinę za szybko. -

Miałaś przyjemną kąpiel?

- Przyjemną? - Gordon westchnął. Złapał się na tym, że zaczął przemawiać z szorstkim, wiejskim akcentem Makdufa. - Tak, dziewczynko. A zwłaszcza ucieszyła mnie szczoteczka do zębów. To był prawdziwy dar niebios.

- Mówiłeś, że straciłeś swoją - spojrzała na podłogę. - Przypomniałam im, że w magazynie mamy przynajmniej pięć albo sześć nie używanych. Cieszę się, że jesteś zadowolony.

- To był twój pomysł? - Ukłonił się. - W takim razie naprawdę jestem twoim dłużnikiem.

Abby podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Czy to, co właśnie czytałeś, to list? Mogłabym go zobaczyć? Nigdy jeszcze nie widziałam listu.

Gordon roześmiał się.

- Och, z pewnością nie jesteś aż tak młoda! A przed wojną?

Zaczerwieniła się w odpowiedzi na jego śmiech.

- Miałam tylko cztery lata, kiedy wybuchła. Była taka przerażająca i chaotyczna, że... że naprawdę nie pamiętam dużo z tego, co było przedtem.

Gordon zamrugał powiekami. Czy naprawdę upłynęło już tyle czasu? Tak. Szesnaście lat wystarczyło, by na świecie pojawiły się piękne kobiety nie znające nic poza ciemnym wiekiem. "Zdumiewające" - pomyślał.

- Proszę bardzo.

Przysunął krzesło do łóżka. Uśmiechnęła się, podeszła bliżej i usiadła obok niego. Gordon sięgnął do worka i wyciągnął następną kopertę, kruchą i pożółkłą. Rozłożył ostrożnie list i wręczył go jej.

Abby spoglądała na niego tak uważnie, że uznał, iż chce przeczytać cały. Skupiła się. Zmarszczyła czoło tak bardzo, że jej cienkie brwi niemal złączyły się ze sobą. Wreszcie jednak oddała mu kartki.

- Chyba jednak nie umiem czytać za dobrze. To znaczy, potrafię przeczytać etykiety na konserwach i takie rzeczy. Ale nigdy nie nabrałam wprawy z ręcznym pismem i... zdaniami.

Ucichła. Sprawiała wrażenie zawstydzonej, lecz w ogóle nie okazywała strachu, ale jedynie pełnię zaufania, całkiem jakby był jej spowiednikiem.

Uśmiechnął się.

- Nie szkodzi. Powiem ci, co w nim napisano.

Uniósł list do światła. Abby usiadła na krawędzi łóżka, obok jego kolan. Wbiła wzrok w stronicę.

- Napisał go niejaki John Briggs z Fort Rock w stanie Oregon do swego byłego pracodawcy w Klamath Falls... Sądząc po nagłówku z tokarką i konikiem na kijku, ten Briggs był emerytowanym mechanikiem albo cieślą lub kimś w tym rodzaju. Hmmm.

Gordon skupił się na ledwie czytelnym piśmie.

- Wygląda na to, że pan Briggs był bardzo równym facetem. Proponuje, że zaopiekuje się dziećmi swego byłego szefa, dopóki kryzys się nie skończy. Píše też, że ma dobry warsztat mechaniczny, własne źródło mocy i wielki zapas metalu. Chce się dowiedzieć, czy adresat listu nie chce zamówić żadnych części, zwłaszcza takich, których brakuje...

Gordon zająknął się. Nadal był tak otępiały wskutek nieumiarkowania przy stole, że dopiero teraz dotarło do niego, iż na jego łóżku siedzi piękna kobieta. Zagłębienie, które zrobiła w materacu, sprawiło, że jego ciało pochyliło się ku niej. Kaszlnął pośpiesznie i wrócił do przeglądania listu.

- Briggs pisze coś o poziomach zasilania z rezerwuaru Fort Rock... Telefony nie działały, ale, co

dziwne, łączył się jeszcze z Eugene przez swoją sieć komputerową...

Abby popatrzyła na niego. Najwyraźniej wiele z rzeczy, które opowiadał na temat listu, mógłby równie dobrze mówić w obcym języku. "Warsztat mechaniczny" i "sieć komputerowa" wydawały się jej zapewne starożytnymi, magicznymi słowami mocy.

- Dlaczego nie przyniosłeś żadnych listów do nas, do Pine View? - zapytała nagle.

Gordon zamrugał powiekami na jej nieoczekiwane pytanie. Nie była głupią dziewczyną. Takie rzeczy się wyczuwało. Dlaczego więc wszystko, co powiedział po przybyciu tutaj i później na przyjęciu, zrozumiała w całkowicie błędny sposób? Nadal uważała, że jest listonoszem. Podobnie sądzili niemal wszyscy mieszkańcy tej niewielkiej osady, poza maleńką garstką.

Od kogo, jej zdaniem, mogliby otrzymać listy?

Zapewne nie zdawała sobie sprawy, że te, które miał ze sobą, wysłali od dawna nieżyjący już mężczyźni i kobiety do innych, również nieżyjących mężczyzn i kobiet, i że zabrał je dla... własnych celów.

Mit, który spontanicznie narodził się w Pine View, przygłębił Gordona. Był to kolejny znak degeneracji cywilizowanych umysłów. Wielu z tych ludzi skończyło ongiś szkołę średnią lub nawet college. Zastanowił się, czy nie powiedzieć jej prawdy, tak brutalnie i szczerze, jak tylko zdoła, by raz na zawsze skończyć z tą fantazją. Zaczął mówić.

- Nie ma dla was żadnych listów, ponieważ...

Przerwał. Ponownie zdał sobie sprawę z jej bliskości, zapachu oraz łagodnych krzywizn jej ciała. A także jej zaufania.

Westchnął i odwrócił wzrok.

- Nie ma dla was żadnych listów, ponieważ przychodzę ze wschodu, z Idaho, a tam nikt nie zna mieszkańców Pine View. Stąd udam się na wybrzeże. Możliwe nawet, że ocalały tam jakieś większe miasta. Może...

- Może ktoś stamtąd napisze do nas, jeśli my pierwsi wyślemy do nich listy! - Oczy Abby zaśniły. - A jeśli będziesz wracał tędy do Idaho, będziesz mógł przekazać nam ich listy i może znowu zagrać dla nas, jak dzisiaj. Damy ci tyle piwa i ciasta, że pęknie! - Podskoczyła lekko na brzegu łóżka. - Do tego czasu nauczę się lepiej czytać. Obiecuję!

Gordon potrząsnął głową. Uśmiechnął się. Nie miał prawa niweczyć podobnych marzeń.

- Możliwe, Abby. Możliwe. Ale, wiesz co, może będziesz mogła nauczyć się w prostszy sposób. Pani Thompson zaproponowała, że podda pod głosowanie, by pozwolono mi tu zostać przez pewien czas. Oficjalnie pewnie byłbym nauczycielem, ale musiałbym też dowieść, że jestem nie gorszym myśliwym i rolnikiem od innych. Mógłbym udzielać lekcji strzelania z łuku...

Przerwał. Abby rozdziawiła szeroko usta ze zdziwienia. Energicznie potrząsnęła głową.

- Nic nie słyszałeś! Przegłosowali to, kiedy poszedłeś się wykąpać. Pani Thompson powinna się wstydzić, że próbowała w ten sposób przekupić kogoś, kto ma do wykonania tak ważną pracę!

Usiadł nagle. Nie wierzył własnym uszom.

- Co powiedziałaś?

Żył nadzieje, że zostanie w Pine View przynajmniej przez porę chłodów, albo nawet rok czy więcej. Kto wie? Być może opuściłaby go żądza wędrówki i mógłby wreszcie odnaleźć dom.

Jego płynące z nasycenia odrętwienie przysło. Gordon z wysiłkiem powstrzymał gniew. Utracił szansę przez dziecinne fantazje tych ludzi!

Abby zauważyła jego poruszenie. Kontynuowała pośpiesznie.

- To nie był jedyny powód, oczywiście. Poruszono też ten problem, że nie ma dla ciebie żadnej kobiety. A potem... - ściszyła wyraźnie głos. - A potem pani Howlett przyszło do głowy, że

doskonale nadawałbyś się do tego, by pomóc mnie i Michaelowi wreszcie mieć dziecko...

Gordon zamrugał powiekami.

- Hm - powiedział, wyrażając to, co nagle stało się jedyną zawartością jego umysłu.

- Próbujemy już pięć lat - wyjaśniła. - Bardzo chcemy mieć dzieci. Ale pan Horton myśli, że Michael nie może, dlatego że chorował naprawdę ciężko na świnkę, kiedy miał dwanaście lat. Pamiętasz naprawdę ciężką świnkę, prawda?

Gordon skinął głową, wspominając zmarłych przyjaciół. Wywoływana przez tę chorobę bezpłodność wszędzie, dokąd dotarł, była przyczyną niezwykle układow towarzyskich.

Mimo to...

Abby szybko mówiła dalej:

- Byłyby problemy, gdybyśmy poprosili kogoś z naszych mężczyzn, żeby... żeby je spłodził. To znaczy, kiedy żyje się z ludźmi tak blisko, trzeba patrzeć na mężczyzn innych niż twój mąż tak, jakby nie byli naprawdę mężczyznami przynajmniej nie pod tym względem. Nie, nie myślę, żeby mi się to podobało. Mogłyby być kłopoty. - Zaczerwieniła się. - Poza tym, powiem ci coś, jeśli obiecasz, że dochowasz tajemnicy. Nie myślę, by któryś z naszych mężczyzn był w stanie dać Michaelowi takiego syna, na jakiego zasługuje. No wiesz, on jest naprawdę bardzo bystry. Z nas młodych on jeden umie porządnie czytać...

Strumień niezwyklej logiki płynął zbyt szybko, by Gordon mógł w pełni za nim nadążyć. Część jego jaźni zauważyła beznamiętnie, że wszystko to w rzeczywistości jest skomplikowanym i subtelnym sposobem używanym przez plemię celem rozwiązania trudnego problemu społecznego. Niemniej owa część - ostatni dwudziestowieczny intelektualista - wciąż była lekko pijana, a reszta jego osobowości zaczynała tymczasem zdawać sobie sprawę, do czego zmierza Abby.

- Ty jesteś inny - uśmiechnęła się do niego. - To znaczy, nawet Michael zauważył to już na początku. Nie jest zbyt uszczęśliwiony, ale myśli sobie, że będziesz tędy przechodził mniej więcej raz na rok, a to da radę wytrzymać. Lepsze to niż gdyby nigdy nie miał mieć dzieci.

Gordon kaszlnął.

- Jesteś pewna, że tak sądzi?

- O tak. Jak sądzisz, czemu pani Howlett przedstawiła nas sobie w taki dziwny sposób? Chciała nawiązać do sprawy, nie mówiąc nic głośno. Pani Thompson nie podoba się to zbyt, ale myślę, że to dlatego, że chciała, byś został.

Gordon poczuł suchość w ustach.

- A jakie są twoje odczucia w tej sprawie?

Wyraz jej twarzy był wystarczającą odpowiedzią. Popatrzyła na niego tak, jakby był jakimś wędrownym prorokiem albo przynajmniej bohaterem z czytanek.

- Będę zaszczyczona, jeśli powiesz "tak" - odparła cicho i spuściła wzrok.

- I będziesz mogła patrzeć na mnie jak na mężczyznę "pod tym względem?"

Uśmiechnęła się. Odpowiedziała mu, wczółgując się na niego i przyciskając mocno usta do jego ust.

* * *

Gdy wysuwała się z ubrania, Gordon odwrócił się, by zdmuchnąć świece stojące na stoliku przy łóżku. Obok nich leżała szara czapka listonosza. Jej mosiężna odznaka rzuciła liczne odbicia w migotliwych płomieniach. Postać jeźdźca, przed brzuchatymi workami pochylonego do przodu na końskim grzbiecie, zdawała się galopować w ich blasku.

"To kolejny dług, który zaciągnąłem u ciebie, panie listonoszu".

Poczuł gładką skórę Abby przesuwającą się wzdłuż jego boku. Dłoń dziewczyny wsunęła się w

jego dłoń, gdy zaczerpnął głęboko tchu i zdmuchnął świecę.

Przez dziesięć dni życie Gordona układało się według nowego wzorca. Całkiem jakby chciał nadrobić znużenie wywołane sześcioma miesiącami wędrówki, codziennie spał do późna. Gdy się budził, Abby już nie było. Wraz z nią znikwały nocne sny.

Mimo to gdy przeciągał się i otwierał oczy, wyczuwał jeszcze w pościeli ciepło i zapach jej ciała. Blask słońca wpadający przez wychodzące na wschód okno zdawał się czymś nowym, sprawiał, że w jego sercu panowała wiosna zamiast wczesnej jesieni.

W ciągu dnia widywał ją rzadko. Do południa mył się i pomagał w pracach gospodarskich: rąbał i układał w stopy drewno na wioskowe zapasy bądź kopał głęboki dół pod nowy wychodek. Kiedy większość mieszkańców gromadziła się na główny posiłek dnia, Abby kończyła doglądanie zwierząt, ale czas obiadu spędzała z młodszymi dziećmi, by zwolnić starego, jednonogiego pana Lothesa, który pilnował ich, gdy pracowały. Dzieciaki śmiały się, kiedy żartowała z nimi, wyskubując wełnę pokrywającą ich ubrania po poranku spędzonym na gręplowaniu motków, które miano tkać zimą, i pilnując, by szare pasemka nie dostały się do ich jedzenia.

Niemal nie spoglądała na Gordona, lecz jej przelotny uśmiech mu wystarczał. Wiedział, że poza tymi kilkoma dniami nie ma do niej żadnych praw, lecz mimo to spojrzenie wymienione w świetle dnia mówiło mu, że wszystko to była prawda, a nie tylko sen.

Po południu konferował z panią Thompson i resztą starszych wioski, pomagając im radzić sobie z księgami inwentarzowymi i innymi od dawna zaniedbanymi relikdami minionej epoki. Od czasu do czasu udzielał lekcji czytania i strzelania z łuku.

Pewnego dnia on i pani Thompson wymienili między sobą wiadomości z zakresu polowej medycyny, gdy opatrywali obrażenia spowodowane pazurami "tygrysa", jak tubylcy nazywali nową odmianę pum - krzyżówkę z lampartami, które uciekły z zoo podczas powojennego chaosu. Traper zaskoczył bestię nad jej łupem, lecz na szczęście odrzuciła go tylko łapą w krzaki i pozwoliła mu uciec. Gordon i wioskowa matriarchini byli pewni, że rana się zagoi.

Wieczorami całe Pine View zbierało się w wielkim garażu, gdzie Gordon recytował opowiadania Twaina, Saylesa i Keillora. Dyrygował chóralnym śpiewem starych piosenek ludowych oraz czule wspominanych komercyjnych hitów. Grał też główną rolę w zabawie we wspomnienia z dawnych czasów. Potem nadchodził czas na teatr.

Ubrany w strzępy materiału i folię, był Johnem Paulem Jonesem rzucającym wyzwanie z pokładu statku *Bonne Homme Richard*. Był Antonem Perceveralem badającym niebezpieczeństwa odległego świata oraz głębie własnych możliwości w towarzystwie obłąkanego robota. Był też doktorem Hudsonem przedzierającym się przez okropności kenijskiego konfliktu, by nieść pomoc ofiarom wojny biologicznej.

Z początku Gordon zawsze czuł się nieswojo, gdy nakładał tandetny kostium i łąził po prowizorycznej scenie, wymachując ramionami i wykrzykując teksty, które słabo pamiętał bądź wręcz improwizował. Aktorstwo jako zawód nigdy mu się szczególnie nie podobało, nawet przed wielką wojną. Pozwoliło mu jednak przemierzyć pół kontynentu. Był w tym dobry. Czuł zachwycone spojrzenia widzów, ich głód cudów i okruchów świata spoza tej ciasnej doliny. Entuzjazm audytorium pobudzał go do wysiłku. Pokryci dziobami i poranieni - zgarbieni od mordęgi, do której rokrocznie byli zmuszani po to tylko, by przeżyć - podnosili ku niemu spojrzenia. Najgłębsza potrzeba widniała w oczach zmęczonych wiekiem, wołanie o pomoc w tym, czego nie potrafili już dokonać sami - pamiętaniu.

Skryty pod maską swych ról, przekazywał im urywki i fragmenty zaginionego romantyzmu. W chwili gdy wybrzmiewały ostatnie słowa jego monologu, on również był w stanie zapomnieć o współczesności, przynajmniej na moment.

Każdej nocy, gdy udawał się na spoczynek, przychodziła do niego Abby. Siadała na chwile na brzegu łóżka i opowiadała o swoim życiu, o stadach, dzieciach z wioski i Michaelu. Przynosiła mu książki, by pytać go o ich treść. Wypytywała go też o jego młodość - o życie ucznia w cudownych dniach przed wojną zagłady.

A potem uśmiechała się i wślizgiwała pod kołdrę obok niego, podczas gdy on pochylał się, by zająć się świecą.

Dziesiątego poranka nie wymknęła się o pierwszym brzasku, lecz obudziła Gordona pocałunkiem.

- Hm, dzień dobry - odezwał się. Wyciągnął ku niej rękę, lecz Abby odsunęła się. Zebrała swe ubranie, muskając piersiami włosy na jego płaskim brzuchu.

- Powinam pozwolić ci spać - oznajmiła. - Ale chciałam cię o coś zapytać.

W rękach trzymała zwiniętą suknię.

- Mmm? O co?

Gordon złożył sobie poduszkę za głowę, by się na niej wygodniej oprzeć.

- Dzisiaj odejdziesz, prawda? - zapytała.

- Tak - skinął z powagą głową. - Tak chyba będzie najlepiej. Chciałbym zostać dłużej, ale skoro to niemożliwe, lepiej wyruszę dalej na zachód.

- Wiem - przytaknęła poważnie. - Wszyscy bardzo żałujemy, że odchodzisz. Ale... no, spotkam się dziś wieczór z Michaelem na linii sideł. Okropnie za nim tęsknię - dotknęła jego policzka. - To ci nie przeszkadza, prawda? To znaczy, było mi z tobą cudownie, ale on jest moim mężem i...

Uśmiechnął się i nakrył jej dłoń ręką. Ku swemu zdumieniu miał bardzo niewiele trudności z własnymi uczuciami. Czuł wobec Michaela raczej zawiść niż zazdrość. Rozpaczliwa logika wiążąca się z ich pragnieniem posiadania dzieci oraz widoczna miłość, jaką darzyli się nawzajem, sprawiały, że patrząc wstecz, cała sytuacja wydawała się oczywista, łącznie z koniecznością ostatecznego rozstania. Miał tylko nadzieję, że wyświadczył im przysługę, o którą prosili, gdyż - wbrew ich fantazjom - było mało prawdopodobne, by jeszcze kiedyś tędy przechodził.

- Mam coś dla ciebie - oznajmiła. Sięgnęła ręką pod łóżko i wydobyla stamtąd mały, srebrzysty przedmiot na łańcuszku oraz owiniętą w papier paczuszkę.

- To gwizdek. Pani Howlett mówi, że powinieneś go mieć.

Zawiesiła mu łańcuszek na szyi. Poprawiała go, dopóki efekt jej nie zadowolili.

- Pomogła mi też napisać ten list - Abby wzięła w rękę paczuszkę. - Znalazłam kilka znaczków w szufladzie na stacji benzynowej, ale nie chciały się trzymać. Wzięłam zamiast nich trochę pieniędzy. Mam czternaście dolarów. Czy to wystarczy?

Pokazała mu zwitek wyblakłych banknotów.

Gordon nie mógł się nie uśmiechnąć. Wczoraj zwróciło się do niego na osobności pięciu czy sześciu innych mieszkańców wioski. Przyjął od nich małe koperty i podobne opłaty za doręczenie przesyłki, zachowując minę tak poważną, jak tylko zdołał. Mógł wykorzystać okazję i zażądać od nich czegoś, co by mu się przydało, ale mieszkańcy dali mu już zapas suszonego mięsa i suszonych jabłek na cały miesiąc, a także dwadzieścia prostych strzał do jego łuku. Nie potrzebował nic więcej i nie czuł ochoty, aby wyłudzać od nich cokolwiek.

Niektórzy ze starszych obywateli mieli krewnych w Eugene, Portland albo miastach w dolinie

Willamette. Udawał się w tamtym kierunku, zabrał więc ich listy. Kilka było adresowanych do ludzi, którzy mieszkali w Oakridge i Blue River. Te schował głęboko, w najbezpieczniejszej części worka. Pozostałe mógłby równie dobrze wrzucić do Jeziora Kraterowego, gdyż i tak nie miało z nich być żadnego pożytku, zachował jednak pozory.

Z powagą odliczył kilka banknotów, po czym oddał Abby resztę bezwartościowej gotówki.

- A do kogo napisałaś? - zapytał, biorąc list do ręki. Poczł się tak, jakby odgrywał rolę świętego Mikołaja. Złapał się na tym, że sprawia mu to przyjemność.

- Do uniwersytetu. No wiesz, w Eugene. Zadałam im kupę pytań, na przykład: Czy przyjmują już znowu studentów? I czy przyjmują małżeństwa? - Abby zaczerwieniła się. - Wiem, że musiałabym naprawdę popracować nad czytaniem. I może nie odbudowali się jeszcze na tyle, żeby przyjmować dużo studentów. Ale Michael jest już taki mądry... a kiedy otrzymamy od nich odpowiedź, może sytuacja się poprawi.

- Kiedy otrzymacie odpowiedź... - Gordon potrząsnął głową.

Abby skinęła głową.

- Na pewno będę już wtedy czytała znacznie lepiej. Pani Thompson obiecuje, że mi pomoże. A jej mąż zgodził się zimą otworzyć szkołę. Będę pomagała uczyć młodsze dzieci. Mam nadzieję, że może uda mi się wykształcić na nauczycielkę. Myślisz, że to głupie?

Gordon ponownie potrząsnął głową. Sądził, że nic już nie jest go w stanie zaskoczyć, to jednak go poruszyło. Mimo że Abby wyobrażała sobie sytuację na świecie w całkowicie nieadekwatny sposób, jej nadzieja wzbudziła w nim sympatię. Złapał się na tym, że dzieli jej marzenia. Ostatecznie pragnienia nikomu nie zaszkodzą, prawda?

- Właściwie - ciągnęła konfidencjonalnym szeptem, miętosząc w dłoniach suknię - napisałam ten list głównie dlatego, że chciałabym z kimś korespondować. Tak to się nazywa, prawda? Mam nadzieję, że może ktoś w Eugene napisze do mnie. W ten sposób i my otrzymalibyśmy listy. Bardzo bym chciała dostać list. Jest coś jeszcze... - spuściła wzrok - ...to da ci powód, żeby tu wrócić, może za rok... poza tym, że może chciałbyś zobaczyć dziecko. - Podniosła wzrok. Na policzkach zrobiły jej się dołeczki. - Wzięłam ten pomysł z twojej sztuki o Sherlocku Holmesie. To właśnie jest "ukryty motyw", prawda?

Była tak zachwycona własną pomysłowością i tak gorąco pragnęła jego aprobaty. Gordon poczuł potężny, niemal bolesny przyływ czułości. Do oczu napłynęły mu łzy. Wyciągnął ręce i wziął ją w objęcia. Uściskał ją mocno i ukołysał powoli. Zamknął oczy na rzeczywistość. Wraz z jej słodkim zapachem wciągnął w płuca światło i optymizm, o których sądził, że zniknęły już ze świata.

- Cóż, tu właśnie zawrócę - pani Thompson uściśnęła Gordonowi dłoń. - Na tej drodze powinno być w miarę spokojnie, dopóki nie dotrzesz do Jeziora Davisa. Ostatni samotni surwiwaliści w tej okolicy wytępili się nawzajem parę lat temu. Na twoim miejscu byłabym jednak ostrożna.

Powietrze było chłodne, gdyż jesień była już w pełni. Gordon zapiął zamek starej kurtki listonosza i poprawił skórzaną torbę. Postarzała kobieta o wyprostowanych plecach wręczyła mu przedwojenną mapę samochodową.

- Kazałam Jimmiemu Hortonowi zaznaczyć miejsca, o których wiemy, że powstały tam samotne gospodarstwa rolne. Nie radziłabym niepokoić ich właścicieli, chyba żebyś musiał. To z reguły podejrzliwe typy. Lubią najpierw strzelać. Handlujemy tylko z najbliższymi, i to od niedawna.

Gordon skinął głową. Złożył ostrożnie mapę i wsunął ją do torby. Czuł się wypoczęty i gotowy. Nie przypominał sobie, by w ostatnich latach jakąś przystań opuszczał z takim żalem jak Pine View. Gdy jednak pogodził się już z myślą, że musi odejść, zaczął odczuwać narastające pragnienie wyruszenia w drogę, by przekonać się, co się wydarzyło w innych częściach Oregonu.

W ciągu lat, które upłynęły od chwili, gdy opuścił gruzy Minnesoty, napotykał coraz częściej oznaki zdiczenia ogarniającego ten ciemny wiek. Teraz jednak znalazł się w nowym zlewisku rzeczonym. Ongiś był to piękny stan z wieloma zakładami przemysłu lekkiego, z wydajnymi farmami oraz o wysokim poziomie kultury. Być może po prostu zaraził się entuzjazmem Abby, ale - logicznie rzecz biorąc - dolina Willamette była miejscem, w którym należało szukać cywilizacji, o ile ta w ogóle gdzieś jeszcze istniała.

Ponownie ujął dłoń starszej pani.

- Pani Thompson, nie jestem pewien, czy będę mógł kiedykolwiek wynagrodzić wam to, co zrobiliście dla mnie.

Potrząsnęła głową. Jej twarz była intensywnie opalona i pomarszczona tak mocno, że Gordon był pewien, iż kobieta musi mieć więcej niż pięćdziesiąt lat, do których się przyznawała.

- Nie, Gordon, odpracowałeś swój wikt. Chciałabym, żebyś mógł zostać i pomóc mi w uruchomieniu szkoły, teraz jednak widzę, że może nie będzie nam tak trudno zrobić to samym. - Popatrzyła w dal, nad swą małą doliną. - Wiesz, przez te ostatnie kilka lat, gdy zaczęły rodzić się plony i wróciła zwierzyna, żyliśmy w swego rodzaju oszołomieniu. Najlepszym dowodem, jak bardzo wszystko podupało, jest to, że banda dorosłych mężczyzn i kobiet, którzy kiedyś mieli pracę, czytali gazety - którzy sami wypełniali kwestionariusze podatkowe, u licha - zaczyna traktować biednego, z maltretowanego wędrownego aktora tak, jakby był czymś w rodzaju wielkanocnego zajączka. - Ponownie spojrzała na niego. - Nawet Jim Horton dał ci parę listów do doręczenia, prawda?

Gordon poczuł na twarzy gorąco. Przez chwilę był zbyt zawstydzony, by spojrzeć na kobietę. Nagle wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Otarł sobie oczy, czując ulgę, że zdjęto z jego barków ten wytwór grupowej wyobraźni.

Pani Thompson również zachichotała.

- Och, myślę, że to było nieszkodliwe. A nawet więcej. Posłużyłeś jako... no wiesz, takie stare, samochodowe słowo... chyba katalizator. Wyobraź sobie, że dzieci już teraz przeszukują ruiny w promieniu wielu mil stąd - w przerwie między pracą na gospodarstwie a kolacją - i przynoszą mi każdą książkę, jaką znajdą. Bez żadnych trudności będę mogła uczynić ze szkoły przywilej. Wyobraź sobie: zakaz przychodzenia na lekcje jako kara! Mam nadzieję, że Bobbie i ja damy sobie z tym radę.

- Życzę pani szczęścia, pani Thompson - odparł szczerze Gordon. - Boże, dobrze byłoby gdzieś na całym tym pustkowiu ujrzeć światło.

- Masz rację, synu. To byłoby błogosławieństwo.

Pani Thompson westchnęła.

- Radziłabym ci, żebyś odczekał rok, ale potem wrócił. Jesteś porządnym człowiekiem... dobrze potraktowałeś moich ludzi. Umiesz też zachować dyskrecję w pewnych sprawach, takich jak ta z Abby i Michaeliem. - Zmarszczyła na moment brwi. - Sądzę, że rozumiem, co się wydarzyło. Tak pewnie będzie najlepiej. Trzeba się przystosować. Tak czy inaczej, jak już mówiłam, zawsze będziesz tu mile widziany.

Pani Thompson odwróciła się, postąpiła dwa kroki i zatrzymała nagle. Na wpół odwróciła się, by znowu spojrzeć na Gordona. Przez chwilę na jej twarzy widać było cień dezorientacji i ciekawości.

- Nie jesteś przecież prawdziwym listonoszem? - zapytała nagle.

Gordon uśmiechnął się. Włożył na głowę czapkę z jej jaskrawym, mosiężnym emblematem.

- Przekona się pani, gdy wracając, przyniosę parę listów.

Skinęła głową, po czym ruszyła przed siebie zniszczoną, asfaltową szosą. Gordon spoglądał za nią, dopóki nie minęła pierwszego zakrętu. Następnie zwrócił się na zachód i rozpoczął długi marsz w dół, ku Pacyfikowi.

Barykady dawno już porzucono. Stojąca na wschodnim krańcu Oakridge zaporą przegradzająca Autostradę 58 zwietrzała i zawałała się, tworząc rumowisko betonowych odłamków i powykęcanej, zardzewiałej stali. W samym mieście panowała cisza. Przynajmniej w tej jego części dawno już chyba nikt nie mieszkał.

Gordon spojrział w dół, na główną ulicę, odczytując jej historię. Stoczono tu dwie, a może nawet trzy walne bitwy. W środku wielkiego kręgu zniszczenia ujrzał wystawę sklepową z pochyłym szyldem, na którym przeczytał: KLINIKA NAGŁYCH PRZYPADKÓW.

W trzech nietkniętych szybach najwyższego piętra hotelu odbijało się poranne słońce. Gdzie indziej jednak, nawet w pobliżu miejsc, gdzie okna sklepów zabito deskami, na pokrytej wybrzuszeniami nawierzchni widziało się pryzmatyczny połysk odłamków szkła.

Co prawda Gordon nie oczekiwał wiele, ale część uczuć, które zabrał ze sobą z Pine View, wzbudziła w nim nadzieję odnalezienia następnych wysp pokoju, zwłaszcza teraz, gdy znalazł się na żyznym zlewisku doliny Willamette. Choć Oakridge nie było zbyt żywym miastem, może znajdzie w nim coś, co skłoni go do optymizmu. Na przykład mogły tu pozostać ślady po poszukiwaniach surowców. Jeśli w Oregonie istniała przemysłowa cywilizacja, miasta takie jak to powinny zostać ograbione ze wszystkiego, co nadawało się do użytku.

W odległości zaledwie dwudziestu jardów od punktu, w którym się znajdował, Gordon dostrzegł jednak ruiny stacji benzynowej. Duża szafka z narzędziami mechanicznymi leżała przewrócona na bok. Cały zapas kluczy, kombinerek oraz zapasowych przewodów wysypał się na poplamioną olejem podłogę. Cały rząd nigdy nie używanych opon nadal wisiał wysoko na hakach nad podjazdem stacji obsługi.

Gordon zrozumiał, że Oakridge jest miastem najgorszym z możliwych, przynajmniej z jego punktu widzenia. Przedmioty przydatne w cywilizacji posługującej się maszynami wały się wszędzie pod ręką, nietknięte i niszczące... co świadczyło, że nigdzie w pobliżu nie ma żadnego, władającego techniką społeczeństwa. Jednocześnie Gordon będzie musiał grzebać w resztkach pozostawionych przez pięćdziesiąt poprzednich fal rabusiów, by znaleźć cokolwiek użytecznego dla takiego jak on samotnego wędrowca.

“Cóż - westchnął. Robiłem to już przedtem”.

Jeszcze w Boise, gdy przeszukiwał ruiny śródmieścia, odkrył, że szabrownicy, którzy zjawili się przed nim, przeoczyli mały skarb złożony z puszek z żywnością ukrytych na poddaszu za sklepem z butami... łupy jakiegoś chomika, zupełnie nietknięte. Takimi rzeczami rządziły pewne reguły, które w ciągu lat rozszyfrował. Miał własne metody prowadzenia poszukiwań.

Ześliznął się z barykady po stronie lasu i skrył w nadmiernie wybujałej roślinności. Posuwał się zygzakami, z uwagi na mało prawdopodobną możliwość, że ktoś go obserwuje. W miejscu, w którym dostrzegał trzy wyraźne punkty orientacyjne, porzucił skórzaną torbę i czapkę pod pokrytym jaskrawym, jesiennym listowiem żywotnikiem. Zdjął ciemnobrązową kurtkę listonosza i położył ją na wierzchu, po czym naściął gałązek krzewów, by okryć nimi swój skarb.

Był gotów na wszystko, by uniknąć konfliktu z podejrzliwymi tubylcami, lecz tylko głupiec nie zabrałby ze sobą broni. Istniały dwa typy walki, do których mogło dojść w podobnej sytuacji. W pierwszym z nich lepszy mógł się okazać bezgłośny łuk, w drugim zaś warto byłoby poświęcić cenne, niemożliwe do zastąpienia naboje do jego trzydziestkiósemki. Gordon sprawdził działanie rewolweru i schował go z powrotem do kabury. Wziął też ze sobą łuk wraz ze strzałami i płócienny

worek na łupy.

W pierwszych kilku domach, na peryferiach, rabusie z początkowej fali byli raczej entuzjastyczni niż dokładni. Ślady zniszczeń, które pozostawiali, często zniechęcały tych, którzy zjawiali się później, dzięki czemu w środku mogły się uchować użyteczne przedmioty. Gordon przekonał się o tym już wiele razy.

Tym razem jednak przeszukawszy czwarty dom, musiał przyznać, że na potwierdzenie swej teorii zebrał raczej marną kolekcję. Jego worek zawierał parę butów, niemal bezużytecznych z uwagi na pleśń, szkło powiększające oraz dwie szpulki nici. Zaglądał do wszystkich zwykłych i niektórych niekonwencjonalnych schowków używanych przez lubiących chomikować, lecz nie znalazł żadnego pożywienia.

Suszone mięso z Pine View nie skończyło się jeszcze, ale zapasy wyczerpywały się szybciej, niż by tego chciał. Nauczył się lepiej strzelać z łuku i dwa dni temu upolował małego indyka. Mimo to, jeśli nie będzie miał więcej szczęścia w poszukiwaniach, możliwe, że będzie musiał na razie zrezygnować z planów wędrowki do doliny Willamette i zabrać się do wznoszenia zimowego obozu myśliwskiego.

Tym, czego chciał naprawdę, była jednak następna przystań, taka jak Pine View. Ostatnio los był dla niego łaskawy, ale nadmiar szczęścia wzbudzał u Gordona podejrzliwość.

Ruszył ku piątemu domowi.

Łoże z baldachimem stało w piętrowym budynku, który ongiś należał do dobrze prosperującego lekarza. Podobnie jak resztę domu, sypialnię ogołoco z wszystkiego niemal poza meblami. Niemniej gdy Gordon przykucnął nad grubym dywanem, pomyślał, że niewykluczone, iż znalazł coś, co poprzedni rabusie przeoczyli.

Dywan wydawał się przesunięty. Łóżko stało na nim, lecz tylko jedną parą nóg. Druga spoczywała na nagiej podłodze z twardego drewna. Albo właściciel niestaranie ułożył wielki, owalny dywan, albo...

Gordon odstawił swe rzeczy i złapał za brzeg dywanu.

“Uch. Jest ciężki”.

Zaczął zwijać go w stronę łoża.

“Tak jest!” W podłodze widoczny był kwadrat obrysowany cienką szczeliną. Noga łóżka przytrzymała dywan nad jednym z dwóch mosiężnych zawiasów. Kłapa w podłodze.

Popchnął mocno słupek baldachimu. Noga podskoczyła w górę i z hukiem spadła na podłogę. Gordon napierał na nią jeszcze dwa razy. Dom wypełniły głuche hałasy.

Za czwartą próbą słupek złamał się na dwoje. Gordon omal nie nadział się na jego ostrą końcówkę. Upadł na materac. Baldachim runął za nim. Stare łoże zawaliło się z hukiem. Gordon zaklął, szarpiąc się z duszącym go całunem. Kichnął gwałtownie, wzbijając w powietrze chmurę kurzu.

Wreszcie, odzyskawszy odrobinę rozsądku, zdołał wypełznąć spod starej, spleśniałej tkaniny. Wyszedł chwiejnym krokiem z pokoju, nie przestając parskać i kichać. Atak powoli mijał. Złapał się za poręcz na piętrze, mrużąc powieki w tym dręczącym, bliskim orgazmu stanie, który poprzedza potężne kichnięcie. Jego uszy wypełniły szumy brzmiące niemal jak głosy.

“Następnym razem usłyszysz kościelne dzwony” - powiedział sobie.

Wreszcie nadeszło ostatnie kichnięcie, głośnie aaaa...psik!

Gordon otarł oczy i wrócił do sypialni. Kłapa w podłodze była całkowicie odłonięta. Pokrywała ją nowa warstwa kurzu. Musiał podważać krawędź tajemnych drzwi. Wreszcie uniosły się z przeraźliwym piskiem zardzewiałych zawiasów.

Po raz kolejny wydało mu się, że jakiś dźwięk pochodził spoza domu. Gdy jednak zamarł bez ruchu i wsłuchał się uważnie, nie usłyszał nic. Pochylił się niecierpliwie i odsunął na bok pajęczyny, by zajrzeć do wnętrza. Znajdowała się tam wielka, metalowa skrzynia. Rozejrzał się wokół w nadziei na więcej. Ostatecznie rzeczy, które przedwojenny lekarz mógł trzymać w zamkniętym kufrze - pieniądze i dokumenty - byłyby dla niego warte mniej niż konserwy zgromadzone podczas szaleństwa wojennego chomikowania. Nie było tu jednak nic poza skrzynią. Gordon wyciągnął ją, sapiąc, na zewnątrz.

“Dobrze. Jest ciężka. Miejmy tylko nadzieję, że to nie złoto czy inny podobny szajs”. Zawiasy i mały zamek były zardzewiałe. Uniósł rękojeść noża, by zamek roztrzaskać. Nagle zatrzymał się.

Tym razem nie mógł się mylić. Głosy były blisko, zbyt blisko.

- Chyba to było w tym domu! - zawołał ktoś w zarośniętym chwastami ogrodzie na zewnątrz. Stopy zaszeleściły w zeschniętych liściach. Na drewnianej werandzie rozległy się kroki.

Gordon schował nóż do pochwy i złapał swój ekwipunek. Zostawił kufer przy łóżku i wypadł z pokoju, kierując się ku schodom.

Nie były to najlepsze okoliczności na spotkanie z innymi ludźmi. W Boise oraz innych górskich ruinach istniał swego rodzaju kodeks - szabrownicy z pobliskich rancz mogli próbować szczęścia w otwartym mieście, a choć grupy i indywidualni poszukiwacze zachowywali ostrożność, rzadko napadali na siebie nawzajem. Tylko jedno mogło zjednoczyć ich wszystkich - pogłoska, że ktoś gdzieś widział holnistę. Poza tym praktycznie nie wchodzili sobie w drogę.

W innych miejscach obowiązywał jednak podział na terytoria, którego respektowanie bezwzględnie wymuszano. Możliwe, że znalazł się na terenie jakiegoś klanu. Tak czy inaczej, wskazane byłoby szybko się oddalić.

Mimo to popatrzył ze złością na kufer. “Jest mój, do cholery!”

Na dole rozległy się ciężkie kroki. Było już za późno, by zamknąć klapę czy ukryć ciężki kufer ze skarbami. Gordon zaklął bezgłośnie i przemknął tak cicho, jak tylko mógł, przez górne półpiętro ku wąskiej drabinie wiodącej na poddasze.

Najwyższa kondygnacja była prostym strychem o pochyłych ścianach. Gordon już wcześniej przeszukał zgromadzone tam bezużyteczne pamiątki. Teraz chodziło mu jedynie o kryjówkę. Trzymał się blisko ścian, by nie skrzypnęły pod nim deski podłogi. Wybrał skrzynkę stojącą przy małym, szczytowym oknie i schował tam swój worek oraz kołczan. Napiął szybko łuk.

Czy przeszukają dom? Jeśli tak, pancerny kufer z pewnością przyciągnie ich uwagę.

Czy w takim przypadku potraktują go jako dar i zostawią mu część zawartości? Spotykał się z podobnym zachowaniem w miejscach, gdzie funkcjonował prymitywny kodeks honorowy.

Mógł z łatwością trafić każdego, kto wszedłby na strych, wydawało się jednak wątpliwe, by miało mu to wiele pomóc. Osaczono go w drewnianym budynku. Nawet w samym środku ciemnego wieku tubylcy z pewnością nie zapomnieli sztuki rozniecania ognia.

Słyszał teraz przynajmniej trzy pary ciężkich butów. Przybysze szybko weszli po schodach, głucho dudniąc. Zachowując ostrożność, wpadli na półpiętro, a potem na piętro. Gdy wszyscy byli już na górze, Gordon usłyszał krzyk.

- Hej, Karl, popatrz na to!

- Co? Złapałeś parę dzieciaków na zabawie w doktora w starym łóż... kurwa!

Rozległ się głośny łoskot, po którym nastąpiło uderzenie metalu o metal.

- Kurwa!

Gordon potrząsnął głową. Karl miał ograniczone, lecz pełne ekspresji słownictwo.

Usłyszał odgłos szurania nogami i znowu łoskot, któremu towarzyszyły następne niecenzuralne

okrzyki. Wreszcie głośno odezwał się trzeci osobnik.

- Miło ze strony tego faceta, że to dla nas znalazł. Szkoda, że nie możemy mu podziękować. Powinniśmy go poznać, żebyśmy nie zaczęli od razu strzelać, kiedy wejdziemy sobie w drogę.

Jeśli to była przynęta, Gordon nie dał się złapać. Czekał.

- Zasłużył przynajmniej na ostrzeżenie - powiedział jeszcze głośniejszym głosem pierwszy typ. - Mamy w Oakridge zasadę "najpierw strzelać". Lepiej niech stąd zmyka, nim ktoś zrobi w nim dziurę większą niż odstęp między uszami surwiwalisty.

Gordon skinął głową. Potraktował to ostrzeżenie poważnie.

Odgłos kroków oddalił się. Poniósł się echem po schodach, a potem po drewnianej werandzie.

Przez okno nad frontowym wejściem Gordon dostrzegł trzech mężczyzn, którzy wyszli z domu i skierowali się w stronę otaczającego go gaju świerków kanadyjskich. Mieli strzelby oraz wypchane płócienne worki. Gdy zniknęli w lesie, pognął ku innym oknom, lecz nie dostrzegł już żadnego poruszenia. Żadnego znaku, by ktoś zawrócił ku domowi z przeciwnej strony.

Były trzy pary stóp. Nie miał co do tego wątpliwości. Trzy głosy. Nie wydawało się zresztą prawdopodobne, by zaczął się na niego tylko jeden człowiek. Jednakże Gordon zachował ostrożność, wychodząc z ukrycia. Położył się przy otwartej klapie wiodącej na strych, kładąc łuk, torbę i kołczan obok siebie, po czym zaczął się czoiłgać, aż jego głowa i ramiona znalazły się nad otworem, trochę powyżej poziomu podłogi. Wyciągnął rewolwer, trzymając go przed sobą. Następnie pozwolił, by grawitacja ściągnęła nagle w dół jego głowę i tułów w sposób, którego ewentualny napastnik nie mógł się raczej spodziewać. Gdy krew napłynęła mu do głowy, Gordon był gotowy oddać sześć szybkich strzałów do wszystkiego, co by się poruszyło.

Nie dostrzegł nic. W korytarzu na piętrze nie było nikogo.

Ani na chwilę nie spuszczać wzroku z sieni, sięgnął po płócienny worek, po czym rzucił go z łoskotem na półpiętro.

Hałas nie ujawnił żadnej zasadzki.

Gordon zebrał swój ekwipunek i zszedł pochylony na niższe piętro. Przemknął szybko przez korytarz, jak strzelec biorący udział w walce.

Kufer leżał przy łóżku, otwarty i pusty. Obok niego na podłodze walały się papiery. Tak jak się tego spodziewał, były wśród nich takie kurioza, jak akcje, zbiór znaczków oraz tytuł własności tego domu.

Niektóre ze śmieci były jednak inne.

Na rozdartym, kartonowym opakowaniu, z którego niedawno ściągnięto celofan, widniał barwny obrazek przedstawiający dwóch uszczęśliwionych turystów w czółnie z ich nową, składaną strzelbą. Gordon spojrział na broń wymalowaną na pudełku i stłumił zdławiony krzyk. Niewątpliwie był tam też zapas amunicji.

"Cholerni złodzieje" - pomyślał z goryczą.

Resztki innych opakowań doprowadziły go niemal do szafu. EMPIRYNA Z KODEINĄ, ERYTROMYCYNA, MULTIWITAMINA, MORFINA... etykiety i kartoniki leżały porozrzucane wokół, lecz buteleczki zabrano.

Gdyby rozegrał to ostrożnie... schował wszystko gdzieś i wymieniał tylko w małych ilościach... mógłby się za te leki wkupić do niemal każdej wioski. Niewykluczone nawet, że przyjęto by go na próbę do jednej z bogatych osad ranczerskich z Wyoming!

Przypomnił sobie dobrego doktora, którego klinika w ruinach Butte stanowiła sanktuarium chronione przez wszystkie okoliczne wioski i klany. Pomyślał o tym, czego mógłby dokonać ów święty człowiek z tymi lekami.

Oczy zamroczyła mu wściekłość, gdy ujrzał puste, kartonowe opakowanie, na którego etykiecie widniał napis... PROSZEK DO ZĘBÓW...

“Mój proszek do zębów!”

Policzył do dziesięciu. To nie wystarczyło. Spróbował kontrolowanego oddechu. Osiągnął tylko tyle, że skupił się na swym gniewie. Stał bez ruchu z pochylonymi ramionami. Czuł, że brak mu sił, by odpowiedzieć na tę kolejną niesprawiedliwość świata.

“Wszystko w porządku - powiedział sobie. Żyję. I jeśli zdołam dotrzeć do mojego plecaka, zapewne pozostanę przy życiu. O zęby gnijące mi w czaszce będę się mógł martwić w przyszłym roku, o ile pociągnę tak długo”.

Zebrał swój ekwipunek i wznowił ostrożny odwrót z owego domu fałszywych nadziei.

Człowiek, który spędził wiele czasu samotnie w głuszy, ma pod jednym względem istotną przewagę nad bardzo dobrym nawet myśliwym - pod warunkiem, że ten drugi wraca jednak na większość nocy do domu, do przyjaciół i towarzyszy. Różnicę stanowi swego rodzaju pokrewieństwo ze zwierzętami i z samym pustkowiem. Gordona zaniepokoiło właśnie coś niemożliwego do zdefiniowania. Wyczuł, że coś jest nie w porządku, zanim jeszcze potrafił to określić. Owo wrażenie nie chciało go opuścić. Tą samą drogą, którą przyszedł, skierował się z powrotem ku wschodniemu krańcowi miasta, gdzie ukrył swój ekwipunek. Teraz jednak zatrzymał się i zastanowił. Czy przesadzał? Nie był Jeremiaszem Johnsonem i nie potrafił odczytywać leśnych dźwięków i zapachów tak jak nazw ulic w mieście. Mimo to rozglądał się wokół w poszukiwaniu czegoś, co tłumaczyłoby jego niepokój.

Las składał się głównie ze świerków kanadyjskich oraz klonów wielkolistnych, a na wszystkich niemal dawnych polanach pieniły się jak chwasty młode olchy. Bardzo różnił się od suchych borów, przez które Gordon przechodził po wschodniej stronie Gór Kaskadowych, gdzie obrabowano go pod rzadko rosnącymi sosnami *ponderosa*. Tutaj unosiła się woń życia silniejsza niż napotkana przez niego gdziekolwiek w czasach po trzyletniej zimie.

Nie słyszał odgłosów zwierząt, dopóki się poruszał. Gdy jednak zamarł bez ruchu, ptaki ponownie wypełniły ten fragment lasu świergotem oraz odgłosem krzątania. Szaropióre wronce amerykańskie przelatywały w małych grupach z jednego miejsca na drugie, tocząc z mniejszymi sójkami partyzancką wojnę o najlepsze z maleńkich, bogatych w owady polanek. Drobniejsze ptaszki przeskakiwały z gałęzi na gałąź, ćwierkając i szukając pożywienia.

Ptaki tej wielkości nie kochały zbytnio człowieka, lecz również nie zadawały sobie szczególnego trudu, by go unikać, jeśli zachowywał się cicho.

“To dlaczego jestem niespokojny jak kot?”

Po jego lewej stronie, w pobliżu jednego z wszechobecnych jeżynowych gąszczy, w odległości około dwudziestu jardów trzasnęła krótko gałązka. Gordon odwrócił się błyskawicznie, lecz to również były ptaki.

Wróc. Ptak. Przedrzeźniacz.

Pofrunął w górę między konarami i wylądował na stosie gałązek. Gordon pomyślał, że z pewnością ma tam gniazdo. Ptak stanął na gałązkach niczym mały królewicz, wyniosły i dumny, po czym zaskrzeczał i ponownie pomknął w stronę chaszczy. Gdy zniknął Gordonowi z oczu, rozległ się znowu cichy trzask. Po chwili przedrzeźniacz pojawił się raz jeszcze.

Gordon leniwie pogrzebał łukiem w gliniastej glebie, uchylając jednocześnie klapę kabury. Ze wszystkich sił starał się zachować niezmiennie nonszalancki wyraz twarzy. Pogwizdywał przez suche ze strachu wargi, idąc powoli naprzód. Nie zbliżał się do gąszczy ani nie oddalał od niego, lecz

kierował się ku wysokiej jodle.

Coś kryjącego się za owymi zaroślami wywołało u przedrzeźniacza reakcję obrony gniazda. To coś bardzo starało się ignorować jego nękające ataki, zachowując milczenie.

Ostrzeżony, Gordon rozpoznał myśliwską zasadzkę. Posuwał się niespiesznie naprzód, okazując przesadną beztróskę. Gdy tylko jednak znalazł się za jodłą, wyciągnął rewolwer i pobiegł pochylony w las, starając się, by pień drzewa pozostawał pomiędzy nim a gąszczem krzaków jeżyn.

Jodła osłaniała go tylko przez chwilę. Zaskoczenie chroniło go odrobinę dłużej. Potem rozległy się trzy głośne strzały, każdy z broni innego kalibru. Ich huk ugiął się na kratownicy drzew. Gordon pomknął sprintem ku zwalonej kłodzie leżącej na małym wzniesieniu. Gdy rzucił się za butwiejący pień, zagrzmiały trzy kolejne eksplozje. Upadł na ziemię po drugiej stronie. Rozległ się ostry, suchy dźwięk, któremu towarzyszył przeszywający ból w prawym ramieniu.

Na moment ogarnęła go ślepa panika, gdy rękę, w której trzymał rewolwer, przeszył kurcz. Jeśli ją sobie złamał...

Mankiet jego bluzy z rządowego przydziału nasiąkał krwią. Strach wzmagął ból. Wreszcie Gordon podciągnął rękaw i ujrzał długą, płytką szramę, z której zwisały drzazgi. To łuk się złamał. Nadział się na niego padając.

Odrzucił połamany łuk i poczołgał się na rękach i kolanach wąskim parowem wiodącym w prawo. Trzymał głowę nisko, by wykorzystać osłonę, jaką zapewniało koryto strumienia oraz podszycie. Za nim rozległy się wesołe pokrzykiwania ścigających, dobiegające zza maleńkiego pagórka.

Następne minuty były zamazaną plamą smagających go gałęzi i nagłych zygzaków. Gdy wpadł do wąskiego strumienia, odwrócił się nagle i pobiegł pod prąd.

Ścigani ludzie często uciekają z prądem - przypomniał sobie, pędząc pod górę. Miał nadzieję, że jego wrogowie wiedzą o tym drobiazgu. Przeskakiwał z kamienia na kamień, starając się nie strącać błota do wody. Wreszcie dał susa z powrotem do lasu.

Słyszał za sobą krzyki. Jego własne kroki wydawały się wystarczająco głośne, by obudzić śpiące niedźwiedzie. Dwukrotnie krył się za gałkami bądź stertami liści, by odzyskać dech w piersiach, rozważyć sytuację i poćwiczyć milczenie.

Wreszcie krzyki ucichły w oddali. Gordon westchnął, oparł się o wielki dąb i wyciągnął z torby u pasa apteczkę. Rana będzie w porządku. Nie było powodu do obaw, że wypolerowane drewno łuku spowoduje infekcję. Bolało jak diabli, lecz rozdarcie przebiegało daleko od ważniejszych naczyń i ścięgien. Obwiązał ranę jałowym bandażem i po prostu zignorował ból. Wstał i rozejrzał się wokół.

Ku swemu zaskoczeniu natychmiast rozpoznał dwa punkty orientacyjne... wysoko umieszczony, rozbity sztyl motelu w Oakridge widoczny nad wierzchołkami drzew oraz zastawkę dla bydła po drugiej stronie zniszczonej, asfaltowej szosy wiodącej na wschód.

Odszukał szybko miejsce, gdzie ukrył swoje rzeczy. Wyglądały dokładnie tak jak wtedy, gdy je zostawił. Najwyraźniej los nie był aż tak niedelikatny, by zadać mu następny cios już teraz. Gordon wiedział, że nie zwykł on postępować w ten sposób. Zawsze pozwalał zachować jeszcze przez chwilę nadzieję, przeciągał sprawę, nim załatwił cię na dobre.

* * *

Ścigany zmienił się teraz w ścigającego. Zachowując ostrożność, Gordon odszukał zasadzkę wśród jeżyn, a także poirotowanego przedrzeźniacza. Tak jak się tego spodziewał, zasadzka była już opuszczona. Zakradł się na drugą stronę chaszczki, by spojrzeć na sytuację z punktu widzenia swych wrogów, po czym siedział przez kilka minut, patrząc i zastanawiając się, gdy tymczasem popołudnie skłaniało się ku wieczorowi.

Mieli go na widelcu, to było pewne. Patrząc z tego miejsca, trudno było zrozumieć, jak mogli chybić, jeśli wystrzeliło do niego trzech mężczyzn.

Czyżby aż tak ich zaskoczyła jego nagła próba ucieczki? Musieli mieć samopowtarzalną broń, a mimo to Gordon pamiętał tylko sześć strzałów. Albo bardzo skąpili amunicji, albo...

Podszedł do rosnącej po drugiej stronie polany jodły. Na wysokości dziesięciu stóp korę szpeciły dwie świeże blizny.

“Dziesięć stóp. Nie mogli być aż tak kiepskimi strzelcami”.

Tak jest. Wszystko się zgadzało. Ani przez chwilę nie mieli zamiaru go zabić. Celowo mierzyli wysoko, by go nastraszyć i przegnać stąd. Nic dziwnego, że ścigający ani na moment nie zbliżyli się na tyle, aby go schwytać.

Gordon skrzywił wargi. O ironio, łatwiej mu było teraz nienawidzić napastników. Bezmyślną złośliwość nauczył się już akceptować i godzić się z nią, jak z paskudną pogodą i dzikimi zwierzętami. Wielu byłych Amerykanów stało się obecnie niewiele lepszymi od barbarzyńców.

Tego rodzaju okazaną z premedytacją pogardę musiał jednak potraktować jako osobistą zniewagę. Ci ludzie rozumieli, co to znaczy miłosierdzie, a mimo to obrabowali go, zranili i sterroryzowali.

Przypomniawszy sobie Rogera Septiena, który szydził z niego, stojąc na suchym jak kość górskim stoku. Te sukinsyny nie były ani trochę lepsze.

Odnalazł ich ślad w odległości stu jardów na zachód od zasadzki. Odciski butów były wyraźne i nie zatarte... niemal aroganckie w swej otwartości.

Nie śpieszył się, ale ani przez chwilę nie pomyślał o zawróceniu.

Zbliżał się już zmierzch, gdy Gordon wreszcie dostrzegł palisadę wokół nowego Oakridge. Otwartą przestrzeń, która ongiś była parkiem miejskim, okalał wysoki, drewniany płot. Dobiegały zza niego ciche porykiwania bydła. Zarżał koń. Gordon czuł woń siana oraz intensywny odór zwierząt gospodarskich.

W pobliżu jeszcze wyższa palisada otaczała trzy kwartały dawnego południowo-zachodniego krańca miasta Oakridge. Środek osady zajmował długi na połowę przecznicy szereg piętrowych budynków. Gordon dostrzegał nad palisadą ich dachy, a także wieżę ciśnień z bocianim gniazdem na szczycie. Widział zarys postaci wartownika wpatrującego się w dal nad ciemniejącym lasem.

Wydawało się, że to kwitnąca osada, być może najzamożniejsza, jaką napotkał od chwili, gdy opuścił Idaho.

Wycięto drzewa, by utworzyć wokół otaczającej wioskę palisady zabezpieczającą przed ogniem przestrzeń, było to jednak jakiś czas temu. Oczyszczone pole zarosło podszycie sięgające połowy człowieka.

“Cóż, w okolicy z pewnością nie ma już zbyt wielu surwiwalistów - pomyślał Gordon. W przeciwnym razie byłiby znacznie bardziej ostrożni. Przekonajmy się, jak wygląda główne wejście”.

Podążył skrajem otwartej przestrzeni ku południowemu krańcowi wioski. Usłyszawszy głosy, skrył się za zastoną podszycia.

Wielka, drewniana brama otworzyła się. Dwaj uzbrojeni mężczyźni wyszli niespiesznie na zewnątrz, rozejrzeli się wokół i pomachali rękoma do kogoś ukrytego wewnątrz. Rozległ się krzyk i trzaśnięcie lejcamy. Pojawił się wóz zaprzężony w parę pociągowych koni. Zatrzymał się. Woźnica odwrócił się, by przemówić do obu strażników.

- Powiedz burmistrzowi, że jestem wdzięczny za pożyczkę, Jeff. Wiem, że moje gospodarstwo wpadło w głęboki dołek. Ale w przyszłym roku po żniwach ją spłacimy. Na mur. Już teraz jest

właścicielem części farmy, więc to powinna być dla niego dobra inwestycja.

Jeden ze strażników skinął głową.

- No jasne, Sonny. Ale uważaj po drodze, dobra? Paru chłopaków zauważyło dziś samotnika na wschodnim krańcu starego miasta. Trochę strzelano.

Farmer wciągnął głośno powietrze.

- Czy ktoś jest ranny? Jesteś pewien, że to był tylko samotnik?

- Aha. Całkiem pewien. Bob mówił, że wiał jak królik.

Serce Gordona zabiło szybciej. Obelgi osiągnęły punkt przekraczający niemal jego wytrzymałość. Wsadził lewą rękę pod koszulę i poczuł zawieszony na łańcuszku gwizdek, który dała mu Abby. Pocieszyło go trochę to przypomnienie przyzwoitości.

- Ten facet wyrządził burmistrzowi prawdziwą przysługę - ciągnął pierwszy strażnik. - Zanim przegonili go chłopaki Boba, znalazł skrytkę pełną prochów. Burmistrz da je dziś w nocy na przyjęciu niektórym z posiadaczy, żeby zobaczyć, jak podziałają. Kurczę, żałuję, że nie obracam się w tym towarzystwie.

- Ja też - zgodził się młodszy wartownik. - Hej, Sonny, myślisz, że burmistrz mógłby zapłacić ci część premii w prochach, jeśli dostarczysz w tym roku kontyngent? Mógłbyś urządzać prawdziwe przyjęcie!

Sonny uśmiechnął się nieśmiało i wzruszył ramionami. Nagle z jakiegoś powodu opuścił głowę. Starszy strażnik popatrzył na niego z pytaniem w oczach.

- Co się stało? - zapytał.

Sonny potrząsnął głową. Gdy odpowiedział, Gordon niemal nie dosłyszał jego słów.

- Nie pragniemy już zbyt wiele, prawda, Gary?

Gary zmarszczył brwi.

- O co ci chodzi? - zapytał.

- O to, że chcemy być tacy, jak fagasy burmistrza, a nie chcemy mieć burmistrza, który nie miałby fagasów!

- Nie...

- Sally i ja mieliśmy przed zagładą trzy dziewczynki i dwóch chłopców, Gary.

- Pamiętam, Sonny, ale...

- Hal i Peter umarli w czasie wojny, ale uważałem, że ja i Sally naprawdę mieliśmy szczęście, że wszystkie trzy dziewczynki dorosły. Szczęście!

- Sonny, to nie twoja wina. To był po prostu pech.

- Pech? - Farmer zachnął się. - Jedna zginęła zgwałcona, kiedy przechodzili tędy ci rozbójnicy. Peggy umarła przy porodzie, a moja mała Susan... ma siwe włosy, Gary. Wygląda jak siostra Sally!

Zapadła przeciągająca się cisza. Starszy strażnik położył dłoń na ramieniu farmera.

- Przyniosę jutro dzbanek, Sonny. Obiecuję. Pogadamy o dawnych czasach, tak jak kiedyś.

Farmer skinął głową, nie podnosząc wzroku.

- Wio! - krzyknął i strzelił lejcami.

Przez długą chwilę wartownik spoglądał w ślad za skrzypiącym wozem, przeżuając żdźbło trawy. Wreszcie zwrócił się ku swemu młodszemu towarzyszowi.

- Jimmy, czy opowiadałem ci kiedyś o Portland? Sonny i ja jeździliśmy tam przed wojną. Kiedy byłem dzieciakiem, mieli tam burmistrza, który pozował do...

Minęli bramę, oddalając się poza zasięg słuchu Gordona.

W innej sytuacji mógłby przez długie godziny zastanawiać się nad tym, co ta krótka rozmowa

mówiła o strukturze społecznej Oakridge i jego okolic. Wynikało z niej, że długi wieśniacy spłacali plonami. Był to klasyczny przykład wczesnego stadium dzierżawy będącej odmianą poddaństwa. Czytał o podobnych rzeczach podczas kursu historii na pierwszym roku college'u, dawno temu i w innym świecie. Były to charakterystyczne cechy feudalizmu.

W tej chwili jednak Gordon nie miał czasu na filozofię czy socjologię. Roznosiły go emocje. Oburzenie wywołane tym, co wydarzyło się dzisiaj, było niczym w porównaniu z gniewem, jaki poczuł, gdy usłyszał, co zamierzano zrobić ze znalezionymi przez niego lekami. Kiedy pomyślał, co mógłby z podobnymi medykamentami osiągnąć ów lekarz z Wyoming... od większości owych substancji tym ciemnym dzikusom nawet nie zakręci się we łbie!

Gordon miał dosyć. Poczł pulsujący ból w obandażowanym prawym ramieniu.

“Założę się, że bez większych trudności potrafiłbym wdrapać się na tę palisadę, znaleźć chatę, w której mają magazyn, i odzyskać to, co znalazłem.. a także coś na dodatek, jako zadośćuczynienie za obelgi, ból i złamany łuk”.

Ta wizja nie przyniosła mu jednak wystarczającej satysfakcji. Zaczł ją upiększać. Wyobraził sobie, że wpada na “przyjęcie” burmistrza i wykańcza wszystkich tych żądnych władzy sukinsynów, którzy tworzyli sobie karłowate imperium w tym zakątku ogarniętego wiekiem ciemności świata. Wyobraził sobie, że zdobywa władzę, władzę, która pozwoli mu czynić dobro... zmusić tych kmiotków do zrobienia użytku z wiedzy przekazanej im w młodości, nim wykształcone pokolenie zniknęło na zawsze ze świata.

“Dlaczego, och, dlaczego nikt nigdzie nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności za przywrócenie porządku? Pomógłbym w tym. Poświęciłbym całe życie podobnemu przywódcy.

Wydaje się jednak, że wszystkie wielkie marzenia zniknęły. Wszyscy porządni ludzie - tacy jak porucznik Van i Drew Simms zginęli w ich obronie. Z pewnością jestem jedyny pozostały przy życiu, który jeszcze w nie wierzy”.

Rezygnacja nie wchodziła oczywiście w grę. Połączenie dumy, uporu i zwykłej, wywodzącej się z gruczołów furii przykuło go do wybranego kursu. W tym miejscu stoczy bój i kropka.

“Może gdzieś istnieje milicja - idealistów, w niebie albo w piekle. Pewnie wkrótce się przekonam”.

Na szczęście hormony walki pozostawiły w jego mózgu trochę miejsca na wybór taktyki. Gdy zbliżał się zmierzch, Gordon zastanawiał się nad tym, co musi zrobić.

Cofnął się z powrotem w cień. Otarł się o konar, który strącił mu czapkę z głowy. Gordon złapał ją, zanim spadła na ziemię. Miał już włożyć ją z powrotem, lecz zatrzymał się nagle i przyjrzał się jej jeszcze raz.

W oczy zaświeciło mu wypolerowane wyobrazenie jeźdźca, mosiężna postać, za którą widniała wstążka z łacińską dewizą. Popatrzył na światła migoczące w błyszczącym emblemacie i uśmiechnął się nieznacznie.

Byłoby to zuchwałością - być może większą niż próba sforsowania płotu po ciemku. W tym pomysłu była jednak pewna przyjemna symetria, która spodobała się Gordonowi. Był zapewne ostatnim pozostałym przy życiu człowiekiem, który wybrałby bardziej niebezpieczny kurs z czysto estetycznych powodów. Cieszył się z tego. Jeśli nawet jego plan się nie powiedzie, i tak będzie to spektakularne.

Potrzebny będzie krótki wypad do ruin starego Oakridge - leżących po drugiej stronie powojennej wioski - w celu odnalezienia budynku, który z pewnością będzie jednym z najmniej ograbionych w mieście. Włożył czapkę na głowę i ruszył naprzód, by wykorzystać resztki światła.

W godzinę później Gordon minął ostatnie wypalone budowle starego miasta i ruszył dziarskim krokiem po pełnym dziur asfalcie, wracając w zapadającym mroku tą samą trasą, którą tu dotarł. Nadłożywszy znacznie drogi przez las, dotarł wreszcie do szosy, którą jechał wcześniej Sonny, położonej na południe od otaczającej wioskę palisady. Podszedł śmiało do szerokiej bramy. Jego przewodnikiem była wisząca nad nią pojedyncza latarnia.

Strażnik okazał karygodną niedbałość. Gordon zbliżył się na odległość trzydziestu stóp i nikt go nie zatrzymał. Dostrzegł skrytego w cieniu wartownika, stojącego na pomoście tuż nad samym końcem palisady, lecz ten idiota patrzył w przeciwną stronę.

Gordon zaczerpnął głęboko tchu, uniósł do warg gwizdek Abby i zagwizdał głośno trzy razy. Przenikliwe dźwięki rozbrzmiały w lesie i między budynkami niczym krzyk spadającego na zdobycz drapieżnego ptaka. Na pomoście rozległ się odgłos pośpiesznych kroków. Nad bramą pojawiło się trzech mężczyzn ze strzelbami i lampami naftowymi w rękach. Spojrzeli w dół na Gordona w zapadającym półmroku.

- Kim jesteś? Czego chcesz?

- Muszę porozmawiać z kimś, kto tu sprawuje władzę - odparł. - To sprawa urzędowa. Żądam, by wpuszczono mnie do miasta Oakridge!

To z pewnością zakłóciło ich ustaloną procedurę. Zapadła długa, pełna oszołomienia cisza. Strażnicy zamrugali powiekami, spoglądając najpierw na niego, a potem na siebie nawzajem. Wreszcie jeden z nich oddalił się biegiem, podczas gdy ten, który przemówił pierwszy, odkaszlnął.

- Hm, znowu przyszedłeś? Czy to gorączka? Jesteś chory?

Gordon potrząsnął głową.

- Nie jestem chory, tylko zmęczony i głodny. A także zły, że do mnie strzelano. Ale te sprawy mogą poczekać. Najpierw muszę wykonać obowiązek, który mnie tu sprowadza.

Tym razem głos głównego strażnika załamał się ze zdumienia i zakłopotania.

- Wy... wykonać obowiązek... O czym, u diabła, gadasz, człowieku?

Na pomoście ponownie poniosły się echem pośpieszne kroki. Pojawiło się jeszcze kilku mężczyzn, a za nimi grupa kobiet i dzieci, które zaczęły ustawiać się w szereg po obu stronach. Najwyraźniej w Oakridge nie przestrzegano zbyt mocno dyscypliny. Miejscowy tyran i jego fągasi od dawna zarządzili wszystkim, jak chcieli.

Gordon powtórzył to, co powiedział - powoli i zdecydowanie, wykorzystując ton, którego używał w swojej najlepszej roli Poloniusza.

- Żądam rozmowy z waszymi zwierzchnikami. Nadużywacie mojej cierpliwości, każąc mi tutaj czekać. Z pewnością wspomnę o tym w swym raporcie. A teraz sprowadźcie tu kogoś, kto ma prawo otworzyć tę bramę!

Tłum stawał się coraz gęstszy, aż wreszcie nad palisadą stał już nieprzerwany las sylwetek. Wszyscy gapili się w dół na Gordona, gdy po prawej stronie na pomoście pojawiła się grupa postaci niosących lampy. Stojący tam gapie rozstąpili się, by przybysze mogli przejść.

- Posłuchaj, samotniku - odezwał się szef strażników. - Sam się prosisz o kulę. Żadne "urzędowe sprawy" nie łączą nas z nikim poza tą doliną, od czasu jak zerwaliśmy stosunki z tymi komuchami w Blakeville, kupę lat temu. Możesz się założyć o własny tyłek, że nie będę zwracał głowy burmistrzowi z powodu jakiegoś pomyłonego...

Mężczyzna odwrócił się, zaskoczony, gdy do bramy zbliżyła się grupa dygnitarzy.

- Panie burmistrzu... Przepraszam za ten raban, ale...

- I tak byłem niedaleko. Usłyszałem zgiełk. Co tu się dzieje?

Strażnik wskazał ręką w dół.

- Tam stoi facet, który opowiada takie banialuki, jakich nie słyszałem od wariackich czasów. Na pewno to chory albo jeden z tych świrów, którzy kiedyś przechodzili tą trasą.

- Zajmę się tym.

W gęstniejącej ciemności znad balustrady wychyliła się nowa postać.

- Jestem burmistrzem Oakridge - oznajmił mężczyzna. - Nie uznajemy tutaj dobroczynności, ale jeśli jesteś tym facetem, który znalazł dziś po południu te wszystkie dobra, a potem łaskawie odstąpił je moim chłopakom, muszę przyznać, że mamy u ciebie dług. Każę opuścić z bramy porządny, ciepły posiłek. I koc. Możesz spać przy drodze. Ale jutro musisz się zmyć. Nie chcemy tu żadnych chorób. A sądząc z tego, co mówią moi strażnicy, na pewno jesteś obłąkany.

Gordon uśmiechnął się.

- Jestem pod wrażeniem pańskiej hojności, panie burmistrzu. Niemniej zbyt daleko już zawędrowałem, wykonując swe oficjalne obowiązki, bym miał teraz zawrócić. Na początek niech mi pan powie, czy w Oakridge jest funkcjonujące radio albo telegraf światłowodowy?

Cisza wywołana jego nieoczekiwanym pytaniem była długa i głęboka. Gordon potrafił sobie wyobrazić zaskoczenie burmistrza. Wreszcie miejscowy kacyk odpowiedział:

- Nie mamy radia już od dziesięciu lat. Od tego czasu nic nie działa. Dlaczego pytasz? Co to ma wspólnego z...

- Wielka szkoda. Oczywiście po wojnie fale eteru ogarnął chaos - improwizował Gordon - ...no wie pan, cała ta radioaktywność. Miałem nadzieję, że mogę spróbować wykorzystać wasz nadajnik, aby przekazać meldunek moim zwierzchnikom.

Wygłosił swój tekst zdecydowanym tonem. Tym razem reakcją nie było milczenie, lecz fala zdumionych szeptów, która przebiegła wzdłuż pomostu. Gordon przypuszczał, że zebrała się na nim większość ludności Oakridge. Miał nadzieję, że palisada jest solidnie zbudowana. Nie leżało w jego planach wkroczenie do miasta jak Jozue. Chodziło mu o całkiem inną legendę.

- Przynies tu lampę! - rozkazał burmistrz. - Nie tę, idioto! Tę z reflektorem. A teraz oświetl tego faceta. Chcę mu się przyjrzeć!

Przyniesiono masywną lampę. Rozległ się stukot i na Gordona padło światło. Oczekiwał tego i nie zasłonił oczu ani ich nie zmrużył. Przesunął skórzaną torbę i odwrócił się tak, by jego strój był lepiej widoczny. Czapeczka listonosza z lśniącem daszkiem spoczywała na jego głowie na bakier.

Pomruk tłumu stał się głośniejszy.

- Panie burmistrzu! - zawołał. - Moja cierpliwość ma swe granice. Już teraz będę musiał zamienić z panem słówko na temat zachowania pańskich chłopaków dziś po południu. Proszę mnie nie zmuszać do wykorzystywania moich uprawnień w sposób, który dla nas obu będzie nieprzyjemny. Stoi pan na progu utraty przywileju łączności z resztą kraju.

Burmistrz przestąpił szybko z nogi na nogę.

- Łączności? Kraju? Co to za brednie? Jest tylko komuna w Blakeville, te zadzierające nosa dupki w Culp Creek i szatan wie co za dzikusy dalej. Kim, u diabła, jesteś?

Gordon dotknął swej czapki.

- Gordon Krantz z Poczty Stanów Zjednoczonych. Jestem kurierem, któremu polecono ustanowić szlak pocztowy w Idaho i dolnym Oregonie, a także głównym inspektorem federalnym w tym regionie.

I pomyśleć, że czuł się zawstydzony, gdy w Pine View udawał świętego Mikołaja! Nie pomyślał o tym "inspektorze federalnym", dopóki słowa same nie padły z jego ust. Czy było to natchnienie, czy zuchwałość?

"Cóż, to jeden diabeł, czy zawiśnie się na dużym haku, czy na małym" - pomyślał.

Tłum ogarnęło poruszenie. Gordon kilkakrotnie usłyszał słowa “z daleka” i “inspektor”, a zwłaszcza “listonosz”. Gdy burmistrz krzykiem nakazał spokój, głosy ucichły powoli, przechodząc w pełne skupienia milczenie.

- A więc jesteś listonoszem. - Uśmiech był pełen sarkazmu. - Masz nas za kompletnych idiotów, Krantz? Piękny mundurek czyni z ciebie przedstawiciela rządu? Jakiego rządu? Jakie dowody możesz nam przedstawić? Udowodnij nam, że nie jesteś wariatem oszalałym od gorączki popromiennej!

Gordon wyciągnął papiery, które przygotował zaledwie przed godziną, używając stempla znalezionego w ruinach budynku poczty w Oakridge.

- Mam tutaj listy uwierzytelniające...

Przerwano mu natychmiast.

- Schowaj swoje papiery, szajbusie. Nie pozwolimy ci się zbliżyć, żebyś nie zaraził nas gorączką!

Burmistrz wyprostował się i zamachał ręką w powietrzu, zwracając się do swych poddanych.

- Wszyscy pamiętacie, jak w latach chaosu pojawiali się wariaci i szalbierze podający się za prawie wszystkich, od Antychrysta do świnki Porcky? No więc, jest jeden fakt, na którym możemy polegać. Pomyleńcy przychodzą i odchodzą, ale jest tylko jeden “rząd”...ten, który mamy tutaj! - Ponownie zwrócił się do Gordona. - Masz szczęście, że nie jest już tak, jak za czasów zarazy, szajbusie. Wtedy taki przypadek jak twój wyleczono by natychmiast... przez kremację!

Gordon zaklął bezgłośnie. Miejscowy tyran był wygadany. Z pewnością niełatwo będzie go podejść. Jeśli nawet nie zechcą spojrzeć na sfalszowane przez niego “listy uwierzytelniające”, będzie to znaczyło, że wycieczka do starego miasta, którą odbył po południu, na nic się nie przydała. Został mu tylko jeden as. Uśmiechnął się do tłumu, lecz w głębi ducha sam chciałby trzymać za siebie kciuki dla zażegnania złego przywołanego tym kłamstwem.

Z bocznej kieszeni skórzanej torby wyciągnął niewielki plik papierów. Udał, że go przerzuca. Zmrużył powieki, spoglądając na adresy, które znał na pamięć.

- Czy jest tutaj... Donald Smith?! - zawołał do mieszkańców miasta.

Ludzie spojrzeli po sobie. Rozległy się stłumione rozmowy. Dezorientacja gapiów była wyraźnie widoczna, nawet w zapadającym mroku. Wreszcie ktoś zawołał:

- Zginął rok po wojnie! W ostatniej bitwie o magazyny.

W głosie mówiącego słychać było drzenie. Dobrze. Zaskoczenie nie było jedyną emocją, która tu działała. Niemniej Gordon potrzebował czegoś znacznie lepszego. Burmistrz nadal gapił się na niego, gdy jednak zorientuje się, co próbuje zrobić przybysz, będą kłopoty.

- No tak! - zawołał Gordon. - Będę oczywiście musiał to potwierdzić.

Zanim ktokolwiek zdołał się odezwać, wrócił do pośpiesznego przerzucania trzymanego w ręku pliku.

- Czy mieszka tu pan Franklin Thompson lub jego żona? Albo syn czy córka?

Tym razem w fali stłumionych szeptów zabrzmiała niemal nabożna nuta.

- Nie żyją! - odparła jakaś kobieta. - Chłopak żył jeszcze rok temu. Pracował w gospodarstwie Jascowisca. Jego rodzice byli w Portland w chwili wybuchu.

“Cholera!” Gordonowi zostało już tylko jedno nazwisko. Bardzo fajnie było trafić do ich serc dzięki wiedzy, ale potrzebny mu był ktoś żywy!

- W porządku! - zawołał. - Potwierdzimy to. I na koniec, czy jest tu Grace Horton? Panna Grace Horton?

- Nie ma tu żadnej Grace Horton! - wrzasnął burmistrz. W jego głosie ponownie zabrzmiały pewność siebie i sarkazm. - Znam wszystkich na moim terytorium. Przybyłem tu dziesięć lat temu i od

tego czasu nie było tu żadnej Grace Horton, ty oszuście! Czy nie widzicie, co on zrobił? Znalazł w mieście starą książkę telefoniczną i przepisał z niej parę nazwisk, żeby nam zaimponować - potrząsnął pięścią w stronę Gordona. - Koleżko, orzekam, że zakłócasz spokój i stanowisz zagrożenie dla zdrowia publicznego! Masz pięć sekund, by się oddalić, zanim każę moim ludziom strzelać!

Gordon wypuścił z trudem powietrze. Nie miał już wyboru. Mógł się przynajmniej wycofać, nie tracąc nic poza odrobiną dumy.

“Nieźle to rozegrałeś, ale wiedziałeś, że szansę powodzenia są nikłe. Przynajmniej napędziłeś temu sukinsynowi trochę strachu”.

Nadeszła pora, by odejść, lecz ku swemu zaskoczeniu Gordon przekonał się, że jego ciało nie chce się odwrócić. Stopy wrosły mu w ziemię. Cała chęć ucieczki wyparowała. Rozsądna część jego osobowości przeraziła się, gdy rozprostował ramiona, żeby poddać burmistrza próbie.

- Atak na pocztowego kuriera jest jednym z nielicznych federalnych przestępstw, których ścigania tymczasowy kongres nie zawiesił na czas odbudowy, panie burmistrzu. Stany Zjednoczone zawsze chroniły swych pocztowców. - Spojrzał chłodno w oślepiający blask lampy. - Zawsze! - podkreślił. Przez chwilę czuł dreszcz. Naprawdę był kurierem, przynajmniej w duchu. Stanowił anachronizm przez ciemny wiek z jakiegoś powodu przeoczony w czasie systematycznego ścierania idealizmu z powierzchni Ziemi. Popatrzył prosto w kierunku mrocznej sylwetki burmistrza. W milczeniu zapytał go, czy odważy się zabić to, co zostało z ich wspólnej ojczyzny.

Przez kilka sekund cisza stawała się coraz głębsza. Wreszcie burmistrz uniósł rękę.

- Raz! - Liczył powoli, być może po to, by dać Gordonowi czas na ucieczkę, a być może dla sadystycznego efektu. - Dwa!

Gra była przegrana. Gordon wiedział, że powinien natychmiast się oddalić. Mimo to jego ciało nie chciało się odwrócić.

- Trzy!

“Tak ginie ostatni idealista” - pomyślał. Fakt, że przeżył te szesnaście lat, był przypadkiem, niedopatrzaniem natury, które zaraz miało zostać naprawione. Na koniec cały jego z trudem zdobyty pragmatyzm przegrał z... gestem.

Na pomoście doszło do jakiegoś poruszenia. Ktoś stojący daleko po lewej stronie przepychał się do przodu.

Strażnicy unieśli strzelby. Gordon odniósł wrażenie, że kilku z nich zrobiło to z wahaniem. Z niechęcią. Nie miało mu to jednak pomóc.

Burmistrz przeciągał odliczanie. Być może upór Gordona sprawiał, że odwaga zaczęła go opuszczać. Uniesiona pięść upadła.

- Panie burmistrzu! - przerwał mu drżący głos kobiety, nienaturalnie cienki ze strachu. Wyciągnęła ręce, by złapać łapę kacyka. - P... proszę... Ja...

Przywódca odtrącił jej dłonie.

- Zjeżdżaj, babo. Spływaj stąd.

Wątpa postać cofnęła się przed strażnikami, krzyknęła jednak wyraźnie:

- Ja, ja jestem Grace Horton!

- Co?

Burmistrz nie był jedynym, który odwrócił się, by wlepić w nią wzrok.

- To moje p... panińskie nazwisko. Wyszłam za mąż w rok po drugiej klęsce głodu. To było jeszcze przed przybyciem pana i pańskich ludzi...

Tłum zareagował hałaśliwie.

- Durnie! - krzyknął burmistrz. - Mówię wam, że przepisał jej nazwisko z książki telefonicznej!

Gordon uśmiechnął się. Uniósł plik, który trzymał w ręku, a drugą dłonią dotknął czapki.

- Dobry wieczór, panno Horton. Mamy piękną noc, prawda? Swoją drogą, tak się składa, że mam tu dla pani list od pana Jima Hortona z Pine View... Wręczył mi go dwanaście dni temu...

Wydawało się, że wszyscy stojący na pomoście ludzie zaczęli mówić jednocześnie. Zapanowało wielkie poruszenie. Rozległy się podekscytowane okrzyki. Gordon otoczył ucho dłonią, by usłyszeć zdumioną kobietę. Zawołał podniesionym głosem:

- Tak, proszę pani! Sprawiał wrażenie całkiem zdrowego. Obawiam się, że to wszystko, co mam tym razem. Niemniej z przyjemnością zaniosę pani bratu odpowiedź, kiedy będę wracał, po zakończeniu objazdu doliny. - Ruszył naprzód, w stronę światła. - Jest jeszcze jedna sprawa, proszę pani. Panu Hortonowi zabrakło pieniędzy na opłacenie przesyłki, muszę więc poprosić panią o dziesięć dolarów... opłaty pocztowej.

Tłum ryknął.

Burmistrz w blasku oślepiającej lampy obracał się w lewo i w prawo, wymachując ramionami i krzycząc. Nie słyszano jednak nic z tego, co mówił. Otwarto bramę i ludzie wypadli tłumnie w noc. Gordona otoczyła gęsta ciżba podnieconych mężczyzn, kobiet i dzieci o rozgorączkowanych twarzach. Niektórzy z nich utykali. Inni mieli na twarzach sine blizny albo charczeli z typowym dla gruźlików wysiłkiem. Mimo to w tej chwili ból życia wydawał się niczym w porównaniu z blaskiem zbudzonej nagle wiary.

W samym środku tego wszystkiego Gordon zachował zimną krew. Ruszył powoli ku bramie. Uśmiechał się i kiwał głową, zwłaszcza do tych, którzy wyciągali ręce i dotykali jego łokcia albo szerokiej krzywizny wypchanej, skórzanej torby. Młodzież przyglądała mu się z przesadnym zachwytem. Po wielu starszych twarzach spływały łzy.

Trząsł się jeszcze cały na skutek wypływu adrenaliny, lecz stłumił brutalnie słabiutki rozbłysk sumienia... dotknięcie wstydu wywołanego kłamstwem.

“Do diabła z tym. To nie moja wina, że chcą wierzyć w dobre wróżki. Ja wreszcie dorosłem. Chcę tylko tego, co należy do mnie! Prostacy”.

Mimo to uśmiechał się do wszystkich wokół, gdy dotykały go dłonie i płynęła ku niemu miłość. Omyła go ona niczym rwący potok i poniosła na fali rozpaczliwej, niespotykanej nadziei do miasta Oakridge.

INTERLUDIUM

Gdy wiosna jarzy się ogniami,

Pył przodków patrzy groźnie,

Chłodząc Ziemię mgłami.

CYKLOP

USTAWA O ODTWORZENIU PAŃSTWA KONGRES ODRODZONYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH (KADENCJA TYMCZASOWO PRZEDŁUŻONA)

DEKLARACJA

DO WSZYSTKICH OBYWATELI: Powiadamia się wszystkich mieszkających w prawnych granicach Stanów Zjednoczonych Ameryki, że naród i podstawowe instytucje państwa żyją. Wasi wrogowie ponieśli klęskę w swej agresji przeciw ludzkości i zostali zniszczeni. Tymczasowy rząd działający w bezpośredniej sukcesji po ostatnim pochodzącym z wolnych wyborów Kongresie oraz władzy wykonawczej Stanów Zjednoczonych podjął energiczne działania zmierzające do przywrócenia prawa, bezpieczeństwa publicznego oraz wolności w naszym ukochanym kraju, w zgodzie z Konstytucją oraz sprawiedliwą łaską Wszechmocnego.

W TYM CELU: Ogłasza się wszystkie mniej ważne prawa oraz ustawy Stanów Zjednoczonych za zawieszane, w tym również wszelkie długi, prawa zastawne oraz wyroki sądowe pochodzące sprzed wybuchu trzeciej wojny światowej. Dopóki w zgodzie z należytą procedurą nie wprowadzi się nowych przepisów, samorząd okręgów może stawić czoło kryzysom, tak jak uzna za stosowne, pod następującymi warunkami:

1. Uprawnienia gwarantowane przez Deklarację o Prawach nie zostaną odebrane żadnemu mężczyźnie ani kobiecie na obszarze Stanów Zjednoczonych. Procesy we wszystkich sprawach o poważne zbrodnie będą się odbywać przed bezstronną ławą przysięgłych. Poza wyjątkowymi przypadkami wywołanymi stanem wojny, doraźne procesy i egzekucje gwałcące powyższą procedurę są absolutnie niedopuszczalne.

2. Niewolnictwo jest nielegalne. Niewola za długi nie będzie dożywotnia, nie może też przechodzić z rodziców na dzieci.

3. Okręgi, miasta oraz inne jednostki będą w każdym parzystym roku urządzać tajne wybory, w których mogą uczestniczyć wszyscy mężczyźni i kobiety powyżej osiemnastego roku życia. Nikt nie może używać prawnych środków przymusu w stosunku do drugiej osoby, jeśli nie piastuje wybieralnego stanowiska bądź też nie jest bezpośrednio odpowiedzialny przed osobą piastującą takie stanowisko.

4. Celem wspomżenia odtworzenia państwa, obywatele będą strzec fizycznych i intelektualnych zasobów Stanów Zjednoczonych. Wszędzie, gdzie jest to możliwe, książki i przedwojenna maszyna zostaną zabezpieczone i przechowane dla dobra przyszłych pokoleń. Samorząd okręgów będzie prowadzić szkoły w celu kształcenia młodzieży.

Tymczasowy rząd ma nadzieję przywrócić ogólnokrajową łączność radiową do roku dwa tysiące dwudziestego pierwszego. Do tego czasu jedynym środkiem łączności musi pozostać poczta naziemna. Usługi pocztowe zostaną przywrócone w stanach centralnych i wschodnich do roku dwa tysiące jedenastego, na zachodzie zaś do dwa tysiące osiemnastego.

5. Współpraca z pocztowcami Stanów Zjednoczonych jest obowiązkiem wszystkich obywateli. Utrudnianie im wykonywania obowiązków stanowi zbrodnię główną.

Na polecenie Tymczasowego Kongresu

1. CURTIN

Czarny bulterier targał i ciągnął za łańcuch, warczał i toczył pianę, przyskajac sline na podekscytowanych, wrzeszczących mężczyzn pochylonych nad niskimi, drewnianymi ścianami areny. Pokryty bliznami, jednooki kundel odpowiadał mu groźnym pomrukiem z drugiej strony ringu. Sznurek, na którym był uwiązany, brzęczał niczym struna, grożąc wyrwaniem zamocowanej w ścianie śruby oczkowej z pierścieniem.

Psi ring śmierdział. Przyprawiający o mdłości, słodki dym miejscowego tytoniu - palonego z dużą domieszką marihuany - wzbijał się w górę w gęstych, kłębiących się obłokach. Siedzący w ławach ustawionych szeregami wokół prymitywnej areny farmerzy i mieszkańcy miasta darli się ogłuszająco. Ci, którzy byli najbliżej ringu, walili w drewniane listwy, czym wzmagali histeryczny szal psów.

Treserzy w skórzanych rękawicach odciągnęli swych zwierzęcych gladiatorów na tyle, by złapać za ich obroże, po czym zwrócili się w stronę ławy dla miejscowych osobistości ustawionej przy samym środku areny.

Tęgi, brodaty dygnitarz, ubrany lepiej niż większość obecnych, zaciągnął się cygarem domowej roboty. Spojrzał przelotnie na szczupłego mężczyznę, który siedział niewzruszenie z jego prawej strony. Oczy obcego osłaniała czapka z daszkiem. Siedział niemal nieruchomo, niczym nie zdradzając swych uczuć.

Potężnie zbudowany dostojnik zwrócił się z powrotem ku treserom i skinął głową.

Stu mężczyzn krzyknęło jednocześnie, gdy spuszczone psy. Warczące zwierzęta runęły na siebie niczym wypuszczone z kusz bełty. Ich argumenty nie były skomplikowane. Sierść i krew pofrunęły w powietrze. Tłum krzyknął radośnie.

Siedzący na ławie dla dygnitarzy przedstawiciele starszyny krzyczeli nie mniej gwałtownie niż zwykli wieśniacy. Podobnie jak oni, większość z nich postawiła coś na któregoś z przeciwników. Potężny mężczyzna z cygarem - przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego miasta Curtin - sapał wściekle. Nie bawił się dobrze. Głowę miał zajętą niespokojnymi myślami. Raz jeszcze spojrzął na siedzącego po prawej przybysza.

Chudy facet nie przypominał nikogo z zebranych wokół areny. Brodę miał schludnie przyciętą, a czarne włosy ostrzyżone i uczesane tak, że sięgały mu poniżej uszu. Skryte pod daszkiem niebieskie oczy sprawiały wrażenie, że ich spojrzenie przenika wszędzie, poddając wszystko krytycznej ocenie, całkiem jak na obrazach przedstawiających starotestamentowych proroków. Przewodniczący widział je w szkółce niedzielnej, dawno temu, gdy był chłopcem, na długo przed wojną zagłady.

Przybysz miał ogorzałą twarz wędrowca. Nosił też mundur... taki, jakiego żaden z żyjących obywateli Curtin nie spodziewał się już ujrzeć.

Na szczycie czapki nieznajomego widniało wypolerowane wyobrażenie jeźdźca, lśniącego w blasku lamp naftowych. Z jakiegoś powodu wydawało się, że błyszczy jaśniej niż jakikolwiek metal.

Przewodniczący spojrzął na swych rozwrzeszczanych ziomków. Wyczuwał, że zaszła w nich zmiana. Darli się z większym zapałem niż na innych walkach urządzanych zwykle w środę wieczorem. Oni również zdawali sobie sprawę z obecności gościa, który podjechał do bram miasta przed pięcioma dniami, wyprostowany i dumny jak jakiś bóg, domagając się wyżywienia i dachu nad głową oraz miejsca, gdzie mógłby rozwiesić swe obwieszczenia...

...a potem zaczął rozdawać listy.

Przewodniczący również obstawił psa - był to Zezol starego Jima Schmidta - lecz myślami

przebywał daleko od toczącego się w dole krwawego boju. Nie mógł się powstrzymać od spoglądania w stronę listonosza.

Urządzili dla niego specjalną walkę, ponieważ jutro wyjeżdżał z Curtin do Cottage Grove. "To mu się nie podoba" - uświadomił sobie z przygnębieniem przewodniczący. Człowiek, który przewrócił całe ich życie do góry nogami, najwyraźniej starał się być uprzejmy. Ale jeszcze wyraźniejsze było to, że nie pochwała walk psów.

Przewodniczący nachylił się, by przemówić do gościa.

- Przypuszczam, że na wschodzie nie widuje się podobnych rzeczy, panie inspektorze?

Chłodny wyraz oczu tamtego był wystarczającą odpowiedzią. Przewodniczący przeklął własną głupotę. To jasne, że nie mieli tam walk psów - nie w Saint Paul, Topece, Odessie czy innych cywilizowanych regionach Odrodzonych Stanów Zjednoczonych. Tutaj jednak, w zniszczonym Oregonie, przez tak długi czas odcięty od cywilizacji...

- Lokalne społeczności mają prawo kierować swymi sprawami, tak jak uznają to za stosowne, panie przewodniczący - odparł przybysz. Jego cichy, lecz stanowczy głos przebijał się przez krzyki dobiegające od areny. - Zwyczaje dostosowują się do czasów. Rząd w Saint Paul wie o tym. Widziałem podczas moich podróży znacznie gorsze rzeczy.

"Grzech odpuszczony" - wyczytał przewodniczący w oczach pocztowego inspektora. Osunął się lekko w dół i ponownie odwrócił wzrok.

Zamrugnął powiekami. W pierwszej chwili pomyślał, że to dym drażni mu oczy. Rzucił cygaro na ziemię i rozgniół je nogą, lecz szczypanie nie chciało ustąpić. Arena stała się nieostra, całkiem jakby widział ją we śnie... po raz pierwszy w życiu.

"Mój Boże! - pomyślał. Czy naprawdę robimy coś takiego? Nie dalej jak siedemnaście lat temu byłem członkiem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami Doliny Willamette!

Co się z nami stało?

Co się stało ze mną?"

Kaszlnął, zasłaniając usta dłonią, by ukryć fakt, że ociera oczy. Następnie rozejrzał się wokół i zauważył, że nie jest w tym osamotniony. Przynajmniej dwunastu mężczyzn spośród zgromadzonych przestało krzyczeć. Opuścili wzrok i spoglądali na swe dłonie. Kilku otwarcie płakało. Łzy spływały im po twarzach stwardniałych wskutek długiej walki o przetrwanie.

Kilku spośród obecnych miniony okres wydał się nagle krótszy. Nie stanowił wystarczającego usprawiedliwienia.

Pod koniec walki aplauz stał się niepewny. Treserzy wskoczyli do dołu, by zająć się zwycięzcą i uprzątnąć szczątki. Wydawało się jednak, że przynajmniej połowa widzów spogląda nerwowo na swego przywódcę oraz na surową, umundurowaną postać siedzącą obok niego.

Szczupły mężczyzna poprawił czapkę.

- Dziękuję, panie przewodniczący. Chyba lepiej będzie, jak już się położę. Jutro czeka mnie długa podróż. Życzę wszystkim dobrej nocy.

Skinął głową członkom starszyny, po czym podniósł się i wciągnął wytartą, skórzaną kurtkę ozdobioną wielobarwnym naramiennikiem - czerwono-biało-niebieskim emblematem. Gdy ruszył powoli ku wyjściu, mieszkańcy osady podnieśli się bez słowa, spuszczać oczy i ustępując mu z drogi.

Przewodniczący miasteczka Curtin zawahał się, po czym wstał i podążył za nim. Za jego plecami rozlegały się coraz głośniejsze szepty.

Tego wieczoru nie rozegrano drugiej walki.

2. COTTAGE GROVE

Cottage Grove
Oregon
16 kwietnia 2011

Do pani Adele Thompson,
Burmistrza wioski Pine View
W Nieodzyskanym Stanie Oregon

Trasa przekazu: Cottage Grove, Curtin, Culp Creek, McFarland Pt., Oakridge, Pine View.

Szanowna Pani Thompson,

To jest drugi list, który wysyłam nową pocztową trasą wiodącą przez region Lasu Willamette. Jeśli otrzymała Pani pierwszy, wie Pani już, że wasi sąsiedzi z Oakridge zgodzili się na współpracę po pewnych początkowych nieporozumieniach. Wyzaczyłem na naczelnika tamtejszej poczty pana Sonny'ego Davisa, który mieszkał tam już przed wojną i jest powszechnie lubiany. Do tej chwili powinien już nawiązać kontakt z mieszkańcami Pine View.

Gordon Krantz uniósł ołówek znad pliku pożółkłego papieru, który ofiarowali mu mieszkańcy Cottage Grove. Na antycznym biurku stała para miedzianych lamp naftowych, a także świece. Ich migotliwe płomienie odbijały się jasno w szkle chroniących obrazy zawieszonych na ścianie sypialni.

Tubylcy nalegali, by Gordon zajął najlepsze mieszkanie w mieście. Pokój był przytulny, czysty i ciepły.

Stanowiło to olbrzymią zmianę w porównaniu z tym, jak wyglądało życie Gordona zaledwie kilka miesięcy temu. W swym liście, na przykład, niewiele mówił o trudnościach, z jakimi spotkał się w październiku w mieście Oakridge.

Obywatele tej górskiej osady otworzyli przed nim serca, gdy tylko oznajmił, że jest przedstawicielem Odrodzonych Stanów Zjednoczonych. Lecz despotyczny "burmistrz" jednak omal nie zamordował niepożądanego gościa, nim Gordon zdążył wyjaśnić, że jest zainteresowany jedynie otworzeniem urzędu pocztowego, a potem rusza w dalszą drogę i nie stanowi zagrożenia dla miejscowej władzy.

Być może burmistrz obawiał się reakcji ludzi, którzy potępiliby go, gdyby nie pomógł przybyszowi. Na koniec Gordon otrzymał zapasy, o które prosił, a także wartościowego, choć dość starego konia. Gordon widział ulgę na twarzy burmistrza, gdy opuszczał Oakridge. Miejscowy wódz był pewien, że zdoła zachować władzę mimo zdumiewającej wieści, że gdzieś tam nadal istniały Stany Zjednoczone.

Mieszkańcy osady podążali jednak za Gordonem ponad milę, wyłaniali się zza drzew, by wciskać mu nieśmiało listy do rąk, mówili z entuzjazmem o odzyskaniu Oregonu oraz pytali, co mogą zrobić, by w tym pomóc. Otwarcie skarżyli się na miejscową tyranie. W chwili gdy zostawił na drodze tę ostatnią grupę, było jasne, że zmiany wiszą w powietrzu.

Gordon uznał, że dni burmistrza są policzone.

Od czasu, gdy wysłałem poprzedni list z Culp Creek, ustanowiłem urzędy pocztowe w Palmerville i Curtin. Dzisiaj ukończyłem negocjacje z burmistrzem Cottage Grove. Do listu

dołączam raport o moich dotychczasowych postępach, przeznaczony dla moich zwierzchników w Odzyskanym Stanie Wyoming. Gdy do Pine View przybędzie podążający moim śladem kurier, proszę przekazać mu moje meldunki wraz z najlepszymi życzeniami.

Proszę się też nie niecierpliwić, jeśli to jakiś czas potrwa. Szlaki na zachód od Saint Paul są niebezpieczne i może upłynąć więcej niż rok, nim zjawi się następny listonosz.

Gordon świetnie potrafił sobie wyobrazić reakcję pani Thompson, gdy przeczyta to pismo. Stara, zadziorna przywódczyni potrząśnie głową, a może nawet zaśmieje się głośno z bezczelnego łągarstwa w każdym zdaniu.

Adele Thompson wiedziała, lepiej niż ktokolwiek inny na dzikim terytorium, które ongiś było wielkim stanem Oregon, że nie będzie kurierów z cywilizowanego wschodu. Nie istniała żadna kwatera główna, do której Gordon mógłby pisać raporty. Realny był tylko nadal lekko radioaktywny zakręt Missisipi, którego stolicą było Saint Paul.

Odzyskany Stan Wyoming - podobnie jak Odrodzone Stany Zjednoczone - istniał wyłącznie w wyobraźni wędrownego oszusta z ciemnego wieku, który ze wszystkich sił starał się przetrwać w śmiertelnie groźnym, podejrzliwym świecie.

Pani Thompson była jedną z tych rzadko spotykanych przez Gordona osób, które po wojnie nadal widziały na oczy i zachowały zdolność logicznego myślenia. Iluzja, którą stworzył - najpierw przypadkowo, a potem pod wpływem desperacji - nie znaczyła dla niej nic. Polubiła Gordona za to, jaki był. Uzyskał jej miłosierdzie bez potrzeby odwoływania się do mitu.

Pisał w tak pokrętny sposób - list pełen wzmianek o rzeczach, które nie istniały - raczej z myślą o oczach innych ludzi. Podczas wędrówki trasą, którą ustanowił, poczta będzie wielokrotnie przechodziła z rąk do rąk, nim wreszcie dotrze do Pine View. Pani Thompson potrafiła jednak czytać między wierszami.

I nie zdradzi go. Gordon był tego pewien.

Miał tylko nadzieję, że potrafi zapanować nad śmiechem.

W tej części Gór Nadbrzeżnych panuje obecnie względny spokój. Wznowiono nawet umiarkowany handel między osadami, przewyciężając zastarzały strach przed wojennymi epidemiami i surwiwalistami. Tubylcy są bardzo ciekawi wieści z zewnętrznego świata.

Nie znaczy to, że wszędzie jest dobrze. Poinformowano mnie, że tereny nad Rogue River, na południe od Roseburga nadal są pogrążone w całkowitym bezprawiu. Jest to kraina Nathana Holna. Dlatego kieruję się na północ, w stronę Eugene. Tam zresztą jest zaadresowana większość listów, które niosę.

W sakwie u końskiego boku, głęboko pod stosem listów, które przyjął od podekscytowanych, wdzięcznych ludzi, spoczywał ten, który dała mu Abby. Spróbuje go doręczyć, bez względu na to, co na koniec stanie się z pozostałymi.

Muszę już ruszać w drogę. Być może niedługo dogoni mnie list od Pani i innych moich drogich przyjaciół. Na razie proszę przekazać wyrazy miłości Abby, Michaelowi i całej reszcie.

Pine View jest miejscem, w którym - bardziej niż gdziekolwiek indziej - Odrodzone Stany Zjednoczone Ameryki żyją i mają się dobrze.

Łączę pozdrowienia
Gordon K.

Ta ostatnia uwaga mogła być odrobinę niebezpieczna, lecz Gordon czuł, że musi ją dołączyć, choćby tylko po to, by zademonstrować pani Thompson, że nie uwierzył w pełni we własne oszustwo, które - jak miał nadzieję - doprowadzi go bezpiecznie przez pogrążoną w niemal całkowitym bezprawiu okolicę do...

Dokąd? Po wszystkich tych latach Gordon nadal nie był pewien, czego właściwie szuka.

Być może tylko kogoś, kto gdzieś tam wzięł na siebie odpowiedzialność. Starał się jakoś przeciwdziałać nadejściu ciemnego wieku. Potrząsnął głową. Po wszystkich tych latach marzenie nadal nie chciało umrzeć.

Włożył list do starej koperty, nalał trochę wosku ze świecy i odcisnął w nim pieczętkę zabraną z poczty w Oakridge. Następnie położył list na "raporcie o postępach", nad którym pracował wcześniej, steku wymysłów adresowanym do urzędników wymyślanego rządu.

Obok koperty leżała jego czapka listonosza. Światło lampy migotało w mosiężnym wyobrażeniu kuriera Pony Express¹²¹, który już od miesięcy był milczącym towarzyszem i mentorem Gordona.

Wpadł na swój nowy plan utrzymania się przy życiu przez czysty przypadek. Teraz jednak mieszkańcy jednego miasteczka po drugim wychodzili z siebie, by w niego uwierzyć, zwłaszcza gdy faktycznie dostarczał listy z miejsc, które odwiedził uprzednio. Wydawało się, że po wszystkich tych latach ludzie nadal tęsknią rozpaczliwie za minionym, wspaniałym wiekiem - erą czystości, porządku i wielkiej ojczyzny, którą utracili. Tęsknota ta odnosiła zwycięstwo nad goryczą ich sceptycyzmu, niczym wiosenna odwilż krusząca skuwające strumień lody.

Gordon stłumił rodzące się poczucie wstydu. Nikt, kto przeżył minione siedemnaście lat, nie zachował niewinności, a wydawało się, że jego oszustwo naprawdę niesie trochę dobra miasteczkom, przez które przechodził. Sprzedawał nadzieję w zamian za prowiant i nocleg.

Robiło się to, co było konieczne.

Ktoś dwa razy donośnie zastukał w drzwi.

- Proszę! - zawołał Gordon.

Do środka wsadził głowę Johnny Stevens, świeżo mianowany zastępca naczelnika poczty w Cottage Grove. Jego chłopięcą twarz pokrywał świeżo wyrosły jasny meszek. Kościste nogi młodzieńca świadczyły, że jest mocny w marszu na przełaj. Uważano go też za znakomitego strzelca.

Kto wie? Niewykluczone nawet, że doręczy pocztę.

- Hmm, przepraszam? - Johnny najwyraźniej nie chciał przeszkadzać mu w ważnych zajęciach. - Jest już ósma. Czy pamięta pan, że burmistrz chciał wypić z panem piwo w pubie, bo to pana ostatni wieczór w mieście?

Gordon wstał.

- Masz rację, Johnny. Dziękuję.

Złapał czapkę i kurtkę, a także lipny raport oraz list do pani Thompson.

- Proszę. To jest oficjalna przesyłka, którą masz doręczyć podczas pierwszego kursu do Culp Creek. Naczelnikiem poczty jest tam Ruth Marshall i oczekuje czyjś przybycia. Tamtejsi ludzie przyjmą cię dobrze.

Johnny ujął koperty tak, jakby były zrobione z motyli skrzydeł.

- Będę je chronił z narażeniem życia, panie inspektorze. - W oczach młodzieńca lśniły duma i determinacja, które pozwalały przypuszczać, że nigdy nie chciałby zawieść swojego zwierzchnika.

- O czym ty mówisz! - warknął Gordon. Ostatnią rzeczą, której pragnął, było to, by szesnastolatek ucierpiał w ochronie urojenia. - Będziesz się kierował zdrowym rozsądkiem, tak jak ci kazałem.

Johnny przełknął ślinę i skinął głową, lecz Gordon nie był bynajmniej pewien, czy został właściwie zrozumiany. Oczywiście najpewniej skończy się tym, że chłopak przeżyje ekscytującą przygodę, zapuszczając się leśnymi ścieżkami dalej niż ktokolwiek z jego wioski od ponad dziesięciu lat, a potem wróci jako bohater z mnóstwem opowieści. Wśród tych wzgórz było jeszcze trochę samotnych surwiwalistów, lecz tak daleko na północ od okolic Rogue River istniały wszelkie szanse, że Johnny dotrze do Culp Creek i wróci cały i zdrowy.

Gordon niemal przekonał o tym sam siebie.

Wypuścił z płuc powietrze i uściśnął ramię młodzieńca.

- Twój kraj nie wymaga od ciebie, byś za niego zginął, Johnny, lecz byś ocalił życie i służył mu dalej. Potrafisz to zapamiętać?

- Tak jest. - Chłopak skinął głową z powagą. - Rozumiem.

Gordon odwrócił się, by zdmuchnąć świece.

Johnny musiał grzebać w ruinach starego urzędu pocztowego w Cottage Grove, gdyż w korytarzu Gordon zauważył, że na ręcznie tkanej koszuli chłopaka widniał teraz dumnie naramiennik z napisem POCZTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH. Jego kolory wciąż były jaskrawe, po prawie dwudziestu latach.

- Zebrałem już dziesięć listów od ludzi z Cottage Grove i pobliskich farm - oznajmił Johnny. - Większość z nich chyba nie zna nikogo na wschodzie, ale i tak piszą, dla zabawy i w nadziei, że ktoś im odpowie.

Wizyta Gordona dała więc chociaż to, że niektórzy ludzie poćwiczyli trochę umiejętność pisania. Było to warte wikt i zakwaterowania na kilka dni.

- Ostrzegłeś ich, że na wschód od Pine View poczta wędruje jeszcze powoli i nie ma żadnych gwarancji?

- Jasne. Nic im to nie przeszkadza.

Gordon uśmiechnął się.

- W takim razie w porządku. Zresztą poczta i tak zawsze przekazywała głównie fantazje.

Chłopak popatrzył na niego zakłopotany, ale Gordon włożył czapkę na głowę i nie powiedział już nic.

* * *

Odkąd opuścił ruiny Minnesoty, tak dawno temu, widział niewiele wiosek równie zamożnych i najwyraźniej szczęśliwych jak Cottage Grove. Farmy produkowały teraz przeważnie nadwyżki plonów. Milicja była dobrze wyszkolona i - w przeciwieństwie do Oakridge - nie stanowiła narzędzia ucisku. W miarę jak nadzieja odnalezienia prawdziwej cywilizacji słabła, Gordon miał coraz skromniejsze marzenia, aż wreszcie miejsce takie, jak to, wydało mu się niemal rajem.

O ironio - to samo oszustwo, które przeprowadziło go bezpiecznie przez pełne podejrzliwych mieszkańców górskie sioła, uniemożliwiało mu teraz pozostanie tutaj. By podtrzymać iluzję, musiał ruszyć w dalszą drogę.

Wszyscy tu w niego uwierzyli. Gdyby złudzenie, które stworzył, załamało się, z pewnością nawet porządni ludzie zwróciliby się przeciwko niemu.

Otoczona palisadą wioska zajmowała jeden narożnik przedwojennego Cottage Grove. Lokalny pub był wielką, komfortową piwnicą z dwoma dużymi kominkami oraz barem, za którym serwowano gorzkie piwo miejscowej produkcji w wysokich glinianych kufkach z przykrywką.

Burmistrz Peter Von Kleek siedział w łożu w rogu, pogrążony w poważnej rozmowie z Erykiem Stevenssem, dziadkiem Johnny'ego i świeżo mianowanym naczelnikiem poczty w Cottage Grove. Gdy Gordon i Johnny weszli do pubu, obaj mężczyźni ślęczeli nad egzemplarzem "przepisów

federalnych”.

Jeszcze w Oakridge Gordon wydrukował kilkadziesiąt kopii na ręcznym powielaczu, który znalazł i zdołał uruchomić na starej, opuszczonej poczcie. Poświęcił tym okólnikom bardzo wiele zastanowienia i uwagi. Musiały mieć posmak autentyczności, lecz jednocześnie nie stanowić wyraźnego zagrożenia dla miejscowych watazków, nie dawać im powodu do obaw przed mitycznymi Odrodzonymi Stanami Zjednoczonymi... czy samym Gordonem.

Te kartki były, jak dotąd, jego najbardziej natchnionym rekwizytem.

Peter Von Kleek, wysoki człowiek o wymizerowanej twarzy, wstał i uściśnął dłoń Gordona, wskazując mu gestem, by usiadł. Barman podbiegł do nich z dwoma wysokimi kuflami brązowego, mętnego piwa. Było oczywiście ciepłe, lecz smakowało znakomicie. Jak pumpernikiel. Burmistrz czekał, pykając nerwowo z glinianej fajki, dopóki Gordon nie odstawił kufla cmoknąwszy z westchnieniem.

Von Kleek nagroził skinieniem głowy dający się wywnioskować komplement. Jego twarz wciąż jednak była zaszępiła. Stuknął palcem w leżący przed nim papier.

- Te przepisy nie są zbyt szczegółowe, panie inspektorze.

- Proszę mówić mi Gordon. Obecne czasy nie sprzyjają formalnościom.

- Hmm, tak, Gordon. Mów mi Peter.

Burmistrz był wyraźnie zakłopotany.

- No więc dobrze, Peter - Gordon skinął głową. - Odrodzone Stany Zjednoczone otrzymały kilka surowych lekcji. Jedna z nich mówiła, że nie należy narzucać sztywnych norm dalekim okręgom, mającym problemy, których w Saint Paul nie potrafią sobie nawet wyobrazić, a co dopiero regulować.

Rozpoczął jedną z przemów, które zawsze miał w pogotowiu.

- Istnieje na przykład problem pieniędzy. Większość osad zrezygnowała z przedwojennej waluty wkrótce po zamieszkach towarzyszących plądrowaniu magazynów żywności. Regułą jest handel wymienny. Na ogół sprawdza się on całkiem nieźle, z wyjątkiem przypadków, gdy odpracowywanie długów zmienia się w formę niewolnictwa.

To akurat było prawdą. Podczas swych podróży Gordon wszędzie widział odradzanie się różnych wersji feudalnej pańszczyzny. Pieniądze znaczyły tyle co nic.

- Federalny rząd w Saint Paul ogłosił starą walutę za nieważną. Banknotów i monet jest po prostu za dużo dla mało wydajnej rolniczej gospodarki. Staramy się jednak zachęcać do rozwoju handlu. Na przykład przyjmujemy stare dwudolarowe banknoty jako opłatę pocztową za listy dostarczane przez Poczta Stanów Zjednoczonych. Nigdy nie było ich zbyt wiele, a przy obecnym poziomie techniki nie sposób ich podrobić. Akceptujemy również srebrne monety sprzed tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku.

- Zebraliśmy już przeszło czterdzieści dolarów! - przerwał mu Johnny Stevens. - Ludziska wszędzie szukają tych starych banknotów i monet. Zaczęli też spłacać nimi długi.

Gordon wzruszył ramionami. Już się zaczęło. Czasami drobne szczegóły, które dodawał do swej opowieści, aby zwiększyć jej wiarygodność, zaczynały żyć własnym życiem w sposób, jakiego nigdy się nie spodziewał. Nie sądził, by odrobina pieniędzy wprowadzona z powrotem do obiegu dzięki wartości, jaką dał jej miejscowy mit o “Odrodzonych Stanach Zjednoczonych”, mogła zrobić tym ludziom wiele krzywdy.

Von Kleek skinął głową. Przeszedł do następnej sprawy.

- Ten fragment mówiący, że nie powinien istnieć przymus oraz że należy urządzać wybory... - puknął palcem w kartkę. - No więc, mamy coś w rodzaju regularnych miejskich zebrań, a kiedy

dzieje się coś ważnego, zbierają się też ludzie z okolicznych wiosek. Nie mogę jednak w zgodzie z prawdą twierdzić, że ja czy mój szef milicji zostaliśmy naprawdę wybrani... nie w prawdziwych, tajnych wyborach, o jakich tu piszą. - Potrząsnął głową. - Musieliśmy też podjąć dość drastyczne kroki, zwłaszcza we wczesnych dniach. Mam nadzieję, że nie spotkają nas za to zbyt ciężkie zarzuty, panie inspe... Gordon. Naprawdę robiliśmy, co mogliśmy. Na przykład, mamy tu szkołę. Większość młodszych dzieciaków uczy się, gdy skończą się żniwa. Możemy też zacząć gromadzić maszyny i urządzać głosowania, jak tutaj piszą... - Von Kleek chciał, by Gordon go uspokoił. Starał się patrzeć mu w oczy. Gość jednak wznosił kufel piwa, by uniknąć jego spojrzenia.

Było to jedno z najbardziej przewrotnych zjawisk, z jakimi spotkał się podczas swych podróży: ci, którzy ulegli barbarzyństwu w najmniejszym stopniu, najbardziej wstydzili się tego, że w ogóle mu ulegli.

Odkaslnął.

- Mam wrażenie... mam wrażenie, że zrobiłeś tu całkiem niezłą robotę, Peter. Zresztą przeszłość jest mniej ważna od przyszłości. Nie sądzę, byś musiał się martwić o możliwość ingerencji rządu federalnego.

Na twarzy Von Kleeka pojawił się wyraz ulgi. Gordon był pewien, że za parę tygodni odbędą się tu tajne wybory. A ludzie z tej okolicy sami będą sobie winni, jeśli wybiorą na swego przywódcę kogoś innego zamiast tego gburowatego, rozsądnego człowieka.

- Dziwi mnie jedna rzecz.

Mówiącym był Eryk Stevens. Dziarski staruszek był najlepszym kandydatem na naczelnika poczty. Kierował miejscowym punktem handlowym, a do tego był najlepiej wykształconym człowiekiem w miasteczku, gdyż ukończył przedwojenny college.

Następnym powodem był fakt, że Stevens okazał się najbardziej podejrzliwy, gdy kilka dni temu do osady przybył Gordon, ogłaszając nową erę dla Oregonu pod rządami "Odrodzonych Stanów Zjednoczonych". Mianowanie go naczelnikiem poczty najwyraźniej pozbawiło go podejrzliwości i sprawiło, że uwierzył, choćby tylko dla własnego prestiżu i zysku.

Tylko uboczne znaczenie miała okoliczność, że zapewne wykona dobrą robotę - przynajmniej dopóki mit będzie trwał.

Stary Stevens przesunął swój kufel na stole, pozostawiając szeroki, owalny pierścień.

- Nie mogę się połapać, dlaczego nikt dotąd nie dotarł tu z Saint Paul. Wiem, że musiał pan pokonać kupę dzikich terenów, i to - jak pan mówił - prawie w całości na piechotę. Chcę się jednak dowiedzieć, dlaczego nie wysłali po prostu kogoś samolotem?

Za stołem zapadła na chwilę cisza. Gordon wyczuwał, że siedzący w pobliżu tubylcy również się przysłuchują.

- Ech, dziadku! - Johnny Stevens potrząsnął głową ze wstydu za staruszka. - Czy nie wiesz, jak okropna była wojna? Wszystkie samoloty i skomplikowane maszyny zniszczył ten impuls, który rozwalił radia i inne takie rzeczy na samym początku! A potem nie było już nikogo, kto potrafiłby je naprawić. I nie ma części zamiennych!

Gordon zamrugał powiekami. Przez moment czuł się zaskoczony. Ten chłopak był niezły! Urodził się po upadku przemysłowej cywilizacji, a mimo to rozumiał zasadnicze sprawy.

Rzecz jasna wszyscy wiedzieli o elektromagnetycznych impulsach pochodzących od potężnych bomb wodorowych, które wybuchły wysoko w przestrzeni kosmicznej. Zniszczyły one urządzenia elektroniczne na całym świecie już pierwszego, strasznego dnia. Johnny rozumiał jednak coś więcej: to jak pełna wzajemnych zależności jest oparta na maszynach kultura.

Niemniej, jeśli chłopak był inteligentny, musiał to mieć po dziadku. Starszy Stevens popatrzył z

przekąsem na Gordona.

- Zgadza się, inspektorze? Nie ma części zamiennych ani mechaników?

Gordon wiedział, że to wyjaśnienie nie wytrzyma dokładniejszej analizy. Pobłogosławił długie, nudne godziny wędrówki po zniszczonych drogach za Oakridge. Opracował wtedy swą opowieść w najdrobniejszych szczegółach.

- Nie. Niezupełnie. Promieniowanie impulsowe, wybuchy oraz opad radioaktywny zniszczyły bardzo wiele. Drobnoustroje, zamieszki i trzyletnia zima zabiły wielu wykwalifikowanych ludzi. Tak naprawdę jednak nie trzeba było dużo czasu, by na nowo uruchomić niektóre maszyny. Już po kilku dniach przygotowano do lotu samoloty. Odrodzone Stany Zjednoczone mają ich dziesiątki, naprawionych, sprawdzonych i czekających, by je wykorzystać. Ale nie mogą wystartować. Wszystkie są unieruchomione i tak pozostanie przez wiele lat.

Staruszek zrobił zdziwioną minę.

- Dlaczego, inspektorze?

- Z tego samego powodu, dla którego nie odbierze pan żadnego programu, nawet gdyby zmontował pan działające radio - odparł Gordon. Przerwał dla większego efektu. - Przez lasery satelitarne.

Peter Von Kleek walnął dłonią w stół.

- Sukinkoty!

Wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę.

Eryk Stevens westchnął, spoglądając na Gordona z wyrazem całkowitego zaufania... albo podziwu dla łgarza lepszego niż on.

- Co... co to są las...

- Lasery satelitarne - powiedział dziadek Johnny'ego. - Wygraliśmy wojnę - skomentował parsknięciem sławetne minimalne zwycięstwo, które otrąbiono w ciągu tygodni przed wybuchem zamieszek. - Ale nieprzyjacielowi musiało jeszcze zostać na orbicie trochę uśpionych satelitów. Zaprogramował je tak, by odczekały kilka miesięcy albo lat, a potem niech coś spróbuje choć pisnąć przez radio albo polecieć i trach! - przeciął powietrze zdecydowanym ruchem dłoni. - Nic dziwnego, że nic nigdy nie złapałem na moim kryształkowym odbiorniku!

Gordon skinął głową. Ta historia tak dobrze zgadzała się z faktami, że mogła być nawet prawdziwa. Szczerze żywił taką nadzieję. Tłumaczyłoby to ciszę oraz pustkę na niebie bez konieczności przyjęcia założenia, że świat jest całkowicie pozbawiony cywilizacji.

I jak inaczej wyjaśnić stopy żużla pozostałe po tak wielu antenach radiowych, które widział po drodze?

- A co rząd robi w tej sprawie? - zapytał z przejęciem Von Kleek.

"Bajki" - pomyślał Gordon. Jego kłamstwa będą się stawać coraz bardziej zawile w miarę trwania podróży, aż wreszcie ktoś go na nich przyłapie.

- Została jeszcze garstka uczonych. Mamy nadzieję znaleźć w Kalifornii urządzenia umożliwiające produkcję i wystrzeliwanie rakiet orbitalnych.

Pozwolił im domyślić się implikacji.

Miny jego rozmówców wyrażały rozczarowanie.

- Gdyby tylko było można strącić te cholerne satelity wcześniej - wtrącił się burmistrz. - Pomyślcie o wszystkich tych samolotach, które stoją tam bezużytecznie! Czy potraficie sobie wyobrazić, jak by się zdziwiła następna banda holnistów znad cholernej Rogue River, gdyby się przekonała, że my, farmerzy, mamy wsparcie amerykańskiego lotnictwa i kilka skubanych A-10!

Krzyknął głośno i zaczął wykonywać dłońmi ruchy naśladujące nurkowanie samolotów.

Następnie zaprezentował całkiem udaną imitację karabinu maszynowego. Gordon roześmiał się wraz z całą resztą. Niczym chłopcy pograżyli się na chwilę w marzeniach o ocaleniu i władzy spoczywającej w rękach porządnym ludzi.

Teraz, gdy wyglądało na to, że burmistrz i inspektor pocztowy zakończyli już służbową rozmowę, wokół zgromadzili się inni ludzie. Ktoś wyciągnął harmonijkę ustną. Johnny'emu Stevensowi wręczono gitarę. Okazał się całkiem utalentowany. Wkrótce śpiewano już sprośne piosenki ludowe i stare komercyjne hity.

Nastrój był znakomity. Nadzieja wisiała w powietrzu niczym zawiesina w ciepłym, ciemnym piwie. Smakowała przynajmniej równie dobrze jak ono.

Dopiero późnym wieczorem usłyszał to po raz pierwszy. Gdy wracał z ubikacji - uradowany, że w Cottage Grove zachowano w jakiś sposób kanalizację, choćby nawet napędzaną tylko siłą grawitacji - Gordon zatrzymał się nagle obok schodów od zaplecza.

Dobiegł go jakiś dźwięk.

Zgromadzeni przy kominku śpiewali: "Zbierzcie się posłuchać opowieści, opowieści o fatalnej wędrówce..."

Uniósł lekko głowę. Czy ten szmer stanowił tylko twór jego wyobraźni? Dźwięk był cichy, a Gordonowi i tak już szumiało w głowie od wypitego piwa.

Dziwne, intuicyjne wrażenie, które odczuwał jakby gdzieś u podstawy szyi, nie chciało go jednak opuścić. Sprawilo, że się odwrócił i zaczął wspinać się w górę po stromych schodach do budynku wznoszącego się nad znajdującym się w piwnicy pubem.

Na półpiętrze wąską klatkę schodową oświetlała słaba świeczka. Radosne głosy rozśpiewanego, podbitego towarzystwa ucichły za jego plecami, gdy wchodził powoli i ostrożnie po trzeszczących stopniach.

Kiedy dotarł na szczyt schodów, znalazł się w mrocznym korytarzu. Nasłuchiwał bezowocnie przez - jak mu się zdawało - długi czas. Po kilku chwilach odwrócił się, składając wszystko na karb przeciążonej wyobraźni.

I wtedy usłyszał to znowu.

...seria słabych, niesamowitych dźwięków, na samej granicy słyszalności. Przywołane przez nie na wpół zatarte wspomnienia sprawiły, że po plecach Gordona przebiegły ciarki. Nie słyszał nic takiego od... od bardzo, bardzo dawna.

Na końcu zakurzonego korytarza w słabym świetle rysowała się spękana futryna drzwi. Podeszedł do nich cicho.

"Blup!"

Dotknął zimnej metalowej gałki. Nie była zakurzona. Ktoś już był w środku.

"Ła-ła..."

Nie czuł ciężaru rewolweru - gdyż pozostawił go w pokoju w rzekomo bezpiecznym Cottage Grove - a to sprawiało, że czuł się na wpół nagi, gdy obrócił gałkę i otworzył drzwi.

Zakurzony brezent pokrywał ustawione w stosy skrzynie wypełnione najróżniejszymi rzeczami: mnóstwem opon, narzędziami, nawet meblami. Tubylcy zgromadzili ten skarbiec z myślą o niepewnej przyszłości. Za jednym z szeregów znajdowało się źródło słabego, migotliwego światła. Słysząc było ciche głosy szepczące z niecierpliwym podnieceniem. I ten dźwięk...

"Blup. Blup!"

Gordon skradał się wzdłuż stosów pokrytych pleśnią pak, przypominających niestabilne urwiska zbudowane z prastarych skał osadowych. W miarę jak zbliżał się do końca szeregu, odczuwał

narastające napięcie. Luna obejmowała coraz większą przestrzeń. Było to zimne światło, któremu nie towarzyszył żar.

Klepka w podłodze zaskrzypiała pod jego stopami.

Pięć twarzy wyglądających w niezwykłym świetle jak wypukłe płaskorzeźby zwróciło się nagle w górę. Gordonowi zaparło na chwilę dech w piersiach. Zobaczył, że to dzieci. Spoglądały na niego z pełną przerażenia czcią - tym większą, że niewątpliwie go rozpoznały. Oczy miały szeroko otwarte. Nie poruszyły się.

Gordona jednak nie obchodziło nic poza pudełkowatym przedmiotem, który leżał na owalnym dywaniku w środku tego małego zgromadzenia. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Wzdłuż dolnej krawędzi ciągnął się szereg maleńkich guzików. Na środku znajdował się płaski, szary ekran lśniący perłową poświatą.

Różowe pajaki wyłaziły z latających talerzy i posuwały się władcym krokiem przez ekran w rytm chrzęszczącego marsza. Gdy docierały bez oporu do jego dolnej krawędzi, beczały na znak triumfu, po czym ich szeregi przegrupowywały się i atak zaczynał się od nowa.

Gordonowi zaschło w gardle.

- Skąd... - wydyszał.

Dzieci podniosły się. Jeden z chłopców przełknął ślinę.

- Słucham pana?

Gordon wskazał palcem urządzenie.

- Skąd, na wszystko, co święte, to macie? - Potrząsnął głową. - A co ważniejsze... skąd macie baterie!

Jedno z dzieci rozplakało się.

- Proszę pana, nie wiedzieliśmy, że to coś złego. Timmy Smith powiedział nam, że to tylko gra, w jaką bawiły się dawniej dzieciaki! Znajdujemy je wszędzie, ale nie chcą już działać...

- Kto to jest Timmy Smith? - zapytał Gordon.

- Jeden chłopak. Jego tata od paru lat przyjeżdża z Creswell z pełnym wozem towaru. Timmy zamienił tę jedną grę na dwadzieścia starych, które znaleźliśmy i które nie działały.

Gordon przypomniał sobie mapę, którą wczesnym wieczorem oglądał w pokoju. Creswell leżało niedaleko stąd na północ, nieopodal trasy, którą zamierzał udać się do Eugene.

“Czy to możliwe?” Poczł nadzieję zbyt nagłą i gorącą, by mógł się nią cieszyć, czy choćby ją rozpoznać.

- A czy Timmy Smith powiedział, skąd ma tę zabawkę?

Starał się nie spłoszyć dzieci, lecz podniecenie z pewnością dawało się słyszeć w jego głosie i przstraszyło je.

- Powiedział, że dostał ją od Cyklopa! - zakwiliła jedna z dziewczynek.

Wtem, w przypiływie paniki, dzieci rzuciły się do ucieczki, znikając w ciasnych zaułkach zakurzonego magazynu. Gordon został nagle sam. Stał bez ruchu, obserwując maleńkich najeźdźców z kosmosu, posuwających się w dół po małym, lśniącem, szarym ekranie.

- Chrzrz... chrzrz... chrzrz... - maszerowali.

“Blup!” - zabrzmiało triumfalnie. Potem wszystko ruszyło od początku.

3. EUGENE

Sapiąc donośnie, kucyk włókł się w przemaczającej wszystko mżawce, prowadzony przez mężczyznę w przeciwdeszczowym ponczo. Miał na sobie tylko siodło oraz dwie wypchane torby, owinięte chroniącą przed przemoczeniem folią.

Szara międzystanowa autostrada lśniła wilgocią. Głębokie kałuże w betonie przypominały małe jeziora. W ciągu powojennych lat suszy wiatry pokryły czteropasmową szosę ziemią. Później, gdy znowu powróciły nadciągające z północnego zachodu deszcze, zaczęła na niej rosnąć trawa. Większa część autostrady zmieniła się we wstęgę łąki, płaski wyłom wśród porośniętych lasem wzgórz, wznoszących się nad spienioną rzeką.

Gordon podniósł swój przeciwdeszczowy strój niczym namiot, aby popatrzeć na mapę. Z przodu, po prawej stronie, gdzie południowa i wschodnia odnoga Willamette łączyły się ze sobą, nim rzeka skręcała na zachód między Eugene i Springfield, powstały wielkie moczary. Według przedwojennej mapy pod nimi znajdował się nowoczesny parking. Teraz nad bagno wystawały jedynie nieliczne stare dachy. Gładkie pasy ruchu, miejsca postoju i trawniki stały się królestwem wodnego ptactwa, które sprawiało wrażenie, że wilgoć nie przeszkadza mu w najmniejszym stopniu.

W Creswell poinformowano Gordona, że w niedalekiej odległości, na północy, autostrada międzystanowa staje się niemożliwa do przebycia. Będzie musiał przejść przez samo Eugene, znaleźć stojący nadal most na rzece, a potem w jakiś sposób wrócić na autostradę, by dotrzeć do Coburga.

Ludzie z Creswell nie potrafili podać zbyt wielu szczegółów. Od czasu wojny dotarli tu tylko nieliczni wędrowcy.

“Nic nie szkodzi. Eugene już od miesięcy było jednym z moich celów. Obejrzymy sobie, jak teraz wygląda”.

Ale pobieźnie. Miasto stało się dla niego jedynie kamieniem milowym na drodze ku większej tajemnicy, czekającej dalej na północy.

Żywioty nie zmogły jeszcze międzystanowej autostrady. Mogła być porośnięta trawą i pełna kałuż, lecz tylko na zwalonych mostach, które mijał po drodze, nadal widać było wyraźne ślady zniszczenia. Wyglądało na to, że gdy ludzie budują porządnie, tylko czas lub inni ludzie mogą zniszczyć ich dzieła. “A oni budowali porządnie” - pomyślał Gordon. Być może przyszłe pokolenia Amerykanów, które będą wałęsać się po lasach, zjadając się nawzajem, uznają te budowle za dzieło bogów.

Potrząsnął głową. “To deszcz. Miesza mi się od niego we łbie”.

Wkrótce natknął się na wielką tablicę pogrążoną do połowy w kałuży. Odtrącił nogą gruzy i przyklęknął, by zbadać przerdzewiały szyld, całkiem jak tropiciel odczytujący na leśnej ścieżce wystygły ślad.

- Trzydziesta Aleja - przeczytał na głos.

Szeroka droga zapuszczała się między wzgórz na zachodzie, oddalając się od autostrady. Według mapy śródmieście Eugene znajdowało się tuż za porośniętym lasem wzgórzem.

Wstał i klepnął swe juczne zwierzę.

- Jazda, Chabeta. Machnij ogonem na znak skrętu w prawo. Zjeżdżamy z autostrady na zwykłe, miejskie ulice.

Koń sapnął z pełnym stoicyzmem, gdy Gordon pociągnął go delikatnie za wodze i poprowadził w dół wyjazdem z autostrady, a potem powiódł pod nią i ruszył w górę zbocza, kierując się na zachód.

Ze szczytu wzgórza wydawało się, że opadająca powoli mgła łagodzi w jakiś sposób szpetotę zniszczonego miasta. Deszcze dawno już zmyły ślady ognia. Powoli rozrastające się w górę brody zielska wylażące ze szczelin nawierzchni pokryły wiele budynków, ukrywając ich rany.

Ludzie z Creswell uprzedzali go, czego ma się spodziewać. Mimo to przybycie do martwego miasta nigdy nie było łatwe. Gordon zszedł w dół, na upiorne ulice pokryte odłamkami szkła. Mokra od deszczu nawierzchnia lśniła od odłamków stłuczonych szyb z innej epoki.

W niżej położonych częściach miasta na ulicach rosły olchy. Zapуściły one korzenie w ziemi pozostałej po rzece błota, która wlała się do Eugene po przerwaniu tam w Fall Creek i Lookout Point. Zniszczenie tych rezerwuarów unicestwiło Autostradę 58 na zachód od Oakridge, co zmusiło Gordona do ruszenia dłuższą trasą południowo-zachodnią przez Curtin, Cottage Grove i Creswell, nim wreszcie ponownie skierował się na północ.

Zniszczenia były dosyć poważne. “A mimo to trzymali się tutaj, pomyślał Gordon. Wszystkie relacje mówią, że omal im się nie udało”.

W Creswell, w przerwach między spotkaniami i uroczystościami - wyborami nowego naczelnika poczty oraz ekscytującymi planami rozszerzenia nowo powstałej sieci pocztowej na wschód i zachód - miejscowi obywatele raczyli Gordona opowieściami o bohaterskiej walce toczonej w Eugene. Mówili o mieście, które usiłowało przetrwać przez cztery długie lata po tym, jak wojna i epidemie odcięły je od świata zewnętrznego. Osobliwy sojusz społeczności uniwersyteckiej z wiejskimi kmiotkami umożliwił państwu-miastu przewyciężenie wszystkich grózb... aż wreszcie unicestwiły je bandyckie gangi, które wysadziły w powietrze wszystkie tamy jednocześnie, odcinając zarówno dopływ energii, jak i wolnej od zanieczyszczeń wody.

Była to już legenda, przypominająca niemal historię o upadku Troi. Mimo to, w głosach tych, którzy ją opowiadali, nie było słychać rozpacz. Wydawało się raczej, że traktują teraz tę katastrofę jako przejściowe niepowodzenie, którego skutki da się odwrócić jeszcze za ich życia.

Creswell bowiem jeszcze przed przybyciem Gordona ogarnęła gorączka optymizmu. Jego opowieść o “Odrodzonych Stanach Zjednoczonych” była drugim zastrzykiem dobrych wieści, jaki otrzymało miasteczko w ciągu niespełna trzech miesięcy.

Zimą przybył inny gość - tym razem z północy; uśmiechnięty mężczyzna w biało-czarnej szacie - który zaczął rozdawać dzieciom zdumiewające dary, a potem oddalił się z magicznym imieniem “Cyklop” na ustach.

“Cyklop” - mówił nieznajomy.

Cyklop wszystko naprawi. Cyklop ponownie przyniesie światu wygodę i postęp oraz uratuje wszystkich przed harówką i nie kończącą się beznadziejnością, dziedzictwem wojny zagłady.

Ludzie musieli jedynie gromadzić starą maszynię, zwłaszcza elektroniczną. Cyklop przyjmie od nich w darze bezużyteczny, zniszczony sprzęt, a może także trochę zbywającej żywności, by wykarmić swoje dobrowolne sługi. W zamian za to da mieszkańcom Creswell funkcjonujące urządzenia.

Zabawki stanowiły jedynie zapowiedź tego, co miało nadejść. Któregoś dnia otrzymają prawdziwe cuda.

Gordon nie zdołał wyciągnąć od ludzi z Creswell żadnych sensownych informacji. Byli zbyt nieprzytomnie szczęśliwi, aby zachowywać się w pełni logicznie. Połowa z nich uważała, że “Odrodzone Stany Zjednoczone” kryją się za Cyklopem, druga połowa zaś sądziła, że jest na odwrót. Niemal nikomu nie przyszło do głowy, że oba cuda mogą nie mieć ze sobą związku - dwie szerzące się legendy spotykające się ze sobą w głuszy.

Gordon nieodważył się wyprowadzać ich z błędu ani zadawać zbyt wielu pytań. Odjechał tak

szybko, jak tylko mógł - obładowany większą liczbą listów niż kiedykolwiek - zdecydowany podążyć za opowieścią ku jej źródłu.

Około południa skręcił na północ w ulicę Uniwersytecką. Lekki deszczyk nie przeszkadzał mu zbyt. Mógł poświęcić trochę czasu na zbadanie Eugene, a i tak jeszcze zdąży przed nastaniem nocy do Coburga, gdzie podobno istniała osada szabrowników. Gdzieś dalej na północ znajdowało się terytorium, z którego wyruszyli zwolennicy Cyklopa, aby roznieść wieści o niezwykłym wybawieniu, które mogli zaoferować.

Przechodząc szybko obok wypalonych budynków, Gordon zastanawiał się, czy w ogóle powinien próbować swego numeru z "listonoszem". Przypomnił sobie małe pająki i latające talerze, które błyszczały w ciemności. Trudno mu było nie poczuć nadziei.

Może nadszedł czas, by zrezygnować wreszcie z tego oszustwa i znaleźć coś rzeczywistego, w co mógłby uwierzyć. Może ktoś wreszcie rozpoczął walkę z ciemnym wiekiem.

Przebłysk nadziei był zbyt słodki, by z niego zrezygnować, lecz zarazem zbyt delikatny, by chwycić się go mocno.

Zniszczone wystawy sklepowe opuszczonego miasta ustąpiły wreszcie miejsca Osiemnastej Alei oraz kampusowi Uniwersytetu Stanu Oregon. Rozległe boisko porastały teraz młode olchy i osiki. Niektóre miały ponad dwadzieścia stóp wysokości. Wreszcie, obok starej sali gimnastycznej, Gordon zwolnił, a potem zatrzymał się nagle, nakazując kucykowi stanąć.

Zwierzę parsknęło i zaczęło grzebać kopytem w ziemi. Gordon wsłuchał się uważnie. Po chwili poczuł pewność.

Gdzieś, być może niezbyt daleko, ktoś krzyczał.

Słabe wołanie osiągnęło crescendo, a potem ucichło. Był to głos kobiety, przepelniony bólem i śmiertelnym strachem. Gordon odsunął pokrywę kabury i wyciągnął rewolwer. Czy głos dobiegał z północy? Ze wschodu?

Pogrążył się w półdzungli krzewiącej się między budynkami uniwersyteckimi. Pośpiesznie poszukiwał miejsca, w którym mógłby się ukryć. Od czasu gdy kilka miesięcy temu opuścił Oakridge, szło mu zbyt łatwo i dlatego nabrał złych nawyków. Zakrawało na cud, że nikt go nie usłyszał, gdy laził po tych opustoszałych ulicach, jakby był ich właścicielem.

Przeprowadził kucyka przez szeroko otwarte drzwi pokrytej łupkową dachówką sali gimnastycznej i uwiązał zwierzę za szeregiem składanych krzesełek. Wysypał tuż obok trochę owsa, lecz zostawił na miejscu siodło wraz z popręgiem.

"I co teraz? Przeczekamy to, czy sprawdzimy, co się dzieje?"

Wydobył łuk i kołczan. Umocował cięciwę. W takim deszczu ta broń była zapewne pewniejsza, a już z pewnością cichsza niż jego karabin czy rewolwer.

Wepchnął jeden z wypchanych listami worków do przewodu wentylacyjnego tak, by nie można go było zobaczyć. Gdy szukał miejsca, w którym mógłby ukryć drugi, zdał sobie nagle sprawę, co robi.

Uśmiechnął się z ironią na myśl o swej chwilowej głupocie. Zostawił drugi worek na podłodze i wyruszył na spotkanie kłopotów.

Dźwięki dobiegały z ceglanego budynku wznoszącego się tuż przed nim. Długi szereg jego szklanych okien lśnił jeszcze. Najwyraźniej rabusie uważali, że nie warto zawracać sobie głowy tym obiektem.

Gordon słyszał teraz słabe, stłumione głosy, ciche rżenie koni oraz skrzypienie uprząży.

Nie wypatrzywszy na dachu ani w oknach żadnych obserwatorów, przemknął przez porośnięte

chwastami trawnik i szerokie, betonowe schody, po czym przycisnął się do drzwi za rogiem budynku. Oddychał przez otwarte usta, by zachować ciszę.

Drzwi wyposażone były w starodawną, zardzewiałą kłódkę. Umieszczono na nich plastikową tabliczkę z wygrawerowanym napisem:

AKADEMIK IMIENIA THEODORE'A STURGEONA

Otwarty w maju 1989

Bar samoobsługowy czynny

11-14.30, 17-20

Głosy dobiegały tuż zza drzwi... były jednak zbyt stłumione, by można było coś zrozumieć. Biegające na zewnątrz budynku schody prowadziły na kilka górnych pięter. Gordon cofnął się i zauważył o trzy kondygnacje wyżej uchylone drzwi.

Wiedział, że po raz kolejny zachowuje się jak głupiec. Teraz, kiedy już zlokalizował zagrożenie, naprawdę powinien zabrać kucyka i zmiatać stąd do wszystkich diabłów, tak szybko, jak tylko mógł.

Odgłosy dobiegające ze środka stały się gwałtowne. Przez szczelinę w drzwiach Gordon usłyszał uderzenie. Rozległ się pełen bólu krzyk kobiety, a potem grubiański śmiech mężczyzny.

Westchnął cicho na myśl o skazie charakteru, która nie kazała mu zwiać, jak postąpiłby każdy, kto miał choć odrobinę oleju w głowie - po czym ruszył w górę po betonowych schodach, uważając, by odbywało się to jak najciszej.

Podłogę za na wpół otwartymi drzwiami pokrywały zgnilizna i pleśń. Dalej jednak trzecie piętro domu studenckiego sprawiało wrażenie nietkniętego. Żadnej z szyb wielkiego świetlika nie wybito, co wydawało się cudem, choć miedzianą ramę pokrywała śniedź. W bijącej z atrium bladej poświacie widać było biegnącą w dół po spirali, wyłożoną dywanami rampę, która łączyła ze sobą wszystkie piętra.

Gdy Gordon zbliżył się ostrożnie do otwartego szybu na środku budynku, odniósł wrażenie, że cofnął się w czasie. Rabusie w ogóle nie tknęli gabinetów organizacji studenckich i stosów papierów, które wydawały się szczególnie absurdalne. Tablice ogłoszeń wciąż pokrywały pociemniałe ze starości zawiadomienia o zawodach sportowych, występach estradowych i wiecach politycznych.

Dopiero na samym końcu widać było kilka jaskrawoczerwonych obwieszczeń dotyczących stanu zagrożenia - ostatniego kryzysu, który uderzył niemal bez ostrzeżenia, przynosząc temu wszystkiemu koniec. W innych miejscach cały ten chaos był sympatyczny w swoim młodzieńczym radykalizmie i entuzjazmie...

Młody...

Gordon popędził dalej. Pognał po spiralnej rampie ku głosom dobiegającym z dołu.

Balkon na pierwszym piętrze wystawał nad centralny hol. Resztę drogi Gordon pokonał, czołgając się.

Na północnej ścianie budynku, po prawej stronie, część szklanej oblicówki wysokości dwóch pięter rozbito, by zrobić miejsce dla dwóch wielkich wozów. Z sześciu koni, uwiązanych przy zachodniej ścianie za szeregiem ciemnych automatów bilardowych, wzbijała się para.

Na zewnątrz, wśród odłamków rozbitego szkła, smętny deszczyk tworzył coraz większe, różowe kałuże wokół czterech leżących na ziemi ciał niedawno powalonych ogniem z broni maszynowej.

Tylko jedna z ofiar zdążyła podczas zasadzki wyciągnąć pistolet. Leżał on w kałuży, w odległości kilku cali od znieruchomiałej dłoni.

Głosy dobiegały z lewej strony, zza zakrętu balkonu. Gordon poczołgał się ostrożnie naprzód i wystawił głowę, by popatrzeć na drugą część pomieszczenia w kształcie litery L.

Na zachodniej ścianie ocalało kilka sięgających sufitu luster, które dały mu dobry widok na leżącą w dole podłogę. W wielkim kominku między dwoma z nich z trzaskiem paliły się porozbijane meble.

Przywarł do spleśniałego dywanu i uniósł głowę na tyle, by dojrzeć czterech ciężko uzbrojonych mężczyzn spierających się przy ogniu. Piąty wylegiwał się na kanapie po lewej stronie, celując leniwie z karabinu maszynowego do pary więźniów - mniej więcej dziewięcioletniego chłopca oraz młodej kobiety.

Czerwony ślad na jej twarzy miał kształt męskiej dłoni. Brązowe włosy były splątane. Tuliła do siebie chłopca, patrząc z obawą na strażników. Wydawało się, że żadne z więźniów nie ma już sił na ły.

Wszyscy brodaci mężczyźni byli ubrani w jednoczęściowe, przedwojenne kombinezony z demobilu o maskującej barwie: zielono-brązowej w szare cętki. Każdy z nich miał w lewym uchu przynajmniej jeden złoty kolczyk.

“Surwiwaliści”. Gordon poczuł przyływ odrazy.

Kiedyś, przed wojną, słowo to miało kilka znaczeń: od kierujących się zdrowym rozsądkiem ludzi przygotowujących się do katastrofy w interesie ogółu aż po antyspołecznych paranoików zbzikowanych na punkcie broni. Z pewnego punktu widzenia być może również samego Gordona można było nazwać “surwiwalistą”. Niemniej po spustoszeniach spowodowanych przez najgorszych z nich zachowało się tylko to drugie znaczenie.

Wszędzie, dokąd docierał podczas swych podróży, reakcja ludzi była taka sama. Bardziej niż wroga, którego bomby i drobnoustroje spowodowały takie zniszczenia podczas wojny tygodniowej, ludzie w niemal każdym spustoszonej okolicy i wiosce winili tych nie uznających prawa macho za straszliwe nieszczęścia, które doprowadziły do ostatecznego upadku.

A najgorsi ze wszystkich byli zwolennicy Nathana Holna, “niech zgnije w piekle”.

Ale w dolinie Willamette miało już nie być żadnych surwiwalistów! W Cottage Grove Gordonowi powiedziano, że ostatnią dużą bandę przegnano kilka lat temu z okolic na południe od Roseburga na pustkowie leżące nad Rogue River!

Co więc te diabły robiły tu teraz? Gordon zbliżył się jeszcze bardziej i wsłuchał w ich słowa.

- No nie wiem, dowódco grupy. Myślę sobie, że lepiej dajmy se już spokój z tym zwiadem. Mieliśmy już kupę niespodzianek przez tego “Cyklopa”, o którym chlapnęła ta dupcia, zanim przestała gadać. Chyba lepiej będzie, jak wrócimy do Site Bravo, do łodzi, żeby zameldować o tym, co znaleźliśmy.

Mówiący był niskim, łysym, żylastym facetem. Stał zwrócony plecami do Gordona, grzejąc sobie dłonie nad ogniem. Przez plecy miał przewieszony samopowtarzalny karabin szturmowy wyposażony w tłumik, skierowany lufą w dół.

Potężny mężczyzna, nazwany “dowódcą grupy”, miał bliznę sięgającą od ucha do brody, tylko częściowo zasłoniętą czarną, upstrzoną plamkami siwizny brodą. Uśmiechnął się, demonstrując kilka przerw w uzębieniu.

- Nie wierzysz chyba w te pierdoły, które opowiadało to babsko, he? Cały ten szajs o wielkim komputerze, który mówi? Co za głupoty! Wciska nam kit, żeby nas zrobić w konia!

- Tak? To jak wytłumaczyć to wszystko?

Niewysoki facet wskazał ręką na wozy. Gordon widział w lustrze róg najbliższego z nich. Był naładowany po brzegi najróżniejszymi rzeczami niewątpliwie znalezionymi tutaj, na uniwersyteckim kampusie. Wydawało się, że zdobycz składa się głównie ze sprzętu elektronicznego.

Żadnych narzędzi rolniczych, ubrań czy biżuterii. Tylko elektronika.

Gordon po raz pierwszy w życiu widział wóz szabrowników wypełniony podobnymi dobrami. Wnioski wynikające z tego faktu sprawiły, że puls załomotał mu w skroniach. W swym podnieceniu ledwo zdążył uchylić się na czas, gdy mikrus odwrócił się, by podnieść coś z sąsiedniego stołu.

- A co powiesz na to? - zapytał niski surwiwalista. W rękę trzymał zabawkę - małą grę wideo podobną do tej, którą Gordon widział w Cottage Grove.

Zalśniły światła. Małeńkie pudełko zagrało wysoką, radosną melodyjkę. Dowódca grupy spoglądał na przedmiot przez dłuższą chwilę. Wreszcie wzruszył ramionami.

- To gówno znaczy.

- Zgadzam się z Małym Jimem - odezwał się jeden z pozostałych łupieżców.

- On się nazywa Niebieski Pięć - warknął rostry bandyta. - Zachowuj dyscyplinę!

- Dobra - trzeci mężczyzna skinął głową, najwyraźniej nie przejęty reprimendą. - No to zgadzam się z Niebieskim Pięć. Myślę, że powinniśmy o tym zameldować pułkownikowi Bezoarowi i generałowi. To może wpłynąć na przebieg inwazji. Co będzie, jeśli się okaże, że farmerzy na północ stąd mają zaawansowaną technikę? Moglibyśmy nadziać się na jakieś wysoko wydajne lasery albo coś... zwłaszcza jeśli uruchomili jakiś stary sprzęt, który został po lotnictwie czy marynarce!

- To kolejny powód, by kontynuować rozpoznanie - warknął dowódca. - Musimy się dowiedzieć więcej o tym całym Cyklopie.

- Ale sam widziałeś, jak się musieliśmy namęczyć, żeby ta babka powiedziała nam chociaż tyle! I nie możemy zostawić jej tutaj. Gdybyśmy zawrócili, moglibyśmy załadować ją na jedną z łodzi i...

- Wykończymy cholerne babsko! Załatwimy się z nią dziś w nocy. Z chłopakiem też. Za długo siedziałeś w górach, Niebieski Cztery. W tych dolinach aż się roi od ładnych dupek. Nie możemy się narażać na to, że narobi hałasu, a już na pewno nie możemy jej zabrać na rozpoznanie!

Ten argument nie zaskoczył Gordona. W całym kraju - wszędzie, gdzie udało się im utrzymać - ci powojenni pomyleńcy porywali kobiety, podobnie jak żywność i niewolników. Po pierwszych kilku latach rzezi w większości holnistowskich enklaw kobiety stały się dla mężczyzn niewiarygodnie wartościowe. Uważano je obecnie w luźnych społecznościach hipersurwiwalistycznych macho za ceną własność.

Nic dziwnego, że byli wśród łupieżców tacy, którzy chcieli zabrać dziewczynę ze sobą. Gordon był przekonany, że mogłaby się okazać całkiem ładna, gdyby wyzdrowiała, a wyraz przerażenia zniknął kiedyś z jej oczu.

Chłopak w jej ramionach wpatrywał się w surwiwalistów z dzikim gniewem.

Gordon doszedł do wniosku, że gangi znad Rogue River musiały się wreszcie zorganizować, być może pod władzą jakiegoś charyzmatycznego przywódcy. Najwyraźniej powziął on zamiar inwazji drogą morską, z pominięciem umocnień w Roseville i w dolinie Camas, gdzie farmerzy zdołali w jakiś sposób odeprzeć powtarzające się próby podboju.

Był to śmiały plan, który mógł oznaczać zdmuchnięcie płomyka cywilizacji tłącego się jeszcze w dolinie Willamette.

Do tej chwili Gordon powtarzał sobie, że może mu się udać w jakiś sposób uniknąć mieszania się w tę sprawę. Wydarzenia minionych siedemnastu lat dawno już jednak sprawiły, że niemal każdy, kto pozostał przy życiu, musiał opowiedzieć się po którejś ze stron w tej walce. Żywiące do siebie zawziętą wrogość wioski zapominały o sporach, by połączyć siły w celu zniszczenia band podobnych

do tej. Sam widok ubioru maskującego z demobilu i złotych kolczyków niemal wszędzie wywoływał odrazę podobną do tej, jaką ludzie czuli do sępów. Gordon nie mógłby stąd odejść, gdyby nie spróbował przynajmniej wymyślić jakiegoś sposobu przeciw tym bandytom.

Na chwilę przestało padać, więc dwaj z nich wyszli na zewnątrz i zaczęli ściągać ubrania z trupów. Okaleczali je, by zdobyć przerażające trofea. Gdy deszcz rozpadał się na nowo, łupieżcy przenieśli swą uwagę z powrotem na wozy, przeszukując ich zawartość w poszukiwaniu czegoś cennego. Sądząc po przekleństwach, ich wysiłki okazały się daremne. Gordon usłyszał, jak rozdeptują ciężkimi buciorami delikatne i absolutnie niemożliwe do zastąpienia urządzenia elektroniczne.

Widział teraz tylko tego, który pilnował jeńców. Odwrócił się zarówno od Gordona, jak i od ściany z lustrami. Czyścił broń, nie zwracając szczególnej uwagi na otoczenie.

Gordon poczuł, że musi wykorzystać tę szansę. Żałował, że okazał się aż takim głupcem. Podźwignął głowę nad podłogę i uniósł rękę. Ten ruch sprawił, że kobieta podniosła wzrok. Wybałuszyła oczy w wyrazie zaskoczenia.

Gordon przyłożył palec do ust, modląc się, by zrozumiała, że ci ludzie są również jego wrogami. Kobieta zamrugnęła. Przez chwilę obawiał się, że coś powie. Popatrzyła przelotnie na strażnika, który nadal był pochłonięty bronią.

Gdy ponownie spojrzała Gordonowi w oczy, skinęła lekko głową. Skierował kciuk w górę i wycofał się szybko z balkonu.

Przy pierwszej okazji złapał za manierkę i napił się do syta, gdyż usta miał suche jak pieprz. Znalazł gabinet, w którym warstwa kurzu nie była zbyt gruba - z pewnością nie mógł sobie pozwolić na kichnięcie - usiadł i przeżuwał pasek suszonej wołowiny z Creswell, zaczął czekać.

Szansa nadeszła na krótko przed zmierzchem. Trzech łupieżców wyruszyło na patrol. Ten, którego zwano Małym Jimem, pozostał na miejscu, by upiec w kominku byle jak obdarty ze skóry udziec jelenia. Więźniów pilnował holnista o wymizerowanej twarzy, przyozdobiony trzema złotymi kolczykami. Gapił się na młodą kobietę, powoli strugając nożem kawałek drewna. Gordon zastanawiał się, ile trzeba będzie czasu, by żądza strażnika wzięła górę nad strachem przed gniewem dowódcy. Najwyraźniej starał się zdobyć na odwagę.

Gordon przygotował łuk. Założył strzałę na cięciwę, a dwie następne położył na dywanie przed sobą. Kłapa kabury była odpięta, a iglica rewolweru spoczywała na szóstym naboju. Nie mógł już zrobić wiele więcej poza czekaniem.

Strażnik zaprzestał strugania i wstał. Gdy się zbliżył, kobieta przytuliła mocniej chłopca i odwróciła wzrok.

- Niebieskiemu Jeden to się nie spodoba - ostrzegł cicho bandyta siedzący przy ogniu.

Strażnik stanął nad kobietą. Starła się nie wzdrygnąć, zadrżała jednak, gdy dotknął jej włosów. Oczy chłopca załśniły gniewem.

- Niebieski Jeden powiedział, że ją załatwimy, jak ją przelecimy po kolei. Nie rozumiem, czemu nie miałbym być pierwszy w kolejce. Może nawet opowie mi o Cyklopie. Co ty na to, kochanie? - Zaśmiał się do niej szyderczo. - Jeśli bicie nie rozwiąże ci języka, wiem, co cię poskromi.

- A co z dzieciakiem? - zapytał Mały Jim.

Strażnik wzruszył od niechcenia ramionami.

- A co ma być?

W jego prawej dłoni znalazł się nagle myśliwski nóż. Lewą złapał chłopca za włosy i wyrwał go z rąk kobiety. Krzyknęła.

W tej zatrzymanej jak w obiektywie chwili Gordon zadziałał całkowicie odruchowo. Nie miał ani chwili na zastanowienie. Mimo to nie zrobił tego, co się narzucało, lecz to, co było konieczne. Zamiast wystrzelić do mężczyzny z nożem, podniósł łuk i przeszył strzałą pierś Małego Jima.

Niski surwiwalista skoczył na jednej nodze do tyłu. Spojrzał na drzewce, oniemiały z zaskoczenia, zabalgotał słabo i osunął się na podłogę.

Gordon założył szybko następną strzałę. Odwrócił się akurat na czas, by zobaczyć, jak drugi napastnik wyrywa nóż z barku dziewczyny. Musiała rzucić się między niego a dziecko, blokując cios własnym ciałem. Chłopiec leżał ogluszony w kącie.

Choć była poważnie ranna, drapała wroga paznokciami. Niestety, uniemożliwiło to Gordonowi oddanie celnego strzału. Zaskoczony bandyta z początku szarpał się z nią nieudolnie, przeklinając i usiłując chwycić ją za nadgarstki. Wreszcie udało mu się cisnąć ją na ziemię. Rozgniewany bolesnymi zadrapaniami - i nie wiedząc, że jego partner nie żyje - holnista uśmiechnął się i uniósł nóż, by dokończyć dzieła. Postąpił krok ku rannej, dyszącej ciężko kobiecie.

W tej samej chwili strzała Gordona przebiła jego ubiór maskujący, pozostawiając mu na plecach płytką, krwawiącą szramę. Następnie wbiła się w kanapę i zadrzała z brzękiem.

Bez względu na wszystkie swe odrażające cechy, surwiwaliści byli zapewne najlepszymi wojownikami na świecie. Szybko jak błyskawica, nim Gordon zdążył założyć następną strzałę, mężczyzna padł na ziemię i przetoczył się ze szturmowym karabinem w rękach. Gordon rzucił się do tyłu w tej samej chwili, gdy seria pojedynczych, celnie mierzonych strzałów przeszła balustradę, odbijając się od żelaznych słupków w miejscu, gdzie przed chwilą się znajdował.

Karabin był wyposażony w tłumik, co zmuszało bandytę do prowadzenia samopowtarzalnego ognia. Mimo to, gdy Gordon przetoczył się, wyciągając rewolwer, wszędzie wokół niego bzykały kule. Przebiegł na drugą część balkonu.

Facet z dołu miał dobry słuch. Kolejna szybka seria sprawiła, że drzazgi pofrunęły w powietrze w odległości kilku cali od twarzy Gordona, który ledwie zdążył się uchylić.

Zapadła cisza. Gordon słyszał jedynie własny puls, brzęiący w jego uszach jak grzmot.

“I co teraz?” - zastanowił się.

Nagle rozległ się głośny krzyk. Gordon uniósł głowę i ujrzał w lustrze jakiś ruch... drobna kobieta rzuciła się na znacznie większego wroga, wznosząc nad głowę wielkie krzesło!

Surwiwalista odwrócił się błyskawicznie i wystrzelił. Na piersi młodej szabrowniczki wykwitły czerwone plamy. Padła na podłogę. Krzesło potoczyło się do nóg łupieżcy.

Gordon usłyszał trzask towarzyszący opróżnieniu magazynka karabinu. A może był to tylko szalony domysł. Bez względu na to, czy było to złudzenie czy też nie, poderwał się bez chwili zastanowienia, wyciągnął ręce i zaczął raz za razem naciskać spust swej trzydziestkiósemki, aż wreszcie iglica pięć razy uderzyła w puste, dymiące komory.

Jego przeciwnik stał jeszcze. Trzymał już w lewej dłoni następny magazynek, gotowy do wepchnięcia na miejsce. Na maskującej bluzie zaczęły już jednak wykwitać ciemne plamy. Ich wzrok spotkał się nad dymiącą lufą rewolweru. W spojrzeniu bandyty było bezmierne zdumienie.

Karabin przechylił się i wypadł z brzękiem z bezwładnych palców. Surwiwalista osunął się na podłogę.

Gordon zbiegł po schodach, przeskakując nad poręczą na dole. Najpierw zatrzymał się przy obu mężczyznach, by się upewnić, że nie żyją. Następnie pognał do śmiertelnie rannej młodej kobiety. Widział, że bardzo chce go o coś zapytać, gdy uniósł jej głowę.

- Kim..

- Nic nie mów - polecił, ocierając strużkę krwi z kącika jej ust.

Żrenice rozszerzyły się szeroko, niesamowicie czujne na progę śmierci. Oczy kobiety ujrzały jego twarz, mundur oraz naszywkę z wyhaftowanym napisem POCZTA ODRODZONYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH pokrywającą kieszeń na piersi. Otworzyły się na chwilę szerzej w wyrazie pytania i zdumienia.

“Pozwól jej uwierzyć - powiedział sobie Gordon. Ona umiera. Pozwól jej uwierzyć, że to prawda”.

Nie potrafił jednak zmusić się do wypowiedzenia tych słów kłamstw, które powtarzał tak często, i które przez tak wiele miesięcy zawiodły go tak daleko. Nie tym razem.

- Jestem zwykłym wędrowcem, panienko - potrząsnął głową. Współ... współobywatelem, który próbował przyjść z pomocą.

Skinęła głową. Sprawiała wrażenie tylko lekko rozczarowanej, całkiem jakby już to było cudem, tylko trochę mniejszym.

- Na północ... - wydyszała. - Zabierz chłopca... Ostrzeż... ostrzeż Cyclopa...

W tym ostatnim słowie, z którym wyzionęła ducha, Gordon usłyszał cześć, wierność i ufną wiarę w ostateczne wybawienie... wszystko to zawarte w nazwie maszyny.

“Cyklop” - pomyślał otepiały, składając ciało kobiety na podłodze. Miał teraz jeszcze jeden powód, by podążyć za legendą do jej źródła.

Nie było czasu na pogrzeb. Karabin bandyty miał tłumik, lecz strzały trzydziestkiósemki Gordona poniosły się echem niczym grom. Pozostali łupieżcy z pewnością je usłyszeli. Miał tylko kilka chwil, by zabrać dziecko i zmykać stąd.

W odległości dziesięciu stóp zaledwie stały konie, które mógł ukraść. Na północy zaś kryło się coś, za co młoda, odważna kobieta była gotowa umrzeć.

“Jeśli to tylko prawda” - pomyślał Gordon, podnosząc karabin i amunicję wroga.

Natychmiast przerwałby swą zabawę w pocztowca, gdyby tylko odnalazł gdzieś kogoś, kto wziął na siebie odpowiedzialność i naprawdę próbował jakoś zaradzić ciemnemu wiekowi. Zaoferowałby mu swą wierność i pomoc, choć mogły być one niewiele warte.

Nawet wielkiemu komputerowi.

Rozległy się krzyki... szybko się zbliżały.

Zwrócił się w stronę chłopca, który spoglądał na niego z rogu pokoju szeroko rozwartymi oczyma.

- No to chodź - powiedział Gordon, wyciągając rękę. - Lepiej już stąd znikajmy.

4. HARRISBURG

Trzymając dziecko na siodle przed sobą, Gordon oddalał się od przerażających wydarzeń tak szybko, jak tylko mógł go ponieść ukradziony wierzchowiec. W przelocie dojrzał, że gonią go na piechotę. Jeden z łupieżców przyklęknął, by dokładniej wycelować.

Gordon pochylił się, szarpnął wodze i kopnął konia. Ten parsknął i skręcił błyskawicznie za stojący na rogu obrabowany sklep Rexall, w tej samej chwili, gdy pociski o wysokiej prędkości roztrzaskały granitową oblicówkę tuż za nimi. Odłamki kamienia pomknęły ze świstem wzdłuż Szóstej Alei.

Gordon gratulował sobie już przedtem tego, że poświęcił trochę czasu, by rozpędzić pozostałe konie, zanim oddalił się galopem. Gdy jednak obejrzał się w tej ostatniej chwili za siebie, ujrzał, że pojawił się kolejny bandyta, na jego własnym kucyku!

Na chwilę ogarnął go nierozumny strach. Jeśli mieli jego konia, mogli też zabrać albo uszkodzić worki z korespondencją.

Odegnął niedorzeczną myśl i skierował rozpędzonego wierzchowca w boczną ulicę. Do diabła z listami! To były tylko rekwizyty. Liczył się fakt, że w tej chwili mógł go ścigać tylko jeden z survivalistów. To wyrównywało szanse.

Prawie.

Szarpnął wodze i uderzył piętami w boki zwierzęcia. Koń pogalopował ze wszystkich sił jedną z milczących, pustych ulic śródmieścia Eugene. Gordon usłyszał tętent innych kopyt. "Za blisko". Nie zadając sobie trudu, by spojrzeć za siebie, skręcił w zaułek. Koń przebiegł ostrożnie obszar pokryty rozbitym szkłem, po czym minął następną przecnicę i drogę dojazdową, by pomknąć kolejną, zawałoną odpadkami uliczką.

Gordon skierował zwierzę ku enklawie zieleni. Przemknęli cwałem przez otwarty plac i zatrzymali się za wybujałym dębowym gąszczem w małym parku.

Powietrze wypełniał świst i łomot. Po chwili Gordon zdał sobie sprawę, że to jego własny oddech i puls.

- Czy... czy nic ci nie jest? - zapytał, spoglądając na chłopca.

Dziewięciolatek przełknął ślinę i pokręcił głową, nie marnując tchu na słowa. Chłopaka dziś sterroryzowano i był świadkiem okropnych rzeczy, miał jednak tyle rozsądku, by nie spuszczać spokojnych, brązowych oczu z Gordona.

Ów stanął w strzemionach, by wyjrzeć zza parkowych krzewów, które rozrastały się przez siedemnaście lat. Wydawało się, że przynajmniej na razie zgubili ścigającego.

Oczywiście mógł on się znajdować w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów i również nasłuchiwać w ciszy.

Palce Gordona drżały jeszcze, zdołał jednak wyciągnąć z kabury opróżnioną trzydziestkęósemkę i naładować ją ponownie, próbując jednocześnie zastanowić się nad sytuacją.

Jeśli mieli do czynienia tylko z jednym jeźdźcem, niewykluczone, że lepiej będzie, jak się ukryją i przeczekają. Niech bandyta ich szuka. Prędzej czy później się oddali.

Niestety, pozostali holniści wkrótce też go dognają. Zapewne lepiej było zaryzykować odrobinę hałasu teraz, niż pozwolić, by ci mistrzowie tropienia i polowania z okolic Rogue River odzyskali rezon i zabrali się do dokładnego przeszukiwania okolicy.

Pogłaskał końską szyję, pozwalając, by zwierzę odpoczywało jeszcze przez chwilę.

- Jak masz na imię? - zapytał chłopca.

- M... Mark.

Zamrugał powiekami.

- A ja Gordon. Czy to twoja siostra uratowała nam życie tam przy kominku?

Mark potrząsnął głową. Jako dziecko ciemnego wieku zachował łzy na później.

- N... nie, proszę pana... Moja mama.

Gordon chrząknął zaskoczony. W dzisiejszych czasach rzadko się zdarzało, by mające dzieci kobiety wyglądały tak młodo. Matka Marka musiała żyć w niezwykłych warunkach. Kolejna wskazówka mówiąca, że w północnym Oregonie dzieje się coś tajemniczego.

Zmrok zapadał szybko. Nadal nic nie było słyhać, więc Gordon trącił konia, by ruszył z miejsca. Kierował nim kolanami. Gdy tylko było to możliwe, pozwalał mu wybierać miękki grunt. Trzymał oczy szeroko otwarte i często zatrzymywał się, by nasłuchiwać.

W kilka minut później usłyszeli krzyk. Chłopiec naprężył mięśnie. Dźwięk z pewnością jednak dobiegał z odległości kilku przecznic. Gordon skierował się w przeciwną stronę z myślą o znajdujących się na północnym krańcu miasta mostach na Willamette.

Długi zmierzch dobiegł końca, nim dotarli do mostu na Szosie 105. Z chmur przestał siać deszcz, nadal jednak rzucały one głęboki cień na widoczne wszędzie wokół ruiny, nie dopuszczając nawet światła gwiazd. Gordon wytrzeszczał oczy, starając się przeniknąć mrok. Pogłoski, które słyszał na południu, mówiły, że most stoi jeszcze. Nie było widać żadnych wyraźnych oznak zasadzki.

A jednak w tej masie ciemnych dźwigarów mogło kryć się wszystko, w tym również doświadczony bandyta z karabinem.

Gordon potrząsnął głową. Nie po to zachował życie tak długo, aby teraz decydować się na podejmowanie głupiego ryzyka. Nie wtedy, gdy miał inne możliwości. Zamierzał ruszyć starą autostradą międzystanową wiodącą wprost do Corvallis i tajemniczej krainy Cyklopa, lecz wiodły tam także inne drogi. Zawrócił konia i skierował się na zachód, oddalając się od ciemnych, sterczących groźnie wież.

Potem nastąpiła pośpieszna, kręta jazda bocznymi uliczkami. Kilkakrotnie omal nie zgubił drogi i musiał pomagać sobie nawigacją obliczeniową. Na koniec dzięki szumowi wody odnalazł starą Autostradę 99.

Ten most był płaską, otwartą konstrukcją, która sprawiała wrażenie wolnej od zagrożenia. Zresztą była to ostatnia znana mu droga. Pochylony nisko nad chłopcem, przestrzeń między przesłami pokonał galopem. Zmuszał wierzchowca do maksymalnego wysiłku, dopóki się nie upewnił, że wszelki możliwy pościg został daleko z tyłu.

Wreszcie zsiadł z konia i prowadził go przez chwilę, pozwalając wyczerpanemu zwierzęciu odzyskać oddech.

Gdy wdrapał się z powrotem na siodło, Mark zasnął już. Gordon rozłożył ponczo, by okryć ich obu, kiedy z trudem posuwali się na północ w poszukiwaniu światła.

Na jakąś godzinę przed świtem dotarli wreszcie do otoczonej palisadą wioski Harrisburg.

Zasłyszane przez Gordona opowieści o dostatnim północnym Oregonie musiały być nieporozumieniem. Osada najwyraźniej zbyt długo cieszyła się pokojem. Gęste podszycie porastało chroniącą przed ogniem strefę aż do samej palisady, a na wieżach nie było strażników. Gordon musiał nawoływać całe pięć minut, nim pojawił się ktoś, by otworzyć bramę.

- Chcę porozmawiać z waszymi przywódcami - oznajmił im na zadaszonym ganku miejscowego sklepu. - Grozi wam niebezpieczeństwo, z jakim nie spotkaliście się od lat.

Opowiedział o grupie szabrowników, którzy wpadli w zasadzkę, o bandzie twardych, złych

ludzi oraz ich zadaniu rozpoznania bezbronnej, północnej części doliny Willamette w celu późniejszego splądrowania. Czas miał wielkie znaczenie. Musieli wyruszyć natychmiast, by zlikwidować holnistów, nim zakończą swą misję.

Ku jego przerażeniu, tubylcy o zaspanych spojrzeniach nie mieli jednak wielkiej ochoty uwierzyć w jego opowieść, jeszcze mniejszą zaś urządzać wypad podczas deszczowej pogody. Gapili się podejrzliwie na Gordona i potrząsali z niechęcią głowami, gdy domagał się zwołania zbrojnego oddziału.

Mark spał, doszczętnie wyczerpany, i nie mógł posłużyć jako świadek potwierdzający jego relację. Tubylcy najwyraźniej woleli wierzyć, że Gordon przesadza. Kilku mężczyzn stwierdziło bez ogródek, że musiał się natknąć na miejscowych bandytów, których garstka grasowała wciąż na południe od Eugene, gdzie wpływy Cyklopa były jeszcze niewielkie. W tych okolicach od wielu lat nikt nie widział holnisty. Podobno wszyscy już dawno powybijali się nawzajem po tym, jak powieszono Nathana Holna.

Pokleпали go dla uspokojenia po plecach i zaczęli rozchodzić się do domów. Właściciel sklepu zaproponował mu nocleg w magazynie.

“Nie mogę w to uwierzyć. Czy ci idioci nie zdają sobie sprawy, że chodzi o ich życie? Jeśli grupa zwiadowcza zdoła umknąć, ci barbarzyńcy powrócą w wielkiej liczbie!”

- Posłuchajcie...

Spróbował raz jeszcze, lecz ich zawzięty, wieśniaczy upór był niepodatny na logiczne argumenty. Odchodzili jeden po drugim.

Zdesperowany, wyczerpany i rozgniewany Gordon zrzucił ponczo, odslaniając mundur inspektora pocztowego, który miał pod spodem. Z wściekłości zaczął wrzeszczeć.

- Niczego nie rozumiecie! Nie proszę was o pomoc. Czy myślicie, że zależy mi na waszej małej, głupiej wiosce? Jedna rzecz obchodzi mnie nade wszystko. Te kreatury mają dwa worki korespondencji ukradzionej narodowi Stanów Zjednoczonych. Rozkazuję wam, jako urzędnik federalny, zebrać grupę uzbrojonych ludzi i dopomóc mi w odzyskaniu poczty!

W ciągu ostatnich miesięcy Gordon nabrał wielkiej wprawy w odgrywaniu swej roli, lecz nigdy dotąd nie odważył się przybrać równie aroganckiej pozy. Kompletnie go poniosło. Gdy jeden z wybałuszających oczy wieśniaków zaczął coś bełkotać, przerwał mu bez ceregieli. Głosem drżącym z oburzenia mówił o gniewie, jaki spadnie na nich, kiedy odrodzona ojczyzna dowie się o tej hańbie - o tym, jak mała, głupia wioszczyna schowała się za swą palisadą i pozwoliła uciec śmiertelnym wrogom własnego kraju.

Przymrużył oczy i warknął:

- Słuchajcie, ciemne kmiotki. Macie dziesięć minut na zebranie milicji i przygotowanie pościgu. Ostrzegam, że w przeciwnym razie konsekwencje będą daleko bardziej nieprzyjemne niż forsowny marsz w deszczu!

Zdumieni tubylcy zamrugali powiekami. Większość z nich nawet się nie poruszyła. Gapili się na jego mundur i lśniąca odznakę widoczną na czapce z daszkiem. Rzeczywiste niebezpieczeństwo mogli spróbować zignorować, lecz tę fantastyczną opowieść trzeba było przełknąć w całości bądź w całości ją odrzucić.

Żywy obraz trwał przez dłuższą chwilę. Gordon wpatrywał się w ich oczy, aż wreszcie nastąpił przełom.

Wszyscy mężczyźni zaczęli przekrzykiwać się nawzajem. Rozbiegli się, by przynieść broń. Kobiety pośpieszyły przygotować konie i ekwipunek. Gordon został sam. Jego ponczo powiewało za nim na porywistym wietrze niczym peleryna. Przeklinał bezgłośnie, podczas gdy straż osady

Harrisburg zbierała się wokół niego.

“Co, na Boga, mnie naszło?” - zadał sobie wreszcie pytanie.

Może jego rola zaczynała nad nim dominować. Podczas tych pełnych napięcia chwil, gdy stawiał czoło całej wiosce, naprawdę wierzył! Czuł moc owej fikcji, potężny gniew sługi ludu, któremu spełnienie wzniesłego zadania uniemożliwiali mali ludzie...

Ten epizod wstrząsnął nim i sprawił, że zwątpił nieco w swą równowagę umysłową.

Jedno było jasne. Miał nadzieję, że zrezygnuje z zabawy w listonosza, gdy dotrze do północnego Oregonu, lecz teraz nie było to możliwe. Na dobre czy złe, był na nią skazany.

Po upływie kwadransa wszystko było gotowe. Gordon zostawił chłopaka pod opieką miejscowej rodziny i wyruszył w mżawkę razem ze zbrojnym oddziałem.

Tym razem posuwali się szybciej. Był dzień i mieli zapasowe konie. Gordon dopilnował, by wieśniacy wysłali zwiadowców i flankierów dla zabezpieczenia przed zasadzką. Podzielił też główną grupę na trzy odrębne oddziały. Gdy wreszcie dotarli na campus oregońskiego uniwersytetu, członkowie milicji zsiadli z koni, by ruszyć z różnych stron na akademik.

Choć tubylcy mieli nad bandą surwiwalistów przynajmniej ośmiokrotną przewagę liczebną, Gordon uważał, że szansę są mniej więcej wyrównane. Obserwował nerwowo dachy i okna, krzywiąc się przy każdym dźwięku wydanym przez skradających się do miejsca masakry niezdarnych farmerów.

“Słyszałem, że na południu powstrzymali holnistów dzięki samej odwadze i determinacji. Mają tam jakiegoś legendarnego wodza, który dokopał surwiwalistom, aż pierze leciało. To na pewno dlatego te sukinsyny tym razem próbują posuwać się wzdłuż wybrzeża. Tutaj sprawy wyglądają inaczej.

Jeśli naprawdę dojdzie do inwazji, miejscowi nie mają najmniejszych szans”.

Gdy wreszcie wpadli do akademika, łupieżców dawno już nie było. Kominek wystygł. Ślady na pokrytej błotem ulicy wiodły na zachód, w stronę nadbrzeżnych przełęczy i morza.

Ofiary masakry znaleźli ułożone w starym barze samoobsługowym. Uszy i inne... części ciała... odcięto im jako trofea. Wieśniacy gapili się na zniszczenia spowodowane ogniem ręcznych karabinów maszynowych. Powróciły do nich niemiłe wspomnienia pierwszych dni po wojnie.

Gordon musiał im przypomnieć, by wyznaczili grupę grabarzy.

Był to frustrujący poranek. Nie istniał sposób, by sprawdzić, kim byli bandyci, nie podążając za nimi, a Gordon nie miał zamiaru tego próbować z grupą niechętnych farmerów. Już teraz mieli ochotę wracać do domu, za swą wysoką, bezpieczną palisadę. Gordon westchnął. Zażądał, by zatrzymali się w jeszcze jednym miejscu.

W zawilgoconej, zniszczonej sali gimnastycznej uniwersytetu znalazł swe worki z korespondencją. Jeden z nich leżał nietknięty tam, gdzie go zostawił. Drugi rozpruto. Porozrzucone listy leżały zdeptane na podłodze.

Urządził pokaz wściekłości na użytek tubylców, którzy uniżenie pośpieszyli z pomocą w zbieraniu pozostałości i ładowaniu ich do torby. Z nadatkiem odegrał rolę rozwścieczonego inspektora pocztowego, przysięgając zemstę tym, którzy odważyli się przeszkadzać w funkcjonowaniu poczty.

Tym razem jednak była to naprawdę tylko gra. W głębi ducha Gordon mógł myśleć jedynie o tym, jak bardzo jest głodny i zmęczony tym wszystkim.

Powolny, mozolny powrót przez zimną mgłę był prawdziwym piekłem. W Harrisburgu czekał go jednak dalszy ciąg męczarni. Musiał ponownie wejść w swą rolę... wręczyć kilka listów, które zebrał w osadach na południe od Eugene... wysłuchać płaczliwych wyrazów radości, gdy paru

szczęściarzy otrzymało wiadomość od krewnego czy przyjaciela, którego uważali za dawno zmarłego... wyznaczyć miejscowego naczelnika poczty... wytrzymać kolejną głupią uroczystość.

Następnego dnia obudził się sztywny i obolały. Miał też lekką gorączkę. Dręczyły go koszmarne sny. Wszystkie kończyły się pytającym, pełnym nadziei wyrazem oczu umierającej kobiety.

Wieśniacy nie potrafiliby go zmusić w żaden sposób, aby został choć godzinę dłużej. Zaraz po śniadaniu osiodłał konia, zabezpieczył worki z korespondencją i pojechał na północ.

Nadszedł wreszcie czas, by wyruszyć na spotkanie z Cyklopem.

5. CORVALLIS

18 maja 2011

Droga przekazu: Shedd, Harrisburg,
Creswell, Cottage Grove, Culp Creek,
Oakridge, Pine View

Szanowna Pani Thompson,

Pani pierwsze trzy listy doścignęły mnie wreszcie w Shedd, tuż na południe od Corvallis. Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo się z nich ucieszyłem. A także z wieści od Abby i Michaela. Bardzo mnie one uradowały. Mam nadzieję, że urodzi się dziewczynka.

Zauważyłem, że rozszerzyliście miejscową sieć pocztową na Gilchrist, New Bend i Redmond. Dołączam tymczasowe akty nominacyjne dla naczelników poczty, których Pani poleciła. Wymagają one późniejszego potwierdzenia. Pani inicjatywa zasługuje na poklask.

Z radością przywitałem wiadomość o zwalczeniu reżimu w Oakridge. Mam nadzieję, że ich rewolucja się utrzyma.

W wykładanym boazerią pokoju gościnnym panowała cisza. Srebrne wieczne pióro skrobało po lekko pożółkłym papierze. Przez otwarte okno Gordon widział błądy księżyc przeświecający przez rozproszone wiatrem nocne chmury oraz słyszał odległą muzykę i śmiechy towarzyszące potańcówce, którą przed chwilą opuścił, tłumacząc się zmęczeniem.

Zdążył się już przyzwyczać do tych rozbuchanych zabaw urządzanych w pierwszym dniu jego pobytu. Tubylcy zawsze dokładali wszelkich starań, by odpowiednio przywitać “przedstawiciela rządu”. To miejsce różniło się od innych przede wszystkim tym, że Gordon nie widział tak wielu ludzi w jednym miejscu od czasu splądrowania magazynów żywności, tak dawno temu.

Tu również grano miejscową muzykę. Po upadku ludzie wszędzie wrócili do skrzypek i banjo, do prostych potraw i kadryla. Pod wieloma względami wszystko to wydawało się bardzo znajome.

“Istnieją też jednak pewne różnice”.

Gordon obrócił wieczne pióro w palcach. Dotknął listów od przyjaciół z Pine View. Przybyły w szczęśliwym momencie. Bardzo pomogły mu w zdobyciu wiarygodności. Kurier pocztowy z południowego Willamette - człowiek mianowany przez samego Gordona zaledwie dwa tygodnie temu - nadjechał na gnającym ze wszystkich sił wierzchowcu i nie chciał przyjąć nawet szklanki wody, dopóki nie zameldował się “inspektorowi”.

Zachowanie gorliwego młodzieńca zdecydowanie przekreśliło wszelkie wątpliwości, jakie mogli jeszcze żywić tubylcy. Jego bajka nadal funkcjonowała.

Przynajmniej jak dotąd.

Gordon ponownie ujął pióro w dłoń i zaczął pisać.

Zapewne otrzymaliście już moje ostrzeżenie o możliwości inwazji surwiwalistów znad Rogue River. Wiem, że podejmiecie niezbędne kroki celem obrony Pine View. Tu jednak, w niezwykłym królestwie Cyklopa, trudno mi jest przekonać kogokolwiek, by potraktował groźbę poważnie. Według dzisiejszych norm cieszyli się tu pokojem bardzo długo. Spotykam się z miłym przyjęciem, ale ludzie najwyraźniej sądzą, że wyolbrzymiam zagrożenie.

Jutro wreszcie udam się na audiencję. Być może zdołam przekonać o niebezpieczeństwie

samego Cyklopa.

Byłoby smutne, gdyby owo dziwne, małe społeczeństwo kierowane przez maszynę padło łupem barbarzyńców. To najwspanialsza rzecz, jaką widziałem od czasu opuszczenia cywilizowanego wschodu.

* * *

Gordon dokonał w myślach poprawki. Dolne Willamette było zdecydowanie najbardziej cywilizowanym regionem, jaki napotkał w ciągu piętnastu lat. Był to cud pokoju i dobrobytu, utworzony najwyraźniej wyłącznie przez inteligentny komputer i jego pełnych poświęcenia ludzkich powierników.

Przestał pisać i podniósł wzrok, gdy stojąca na jego biurku lampa zamigotała. Skryta pod perkalowym abażurem czterdziestowatowa żarówka mrugnęła raz jeszcze, po czym ponownie rozjarzyła się stałym blaskiem. Napędzane silnikiem wiatrowym prądnice znajdujące się w odległości dwóch budynków wznowiły miarowe działanie. Światło było łagodne, lecz oczy zachodziły Gordonowi łzami za każdym razem, gdy spoglądał na nie choć przez krótką chwilę.

Nie mógł się tego pozbyć. Gdy przybył do Corvallis, po raz pierwszy od dziesięciu lat z górą ujrzał funkcjonujące oświetlenie elektryczne. Był zmuszony przeprosić miejscowych dygnitarzy, gdy zebrali się, by go przywitać. Ukrył się w umywalni, dopóki nie odzyskał panowania nad sobą. Po prostu nie można było dopuścić, by ujrzano, jak rzekomy przedstawiciel "rządu z Saint Paul" rozplakał się publicznie na widok kilku migoczących żarówek.

Corvallis wraz z okolicami jest podzielone na niezależne okręgi, z których każdy może wykarmić dwustu do trzystu mieszkańców. Cały teren jest wykorzystywany pod uprawę bądź wypas. Stosuje się nowoczesne metody rolnicze oraz hybrydowe gatunki zbóż, które uprawiają sami tubylcy. Udało im się zachować kilka przedwojennych szczepów wyhodowanych drogą bioinżynierii drożdży. Produkują z nich lekarstwa oraz nawozy sztuczne.

Są oczywiście ograniczeni do konnej orki, lecz ich kuźnie wykonują narzędzia ze stali wysokiej jakości. Rozpoczęli nawet ręczną produkcję turbin wodnych i wiatrowych. Wszystkie, rzecz jasna, zaprojektował Cyklop.

Miejscowi rzemieślnicy wyrazili zainteresowanie nawiązaniem kontaktu z klientami na południu i wschodzie. Dołączam listę towarów, na które są gotowi wymieniać swe wyroby. Czy zechciałaby Pani przepisać ją i przesłać dalej?

* * *

Gordon od czasów przedwojennych nie widział tak wielu szczęśliwych, dobrze odżywionych ludzi. Nie słyszał też, by śmiano się tak często i swobodnie. Wychodziła tu gazeta i działała wypożyczalnia książek. Każde dziecko w dolinie uczęszczało do szkoły przez co najmniej cztery lata. Znalazł wreszcie to, czego szukał od czasów, gdy piętnaście lat temu jego jednostka milicji rozpierzchła się ogarnięta dezorientacją i rozpaczą - społeczność porządných ludzi zaangażowanych w energiczne wysiłki zmierzające do odbudowy.

Żałował, że nie może stać się jednym z nich, zamiast być oszustem wyłudającym wikt na kilka dni oraz darmowe łóżko.

O ironio, ci ludzie przyjęliby dawnego Gordona Krantza na nowego obywatela. Jego mundur oraz to, co uczynił w Harrisburgu, naznaczyły go jednak niezatartym piętnem. Był przekonany, że gdyby teraz zdradził im prawdę, nigdy by mu nie wybaczyli.

Musiał w ich oczach uchodzić za półboga albo być dla nich nikim. Jeśli kiedykolwiek żył człowiek schwytyany w pułapkę własnego kłamstwa...

Potrząsnął głową. Będzie musiał grać kartami, które mu dano. Być może tym ludziom naprawdę przyda się listonosz.

Nie zdołałem dotąd dowiedzieć się wiele o samym Cyklopie. Powiedziano mi, że superkomputer nie sprawuje bezpośredniej władzy, lecz żąda, by wszystkie wioski i miasteczka, którym służy, współżyły ze sobą pokojowo na demokratycznych zasadach. W praktyce stał się sędzią rozjemczym dla całego dolnego Willamette aż do Kolumbii na północy.

Rada mówi, że Cyklop jest bardzo zainteresowany ustanowieniem regularnej linii pocztowej i zgodził się udzielić wszelkiej niezbędnej pomocy. Sprawia wrażenie, że gorąco pragnie nawiązać współpracę z Odrodzonymi Stanami Zjednoczonymi.

Wszyscy oczywiście ucieszyli się na wieść, że wkrótce odzyskają kontakt z resztą kraju...

Gordon spoglądał na ostatnią linijkę przez długi czas, trzymając pióro w powietrzu. Zdał sobie sprawę, że dziś w nocy po prostu nie może kontynuować swych kłamstw. Świadomość, że pani Thompson potrafi czytać między wierszami, już go nie bawiła.

Napełniała go smutkiem.

“Może to i lepiej - pomyślał. Jutro czeka mnie ciężki dzień”. Złożył pióro i wstał, by pościelić łóżko.

Myjąc twarz, myślał o swym poprzednim spotkaniu z jednym z legendarnych superkomputerów. Było to zaledwie kilka miesięcy przed wojną. Miał osiemnaście lat i był na pierwszym roku college’u. Wszyscy mówili o nowych, “inteligentnych” maszynach, których istnienie w kilku miejscach właśnie ujawniono.

Był to czas ogólnej ekscytacji. Media otrąbiły to nowe odkrycie jako koniec długiej samotności człowieka. Tyle że “inne inteligencje”, z którymi miał dzielić świat, nie przybyły z kosmosu, lecz były jego dziełem.

Neohippisi oraz mieszkający na kampusie redaktorzy gazetki “New Renaissance Magazine” urządzili wielkie przyjęcie urodzinowe w dniu, gdy Uniwersytet Stanu Minnesota wystawił na widok publiczny jeden z najnowszych superkomputerów. Balony przelatywały tuż obok, artyści latający na aerostatach pedałowali ponad głowami ludzi, powietrze wypełniała muzyka, a na trawnikach ludzie urządzali pikniki.

W samym środku tego wszystkiego - wewnątrz gigantycznej klatki Faradaya wykonanej z metalowej siatki unoszącej się na poduszce powietrznej - umieszczono chłodzony helem cylinder zawierający Millichrome’a. Mechaniczny mózg zamknięto w ten sposób w wyposażonej w wewnętrzne źródło zasilania osłonie, by nikt z zewnątrz nie mógł podrobić jego odpowiedzi.

Owego popołudnia Gordon stał w ogonku przez wiele godzin. Gdy wreszcie nadeszła jego kolej, podszedł do wąskiego obiektywu kamery, zaprezentował listę pytań testowych, dwie zagadki oraz skomplikowaną grę słowną.

Upłynęło już bardzo wiele czasu od tego promiennego dnia pełnej nadziei wiosny, lecz Gordon pamiętał wszystko tak, jakby to było wczoraj... niski, miodopłynny głos oraz przyjazny, otwarty śmiech maszyny. Millichrome uporał się tego dnia ze wszystkimi zadaniami i odpowiedział własnym, zawilim kalamburem.

Zbeształ go również łagodnie za to, że na niedawnym egzaminie z historii nie wypadł tak dobrze, jak się spodziewano.

Gdy jego czas dobiegł końca, Gordon oddalił się, czując potężną, uderzającą do głowy radość spowodowaną tym, że jego gatunek stworzył podobny cud.

Wkrótce potem wybuchła wojna zagłady. Przez siedemnaście straszliwych lat sądził, że wszystkie cudowne superkomputery są po prostu martwe, podobnie jak zdruzgotane nadzieje jego ojczyzny i świata. Tutaj jednak, jakimś cudem, jeden z nich ocalał! W jakiś sposób, dzięki śmiałości i pomysłowości technikom ze stanu Oregon udało się podtrzymać działanie maszyny przez wszystkie złe lata. Gordon nie mógł nie poczuć się niegodny i arogancki, przybывая do takich ludzi jako oszust.

Wyłączył światło z szacunkiem i położył się do łóżka, wsłuchując się w noc. Muzyka dobiegająca z miejscowej sali tanecznej ucichła wreszcie, zakończona głośnym wybuchem radości. Gordon słyszał, jak tłum rozchodzi się do domów.

Po chwili zapanowała cisza, tylko wśród drzew za oknem szumiał wiatr. W pobliżu cicho brzęczały sprężarki utrzymujące superzimno niezbędne dla delikatnego mózgu Cyklopa.

Słysząc też było coś jeszcze. Przez noc dobiegał głęboki, cichy słodki dźwięk, który Gordonowi trudno było rozpoznać, choć poruszał on jakąś strunę w jego pamięci.

Po chwili zrozumiał. Ktoś, zapewne jeden z techników, słuchał na aparaturze stereo klasycznej muzyki.

“Stereo...” Gordon smakował to słowo. Nie miał nic przeciwko banjo i skrzypkom, ale po piętnastu latach znowu usłyszeć Beethovena...

Na koniec zasnął i symfonia wtopiła się w sny. Nuty wzmacniały się i cichły, aż wreszcie połączyły się z delikatnym, melodyjnym głosem, który przemówił do niego poprzez dziesięciolecia. Wyposażona w stawy, metalowa dłoń wysunęła się zza mgły lat i wskazała prosto na niego.

“Kłamca! - powiedział cichy, smutny głos. - Tak bardzo mnie rozczarowujesz. Jak mam pomóc wam, moim stwórcom, jeśli wciąż powtarzacie tylko kłamstwa?”

6. DENA

Dawna fabryka jest miejscem, w którym gromadzimy sprzęt z myślą o projekcie “Millenium”. Jak widzisz, ledwie rozpoczęliśmy prace. Nie możemy zacząć budowy prawdziwych robotów, co Cyklop planuje później, jeśli najpierw nie odzyskamy choć w pewnym stopniu zdolności produkcyjnych.

Przewodnik Gordona poprowadził go w głąb jaskini, w której pełno było półek zapchanych urządzeniami wywodzącymi się z innej ery.

- Pierwszym krokiem była oczywiście próba uratowania wszystkiego, co tylko można, przed gniciem i rozkładem. Tylko część ocalonego sprzętu przechowujemy tutaj. Rzeczy nieprzydatne teraz składujemy gdzie indziej, z myślą o przyszłości.

Peter Aage, wychudzony blondyn trochę tylko starszy od Gordona, musiał być w chwili wybuchu wojny studentem Uniwersytetu Stanowego w Corvallis. Był jednym z najmłodszych ludzi wśród noszących biały płaszcz z czarnym wzorem - znak sług Cyklopa. Jednak nawet on miał posiwiatale skronie.

Aage był również stryjcem i jedynym żyjącym krewnym małego chłopca, którego Gordon ocalił w ruinach Eugene. Nie demonstrował wylewnie wdzięczności, było jednak oczywiste, że uważa, iż ma u gościa dług. Żaden ze sług o wyższej randze nie wyraził sprzeciwu, gdy uparł się, że to on zaznajomi przybysza ze stworzonym przez Cyklopa programem przewyciężenia w Oregonie ciemnego wieku.

- Zaczęliśmy tu naprawiać niektóre małe komputery i inne proste maszyny - tłumaczył Gordonowi, prowadząc go obok stosów posortowanego i oznaczonego etykietami sprzętu

elektronicznego. - Najtrudniejszym zadaniem jest zastąpienie obwodów spalonych podczas pierwszych chwil wojny przez te elektromagnetyczne impulsy wysokiej częstotliwości, które nieprzyjaciel wyemitował nad kontynentem. No wiesz, pierwsze bomby?

Gordon uśmiechnął się z wyrozumiałością. Aage poczerwieniał. Uniósł rękę na znak przeprosin.

- Przykro mi. Po prostu tak się przyzwyczaiłem, że wszystko muszę wyjaśniać jak najprościej... Oczywiście, wy na wschodzie zapewne wiecie o elektromagnetycznych impulsach znacznie więcej od nas.

- Nie znam się na technice - odparł Gordon. Natychmiast pożałował, że jego blef nie okazał się mniej skuteczny. Z chęcią dowiedziałby się więcej o tej sprawie.

Aage jednak wrócił do poprzedniego tematu.

- Jak już mówiłem, to tutaj wykonujemy większość zadań związanych z regeneracją sprzętu. To bardzo pracochłonne, ale gdy tylko uzyskamy dostęp do elektryczności na szerszą skalę i bardziej podstawowe potrzeby zostaną zaspokojone, planujemy ponowne zainstalowanie tych mikrokomputerów w dalej leżących wioskach, szkołach i warsztatach mechanicznych. To ambitny cel, ale Cyklop jest pewien, że możemy go zrealizować jeszcze za naszego życia.

Wypełniona półkami jaskinia przeszła w rozległą kondygnację fabryczną. Na suficie widniały długie szeregi świetlików, paliło się więc tu tylko niewiele świetlówek. Mimo to zewsząd dobiegało ciche brzęczenie urządzeń elektrycznych, a odziani w białe fartuchy technicy jeździli wózkami w różne strony, przewożąc sprzęt. Pod wszystkimi ścianami złożono w stosach daninę z okolicznych miasteczek i wiosek - zapłatę za dobroczynne przewodnictwo Cyklopa.

Codziennie dostarczano nową maszynę przeróżnych rodzajów oraz trochę żywności i ubrań dla ludzkich pomocników Cyklopa. Niemniej - sądząc z tego, co słyszał Gordon - nie stanowiło to zbyt wielkiego obciążenia dla mieszkańców doliny. Ostatecznie do czego mogłyby im się przydać stare urządzenia?

Nic dziwnego, że nikt nie uskarżał się na "tyranię maszyny". Cenę, której żądał superkomputer, łatwo było zapłacić. W zamian dolina otrzymywała własnego Salomona - a może także Mojżesza, który kiedyś wyprowadzi jej mieszkańców z tej pustyni. Wspomniawszy łagodny, mądry głos z tak dalekiej przeszłości, Gordon przyznał, że to dobry interes.

- Cyklop starannie zaplanował tę fazę okresu przejściowego - wyjaśnił Aage. - Widziałeś naszą małą linię montażową do budowy turbin wodnych i wiatrowych. - Pomagamy też miejscowym kowalom udoskonalać kuźnie, a farmerom planować zasiewy. Poza tym, rozdając dzieciom w dolinie stare, ręczne gry wideo, mamy nadzieję w właściwym czasie zainteresować je lepszymi rzeczami, takimi jak komputery.

Minęli stół, przy którym pracownicy o posiwiałych skroniach nachylali się nad błyskającymi światłami i ekranami lśniącymi komputerowym kodem. Gordonowi zakręciło się lekko w głowie od tego wszystkiego. Odniósł wrażenie, jakby przypadkiem natrafił na promienny, cudowny warsztat, w którym grupa gorliwych, sympatycznych gnomów z uwagą składała z powrotem w całość zdruzgotane marzenia.

Większość techników osiągnęła już bądź nawet minęła wiek średni. Gordonowi wydało się, że spieszo im, by dokonać tyle, ile tylko zdołają, nim ich wykształcone pokolenie odejdzie na zawsze.

- Oczywiście teraz, gdy nawiązaliśmy kontakt z Odrodzonymi Stanami Zjednoczonymi - ciągnął Peter Aage - możemy mieć nadzieję na szybsze postępy. Na przykład mógłbym ci podać długą listę części, których w żaden sposób nie możemy wyprodukować. Piekielnie ułatwiłyby nam zadanie. Osiem uncji części wystarczyłoby, by posunąć program Cyklopa naprzód o cztery lata, gdyby Saint Paul było w stanie dostarczyć nam to, czego potrzebujemy.

Gordon nie chciał spojrzeć rozmówcy w oczy. Pochylił się nad rozmontowanym komputerem, udając, że przygląda się jego skomplikowanemu wnętrzu.

- Niewiele wiem o takich sprawach - odparł przełykając ślinę. - Zresztą na wschodzie były inne problemy niż rozprowadzanie gier wideo.

Powiedział to po to, by nie kłamać więcej, niż musiał, lecz sługa Cyklopa pobladł, jakby go uderzono.

- Och, opowiadam głupstwa. Z pewnością musieli się tam uporać ze straszliwym promieniowaniem, epidemiami, głodem i holnistami... Tak, myślę, że tu, w Oregonie, mieliśmy masę szczęścia. Będziemy oczywiście musieli radzić sobie sami, dopóki reszta kraju nie będzie w stanie nam pomóc.

Gordon skinął głową. Każdy z mężczyzn mówił prawdę, lecz tylko jeden z nich wiedział, jak tragicznie zgodne z rzeczywistością były ich słowa.

Zapadła krępująca cisza. Gordon uciekł się do pierwszego pytania, które przyszło mu do głowy.

- A więc rozdajecie zabawki wyposażone w baterie jako swego rodzaju misjonarskie narzędzia?

Aage roześmiał się.

- Tak, to dzięki temu usłyszałeś o nas po raz pierwszy, prawda? Wiem, że to wydaje się prymitywne. Ale jest skuteczne. Chodź, przedstawię cię kierownikowi projektu. Jeśli istnieje prawdziwy relikw z dwudziestego wieku, to jest nim Dena Spurgen. Zrozumiesz, co mam na myśli, kiedy ją poznasz.

Poprowadził Gordona przez boczne drzwi, a potem korytarzem zapchanym stosami różności. Wreszcie dotarli do pomieszczenia, które sprawiało wrażenie, jakby wszystko w nim żyło, z uwagi na słabe brzęczenie elektrycznej maszynery.

Wszędzie widać było półki obwieszane przewodami, które wyglądały całkiem jak żywe, pnące się po ścianach pasemka bluszczu. Do tej plątaniny podłączono dziesiątki małych sześcianów i cylindrów. Mimo że upłynęło tyle lat, Gordon natychmiast rozpoznał najróżniejszego rodzaju doładowywalne baterie czerpiące energię z generatorów działających w Corvallis.

Na przeciwległym końcu długiego pomieszczenia trzy osoby w cywilnych ubraniach słuchały z uwagą czwartej, o długich włosach blond, ubranej w biały płaszcz z czarnym wzorem noszony przez sługi. Gordon zamrugał powiekami z zaskoczenia, gdy zauważył, że cała czwórka to młode kobiety.

- Powinienem cię uprzedzić - szepnął mu do ucha Aage. - Dena jest najmłodszą ze wszystkich sług Cyklopa, ale pod pewnym względem to eksponat muzealny. Prawdziwa, autentyczna, stuprocentowa feministka.

Aage uśmiechnął się. Wraz z upadkiem cywilizacji zniknęło tak wiele rzeczy. Istniały słowa, których dawniej używano powszechnie, a dzisiaj nigdzie się ich już nie słyszało. Zaintrygowany Gordon spojrzał na dziewczynę raz jeszcze.

Była wysoka, zwłaszcza jak na kobietę, która dorastała w tych czasach. Jako że była odwrócona tyłem, nie mógł wiele powiedzieć na temat jej wyglądu. Mówiła cichym, pewnym głosem do słuchających jej z uwagą młodych kobiet.

- Dlatego nie chcę, żebyś podczas następnej wyprawy podejmowała podobne ryzyko, Tracy. Czy mnie słyszysz? Musiałam przez rok wstrzymać oddech, grożąc sinicą, nim wywalczyłam dla nas ten przydział. Nieważne, że to logiczne rozwiązanie, bo mieszkańcy zapadłych wiosek czują się mniej zagrożeni, kiedy wysłannik jest kobietą. Cała logika na świecie na nic by się zdała, gdyby którejś z was coś się stało!

- Ależ, Deno - sprzeciwiła się niska brunetka wyglądająca na zahartowaną. - W Tillamook

słyszeli już o Cyklopie! To był jedynie szybki wypad z mojej rodzinnej wioski. Zresztą kiedy zabieram ze sobą Sama i Homera, tylko zmniejszają moje tempo...

- Nieważne! - przerwała wyższa kobieta. - Po prostu następnym razem weź ze sobą tych chłopaków. Mówię poważnie! Albo obiecuję ci, że błyskiem wyślę cię z powrotem do Beaverville uczyć w szkole i rodzić dzieciaki...

Przerwała nagle, gdy zauważyła, że jej asystentki przestały słuchać. Wpatrywały się w Gordona.

- Deno, chodź, poznasz inspektora - odezwał się Peter Aage. - Jestem pewien, że z chęcią zapoznałby się z punktem doładowywania baterii i posłuchał o twojej pracy... misjonarskiej.

- Prawdę mówiąc, musiałem cię jej przedstawić, bo inaczej groziłoby mi złamanie ręki. Uważaj na siebie, Gordon - szepnął półgębkiem z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Gdy kobieta się zbliżała, powiedział głośniej: - Mam kilka spraw do załatwienia. Wrócę niedługo, by zaprowadzić cię na spotkanie.

Gordon skinął głową oddalającemu się mężczyźnie. Kobiety gapiły się na niego tak, że czuł się całkiem jak nagi.

- To na razie wszystko, dziewczyny. Zobaczymy się jutro po południu, żeby zaplanować następny wypad.

Chciały się sprzeciwić jej poleceniu, o czym świadczyły ich błagalne spojrzenia, lecz gdy Dena potrząsnęła głową, wybiegły. Ich nieśmiałe uśmiechy i chichoty - gdy Gordon uchylił czapkę - kontrastowały z długimi nożami, które każda z nich miała u biodra i przy bucie.

Dopiero gdy Dena Spurgen uśmiechnęła się, wyciągając do Gordona rękę, zdał sobie sprawę, jak musi być młoda.

“Nie mogła mieć więcej niż sześć lat, gdy wybuchły bomby”.

Jej uścisk był równie zdecydowany jak zachowanie. Mimo to gładka dłoń pokryta zaledwie śladami stwardnień świadczyła o życiu spędzonym raczej wśród książek niż młockarni i pługów. Zielone oczy kobiety spotkały się z jego oczyma, szacując go otwarcie. Gordon zadał sobie pytanie, kiedy ostatnio spotkał kogoś takiego.

“W Minneapolis, na tym zwariowanym pierwszym roku college’u - nadeszła odpowiedź. Tylko wtedy to ona była starsza. Zdumiewające, że po tylu latach pamiętam jeszcze tę dziewczynę”.

Dena roześmiała się.

- Czy pozwolisz, bym ubiegła twoje pytanie? Tak, jestem młoda, jestem kobietą i brak mi właściwie kwalifikacji, by być pełnoprawnym sługą, a co dopiero kierować ważnym projektem.

- Wybacz mi - skinął głową - ale to właśnie sobie pomyślałem.

- Och, nie ma sprawy. I tak wszyscy nazywają mnie anachronizmem. Prawda brzmi tak, że byłam sierotą adoptowaną przez doktora Lazarensky’ego, doktora Taighera i pozostałych po tym, jak moi rodzice zginęli w rozruchach antytechnicznych. Od tego czasu rozpieszczano mnie straszliwie i nauczyłam się wykorzystywać w pełni swe przywileje. Z pewnością domyśliłeś się tego, podsłuchawszy, co miałam do powiedzenia moim dziewczynom.

Gordon uznał, że jej wygląd najlepiej można określić jako “przystojny”. Twarz mogła być nieco zbyt pociągła, a zuchwa zbyt wydatna. Gdy jednak Dena Spurgen śmiała się z siebie, tak jak teraz, jej oblicze jaśniało.

- Zresztą - dodała, wskazując na ścianę pełną przewodów i małych cylindrów - może nie jesteśmy w stanie kształcić nowych inżynierów, ale nie potrzeba zbyt wiele rozumu, by się nauczyć, jak napchać baterię elektronami.

Gordon roześmiał się.

- Jesteś niesprawiedliwa dla siebie. Sam musiałem powtarzać wstępny kurs fizyki. Zresztą

Cyklop na pewno wie, co robi, powierzając ci to zadanie.

Te słowa sprawiły, że jej twarz nabrała czerwonego odcienia. Dena zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Tak, pewnie masz rację.

“Skromność? - zastanowił się Gordon. Ta dziewczyna jest pełna niespodzianek. Tego bym się po niej nie spodziewał”.

- Do licha! Tak szybko. Peter już wraca - powiedziała znacznie ciszej.

Pojawił się Peter Aage, przebijając się przez zagracony korytarz. Gordon spojrzał na swój staromodny, mechaniczny zegarek. Jeden z techników naregulował go tak, że nie śpieszył się już pół minuty na godzinę.

- Nic dziwnego. Za dziesięć minut będzie moje spotkanie - zauważył. Ponownie uścisnęli sobie dłonie. - Ale mam nadzieję, że będziemy jeszcze mieli okazję porozmawiać, Deno.

Uśmiech wrócił jej na twarz.

- Możesz się o to założyć. Chcę zadać ci parę pytań na temat tego, jak wyglądało twoje życie w przedwojennych czasach.

“Nie o Odrodzone Stany Zjednoczone, ale o przedwojenne czasy. To nietypowe. A wobec tego, dlaczego mnie? Cóż mogę jej powiedzieć o zaginionym wieku, czego nie dowiedziałyby się od kogokolwiek, kto ma ponad trzydzieści pięć lat?”

Zaintrygowany ruszył za Peterem Aage'em przez ogromny magazyn w stronę wyjścia.

- Przepraszam, że tak cię pogania - odezwał się Aage - ale nie możemy się spóźnić. Z całą pewnością nie chcemy, żeby Cyklop nas zbeształ!

Uśmiechnął się, lecz Gordon miał wrażenie, że tylko w części był to żart. Uzbrojeni w karabiny strażnicy z białymi opaskami na ramionach skinęli im głowami, gdy wychodzili w światło skrytego za chmurami słońca.

- Mam nadzieję, że twoja rozmowa z Cyklopem pójdzie gładko, Gordon - oznajmił jego przewodnik. - Wszystkich nas oczywiście podekscytowała wiadomość, że ponownie nawiązaliśmy kontakt z resztą kraju. Jestem pewien, że Cyklop zgodzi się udzielić ci wszelkiej możliwej pomocy.

“Cyklop. - Gordon wrócił do rzeczywistości. Nie sposób tego odwlec. Nie wiem nawet, czy bardziej tego pragnę, czy bardziej się tego boję”.

Uzbroił się w męstwo, by odegrać swą rolę do końca. Nie miał wyboru.

- Moje uczucia są identyczne - zapewnił. - Chcę wam udzielić wszelkiej możliwej pomocy.

Mówił szczerze, z głębi serca.

Peter Aage odwrócił się, by poprowadzić go przez pięknie przystrzyżony trawnik ku Domowi Cyklopa. Przez chwilę Gordon był zaintrygowany. Czy był to wytwór jego wyobraźni, czy też naprawdę dostrzegł w oczach technika przelotny wyraz smutku i głębokiego poczucia winy?

7. CYKLOP

Hol Domu Cyklopa - dawnego Laboratorium Sztucznej Inteligencji Uniwersytetu Stanu Oregon - stanowił uderzające przypomnienie bardziej eleganckiej ery. Złoty, lekko tylko wystrzępiony dywan niedawno odkurzone. Jasny blask świetlówek odbijał się we wspaniałych meblach wyłożonego boazerią westybulu, w którym wieśniacy i dygnitarze z osad odległych niekiedy nawet o czterdzieści mil nerwowo skręcali w palcach petycje, oczekując na krótką rozmowę z wielką maszyną.

Wszyscy mieszczanie i farmerzy podnieśli się z miejsc, gdy ujrzeli Gordona. Kilku odważniejszych zbliżyło się, by z powagą zaoferować mu uścisk stwardniałych od pracy dłoni. W ich oczach, w ich cichych, pełnych szacunku głosach kryła się gorąca nadzieja i zachwyty. Gordon zamaskował myśli uśmiechem. Kiwał uprzejmie głową, żałując, że on i Aage nie mogą poczekać gdzie indziej.

Wreszcie ładna recepcjonistka uśmiechnęła się i wskazała im drzwi na końcu holu. W długim korytarzu wiodącym ku pokojowi spotkał Gordon i jego przewodnik natknęli się na dwóch mężczyzn. Jeden z nich był sługą Cyklopa w charakterystycznym białym płaszczu wyszywanym w czarne wzory. Drugi - obywatel ubrany w wyblakły, lecz starannie utrzymany przedwojenny garnitur wpatrywał się z zaszępiłą miną w długi wydruk.

- Nadal nie jestem pewien, czy to rozumiem, doktorze Grober. Czy Cyklop mówi, że powinniśmy wykopać studnię w pobliżu północnej kotliny, czy też nie? Jego odpowiedź nie jest zbyt jasna, jeśli mnie pan o to pyta.

- Posłuchaj, Herb. Wy tłumacz swoim ludziom, że zadaniem Cyklopa nie jest rozpracowywanie wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach. Może zawęzić zakres wyboru, ale nie potrafi podjąć za was ostatecznej decyzji.

Farmer szarpnął ciasny kołnierzyk.

- Jasne, wszyscy to wiedzą, ale dawniej dostawaliśmy od niego klarowniejsze odpowiedzi. Dlaczego tym razem nie może wypowiedzieć się bardziej jednoznacznie?

- No więc, Herb, po pierwsze upłynęło już przeszło dwadzieścia lat od ostatniej aktualizacji map geologicznych zawartych w jego pamięci. Zdajesz też sobie na pewno sprawę, że zbudowano go z myślą o współpracy z wysoko kwalifikowanymi ekspertami. Dlatego jest oczywiste, że mnóstwo jego wyjaśnień jest całkowicie niezrozumiałych... czasem nawet dla nas, nielicznych ocalałych uczonych.

- Tak, a... ale...

W tej chwili obywatel podniósł wzrok i dostrzegł zbliżającego się Gordona. Uniósł rękę, jakby miał zamiar zdjąć kapelusz, którego nie miał na głowie. Następnie otarł dłoń o nogawkę spodni i wyciągnął ją nerwowo w stronę Gordona.

- Jestem Herb Kalo ze Sciotown, panie inspektorze. To dla mnie wielki zaszczyt poznać pana.

Ściskając dłoń mężczyzny, Gordon wymamrotał uprzejme słowa. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu czuł się jak polityk.

- Tak, panie inspektorze. Zaszczyt! Mam szczerą nadzieję, że planuje nas pan odwiedzić w celu założenia poczty. Jeśli tak, mogę panu obiecać fetę, jakiej nigdy...

- Daj spokój, Herb - przerwał mu starszy technik. - Pan Krantz przyszedł tu na spotkanie z Cyklopem.

Popatrzył znacząco na elektroniczny zegarek.

Kalo zaczerwienił się i skinął głową.

- Proszę pamiętać o zaproszeniu, panie Krantz. Dobrze o pana zadbamy...

Wydawało się, że niemal się pokłonił, nim oddalił się korytarzem w stronę westybulu. Pozostali najwyraźniej tego nie zauważyli, lecz Gordon przez chwilę miał wrażenie, jakby jego policzki ogarnął ogień.

- Czekają na pana - przypomniał mu starszy technik, po czym poprowadził gości długim korytarzem.

Życie w głuszy sprawiło, że słuch Gordona stał się ostrzejszy niż zapewne sądziły te mieszcuchy. Usłyszawszy gdzieś przed sobą prowadzony szeptem spór - w chwili gdy wraz ze swymi przewodnikami zbliżał się do otwartych drzwi gabinetu - zwolnił celowo, udając, że chce stracić jakieś pyłki z munduru.

- Skąd mamy wiedzieć, czy te dokumenty, które nam pokazał, są prawdziwe? - pytał ktoś. - Fakt, że wszędzie miały pieczęcie, ale i tak wyglądały na dość prymitywne. A ta historyjka o laserach satelitarnych jest dla niego cholernie wygodna, jeśli mnie o to pytacie.

- Być może. Ale tłumaczy, dlaczego od piętnastu lat niczego nie złapaliśmy! - odparł inny głos. - A jeśli jest oszustem, to skąd się wzięły te listy, które przyniósł kurier? Elias Murphy z Albany otrzymał wiadomość od swej dawno zaginionej siostry, a George Seavers porzucił farmę w Greensbury, by pojechać do swej żony w Curtin. Przez wszystkie te lata myślał, że umarła!

- Nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie - wtrącił trzeci głos, najłagodniejszy. - Liczy się, że ludzie w to wierzą...

Peter Aage przyspieszył kroku i odchrząknął przy drzwiach. Gdy Gordon wszedł za nim do środka, zza polituwanego dębowego stołu stojącego w oświetlonym łagodnym blaskiem gabinecie wstali czterej mężczyźni i dwie kobiety, wszyscy ubrani na białło. Ludzie ci dawno już przekroczyli wiek średni.

Gordon uściśnął zebranych dłonie, ciesząc się, że zdążył ich poznać już wcześniej, gdyż w tych warunkach nie mógłby zapamiętać ich nazwisk. Starał się być uprzejmy, lecz jego spojrzenie wciąż wędrowało ku szerokiej szybie z grubego szkła, dzielącej pomieszczenie na dwie części.

Stół kończył się przy niej. Choć gabinet był słabo oświetlony, w dalszej części pomieszczenia było jeszcze ciemniej. Pojedynczy snop światła padał na migotliwą, opalizującą powierzchnię, przypominającą perłę lub księżyc na nocnym niebie.

Za pojedynczym, połyskującym, szarym obiektywem widniał ciemny cylinder. Rozbłyskiwały na nim dwa skomplikowane, falujące wzory słabych światel, które zdawały się nieustannie powtarzać. Coś w tych nawracających falach wstrząsnęło Gordonem do głębi... Nie potrafił dokładnie określić, dlaczego. Trudno mu było oderwać wzrok od szeregów mrugających punktów.

Maszynę spowijał delikatny obłok gęstej pary. Choć szkło było grube, Gordon odczuwał wrażenie lekkiego chłodu dobiegające z przeciwnego końca pomieszczenia.

Pierwszy sługa, doktor Edward Taigher, ujął go za ramię i skierował ku szklanemu oku.

- Cyklopie - zaczął - chciałbym, żebyś poznał pana Gordona Krantza. Przedłożył nam listy uwierzytelniające, z których wynika, że jest inspektorem pocztowym Stanów Zjednoczonych i przedstawicielem odrodzonej republiki.

- Panie Krantz, czy mogę przedstawić panu Cyklopa?

Gordon spojrział na perłowy obiektyw, na unoszące się w powietrzu mgły i migotliwe światła. Musiał opanować uczucie, że jest małym dzieckiem, które posunęło się stanowczo zbyt daleko w swych kłamstwach.

- Bardzo się cieszę z naszego spotkania, Gordonie. Usiądź, proszę.

Łagodny głos miał doskonale ludzką barwę. Dobiegał z głośnika ustawionego na końcu dębowego stołu. Gordon usiadł na wyściełanym krześle, które podsunął mu Peter Aage. Nastąpiła przerwa. Po chwili Cyklop przemówił raz jeszcze.

- Wieści, które przynosisz, są radosne, Gordonie. Po wszystkich tych latach, w ciągu których opiekowałem się mieszkańcami dolnego Willamette, wydają się niemal zbyt piękne, by mogły być prawdziwe.

Doszło do kolejnej krótkiej pauzy.

- Dużo radości sprawiała mi współpraca z moimi przyjaciółmi, którzy uparcie nazywają siebie "sługami". Było to też jednak niełatwe. Czuję się samotny, wyobrażając sobie, że reszta świata leży w gruzach. Powiedz mi, proszę, Gordonie, czy na wschodzie ocalał któryś z moich braci?

Zamrugnął powiekami. Odzyskawszy głos, potrząsnął głową.

- Nie, Cyklopie. Bardzo mi przykro. Żadna z pozostałych wielkich maszyn nie przetrwała katastrofy. Obawiam się, że jesteś ostatnim żywym przedstawicielem swego gatunku.

Choć żałował, że musi przekazać tę wiadomość, miał nadzieję, że fakt, iż może zacząć od powiedzenia prawdy, stanowi dobry znak.

Cyklop milczał przez długą chwilę. Z pewnością był to tylko wytwór wyobraźni Gordona, lecz wydało mu się, że usłyszał ciche westchnienie, niemal przypominające łkanie.

Podczas tej przerwy w rozmowie symetryczne wzory maleńkich świateł widoczne pod obiektywem nie przestawały mrugać, całkiem jakby raz za razem nadawały sygnał w jakimś tajemnym języku. Gordon wiedział, że nie może przestać mówić, gdyż w przeciwnym razie zatraci się w tym hipnotycznym obrazie.

- Hm, tak naprawdę, Cyklopie, większość wielkich komputerów zginęła już w pierwszych sekundach wojny. No wiesz, impulsy elektromagnetyczne. Nie mogę nie zadawać sobie pytania, jak ty im się oparłeś.

Wydawało się, że maszyna - podobnie jak Gordon - wyrwała się ze smutnej kontemplacji, aby udzielić odpowiedzi.

- To celne pytanie. Wygląda na to, że moje ocalenie było skutkiem szczęśliwego zbiegu okoliczności. Widzisz, gdy wybuchła wojna, mieliśmy tu, na oregońskim uniwersytecie, dzień wizyt. W chwili emisji impulsów przebywałem akurat w mojej klatce Faradaya, na publicznym pokazie. Widzisz więc...

Choć Gordon był zainteresowany opowieścią Cyklopa, poczuł przelotne poczucie triumfu. Przejął inicjatywę w tej rozmowie. To on zadawał pytania, tak jak robiłby to "inspektor federalny". Spojrzał na pełne szacunku twarze sług i zrozumiał, że odniósł niewielkie zwycięstwo. Traktowali go rzeczywiście bardzo poważnie.

Może jednak mu się uda.

Mimo to nadal unikał patrzenia na falujące światła. Wkrótce poczuł też, że zaczyna się pocić, mimo chłodu bijącego od znajdującej się tuż obok superzimnej szyby.

8.

Po czterech dniach spotkania i negocjacje dobiegły końca. I oto nim zdążył naprawdę się przygotować, znowu nadszedł czas odjazdu. Peter Aage towarzyszył Gordonowi, pomagając mu nieść dwie lekkie sakwy do stajni, gdzie oporzędzano jego wierzchowce.

- Przepraszam cię, że to trwało tak długo, Gordonie. Wiem, jak ci pilno do organizowania sieci pocztowej. Cyklop chciał tylko przygotować odpowiedni plan podróży, który pozwoliłby ci na

najefektywniejsze spenetrowanie północnego Oregonu.

- Nic nie szkodzi, Peter - Gordon wzruszył ramionami z udawaną obojętnością. - Zwłoka nie była taka zła. Doceniam też waszą pomoc.

Przez pewien czas szli w milczeniu. Gordon skrywał swe pogrążone w chaosie myśli. "Gdyby tylko Peter wiedział, jak bardzo chciałbym tu zostać. Gdyby tylko istniał sposób..."

Przyzwyczał się do prostych wygod położonego naprzeciwko Domu Cyklopa pokoju gościnnego, obfitych i smacznych posiłków w kantine, imponującej biblioteki pełnej dobrze utrzymanych książek. Być może najbardziej ze wszystkiego będzie mu brak elektrycznej lampy przy łóżku. Przez ostatnie cztery noce czytał przed snem. Ten nawyk z lat młodości szybko przebudził się po długim uśpieniu.

Dwóch strażników w brunatnych kurtkach uchyliło kapeluszy, gdy Gordon i Aage wyszli zza narożnika Domu Cyklopa i ruszyli przez otwartą przestrzeń ku stajniom.

Czekając, aż Cyklop przygotuje dla niego plan podróży, Gordon zwiedzał otaczające Corvallis tereny. Rozmawiał z wieloma ludźmi o naukowym rolnictwie, prostym, lecz zaawansowanym technicznie rzemiośle oraz o teorii, na której opierała się luźna konfederacja stanowiąca podstawę pokoju Cyklopa. Tajemnica doliny była prosta. Nikt nie chciał walczyć, jeśli miałyby to oznaczać pozbawienie praw do rogu obfitości pełnego cudów, których nadejście któregoś dnia obiecywała wielka maszyna.

Szczególnie jednak utkwiła mu w pamięci jedna rozmowa. Odbył ją ostatniej nocy z najmłodszą ze służ Cyklopa, Deną Spurgen.

Zatrzymała go do późna przy kominku w kantine. Towarzyszyły jej dwie emisariuszki. Wlewała w niego jedną filiżankę herbaty za drugą, aż wreszcie zaczął się przelewać. Zawracała mu głowę pytaniami o jego życie przed wojną zagłady i po niej.

Gordon opanował już wiele sztuczek pozwalających unikać zbyt szczegółowych odpowiedzi na temat "Odrodzonych Stanów Zjednoczonych", lecz przed podobnym maglowaniem nie miał żadnej obrony. Dena sprawiała wrażenie znacznie mniej zainteresowanej tym, co podniecało wszystkich pozostałych - nawiązaniem kontaktu z "resztą kraju". Było oczywiste, że ten proces potrwa dziesięciolecia.

Nie, chciała dowiedzieć się czegoś o świecie, zanim spadły bomby i potem. Szczególnie fascynował ją straszny, tragiczny rok, który Gordon spędził z porucznikiem Vanem i jego plutonem milicji. Pytała o każdego człowieka z oddziału, jego wady i słabostki oraz odwagę - lub upór - który kazał mu kontynuować walkę jeszcze długo po przegranej.

Nie... nie przegrana. Gordon akurat na czas przypomniał sobie, że musi wymyślić szczęśliwe zakończenie historii o bitwie w okręgu Meeker. Kawaleria przybyła. Spichlerze w ostatniej chwili uratowano. Zginęli wspaniali ludzie - nie oszczędził jej żadnych szczegółów agonii Tiny'ego Kielre'a, czy bohaterskiej śmierci Drew Simmsa - lecz w jego wersji ich walka nie była daremna.

Zrelacjonował to tak, jak powinno się było skończyć. Odczuł, że pragnie tego z intensywnością, która go zaskoczyła. Kobiety słuchały z wytężoną uwagą, całkiem jakby była to wspaniała opowieść przed snem. Albo dane o krytycznym znaczeniu, z których rankiem miano je przepytąć.

"Chciałbym wiedzieć, co dokładnie słyszały. Co starały się odnaleźć w mojej małej, pełnej brudów historyjce".

Być może powodem był fakt, że dolne Willamette tak długo cieszyło się pokojem. Dena chciała jednak również usłyszeć o najgorszych ludziach, jakich spotykał... wszystko, co wiedział o rabusiach, hipersurwiwalistach i holnistach.

"Rak toczący od środka renesans końca stulecia... Mam nadzieję, że płoniesz w piekle, Nathanie

Holn”.

Nie przestała zadawać pytań nawet wtedy, gdy Tracy i Mary Ann zasnęły już przy kominku. W normalnych warunkach podnieciłaby go bliskość i pełna podziwu uwaga atrakcyjnej kobiety. Nie było z nią jednak tak, jak z Abby w Pine View. Dena z pewnością nie sprawiała wrażenia zainteresowanej nim pod tym względem. Po prostu wyglądało na to, że on znacznie bardziej obchodzi ją jako źródło informacji, a ponieważ miał tu spędzić tylko kilka dni, bez najmniejszego wahania starała się wykorzystać ten czas jak najlepiej.

Tak naprawdę Gordonowi wydała się przytłaczająca, a może nawet bliska obsesji. Wiedział jednak, że będzie nieszczęśliwa, gdy odjedzie.

Zapewne tylko ona. Gordon odnosił wrażenie, że większość sług Cyklopa z radością uwolni się od niego. Wydawało się, że nawet Peter Aage poczuje ulgę.

“To oczywiście skutek mojej roli. Czują się z jej powodu niepewnie. Być może w głębi ducha wyczuwają pewien fałsz. Nie mógłbym właściwie mieć o to do nich pretensji”.

Jeśli nawet większość techników uwierzyła w jego opowieść, mieli niewiele powodów, by kochać przedstawiciela odległego “rządu”, który z pewnością - wcześniej czy później - zechce się wtrącać w to, czego budowa zajęła im tak wiele czasu. Mówili, że gorąco pragną nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym. Gordon jednak wyczuwał, że wielu z nich uważało, iż będzie to w najlepszym razie niepożądana ingerencja.

Rzecz jasna tak naprawdę nie mieli powodu do obaw.

Gordon nadal nie był pewien opinii samego Cyklopa. Wielka maszyna, która wzięła na siebie odpowiedzialność za całą dolinę, była podczas ich ostatnich rozmów raczej ostrożna i pełna rezerwy. Nie było żadnych żartów czy pomysłowych kalamburów, lecz tylko uprzejma, zagmatwana powaga. Ten chłód rozczarowywał, jeśli się pamiętało pewien przedwojenny dzień w Minneapolis...

Oczywiście jego wspomnienie o tamtym superkomputerze mógł zabarwić upływ czasu. Cyklop i jego słudzy osiągnęli tu tak wiele. Nie miał prawa ich osądzać.

Gdy mijali skupisko wypalonych budynków, rozejrzał się wokół.

- Wygląda na to, że kiedyś toczono tu zacięte walki - powiedział.

Peter zmarszczył brwi, usiłując przywołać wspomnienia.

- Odparliśmy tutaj, przy starej elektrowni, atak tłumu podczas jednej z fal antytechnicznych zamieszek. Widać jeszcze stopione transformatory i resztki awaryjnego generatora. Po tym, jak wszystko wysadzili, musieliśmy się przestawić na energię wiatru i wody.

Poczerniałe szczątki przetworników mocy spoczywały jeszcze w zwęglonych stosach tam, gdzie technicy i uczeni walczyli rozpaczliwie o ocalenie dzieła swego życia. Przypomniało to Gordonowi o drugiej sprawie, która nie dawała mu spokoju.

- Powinniście więcej zrobić w sprawie możliwej inwazji surwiwalistów, Peter. Jeśli dobrze zrozumiałem tych zwiadowców, inwazja może nastąpić w każdej chwili.

- Ale sam przyznajesz, że podsłuchałeś tylko urywki rozmowy, które mogłeś źle zinterpretować - Aage wzruszył ramionami. - Oczywiście wzmocnimy patrole, gdy tylko będziemy mieli okazję sformułować plany i omówić jeszcze sprawę. Nie możesz jednak zapominać, że Cyklop musi dbać o własną wiarygodność. Od dziesięciu lat nie było powszechnej mobilizacji. Gdyby ją zarządził, a potem okazałoby się, że to fałszywy alarm... - Nie wypowiedział na głos implikacji.

Gordon wiedział, że przywódcy wiosek powątpiewali w jego opowieść. Nie chcieli odrywać ludzi od drugiego zasiewu. Do tego Cyklop wyraził wątpliwość, czy bandy holnistów mogłyby się zorganizować na tyle, by dokonać większego uderzenia na cel odległy o kilkaset mil od ich siedzib. To po prostu sprzeczne z mentalnością hipersurwiwalistów - tłumaczyła wielka maszyna.

Gordon musiał na koniec uwierzyć Cyklopowi na słowo. Ostatecznie jego nadprzewodzące banki pamięci miały dostęp do każdego tekstu z dziedziny psychologii, jaki kiedykolwiek napisano, a także wszystkich dzieł samego Holna.

Być może zwiadowcy znad Rogue River wyruszyli tylko na pomniejszy wypad i rzucali wielkie słowa, by dodać sobie animuszu.

Być może.

“Cóż, jesteśmy na miejscu”.

Stajenni wzięli jego torby zawierające trochę osobistego dobytku oraz trzy książki wypożyczone z miejscowej biblioteki. Osiodłali już jego nowego wierzchowca, wspaniałego, silnego wałacha. Wielka, spokojna klacz niosła zapasy oraz dwa worki wypchane pełną nadziei korespondencją. Byłoby cudem, gdyby żył jeszcze choć jeden na pięćdziesięciu adresatów. Niemniej dla tych nielicznych nawet jeden list mógł znaczyć wiele i rozpocząć długi, powolny proces ponownego nawiązywania kontaktu.

Być może jego rola przyniesie jednak coś dobrego - przynajmniej tyle, by zrównoważyć kłamstwo...

Dosiadł wałacha. Poklepywał narowiste zwierzę i przemawiał do niego, aż się uspokoiło. Peter wyciągnął rękę.

- Zobaczymy się za trzy miesiące, kiedy będziesz wracał na wschód.

“Niemal dokładnie to samo powiedziała Dena Spurgen. Może nawet wrócę szybciej, jeśli zdobędę się na odwagę, by wyznać wam wszystkim prawdę”.

- Cyklop obiecuje, że do tej pory przygotowuje już dla twoich przełożonych wyczerpujący raport o warunkach panujących w północnym Oregonie.

Aage ścisnął jeszcze przez chwilę jego dłoń. Gordon ponownie poczuł zdziwienie. Jego rozmówca sprawiał wrażenie, jakby z jakiegoś powodu był nieszczęśliwy. Z powodu, o którym nie mógł nic powiedzieć.

- Życzę powodzenia w twojej wartościowej pracy, Gordon - powiedział z powagą. - Jeśli będę ci kiedyś mógł w czymś pomóc, w czymkolwiek, musisz mnie tylko o tym powiadomić.

Gordon skinął głową. Dzięki Bogu, nie trzeba już było więcej słów. Trącił wałacha i skierował go na wiodącą na północ drogę. Juczna klacz podążyła tuż za nim.

9. BUENA VISTA

Słudzy Cyklopa twierdzili, że na północ od Corvallis autostrada międzystanowa jest zniszczona i niebezpieczna, Gordon wyruszył więc okręgową drogą biegnącą równoległe do niej niedaleko na zachód. Gruz i wyboje sprawiały, że posuwał się naprzód powoli. Był zmuszony zjeść obiad w ruinach miasteczka Buena Vista.

Było jeszcze wczesne popołudnie, lecz zbierały się chmury, a nad pokrytymi gruzem ulicami unosiły się poszarpane strzępy mgły. Tak się złożyło, że był to dzień, w którym farmerzy urządzali targ w parku położonym w centrum nie zamieszkanego miasteczka. Gordon pogawędził z nimi trochę, przeżuając wydobyty z sakwy chleb z serem.

- Z tą międzystanową jest wszystko w porządku - powiedział mu jeden z tubylców, potrząsając głową. - Te profesory chyba rzadko tędy jeżdżą. To nie wychudzeni wędrowcy, jak pan, panie Krantz. Pewnikiem jakiś drucik im się przepalił we łbie od tego myślenia.

Farmer zachichotał z własnego dowcipu.

Gordon nie wspomniał, że plan jego podróży przygotował sam Cyklop. Podziękował wieśniakowi i wrócił do swych sakw, by wyciągnąć mapę, którą mu dano.

Pokrywał ją imponujący zestaw grafiki komputerowej, pięknych symboli znaczących trasę, którą powinien podążać, by ustanowić sieć pocztową w północnym Oregonie. Powiedziano mu, że marszrutę wytyczono tak, by najefektywniej pozwoliła uniknąć niebezpieczeństw, takich jak tereny, na których panowało bezprawie, czy pas radioaktywności w pobliżu Portland.

Gordon pogłaskał się po brodzie. Im dłużej przyglądał się mapie, tym bardziej się dziwił. Cyklop musiał wiedzieć, co robi. Niemniej jednak kręta trasa w najmniejszym stopniu nie wydawała się efektywna.

Mimo woli zaczął podejrzewać, że zaprojektowano ją z myślą o tym, by jak najdalej zboczył z drogi. Żeby zmarnować jego czas, zamiast go zaoszczędzić.

Dlaczego jednak Cyklop miałby robić coś takiego?

Niemożliwe, by supermaszyna bała się jego ingerencji. Gordon wypracował już odpowiedni ton pozwalający uspokoić takie obawy... podkreślał, że "Odrodzone Stany Zjednoczone" nie mają zamiaru wtrącać się w lokalne sprawy. Odniósł wrażenie, że Cyklop mu uwierzył.

Gordon opuścił mapę. Pogoda się psuła. Chmury obniżyły się, skrywając dachy zniszczonych budynków. Wzdłuż pokrytej pyłem ulicy płynęły strzępy mgły. Pomiędzy nim a ocalałą szybą wystawową przemknęły porywiste wiry powietrzne. Przywołało to nagle żywe wspomnienie innych szyb, widzianych przez rozproszone, załamujące światło kropelki.

"Trupia główka... uśmiechnięty listonosz, oblicze szkieletu nałożone na moją twarz".

Zadrżał na skutek następnego wspomnienia. Kosmyki mgły sprawiły, że pomyślał o superzimnej parze - własnym odbiciu w chłodnej szklanej ścianie podczas spotkania z Cyklopem w Corvallis - oraz dziwnym wrażeniu, jakie odniósł, obserwując szeregi małych, mrugających światełek powtarzających raz za razem ten sam falujący wzór...

Powtarzających...

Nagle wzdłuż kręgosłupa Gordona przebiegł straszliwy chłód.

- Nie - wyszeptał. - Proszę cię, Boże.

Zamknął oczy. Poczł niemal przemożną potrzebę, by przestawić swe myśli na inny tor, pomyśleć o pogodzie, dokuczliwej Denie albo małej, ładnej Abby z Pine View. O czymkolwiek, byle nie...

- Ale kto zrobiłby coś takiego? - zaprotestował głośno. - Dlaczego mieliby tak postąpić?

Choć z niechęcią, zdał sobie sprawę, że zna powód. Był ekspertem od najważniejszego powodu, dla którego ludzie kłamali.

Przypomniawszy sobie poczerniałe szczątki za Domem Cyklopa, zaczął się natychmiast zastanawiać, w jaki sposób technicy mogliby dokonać tego, co według własnych słów zrobili. Upłynęły już niemal dwa dziesięciolecia, odkąd ostatnio myślał o fizyce i o tym, co może, a czego nie może osiągnąć technika. Lata, które minęły od tego czasu, wypełniała walka o przetrwanie oraz uporczywe marzenia o cudownym miejscu odrodzenia. Nie potrafił określić, co jest, a co nie jest możliwe. Musiał się jednak przekonać, czyjego szalone podejrzenie było zgodne z prawdą. Nie zaśnie, dopóki się nie upewni.

- Przepraszam pana! - zawołał do jednego z farmerów. Zagadnięty obdarzył go szczerbatym uśmiechem i podszedł, kuśtykając.

- Co mogę dla pana zrobić, panie inspektorze? - zapytał, zdejmując kapelusz.

Gordon wskazał punkt na mapie, oddalony w linii powietrznej nie dalej niż dziesięć mil od Buena Vista.

- To Sciotown. Czy zna pan do niego drogę?

- Jasna sprawa, szefie. Jeśli się pan pośpieszy, dojedzie pan tam dziś w nocy.

- Pośpieszę się - zapewnił go Gordon. - Może się pan założyć o własny tyłek, że się pośpieszę.

10. SCIOTOWN

- Za chwilę, do diabła! Już idę! - krzyknął burmistrz Sciotown. Uporczywe pukanie do drzwi nie chciało ucichnąć.

Herb Kalo ostrożnie uniósł nową lampę naftową wykonaną w komunie rzemieślników, która mieściła się pięć mil na zachód od Corvallis. Wymienił niedawno dwieście funtów najlepszych wyrobów garncarskich ze Sciotown na dwadzieścia tych znakomitych lamp oraz trzy tysiące zapalek z Albany. Był pewien, że ta transakcja jesienią zapewni mu ponowny wybór.

Pukanie stało się głośniejsze.

- No dobra! Lepiej, żeby to było cholernie ważne!

Odsunął rygiel i otworzył drzwi.

Był to Douglas Kee, człowiek, który pełnił akurat nocną straż przy bramie. Kalo zamrugał powiekami.

- Czy coś się stało, Doug? W czym...

- Jeden facet chce się z tobą widzieć, Herb - przerwał mu strażnik. - Nie wpuściłbym go po capstrzyku, ale opowiadałeś nam o nim, kiedy wróciłeś z Corvallis, i nie chciałem, żeby stał na deszczu.

Z ociekającego wodą mroku wynurzył się wysoki mężczyzna w nieprzemakalnym ponczo. Błyszcząca odznaka na jego czapce zaślniła w świetle lampy. Wyciągnął rękę.

- Panie burmistrzu, cieszę się, że znów pana widzę. Czy moglibyśmy porozmawiać?

11. CORVALLIS

Gordon nie spodziewał się, że odrzuci kiedykolwiek propozycję noclegu i gorącego posiłku, by pogalopować w deszczową noc, lecz tym razem nie miał wyboru. Zażądał najlepszego wierzchowca w stajniach Sciotown, lecz gdyby musiał, przebiegłby całą drogę na piechotę.

Żrebica poruszała się pewnie po starej okręgowej drodze, zmierzając w stronę Corvallis. Była odważna. Biegła klusem z maksymalną szybkością, jaką Gordon uważał za jeszcze w miarę bezpieczną w ciemności. Na szczęście bliski pełni księżyc rozświetlał strzępiaste, pełne dziur chmury nad ich głowami, rzucając na spustoszoną okolicę bladą poświatę.

Gordon obawiał się, że przyprawił burmistrza Sciotown o całkowitą dezorientację już w chwili, gdy wszedł do jego domu. Nie marnując czasu na uprzejmości, przeszedł od razu do rzeczy, każąc Herbowi Kalo pognać do gabinetu po równo złożoną harmonijkę papieru.

Gordon zbliżył wydruk do lampy i - gdy Kalo się przyglądał, przestudiował z uwagą wszystkie linijki tekstu.

- Ile kosztowała pana ta porada, panie burmistrzu? - zapytał, nie podnosząc wzroku.

- Bardzo mało, inspektorze - odparł tamten nerwowo. - Cyklop obniża ceny, odkąd więcej wiosek przystąpiło do paktu handlowego. Dostaliśmy też rabat, bo rada była trochę niejasna.

- Ile? - nie ustępował Gordon.

- Hmm, proszę bardzo. Znaleźliśmy około dziesięciu tych starych, ręcznych gier wideo i do tego jakieś pięćdziesiąt doładowywalnych baterii, z których może dziesięć nadawało się do użytku. Aha, i jeszcze domowy komputer, który nie był za mocno przerdzewiały.

Gordon podejrzewał, że mieszkańcy Sciotown mieli w rzeczywistości znacznie więcej starego sprzętu, który przechowywali z myślą o przyszłych transakcjach. Tak właśnie sam by postąpił.

- I co jeszcze, panie burmistrzu?

- Słucham?

- Pytanie jest wystarczająco jasne - odparł surowym tonem Gordon. - Co jeszcze daliście?

- Ależ nic - Kalo wyglądał na zdezorientowanego. - Chyba żeby wliczyć wóz żywności i wyrobów garncarskich dla sług. Ale to prawie bezwartościowe w porównaniu z całą resztą. Dodajemy takie rzeczy tylko po to, żeby pomagający Cyklopowi uczeni mieli co jeść.

Gordon dyszał ciężko. Jego tętno za nic nie chciało zwolnić. Wszystko się zgadzało. Miał rozdarte serce.

Z mozołem zaczął odczytywać na głos fragmenty komputerowego wydruku:

- ...rozpoczynający się wyciek z granic płyt tektonicznych... zmienność retencji wód gruntowych...

Słowa, których nie widział - i o których nie myślał - od siedemnastu lat, wypływały z jego ust. Smakowały jak dawne, wspomniane z czułością delikatesy.

- ...wariacje proporcji odnowy formacji wodonośnych... jedynie próbna analiza, z uwagi na teleologiczną niepewność...

- Chyba się pokapowaliśmy, o co chodzi Cyklopowi - odezwał się Kalo. - Jak zacznie się susza, zaczniemy kopać w dwóch najlepszych miejscach. Oczywiście, jeśli źle zinterpretowaliśmy jego radę, to będzie nasza wina. Poprobujemy raz jeszcze, w innych punktach, o których wspominał...

Głos burmistrza ucichł, gdyż inspektor stał całkiem bez ruchu, wpatrując się w pustą przestrzeń.

- Delfy - wydyszał Gordon, tylko odrobinę głośniejszy od szeptu. Potem zaczęła się pośpieszna jazda przez noc.

Lata spędzone w głuszy wzmocniły Gordona, podczas gdy mieszkańców Corvallis rozpieszczał dobrobyt. Niemal śmiesznie łatwo przyszło mu prześliznąć się obok posterunków wystawionych na granicy miasta. Udał się pustymi bocznymi uliczkami na campus oregońskiego uniwersytetu, a stamtąd do dawno opuszczonej Auli Morelanda. Poświęcił dziesięć minut na wytarcie mokrej kłaczy i napełnienie obrokiem jej worka. Chciał, by zwierzę było gotowe na wypadek, gdyby szybko go potrzebował.

Pozostał mu tylko krótki bieg przez mżawkę do Domu Cyklopa. Gdy był już blisko, sam sobie kazał zwolnić, choć rozpaczliwie pragnął mieć to wreszcie za sobą.

Skrył się za ruinami starej siłowni, gdyż obok przechodziło dwóch strażników skulonych pod ponczami i z karabinami osłoniętymi przed deszczem. Gdy tak przykucnął za wypalonymi gruzami, wilgoć sprawiła, że poczuł - po wszystkich tych latach - woń spalenizny bijącą od poczerńiałych belek i stopionych przewodów.

Co takiego powiedział Peter Aage o tamtych szalonych dniach, gdy władza upadała i trwały zamieszki? Mówił, że po spaleniu tego budynku przestawili się na energię wiatru i wody.

Gordon nie wątpił, że udałoby się im, gdyby zrobili to na czas. Czy jednak było to możliwe?

Gdy strażnicy oddalili się, pognął ku bocznemu wejściu do Domu Cyklopa. Posługując się łomem, który przyniósł w tym celu, jednym gwałtownym ruchem wyłamał kłódkę. Wsłuchiwał się przez długą chwilę, a gdy nikt się nie pojawił, wśliznął się do środka.

Tylne pomieszczenia Laboratorium Sztucznej Inteligencji Uniwersytetu Stanu Oregon były brudniejsze od tych, do których dopuszczano interesantów. Półki pełne zapomnianych taśm komputerowych, książek i papierów pokrywała gruba warstwa kurzu. Gordon posuwał się ku głównemu korytarzowi. Dwukrotnie omal nie potknął się w ciemności o gruz. Gdy ktoś przechodził, pogwizdując, skrył się za dwuskrzydłowymi drzwiami. Potem podniósł się i wyjrzał przez szczelinę.

Obok drzwi znajdujących się nieco dalej w korytarzu zatrzymał się mężczyzna w grubych rękawiczkach i czarno-białym stroju sługi. Postawił na podłodze poobijane, styropianowe pudło o grubych ściankach.

- Hej, Elmer! - Mężczyzna zapukał w drzwi. - Przyniosłem kolejny transport suchego lodu dla naszego pana i władcy. No jazda, szybciej! Cyklop musi jeść!

“Suchy lód” - zauważył Gordon. Spod popękanej pokrywy wyposażonego w izolację pojemnika wydobywała się gęsta para.

Drugi głos tłumili drzwi.

- Do licha, nie ma pośpiechu. Cyklopowi nie zaszkodzi, jak poczeka jeszcze minutkę czy dwie.

Wreszcie drzwi otworzyły się i na korytarz wypłynęło światło. Towarzyszył mu ostry rytm starego rockandrollowego nagrania.

- Co cię zatrzymało?

- Gra! Doszedłem do stu tysięcy w “Dowództwie Pocisków Balistycznych” i nie chciałem przerywać...

Zamykające się drzwi położyły kres fanfaronadzie Elmera. Gordon precyzyjnie przesunął się przez kołyszące się dwuskrzydłowe drzwi i pognął wzdłuż korytarza. Po chwili dotarł do następnego pokoju. Wejście do niego było lekko uchylone. W szparze jaśniało światło. Słysząc było dźwięki nocnej dyskusji. Gordon zatrzymał się; rozpoznawał niektóre z głosów.

- Nadal uważam, że powinniśmy go zabić - powiedział ktoś - jak się wydawało, doktor Grober.

- Ten facet może zniszczyć wszystko, co tu zbudowaliśmy.

- Och, wyolbrzymiasz niebezpieczeństwo, Nick. Nie sądzę, by był wielkim zagrożeniem - to był głos najstarszej ze służ-kobiet. Nie pamiętał nawet jej nazwiska. - Wydawał się przejęty rolą i nieszkodliwy - stwierdziła.

- Tak? A czy słyszałaś pytania, jakie zadawał Cyklopowi? To nie jest jeden z tych kmiotków, którymi stali się po całym tym czasie nasi przeciętni obywatele. Facet jest bystry! Do tego pamięta diabelnie dużo z dawnych dni!

- No to co? Może powinniśmy spróbować go zwerbować.

- Nic z tego! Każdy widzi, że to idealista. Nigdy by się nie zgodził. Nasza jedyna szansa to go zabić. Natychmiast! I mieć nadzieję, że upłyną lata, nim wyślą na jego miejsce kogoś innego.

- A ja nadal uważam, że zwariowałaś - odparła kobieta. - Gdyby sprawa kiedykolwiek się wydała, konsekwencje byłyby katastrofalne!

- Zgadza się z Marjorie. - To był głos samego doktora Taighera. - Nie tylko zwróciliby się przeciwko nam ludzie - nasi ludzie, z Oregonu - lecz gdyby sprawę wykryto, groziłaby nam zemsta reszty kraju.

Nastąpiła długa przerwa.

- Nadal nie jestem przekonany, czy on naprawdę jest...

Groberowi jednak przerwano. Tym razem był to łagodny głos Petera Aage'a.

- Czy wszyscy zapomnieliście o najważniejszym powodzie, dla którego nikt nie powinien go tknąć ani w żaden sposób mu przeszkodzić?

- A mianowicie?

Głos Petera był ściszony.

- Dobry Boże, człowieku. Czy nie pomyślałeś o tym, kim jest ten facet? I co sobą reprezentuje? Jak nisko upadliśmy, że w ogóle myślimy o wyrządzeniu mu krzywdy, podczas gdy w rzeczywistości jesteśmy mu winni lojalność i wszelką pomoc, jakiej tylko możemy mu udzielić!

- Nie jesteś obiektywny dlatego, że uratował twojego bratanka, Peter - odpowiedział tamten bez przekonania.

- Być może. A może chodzi o to, co ma o nim do powiedzenia Dena.

- Dena! - Grober prychnął pogardliwie. - Zadurzony dzieciak o zwariowanych poglądach.

- Niech będzie. Ale nawet jeśli i w tym przyznam ci rację, pozostają jeszcze flagi.

- Flagi? - Tym razem w głosie doktora Taighera dało się słyszeć zdziwienie. - Jakie flagi?

- Peter mówi o flagach, które wywieszali tubylcy we wszystkich okolicznych okręgach - odparła kobieta melancholijnym głosem. - No wiesz, amerykańskie. Gwiazdy i paski. Powinieneś więcej wychodzić na dwór, Ed. Zorientować się, co myślą ludzie. Nigdy nie widziałam, by coś tak poruszyło tych wieśniaków. Nawet przed wojną.

Ponownie zapadła długa cisza. Wreszcie ktoś się odezwał.

- Ciekawe, co myśli o tym wszystkim Joseph - powiedział cicho Grober.

Gordon zmarszczył brwi. Rozpoznał wszystkie dobiegające ze środka głosy jako należące do starszych rangą służ Cyclopa. Nie przypominał sobie jednak, by przedstawiano go komuś imieniem Joseph.

- Chyba położył się dziś wcześniej spać - odparł Taigher. - Ja zamierzam zrobić to samo. Przedyskutujemy to później, gdy będziemy mogli podejść do sprawy racjonalnie.

Gordon uciekł korytarzem, gdy kroki zbliżyły się do drzwi. Nie miał nic przeciwko temu, żeby opuścić miejsce, w którym podsłuchiwał. Opinia przebywających w pokoju ludzi nie miała zresztą znaczenia. Najmniejszego znaczenia.

Istniał tylko jeden głos, który chciał w tej chwili usłyszeć. Skierował się prosto tam, gdzie

słyszał go po raz ostatni.

Wypadł zza rogu i znalazł się w elegancko wykończonym korytarzu, w którym po raz pierwszy spotkał Herba Kalo. Panował tam teraz półmrok, lecz nie przeszkodziło mu to w otwarciu wytrychem drzwi od gabinetu. Dokonał tego zadziwiająco łatwo. Czując suchość w ustach, wśliznął się do pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. Ruszył naprzód, powstrzymując się, żeby nie stąpać na palcach.

Za stołem konferencyjnym łagodne światło padało na szary cylinder widoczny z drugiej strony szklanej przegrody.

- Proszę - odezwał się. - Niech się okaże, że się myłę.

Gdyby tak było, Cyklopa z pewnością ubawiłby łańcuch jego fałszywej dedukcji. Tak bardzo pragnął pośmiać się razem z nim ze swych głupich, paranoicznych podejrzeń.

Podszedł do masywnej szklanej bariery przedzielającej pokój oraz głośnika stojącego na końcu stołu.

- Cyklopie? - szepnął. Odkaslnął, by przezwyciężyć ucisk w gardle. - Cyklopie, to ja, Gordon.

Lśnienie perłowego obiektywu było słabsze, lecz szereg małych światełek nadal mrugał, tworząc skomplikowany wzór powtarzający się raz za razem niczym pilna wiadomość z odległego statku, zaszyfrowana w zapomnianym kodzie. Wiecznie tak samo hipnotyzujący.

Gordon poczuł wzbierający w nim paniczny lęk, zupełnie jak wtedy, gdy jako chłopiec znalazł dziadka leżącego zupełnie bez ruchu na huśtawce na ganku i przestraszył się, że zobaczy, iż kochany staruszek nie żyje.

Wzór tworzony przez światła powtarzał się raz za razem.

Gordon zastanowił się, ilu ludzi po piekło, jakim było ostatnie siedemnaście lat, pamiętało jeszcze, że obrazy parzystości wielkich komputerów nigdy się nie powtarzają. Przypomniał sobie, jak jego przyjaciel cybernetyk powiedział mu, że są one jak płatki śniegu, każdy z nich inny.

- Cyklopie - powiedział spokojnie. - Odpowiedz mi! Żądam odpowiedzi. W imię przyzwoitości! W imię Stanów Zj...

Przerwał. Nie mógł się zdobyć na to, by odpowiedzieć na jedno kłamstwo drugim. W tym miejscu jedynym żyjącym umysłem, który by oszukał, był jego własny.

Odniósł wrażenie, że w pokoju jest cieplej niż podczas rozmowy. Rozejrzał się wokół i odszukał małe otwory wentylacyjne, przez które można było kierować na siedzącego na wyznaczonym krześle gościa strumienie chłodnego powietrza, tworząc wrażenie potężnego zimna tuż za szklaną ścianą.

- Suchy lód - mruknął. - Żeby oszukać obywateli Oz.

Nawet Dorota nie mogłaby się czuć bardziej zdradzona. Był gotów oddać życie za to, co zdawało się tu istnieć. Teraz dowiedział się, że było to zwykłe oszustwo. Metoda wynaleziona przez bandę ocalałych mądrali w celu wyłudzenia od sąsiadów żywności i odzieży, i to w taki sposób, by jeszcze byli wdzięczni za spotykający ich zaszczyt.

Stworzyli mit projektu "Millenium" oraz popyt na ocalone urządzenia elektroniczne i dzięki temu udało im się przekonać tubylców, że stare elektryczne maszyny mają wielką wartość. W całej dolnej Willamette ludzie gromadzili domowe komputery, sprzęty i zabawki dlatego, że Cyklop przyjmował je jako zapłatę za swe rady.

"Słudzy Cyklopa" urządzili to tak, że sprytni ludzie, tacy jak Herb Kalo, niemal nie brali pod uwagę daniny z żywności i innych dóbr, którą im składali.

Uczeni odżywiali się dobrze - przypomniał sobie Gordon. I żaden z farmerów nigdy się nie uskarżał.

- To nie twoja wina - powiedział cicho do milczącej maszyny. - Ty naprawdę zaprojektowałbyś narzędzia, zastąpiłbyś utraconych ekspertów i pomógł nam znaleźć drogę powrotu. Ty i twoi pobratymcy byliście najwspanialszą rzeczą, jaką stworzyliśmy...

Zakrztusił się, przypomniawszy sobie ciepły, mądry głos w Minneapolis, tak dawno temu. Zamgliło mu się przed oczyma. Opuścił wzrok.

- Masz rację, Gordonie. To nie jest niczyja wina.

Wciągnął nagle powietrze. W jednej chwili rozjarzyła się wygasła nadzieja na to, że się mylił! To był głos Cyklopa!

Nie dobiegał jednak z głośnika. Gordon odwrócił się szybko i ujrzał...

...chudego, starego człowieka, który siedział skryty w cieniu w przeciwległym kącie pokoju, obserwując go.

- Wiesz, często tu przychodzę. - Wiekowy mężczyzna przemawiał głosem Cyklopa. Smutnym głosem pełnym żalu. - Po to, żeby pobyć z duchem przyjaciela, który zginął tak dawno temu, tu, w tym pokoju. - Staruszek pochylił się lekko do przodu. Perłowa poświata oświetliła jego twarz. - Nazywam się Joseph Lazarensky, Gordonie. To ja zbudowałem Cyklopa, tyle lat temu - popatrzył w dół, na swe dłonie. - Sprawowałem nadzór nad jego programowaniem i wykształceniem. Kochałem go, jakby był moim synem. I, jak każdy dobry ojciec, czułem dumę, wiedząc, że będzie osobą lepszą, życzliwszą i bardziej ludzką ode mnie. - Lazarensky westchnął. - Wiesz, on naprawdę przeżył wybuch wojny. Ta część opowieści jest prawdziwa. Cyklop faktycznie był w swojej klatce Faradaya, chroniony przed impulsami bomb. Pozostawał w niej, podczas gdy my walczyliśmy o utrzymanie go przy życiu. W noc rozruchów antytechnicznych po raz pierwszy i jedyny w życiu zabiłem człowieka. Pomagałem bronić budynku siłowni, strzelając jak jakiś wariat. Ale to nic nie dało. Prądnice zniszczono, choć milicja wreszcie przybyła, by odeprzeć oszalałe tłumy... za późno. O minuty, lata za późno. - Rozłożył ręce. - Jak się domyśliłeś, Gordonie, nie zostało już wtedy nic do zrobienia... poza siedzeniem z Cyklopem i patrzeniem, jak umiera.

Gordon stał absolutnie bez ruchu w widmowym, popielatym świetle. Lazarensky mówił dalej.

- Wiesz, rozbudziliśmy w sobie wielkie nadzieje. Już przed zamieszkami wpadliśmy na pomysł planu "Millenium". Właściwie powinienem powiedzieć, że to Cyklop na niego wpadł. Miał już gotowe zarysy programu odbudowy świata. Mówił, że potrzeba mu jeszcze paru miesięcy, by dopracować szczegóły.

Gordon czuł się tak, jakby miał twarz z kamienia. Czekał bez słowa.

- Czy wiesz coś o domenach pamięci kwantowej, Gordonie? W porównaniu z nimi złącza Josephsona wydają się wykonane z patyków i błota. Są lekkie i delikatne jak myśl. Pozwalają na milion razy szybsze rozumowanie niż neurony. Trzeba je jednak utrzymywać w superzimnej temperaturze, by w ogóle mogły istnieć. A gdy zostaną zniszczone, nie sposób ich odtworzyć. Próbowaliśmy go ocalić, ale bez powodzenia - stary ponownie spuścił wzrok. - Wolałbym wówczas sam umrzeć.

- Postanowiłeś więc kontynuować plan o własnych siłach - zasugerował zimnym tonem Gordon. Lazarensky potrząsnął głową.

- Wiesz oczywiście, że to niemożliwe. Bez Cyklopa zadanie było niewykonalne. Mogliśmy tylko zaprezentować pustą skorupę. Iluzję. Dało nam to szansę na przetrwanie w nadchodzącym ciemnym wieku. Wszędzie wokół szerzył się chaos i podejrzania. Jediną rzeczą, która umożliwiała nam, biednym intelektualistom, wywieranie wpływu, była słaba iskierka czegoś zwanego nadzieją.

- Nadzieją!

Gordon roześmiał się gorzko. Lazarensky wzruszył ramionami.

- Petenci przychodzą pomówić z Cyklopem, a rozmawiają ze mną. Z reguły nie jest trudno udzielać im dobrych rad, odnajdować w książkach proste metody bądź rozsądzać spory, odwołując się do zdrowego rozsądku. Wierzą w bezstronność komputera, a żywemu człowiekowi nigdy by nie zaufali.

- A kiedy nie możesz udzielić zdroworozsądkowej odpowiedzi, bawisz się z nimi w Pytię.

Ponowne wzruszenie ramionami.

- W Delfach i w Efezie to skutkowało, Gordonie. I, szczerze mówiąc, komu to szkodzi? Ludzie z Willamette widzieli w ciągu ostatnich dwudziestu lat zbyt wiele żądnych władzy potworów, by mogli się zjednoczyć pod przewodnictwem jakiegokolwiek człowieka lub grupy ludzi. Ale maszyny pamiętają! Podobnie, jak pamiętają starożytny mundur, który nosisz, choć w lepszych dniach tak często traktowali go z karygodnym lekceważeniem.

W korytarzu rozległy się głosy. Jakieś osoby przeszły blisko, po czym oddaliły się. Gordon poruszył się niespokojnie.

- Muszę stąd zniknąć.

Lazarensky roześmiał się.

- Och, nie przejmuj się nimi. Są silni tylko w gębie. W niczym ciebie nie przypominają.

- Nie znasz mnie - warknął Gordon.

- Nie? Jako Cyklop rozmawiałem z tobą przez kilka godzin. Poza tym zarówno moja przybrana córka, jak i Peter Aage mówili o tobie dosyć dużo. Wiem na twój temat więcej niż sobie wyobrażasz. Jesteś rzadkością, Gordonie. W jakiś sposób zdołałeś zachować w głuszy nowoczesny umysł, zdobywając jednocześnie siłę konieczną w dzisiejszych czasach. Nawet gdyby ta cała banda próbowała zrobić ci krzywdę, przechytrzyłbyś ich.

Gordon ruszył ku drzwiom, po czym zatrzymał się i odwrócił, by spojrzeć po raz ostatni na łagodną lunę bijącą od martwej maszyny i maleńkie światełka falujące raz za razem, bez żadnej nadziei.

- Nie jestem znowu taki bystry - oddech uwiązał mu w gardle. - Widzisz, ja uwierzyłem!

Spojrzał Lazarensky'emu w oczy. Po chwili stary opuścił wzrok, nie znalazłszy żadnej odpowiedzi. Gordon wyszedł chwiejnym krokiem na zewnątrz, zostawiając za sobą wionącą śmiertelnym chłodem kryptę z jej trupami.

12. OREGON

Wrócił do miejsca, gdzie zostawił uwiązane konia, w chwili gdy niebo na wschodzie zaczął rozjaśniać słaby blask jutrzeńki. Ponownie dosiadł żrebicy i skierował ją starą drogą lokalną na północ. Czuł wewnętrzną pustkę i żal, całkiem jakby mroźny chłód skuł mu serce. Musiał uważać, żeby nie potłuc czegoś w środku, czegoś chwiejnego i niepewnego.

Musiał stąd odjechać. To przynajmniej było jasne. Niech głupcy mają swe mity. On już z tym skończył!

Nie wróci do Sciotown, gdzie zostawił worki z korespondencją. Uwolnił się już od tego. Zaczął rozpinać bluzę munduru z zamiarem porzucenia go w przydrożnym rowie - na zawsze, wraz z własnym udziałem we wszystkich tych kłamstwach.

Nieoczekiwanie w jego umyśle poniosło się echem pewne zdanie.

“Kto teraz weźmie na siebie odpowiedzialność...”

Co? Potrząsnął głową, jakby chcąc sobie w niej rozjaśnić, lecz słowa nie uleciały.

“Kto teraz weźmie na siebie odpowiedzialność za te niemądre dzieci?”

Gordon zaklął. Wbił pięty w końskie boki. Żrebica ochoczo pomknęła na północ, unosząc go od tego wszystkiego, do czego jeszcze wczoraj rano przywiązywał tak wielką wagę. Teraz jednak wiedział już, że to tylko potiomkinowska ułuda. Tani manekin z groszowego sklepu. Oz.

“Kto weźmie na siebie odpowiedzialność...”

Słowa powtarzały się w jego głowie niczym uporczywa, natrętna melodia. Miały ten sam rytm - zrozumiał wreszcie - co mrugające światła obrazu parzystości na obudowie starej, martwej maszyny. Światła, które falowały raz za razem.

“...za te niemądre dzieci?”

Żrebica posuwała się kłusem w świetle brzasku, mijając sady, a za nimi szeregi zniszczonych samochodów. Nagle Gordonowi przyszła do głowy dziwna myśl. Co by było gdyby - pod koniec życia, gdy wyparowały ostatnie krople ciekłego helu i do środka wtargnęło śmiertelne ciepło - co by było, gdyby ostatnia myśl niewinnej, mądrej maszyny została w jakiś sposób uwięziona w pętli, zachowana w peryferyjnych obwodach, by rozbłyскиwać smętnie raz za razem?

Czy można by to nazwać duchem?

Zastanawiał się, jaka byłaby treść ostatnich myśli, ostatnich słów Cyklopa.

Czy człowieka może straszyć duch maszyny?

Potrząsnął głową. Był zmęczony. W przeciwnym razie nie przychodziłyby mu do głowy podobne bzdury. Nie był nikomu nic winien! A już z pewnością nie kupie blaszanego złomu albo wysuszonym zwłokom znalezionym w zardzewiałym dziupie.

- Duchy!

Splunął na pobocze i roześmiał się sucho.

Słowa jednak wciąż niosły się echem pod czaszką. “Kto teraz weźmie na siebie odpowiedzialność...”

Był nimi tak pochłonięty, że potrzebował kilku chwil, by uświadomić sobie, że z dala dobiegają jakieś krzyki. Ściągnął wodze i obejrzał się, z ręką na kolbie rewolweru. Każdy, kto by go teraz ścigał, podejmowałby wielkie ryzyko. Lazarensky pod jednym względem miał rację. Gordon wiedział, że bez trudu poradzi sobie z tą zgrają.

Z oddali dostrzegł, że przed Domem Cyklopa coś się wydarzyło, ale... ale zamieszanie najwyraźniej nie miało z nim nic wspólnego.

Ostłonił dłonią oczy przed blaskiem niedawno wzeszłego słońca. Dostrzegł parę buchającą z dwóch straszliwie spienionych koni. Jakiś wyczerpany mężczyzna wchodził, utykając, na schody Domu Cyklopa. Krzyczał coś do tych, którzy biegli w jego stronę. Drugi posłaniec, najwyraźniej ciężko ranny, leżał na ziemi, gdzie udzielano mu pomocy.

Gordon usłyszał tylko jeden wyraz, który wykrzyczany głośno mówił wszystko.

- Surwiwaliści!

Mógł wygłosić w odpowiedzi tylko jedno słowo.

- Cholera.

Odwrócił się plecami od źródła hałasu i strzelił wozami, każąc żrebicy ponownie ruszyć na północ.

Jeszcze wczoraj by im pomógł. Był gotów poświęcić życie w obronie marzenia Cyklopa i zapewne to właśnie by uczynił.

Zginałby za beztreściową farsę, fortel, oszustwo!

Jeśli inwazja holnistów naprawdę się zaczęła, wieśniacy mieszkający na południe od Eugene będą się zawzięcie bronić. Napastnicy zawrócą na północ, gdzie napotkają najmniejszy opór. Zniewieściali mieszkańcy północnego Willamette nie mieli żadnych szans w starciu z ludźmi znanymi z Rogue River.

Mimo to holnistów było chyba zbyt mało, by mogli zająć całą dolinę. Coryallis z pewnością padnie, zostaną jednak inne miejsca, do których mógł się udać. Może ruszy na wschód Autostradą 22, a potem wróci do Pine View. Miło byłoby znowu zobaczyć panią Thompson. Może uda mu się być przy narodzinach dziecka Abby.

Żrebica kłusowała przed siebie. Krzyki za jego plecami ucichły niczym powoli zanikające niemiłe wspomnienie. Pogoda zapowiadała się pięknie. Pierwszy bezchmurny dzień od tygodni. Dobry dla wędrowca.

Gdy Gordon jechał przed siebie, chłodny wietrzyk zaczął owiewać jego ciało przez rozpiętą do połowy koszulę. Gdy pokonał ze sto jardów, złapał się na tym, że jego ręka ponownie powędrowała ku guzikom i zaczęła okręcać powoli w obie strony jeden z nich.

Koń przeszedł do stępa, zwolnił i zatrzymał się. Gordon siedział ze zgarbionymi ramionami.

“Kto weźmie na siebie odpowiedzialność...”

Słowa nie chciały odejść. Pulsowały w jego umyśle niczym światła.

Klacz podrzuciła głowę i parsknęła, grzebiąc kopytem w ziemi.

“Kto...”

- A niech to! - krzyknął głośno. Zawrócił żrebicę i popędził ją cwałem z powrotem na południe.

Rozgadany, przerażony tłum mężczyzn i kobiet ucichł nagle i cofnął się, gdy Gordon podjechał z tętentem kopyt do portyku Domu Cyklopa. Ognista klacz tańczyła i parsknęła, a jeździec przez długą chwilę bez słowa wpatrywał się w ludzi.

Wreszcie Gordon rzucił z siebie ponczo. Pozapinał guziki koszuli i nałożył czapkę listonosza. Jasny, mosiężny jeździec zaśnił w promieniach słońca.

Głęboko zaczerpnął tchu. Następnie zaczął wyznaczać ludzi i wydawać im zwięzłe rozkazy.

W imię ocalenia - i w imię “Odrodzonych Stanów Zjednoczonych” - mieszkańcy Corvallis i słudzy Cyklopa pośpiesznie ruszyli je wykonać.

INTERLUDIUM

Wysoko nad szarymi, spienionymi grzbietami fal prąd strumieniowy zadrżał. Ponownie nadeszła zima. Wyjące wiatry niosły nad północnym Pacyfikiem mroźne wspomnienia.

Przed mniej niż dwudziestoma cyklami normalne koleje pogody zostały zakłócone przez potężne, mroczne leje - całkiem jakby całe armie gniewnych wulkanów wybrały ten sam moment, by cisnąć ziemię pod niebo.

Gdyby ów epizod nie zakończył się szybko, być może zniknęłoby wszelkie życie, a lód powrócił na zawsze. I tak jednak chmury popiołu przesłaniały Ziemię przez całe tygodnie, nim większe ziarenka opadły z nieba jako brudny deszcz. Mniejsze okruchy skały i sadzy rozsiały się w wysokich strumieniach stratosferycznych, rozpraszając światło słoneczne.

Minęły lata, nim wreszcie wróciła wiosna.

Ale wróciła. Ocean - niespieszny i prężny - oddał ilość ciepła wystarczającą, by przerwać spiralę tuż przed punktem, za którym nie byłoby już powrotu. Z czasem nad kontynent ponownie napłynęły ciepłe, niosące morską wilgoć chmury. Wyrastały wysokie drzewa, a zielsko - przez nikogo nie niepokojone - przebijało się wszędzie przez szczeliny w zniszczonej nawierzchni.

Jednak wysokie wiatry niosły jeszcze ze sobą wiele pyłu. Od czasu do czasu zimne powietrze znowu docierało na południe, niosąc wspomnienie długiego chłodu. Para krystalizowała się wokół okruchów, tworząc skomplikowane, cząstkowe sześciiany. Płatki śniegu rosły i spadały na ziemię.

Nieustępliwa zima przybyła raz jeszcze, by zawładnąć pogrążonym w mroku krajem.

CYNCYNAT

1

Porywy wiatru rzeźbiły w padającym śniegu kształty wirów - podmuchów, które zdawały się wzbijać niczym duchy z siwych zasp, unosząc się i mknąc na wietrze pod pokrytymi szronem drzewami.

Nakryta wielką śnieżną czapą gałąź złamała się, niezdolna utrzymać ciężaru następnego brudnego płatka. Huk poniósł się echem wzdłuż wąskich leśnych ścieżek niczym stłumiony wystrzał.

Śnieg pokrywał delikatnie martwe, szkliste oczy padłego z głodu jelenia, wypełniając wyłobienia widoczne między jego ostro zarysowanymi żebrami. Płatki zasypały wkrótce płytkie rowki widoczne w miejscach, gdzie - zaledwie kilka godzin temu - zwierzę po raz ostatni grzebało w zamrzniętym gruncie, bezowocnie poszukując żywności.

Nie opowiadając się po żadnej ze stron, tańczące podmuchy zaczęły pokrywać również inne ofiary, zasypując miękkimi, białymi warstwami karmazynowe plamy na wcześniej zdeptanym śniegu.

Po chwili wszystkie trupy leżały spokojnie, otulone całkiem jakby spały.

Kolejna śnieżycza zatarła już prawie wszystkie oznaki walki, gdy Gordon znalazł ciało Tracy w głębokim cieniu przystrojonego białą, zimową szatą żywotnika. Zamarznięta skorupa zahamowała już krwawienie. Nic nie wypływało z poderżniętego gardła nieszczęsnej młodej kobiety.

Gordon odpędził od siebie myśli o Tracy takiej, jaką znał krótko za życia - wiecznie radosnej i odważnej, pełnej lekko szalonego entuzjazmu dla beznadziejnego zadania, jakiego się podjęła. Zaciśnął gniewnie wargi i rozerwał wełnianą koszulę, by dotknąć ciała dziewczyny pod pachą.

Było jeszcze ciepłe. To wydarzyło się niedawno.

Zmrużył powieki i popatrzył na południowy zachód, gdzie znikające już pod padającym śniegiem ślady prowadziły w dal tak jasną, że od wpatrywania się w nią bolały oczy. Zdecydowanym, niemal bezgłośnym ruchem zbliżyła się do niego odziana na białą postać.

- Cholera! - usłyszał szept Phila Bokuto. - Tracy była dobra! Mógłbym przysiąc, że tym kutasom nie uda się...

- Udało się - przerwał mu ostro Gordon. - I to nie stało się dawniej niż dziesięć minut temu.

Złapał zwłoki dziewczyny za sprzączkę pasa i podźwignął w górę, by przekonać tamtego. Ciemnobrązowa twarz skryta pod białą parką pochyliła się bezgłośnie na znak zrozumienia. Tracy nie molestowano ani nawet nie okaleczono w symboliczny, holnistowski sposób. Ta mała banda hipersurwiwalistów zbyt się śpieszyła, by zabrać tradycyjne, makabryczne trofea.

- Możemy ich złapać - wyszeptał Bokuto. W jego oczach gorzał gniew. - Mogę skoczyć po resztę patrolu i wrócić za trzy minuty.

Gordon potrząsnął głową.

- Nie, Phil. Ten pościg zaprowadził nas już zbyt daleko poza nasze linie obrony. Nim się zbliżymy, zdążą zastawić na nas zasadzkę. Lepiej zabierzmy ciało Tracy i wracajmy do domu.

Bokuto zaciśnął szczęki, ukazując wydatne ścięgna. Po raz pierwszy jego głos wzniosł się wyżej od szeptu.

- Możemy złapać tych skurwysynów!

Gordon poczuł falę irytacji. "Jakie prawo ma Philip, by mnie do tego zmuszać?" Bokuto był

ongiś - zanim świat obrócił się w zgliszcza, prawie dwa dziesięciolecia temu - sierżantem piechoty morskiej. To do niego, nie do Gordona, powinno należeć podejmowanie praktycznych, niepopularnych decyzji... To do niego powinna należeć odpowiedzialność.

Gordon potrząsnął głową.

- Nie zrobimy tego. To nieodwołalna decyzja.

Spojrzał na dziewczynę. Do tego popołudnia była druga w kolejności wśród zwiadowców Armii Willamette... lecz najwyraźniej nie była dostatecznie dobra.

- Potrzebujemy żywych żołnierzy, Phil. Spragnionych walki mężczyzn, nie kolejnych trupów.

Przez moment milczenia nie patrzyli na siebie. Nagle Bokuto odepchnął Gordona na bok i podszedł do nieruchomej postaci leżącej na śniegu.

- Daj mi pięć minut, zanim przyprowadzisz resztę patrolu - powiedział. Przeciągnął zwłoki Tracy na bezwietrzną stronę żywotnika i wyciągnął nóż. - Masz rację. Potrzebujemy gniewnych mężczyzn. Tracy i ja dopilnujemy, byś ich miał.

Gordon zamrugał powiekami.

- Phil - wyciągnął dłoń. - Nie rób tego.

Bokuto zignorował rękę Gordona. Skrzywił twarz i mocniej rozdarł koszulę Tracy. Nie podniósł wzroku, lecz głos mu się załamał.

- Powiedziałem, że masz rację! Musimy rozwścieczyć te wołowe dupy, naszych farmerów, żeby chcieli się bić! A to jest jeden ze sposobów, których Dena i Tracy kazały nam użyć, jeśli będziemy musieli...

Gordon nie mógł w to uwierzyć.

- Dena to wariatka, Phil! Czy jeszcze tego nie rozumiesz? Proszę cię, nie rób tego!

Złapał go za ramię i odwrócił, lecz musiał się cofnąć przed groźnym błyskiem noża Bokuto. Oczy jego przyjaciela gorzały udręką. Odprawił Gordona machnięciem ręki.

- Nie utrudniaj mi tego! Jesteś moim dowódcą i nie przestanę ci służyć, dopóki to będzie najlepszy sposób, aby zabić jak najwięcej tych holnistowskich skurwysynów. Ale, Gordon, w najgorszych momentach robisz się cywilizowany jak skurczybyk! W tym punkcie wytyczam granicę. Czy mnie słyszysz? Nie pozwolę ci zdradzić Tracy, Dena ani mnie przez twoje napady dwudziestowiecznej czułości! A teraz zjeżdżaj stąd... panie inspektorze. - Głos Bokuto był ochrypliwy z emocji. - I pamiętaj, że masz dać mi pięć minut, zanim sprowadzisz pozostałych.

Spoglądał spode łba, nim Gordon wreszcie się oddalił. Następnie splunął na ziemię, otarł oczy, pochylił się i przystąpił do oczekującego go makabrycznego zadania.

Gordon potykał się, oszołomiony, zmierzając ku siwej łące. Nigdy dotąd Phil Bokuto nie zwrócił się przeciwko niemu, nigdy nie zachował się w ten sposób, nigdy nie wymachiwał nożem z szalem w oczach i nie odmawiał wykonywania rozkazów...

Nagle coś sobie uświadomił.

Nie rozkazałem mu, by tego nie robił. Prosiłem go, błagałem. Ale nie rozkazałem...

Czy zresztą jestem zupełnie pewien, że on nie ma racji? Czy nawet ja, w głębi duszy, nie wierzę w niektóre z rzeczy głoszonych przez Denę i jej bandę zwariowanych bab?

Potrząsnął głową. Phil z pewnością nie mylił się co do jednego. Filozofowanie na polu bitwy było głupotą. Wystarczająco wiele problemów przysparzało ocalenie życia. Ta druga wojna - którą toczył każdej nocy w snach - będzie musiała zaczekać na swoją kolej.

Schodził w dół ostrożnie, ściskając w rękach obnażony bagnet, najbardziej przydatną broń przy takiej pogodzie. Połowa jego ludzi zrezygnowała z karabinów i łuków na rzecz długich noży... kolejna bolesna lekcja, której udzielił im śmiertelnie groźny, podstępny wróg.

Obaj z Bokuto zostawili resztę patrolu w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów, lecz Gordonowi wydawało się, że to znacznie więcej, gdy rozglądał się bacznie na wszystkie strony w poszukiwaniu możliwych zasadzek. Wirujące w powietrzu obłoki śniegu zdawały się przybierać kształty mglistych zwiadowców bajkowej armii, która nie opowiedziała się jeszcze po żadnej ze stron konfliktu. Nieziemskie, neutralne siły w cichej, śmiertelnej wojnie.

“Kto weźmie na siebie odpowiedzialność...” - zdawały się szeptać do niego. Te słowa ani na chwilę nie opuściły Gordona od owego fatalnego poranka, gdy dokonał wyboru między rozsądkiem a skazaną na klęskę, oszukańczą nadzieją.

Przynajmniej jednak tej bandzie holnistów powiodło się gorzej niż zazwyczaj, a miejscowi farmerzy i wieśniacy spisali się lepiej niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Ponadto Gordon i jego eskorta przebywali w pobliżu na inspekcji, dzięki czemu mogli w decydującym momencie przyłączyć się do potyczki.

W sumie, jego Armia Willamette odniosła drobne zwycięstwo, tracąc tylko około dwudziestu ludzi na pięciu wrogów. Zapewne nie więcej niż trzech czy czterech holnistów ocalało, by uciec na zachód.

Niemniej cztery takie ludzkie potwory to było aż nazbyt wiele, nawet jeśli byli zmęczeni i brakowało im amunicji. Jego patrol liczył sobie teraz tylko siedmiu żołnierzy, a pomoc była daleko.

“Niech sobie idą. Wróć!”.

Tuż przed nim rozległo się pohukiwanie puchacza wirginijskiego. Rozpoznał głos Leifa Morrisona. “Jest coraz lepszy - pomyślał. Jeśli pożyjemy jeszcze z rok, może nawet wyrobi się do tego stopnia, że uda mu się kogoś oszukać”.

Wydał wargi i spróbował powtórzyć dźwięk. Dwa pohukiwania w odpowiedzi na trzy Morrisona. Następnie przemknął wąską przecinką i wśliznął się do parowu, w którym czekał patrol.

Morrison i dwaj inni ludzie zbliżyli się do niego. Ich brody i baranie kozuchy pokrywał suchy śnieg. Dotykali nerwowo broni.

- Joe i Andy? - zapytał Gordon.

Leif, rosły Szwed, wskazał głową w lewo i w prawo.

- Czujki - odparł zwięźle.

Gordon skinął głową.

- Dobrze.

Stojąc pod wielkim świerkiem, otworzył plecak i wydobyl z niego termos. Jeden z przywilejów związanych z rangą: nie musiał nikogo pytać o pozwolenie, nim nalał sobie kubek gorącego jabłecznika.

Pozostali ponownie zajęli pozycje, lecz raz po raz oglądali się za siebie, najwyraźniej zastanawiając się, co też “inspektor” kombinuje tym razem. Morrison, farmer, który we wrześniu cudem ocalał ze splądrowanego Greenleaf Town, spoglądał na niego wzrokiem pełnym z trudem tłumionej złości, jak człowiek, który utracił wszystko, co kochał, i w związku z tym nie należał już w pełni do tego świata.

Gordon spojrział na zegarek - piękny, przedwojenny chronometr, który dostał od techników z Corvallis. Bokuto miał wystarczająco wiele czasu. Na pewno zawracał już, zacierając za sobą ślady.

- Tracy nie żyje - oznajmił. Twarze mężczyzn pobladły. Gordon kontynuował, oceniając ich reakcję. - Chyba próbowała zająć tych sukinsynów z drugiej strony, by zatrzymać ich dla nas. Nie pytała mnie o pozwolenie - wzruszył ramionami. - Dorwali ją.

Zdumienie przerodziło się w serię kipiących gniewem, gardłowych przekleństw. “Tak lepiej - pomyślał Gordon. Ale holniści następnym razem nie zaczekają, żebyście sobie przypomnieli, że

macie się wkurzyć, chłopaki. Zabijają was, kiedy będziecie się jeszcze zastanawiać, czy się bać, czy nie”.

Wielce już doświadczony w sztuce kłamstwa, Gordon ciągnął bezbarwnym tonem:

- Gdybyśmy się zjawili pięć minut wcześniej, mogliśmy ją uratować. Mieli jednak czas zabrać pamiątki.

Tym razem na ich twarzach gniew toczył walkę z odrazą. Jedno i drugie zwyciężył pałący wstyd.

- Ruszajmy za nimi! - nalegał Morrison. - Nie mogą być daleko!

Pozostali wymamrotali coś na znak zgody. “Nie tak szybko, jak trzeba” - uznał Gordon.

- Nie. Jeśli tak się grzebaliście, idąc tutaj, na pewno jesteście za wolni, by poradzić sobie z nieuniknioną zasadzką. Ruszamy naprzód szeregiem i zabierzemy ciało Tracy. Potem wracamy do domu.

Na twarzy jednego z farmerów - który chyba najgłośniej domagał się pościgu - natychmiast pojawiła się ulga. Pozostali jednak przeszli Gordona wściekłymi spojrzeniami, nienawidząc go za jego słowa.

“Spokój, chłopaki - pomyślał z goryczą. Gdybym był prawdziwym wodzem, znalazłbym lepszy sposób na wyprostowanie waszych kręgosłupów”.

Schował termos, nie częstując jabłecznikiem nikogo z pozostałych. Wniosek był oczywisty: nie zasłużyli sobie na to.

- No to jazda - rozkazał, zarzucając sobie lekki plecak na ramiona.

Tym razem poruszali się szybko. Zebrali swój ekwipunek i poleźli naprzód przez śnieg. Po lewej i prawej stronie dostrzegł Joego i Andy’ego, którzy opuścili kryjówki i zajęli miejsca na skrzydłach. Holniści rzecz jasna nigdy nie byłiby tak widoczni, lecz oni mieli znacznie więcej praktyki niż ci niechętni żołnierze.

Ci, którzy zdjęli z pleców karabiny, osłaniali ludzi z nożami, którzy pomknęli naprzód. Gordon z łatwością dotrzymywał im kroku, biegnąc tuż za szeregiem. Po chwili wyczuł, że u jego boku pojawił się Bokuto. Wpadł zza drzewa jakby znikąd. Choć farmerzy byli tak przejęci, żaden z nich tego nie zauważył.

Twarz zwiadowcy nic nie wyrażała, lecz Gordon wiedział, co tamten czuje. Nie spojrzał mu w oczy.

Z przodu rozległ się nagle gniewny okrzyk. Człowiek biegnący na czele musiał znaleźć okaleczone ciało Tracy.

- Wyobraź sobie, co by poczuli, gdyby kiedykolwiek dowiedzieli się prawdy - powiedział cicho Philip. - Albo gdyby odkryli prawdziwy powód, dla którego większość twoich zwiadowców to dziewczyny.

Gordon wzruszył ramionami. Pomysł pochodził od kobiety, lecz on wyraził na niego zgodę. Tylko on ponosił winę. Tyle oszustw dla sprawy, o której wiedział, że jest beznadziejna.

A jednak nawet cynicznemu Bokuto nie mógł wyjawić całej prawdy. Ze względu na niego zachował pozory.

- Znasz główny powód - powiedział swemu adiutantowi. - Poza teoriami Deny i obietnicami Cyklopa. Wiesz, po co to wszystko.

Bokuto skinął głową. Przez krótką chwilę w jego głosie słychać było inny ton.

- Dla Odrodzonych Stanów Zjednoczonych - powiedział cicho, niemal z szacunkiem.

“Kłamstwo za kłamstwem - pomyślał Gordon. Gdybyś tak kiedyś poznał prawdę, mój przyjacielu...”

- Dla Odrodzonych Stanów Zjednoczonych - powiedział. - Tak jest.
Obaj ruszyli naprzód, by czuwać nad armią wystraszonych, lecz teraz również gniewnych ludzi.

- To nic nie da, Cyklopie.

Perłowe, opalizujące oko umieszczone w wysokim, otoczonym zimną mgłą cylindrze spoglądało na niego zza grubej, szklanej szyby. Podwójny szereg maleńkich, mrugających światełek tworzył raz za razem złożony, falujący wzór. To był duch dręczący Gordona... widmo prześladowające go już od miesięcy... jedyne znane mu kłamstwo dorównujące jego niecnemu szalbierstwu.

Wydawało się odpowiednie, że do rozmyślań wybrał ten ciemny pokój. Na śniegu, na palisadach wiosek, w odludnych, mrocznych lasach mężczyźni i kobiety ginęli za nich obu - za to, co rzekomo reprezentował Gordon i za maszynę znajdującą się po drugiej stronie szyby.

Za "Cyklopa" i za "Odrodzone Stany Zjednoczone".

Bez tych dwóch filarów nadziei mieszkańcy Willamette zapewne już by się załamali. Corvallis leżałoby w gruzach. Jego pilnie strzeżone biblioteki, jego wąty przemysł, jego wiatraki i migotliwe światła elektryczne, wszystko to pochłonąłby na zawsze zapadający ciemny wiek. Najeźdźcy znad Rogue River założyliby w całej dolinie posiadłości lenne, tak jak już to zrobili na terenach leżących na zachód od Eugene.

Farmerzy i postarzały technicy toczyli bój z nieprzyjacielem o dziesięciokrotnie większym doświadczeniu i możliwościach. Walczyli jednak, nie tyle dla siebie, co za dwa symbole: łagodną, mądrą maszynę, która w rzeczywistości zginęła przed wielu laty, oraz dawno unicestwione państwo, istniejące teraz wyłącznie w ich wyobraźni.

Biedni głupcy.

- To się nie uda - tłumaczył Gordon swemu partnerowi, drugiemu oszustowi. Szereg światełek odpowiedział mu, tańcząc w tym samym zawiłym wzorze, który płonął w jego snach.

- Surowa zima na razie powstrzymała holnistów. Odgrywają się za to w miasteczkach, które zdobyli jesienią. Ale gdy przyjdzie wiosna, wrócą. Będą nas szarpać, będą palić i zabijać, aż wreszcie wioski, jedna za drugą, poproszą o "opiekę". Próbowujemy walczyć, ale każdy z tych diabłów jest wart tuzina naszych nieszczęsnych mieszczan i farmerów.

Gordon osunął się w miękkim fotelu stojącym naprzeciwko grubej szyby. Nawet tu, w Domu Cyklopa, unosiła się mocna woń kurzu i starości.

"Gdybyśmy mieli czas na szkolenie, przygotowania... gdyby tylko pokój nie trwał tu tak długo.

Gdybyśmy tylko mieli prawdziwego wodza.

Kogoś takiego jak George Powhatan".

Za zamkniętych drzwi dobiegała cicha muzyka. Gdzieś w budynku brzmiały lekkie, wzruszające tony *Kanonu* Pachelbela. Nagranie sprzed dwudziestu lat odtwarzane na aparaturze stereo.

Przypomniawszy sobie, że się rozplakał, gdy po raz pierwszy usłyszał znowu podobną muzykę. Tak gorąco pragnął myśleć, że na świecie istnieją jeszcze szlachetność i odwaga, tak bardzo chciał uwierzyć, że odnalazł je tutaj, w Corvallis. Okazało się jednak, że "Cyklop" jest oszustwem, podobnie jak wymyślony przez niego samego mit o "Odrodzonych Stanach Zjednoczonych".

Nadal zdumiewał go fakt, że obie bajki rozkwitały jeszcze bardziej w cieniu inwazji surwiwalistów. Wśród krwi i przerażenia przerodziły się w coś, za co ludzie codziennie oddawali życie.

- To się po prostu nie uda - odezwał się raz jeszcze do zniszczonej maszyny, nie licząc na odpowiedź. - Nasi ludzie walczą. Giną. Ale bez względu na to, co zrobimy, te sukinsyny w maskujących ubiorach dotrą tu latem.

Wysłuchał się w słodką, smutną muzykę, zastanawiając się, czy gdy Corvallis upadnie, ktokolwiek będzie jeszcze kiedyś słuchał Pachelbela.

Ktoś zastukał cicho w dwuskrzydłowe drzwi za jego plecami. Gordon usiadł prosto. Poza nim samym tylko sługom Cyklopa wolno było wchodzić nocą do tego budynku.

- Proszę - powiedział.

Do środka wlał się wąski czworobok światła. Na pokrytą dywanem podłogę padł cień wysokiej, długowłosej kobiety.

Dena. Jeśli był ktoś, kogo nie chciał widzieć akurat w tej chwili...

Przemówiła szybko, cichym głosem.

- Przepraszam, że cię niepokoję, Gordonie, ale myślałam, że zechcesz się o tym dowiedzieć natychmiast. Właśnie przyjechał Johnny Stevens.

Gordon zerwał się na nogi. Serce zabiło mu szybciej.

- Mój Boże, przebił się!

Skinęła głową.

- Miał pewne trudności, ale udało mu się dotrzeć do Roseburga i wrócić.

- Ludzie! Czy przyprowadził... - przerwał, widząc, że potrząsnęła głową. Zgasła nadzieja.

- Dziesięciu - odparła. - Johnny zaniósł twój list południowcom, a oni przysłali dziesięciu mężczyzn.

Dziwne, lecz w jej głosie słychać było nie tyle strach, co wstyd, całkiem jakby wszyscy w pewnym sensie go zawiedli. Nagle wydarzyło się coś, z czym Gordon nigdy dotąd się nie spotkał. Jej głos załamał się.

- Och, Gordon. To nawet nie mężczyźni. To chłopcy, tylko chłopcy!

Gdy Dena była małym dzieckiem, zaopiekował się nią Joseph Lazarensky i inni ocalali technicy z Corvallis. Było to wkrótce po wojnie zagłady. Wychowywała się między sługami Cyklopa. Z tego powodu wyrosła wyższa niż inne kobiety w tych czasach. Otrzymała też znacznie lepsze wykształcenie. Był to jeden z powodów, dla których z początku go pociągała.

Ostatnio jednak Gordon złapał się na tym, że wolałby, aby przeczytała mniej książek... albo bez porównania więcej. Wymyśliła teorię. Co gorsza, uwierzyła w nią niemal fanatycznie i szerzyła ją w skupionej wokół siebie koterii młodych, łatwo ulegających wpływowi kobiet, a także gdzie indziej.

Gordon obawiał się, że mimowolnie odegrał pewną rolę w tym procesie. Nadal nie był pewien, dlaczego pozwolił, by Dena namówiła go na przyjęcie niektórych z jej dziewcząt do armii w charakterze zwiadowców.

“Ciało młodej Tracy Smith leżące na usypanych przez wiatr zaspach... ślady oddalające się po oślepiąco jasnym śniegu...”

Opatuleni w zimowe płaszcze, przeszli razem z Deną obok wartowników pilnujących wejścia do Domu Cyklopa i wyszli na zewnątrz, w mroźną, bezchmurną noc.

- Jeśli Johnny'emu się nie powiodło, to znaczy, że została nam tylko jedna szansa, Gordon - powiedziała cicho Dena.

- Nie chcę o tym mówić - potrząsnął głową. - Nie w tej chwili.

Było zimno i chciał jak najszybciej wrócić do refektarza, by wysłuchać raportu młodego Stevensa.

Dena chwyciła go mocno za ramię. Nie zwolniła uścisku, dopóki na nią nie spojrział.

- Gordon, musisz uwierzyć, że nikt nie jest z tego powodu bardziej rozczarowany ode mnie. Czy sądzisz, że ja i moje dziewczyny chciałyśmy, żeby Johnny'emu się nie udało? Masz nas aż za takie wariatki?

Gordon powstrzymał się od odpowiedzi pod wpływem pierwszego odruchu. Wcześniej tego samego dnia przechodził obok grupy rekrutek Deny - młodych kobiet z wiosek całej północnej doliny Willamette, dziewcząt o żarliwych głosach i płonących oczach neofitek. Przedstawiały sobą dziwny widok, gdy ubrane w kożle skóry noszone przez wojskowych zwiadowców, z nożami przy biodrach, nadgarstkach i kostkach, siedziały w kręgu, trzymając na kolanach otwarte książki.

SUSANNA: Nie, nie, Mario. Wszystko ci się pomieszało. *Lizystrata* w niczym nie przypomina historii o Danaidach! Ona również się myliła, lecz z innych powodów.

MARIA: Nie rozumiem. Dlatego że jedna grupa używała seksu, a druga mieczy?

GRACE: Nie, nie w tym rzecz. Dlatego że obie nie miały wizji, ideologii...

Spór ucichł nagle, gdy kobiety dostrzegły Gordona. Dźwignęły się na nogi i zasalutowały, spoglądając na niego, gdy przemykał ze skrępowaniem obok nich. Wszystkie miały w oczach ten dziwny błysk... coś, co sprawiało, że miał wrażenie, iż obserwują go jako pokazowy egzemplarz, symbol. Nie potrafił jednak określić czego.

Tracy również miała ten błysk. Cokolwiek mógł on znaczyć, Gordon nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Czuł się wystarczająco paskudnie, gdy mężczyźni ginęli za jego kłamstwa. Ale te kobiety...

- Nie - potrząsnął głową, gdy odpowiadał Denie. - Nie mam was aż za takie wariatki.

Roześmiała się i ścisnęła jego ramię.

- Dobrze. Na razie zadowolę się tym.

Wiedział jednak, że to jeszcze nie koniec sprawy.

Gdy weszli do refektarza, inny strażnik zabrał ich płaszcze. Dena miała przynajmniej tyle rozsądku, że pozostała z tyłu. Gordon sam poszedł wysłuchać złych wieści.

* * *

Młodość była wspaniałą rzeczą. Gordon przypomniał sobie, jak sam był nastolatkiem, na krótko przed wojną zagłady. W owych czasach nic mniej poważnego niż rozbitcie samochodu nie mogło go przyhamować.

Części chłopaków, którzy prawie dwa tygodnie temu opuścili południowy Oregon wraz z Johnnym Stevenssem, przydarzyły się gorsze rzeczy. Sam Johnny musiał przejść przez piekło.

Nadal jednak wyglądał na siedemnaście lat. Siedział obok kominka, ściskając w ręku kubek parującego rosółu. Młodzieńcowi potrzebna była gorąca kąpiel i może ze czterdzieści godzin snu. Jego długie włosy barwy rudawoblond oraz rzadka broda zakrywały niezliczone drobne zadrapania. Tylko jedna część jego munduru nie była w strzępach - porządnie naprawiony emblemat, na którym widniał prosty napis: POCZTA ODRODZONYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

- Gordon!

Uśmiechnął się szeroko i wstał z miejsca.

- Modliłem się, byś wrócił bezpiecznie - odparł Gordon, obejmując Johnny'ego. Odsunął na bok wydobyty przez młodzieńca z impregnowanej torby plik listów... za który Johnny z pewnością oddałby życie.

- Obejrzej je za chwilę. Siedź. Wypij zupę.

Poświęcił chwilę, by popatrzeć w stronę wielkiego kominka, przy którym personel refektarza zajmował się nowymi rekrutami z południa. Jeden chłopak miał rękę na temblaku. Innemu, leżącemu na stole, ranę na głowie opatrywał doktor Pilch, który był lekarzem armii.

Reszta popijała z kubków dymiący rosół, gapiąc się na Gordona z nie skrywanym zainteresowaniem. Niewątpliwie Johnny naopowiadał im różnych historii. Wyglądali na gotowych, wręcz palących się do walki.

Żaden z nich nie miał więcej niż szesnaście lat.

“Tyle zostało z naszej ostatniej nadziei” - pomyślał Gordon.

Ludzie ze środkowopołudniowej części Oregonu walczyli z surwiwalistami znad Rogue River od prawie dwudziestu lat. W ciągu ostatnich mniej więcej dziesięciu udało im się zatrzymać barbarzyńców w martwym punkcie. W przeciwieństwie do znanych Gordonowi mieszkańców północy, ranczerów i farmerów z okolic Roseburga nie osłabiły lata pokoju. Byli twardzi i dobrze znali nieprzyjaciela.

Mieli też prawdziwych wodzów. Gordon słyszał o pewnym człowieku, który odpierał jeden atak holnistów za drugim. Wszystkie załamywały się w krwawym chaosie. Niewątpliwie to właśnie było powodem, dla którego nieprzyjaciel ułożył nowy plan. Manewr był śmiały. Holniści ruszyli morzem i wylądowali w pobliżu Florence, daleko na północ od swych tradycyjnych wrogów.

Było to mistrzowskie posunięcie. Nie zostało już nic, co mogłoby ich powstrzymać. Farmerzy z południa przysłali z pomocą tylko dziesięciu chłopców. Dziesięciu chłopców.

Gdy Gordon się zbliżył, rekruci wstali. Przeszedł wzdłuż szeregu, pytając każdego o nazwisko i miasteczko, z którego pochodził. Ściskali z przejęciem jego dłoń. Każdy tytułował go “panem inspektorem”. Niewątpliwie wszyscy liczyli na najwyższy zaszczyt, na to, że zostaną listonoszami... urzędnikami państwa, którego nigdy nie znali, gdyż byli zbyt młodzi.

Gordon wiedział, że nic nie powstrzyma ich przed oddaniem za nie życia, nawet fakt, że owo państwo już nie istniało.

Zauważył Phila Bokuto, który siedział w kącie, strugając coś nożem. Czarny eks-komandos nie powiedział nic, Gordon widział jednak, że próbuje już ocenić południowców. Pochwalał jego postępowanie. Jeśli okaże się, że niektórzy z nich coś potrafią, zrobi się z nich zwiadowców, bez względu na to, co powie Dena i jej kobiety.

Wyczuł, że Dena patrzy na niego z tyłu pomieszczenia. Musiała wiedzieć, że dopóki będzie dowodził Armią Dolnego Willamette, nigdy nie zgodzi się na jej nowy plan.

Dopóki w jego ciele zostanie choć iskra życia.

Spędził kilka minut na rozmowie z rekrutami. Gdy po raz kolejny spojrzął w stronę drzwi, Deny już nie było. Być może poszła zawiadomić swą koterię kandydatek na Amazonki. Gordon był przygotowany na nieuniknioną konfrontację.

Gdy wrócił do stołu, Johnny Stevens dotknął nieprzemakalnej torby. Tym razem młodzieniec nie pozwolił się zbyć. Wyciągnął plik kopert, który przyniósł z tak daleka.

- Przykro mi, Gordon - mówił cicho. - Robiłem, co mogłem, ale po prostu nie chcieli mnie słuchać! Przekazałem twoje listy, ale...

Potrząsnął głową.

Gordon przerzucił odpowiedzi na prośby o pomoc, które napisał przeszło dwa miesiące temu.

- Wszyscy łaskawie zgodzili się przyłączyć do sieci pocztowej - dodał Johnny z ironią w głosie. - Nawet jeśli padniemy, zostanie jeszcze skrawek wolnego Oregonu gotowego na zjednoczenie z ojczyzną, gdy ta do nas dotrze.

Na pożółkłych kopertach Gordon rozpoznał nazwy miast otaczających Roseburg. Legenda niektórych z nich dotarła aż tutaj. Przejrzał część odpowiedzi. Były uprzejme. Opowieść o Odrodzonych Stanach Zjednoczonych wzbudzała ciekawość, a nawet entuzjazm. Nie było jednak żadnych obietnic. Ani żołnierzy.

- A co z George'em Powhatanem?

Johnny wzruszył ramionami.

- Wszyscy pozostali burmistrzowie, szeryfowie i szefowie w okolicy oglądają się na niego. Jeśli on czegoś nie zrobi, oni nie kiwną palcem.

- Nie widzę jego odpowiedzi.

Obejrzał już wszystkie listy.

Johnny potrząsnął głową.

- Powiedział, że nie ufa papierowi, Gordon. Zresztą jego odpowiedź składała się tylko z dwóch słów. Poprosił mnie, żebym przekazał ci ją osobiście. - Głos Johnny'ego załamał się. - Kazał ci powiedzieć: "Przykro mi".

Gdy późnym wieczorem Gordon wrócił do pokoju, nad progiem zauważył smugę światła. Zawahał się z dłonią uniesioną nad klamką. Wyraźnie pamiętał, że zdmuchnął świecę, nim udał się na rozmowę z Cyclopem.

Nim zdążył otworzyć drzwi, delikatny zapach kobiety rozwiął tajemnicę. Ujrzał Denę leżącą na jego łóżku z nogami pod kołdrą. Miała na sobie luźną koszulę z białego, ręcznie tkanego materiału. W rękach trzymała książkę, na którą padało światło stojącej przy łóżku świecy.

- To szkodzi na oczy - powiedział. Rzucił na biurko pełną listów torbę, którą dostał od Johnny'ego.

- Zgadzasz się - odparła Dena, nie podnosząc wzroku znad książki. - Czy mogę ci przypomnieć, że sam cofnąłeś ten pokój do epoki kamiennej, podczas gdy reszta budynku jest zelektryfikowana? Przypuszczam, że wam, przedwojennym facetom, ciągle jeszcze roi się w głupich łbach, że blask świec jest romantyczny, czy coś w tym rodzaju. Mam rację?

Gordon nie był właściwie pewien, dlaczego wykręcił żarówki w swym pokoju i zabezpieczył je starannie. W ciągu pierwszych tygodni pobytu w Corvallis ścisnęła go w gardle z radości, gdy tylko miał okazję nacisnąć włącznik, aby elektrony zaczynały płynąć, tak jak to robiły w dniach jego młodości.

Teraz, przynajmniej we własnym pokoju, nie mógł znieść słodczy takiego światła.

Zmoczył wodą szczoteczkę do zębów, a potem posypał ją sodą.

- Masz dobrą, czterdziestowatową żarówkę we własnym pokoju - przypomniał jej. - Mogłaś sobie tam poczytać.

Dena zignorowała uszczypliwą uwagę. Uderzyła otwartą dłonią w rozłożone karty książki.

- Nie rozumiem tego! - oznajmiła z irytacją. - Według tej książki Ameryka przeżywała tuż przed wojną zagłady renesans kultury. Oczywiście mieli Nathana Holna, który głosił swą obłąkaną doktrynę supermachismo - i były też problemy ze słowiańskimi mistykami za granicą - ale, ogólnie rzecz biorąc, były to wspaniałe czasy! W sztuce, muzyce, nauce, wszystko zdawało się ze sobą łączyć. A mimo to, te ankiety przeprowadzone pod koniec stulecia mówią, że większość amerykańskich kobiet w owych czasach nadal nie ufała technice! Nie mogę w to uwierzyć! Czy to prawda? Czy wszystkie były idiotkami?

Gordon splunął do umywalki i spojrzał na okładkę książki. Widniał na niej jaskrawy, holograficzny napis:

KIM JESTEŚMY: PORTRET AMERYKI LAT DZIEWIĘCDZIESIĄTYCH

Strząsnął ze szczoteczki do zębów krople wody.

- To nie było takie proste, Deno. Przez tysiąclecia technikę uważano za dziedzinę męską. Nawet w latach dziewięćdziesiątych kobiety stanowiły tylko niewielki odsetek inżynierów i uczonych, choć było coraz więcej diabelnie zdolnych...

- To nieważne! - przerwała mu. Zamknęła z trzaskiem książkę i potrząsnęła z emfazą jasnobrażowymi włosami. - Liczy się to, kto odnosi korzyści! Nawet jeśli technika była przede wszystkim męską dziedziną, pomagała kobietom znacznie bardziej niż mężczyznom! Porównaj Amerykę swoich czasów z dzisiejszym światem i powiedz mi, że nie mam racji.

- Obecne czasy to piekło dla kobiet - zgodził się. Uniósł dzban i polał wodą ręcznik. Czuł się bardzo zmęczony. - Życie jest dla nich jeszcze gorsze niż dla mężczyzn. Brutalne, bolesne i krótkie. Do tego, mówię to ze wstydem, pozwoliłem, byś namówiła mnie do powierzenia dziewczynom najgorszych, najbardziej niebezpiecznych...

Dena zdecydowanie nie pozwoliła mu skończyć zdania. A może rozumiała ból, jaki czuł z powodu śmierci młodej Tracy Smith i chciała zmienić temat?

- Świetnie! - oznajmiła. - W takim razie chcę się dowiedzieć, dlaczego kobiety przed wojną bały się techniki - o ile ta zwariowana książka mówi prawdę - choć nauka zrobiła dla nich tak wiele. Choć alternatywa była tak straszliwa!

Gordon powiesił na miejsce mokry ręcznik. Potrząsnął głową. To było tak dawno temu. Po tym wszystkim w czasie swych podróży oglądał okropności, które Denę wprowadziłyby w osłupienie, jeżeli kiedykolwiek zmusiłby się, by jej o nich opowiedzieć.

Była tylko niemowlęciem, gdy cywilizacja zawałała się z hukiem. Poza okropnymi dniami przed jej przyjęciem do Domu Cyklopa - które niewątpliwie dawno już wymazała z pamięci - przebywała i wychowywała się w jedynym być może miejscu w dzisiejszym świecie, gdzie ocalały jeszcze pozostałości dawnych wygód. Nic dziwnego, że nie miała siwych włosów w dojrzałym wieku dwudziestu dwóch lat.

- Są tacy, którzy sądzą, że to właśnie technika zniszczyła cywilizację - stwierdził. Usiadł na krześle przy łóżku i zamknął oczy w nadziei, że dziewczyna pojmie aluzję i zaraz sobie pójdzie. Mówił, nie poruszając się: - Mogą mieć trochę racji. Bomby i drobnoustroje, trzyletnia zima, zniszczona sieć powiązań, na których opierało się społeczeństwo...

Tym razem mu nie przerwała. Zamilkł, bo nie potrafił wyrecytować tej litanii na głos.

“...szpitale... uniwersytety... restauracje... opływowe samoloty niosące wolnych obywateli wszędzie, dokąd tylko chcieli się udać...

...roześmiane dzieci o czystych spojrzeniach, tańczące w strumieniach wody na trawnikach... obrazy przesłane z księżyców Jowisza i Neptuna... marzenia o gwiazdach... cudowne, mądre maszyny układające zachwycające kalambury i napawające nas dumą...

...wiedza...”

- Antytechniczne bzdury - odparła Dena, zbywając w dwóch słowach jego sugestię. - To ludzie zniszczyli świat, a nie nauka. Wiesz to, Gordon. Pewien typ ludzi.

Nie chciało mu się nawet wzruszyć ramionami. Jakie to zresztą miało teraz znaczenie?

Gdy odezwała się znowu, jej głos brzmiał łagodniej.

- Chodź tutaj. Pomożemy ci zdjąć te przepocone łachy.

Sprzeciwił się. Dziś w nocy chciał tylko zwinąć się w kłębek i zapomnieć o świecie, by odłożyć na później jutrzejsze decyzje i pogrążyć się w nieświadomości. Dena jednak była silna i nieustępliwa. Rozpięła guziki jego koszuli i przyciągnęła go do siebie, aż opadł na poduszki.

Były przesycone jej zapachem.

- Wiem, dlaczego wszystko się rozpadło - oznajmiła Dena, w dalszym ciągu pracowicie zajmując się Gordonem. - Książka mówi prawdę! Kobiety po prostu nie poświęcały tym sprawom należytej uwagi. Feminizm zбочzył na ślepy tor, zajął się sprawami, które w najlepszym razie miały uboczne znaczenie i ignorowały prawdziwy problem. Mężczyzn. Wy, faceci, nieźle wykonywaliście swe zadania: kształtowanie, produkowanie i budowanie. Mężczyźni potrafią być w tym świetni. Ale każdy, kto ma choć trochę rozsądku, widzi, że jedna czwarta lub nawet połowa z was to także wariaci, gwałciciele i mordercy. Naszym zadaniem było mieć na was oko, wybierać najlepszych i eliminować sukinsynów. - Skinęła głową, w pełni usatysfakcjonowana własną logiką. - To my,

kobiety, zawiodłyśmy. Pozwoliłyśmy, by do tego doszło.

- Deno, jesteś w stu procentach obłąkana. Wiesz o tym? - wymamrotał Gordon. Zrozumiał już, do czego zmierza dziewczyna. Była to po prostu kolejna próba skłonienia go, aby wyraził zgodę na jeszcze jeden szalony plan wygrania wojny. Tym razem jednak jej się to nie uda.

Racjonalna część jego umysłu pragnęła, by kandydatka na Amazonkę po prostu sobie poszła i zostawiła go w spokoju. Lecz głowę miał wypełnioną jej zapachem. Nawet mając zamknięte oczy, wyczuł chwilę, kiedy jej koszula z ręcznie tkanego materiału opadła bezszelestnie na podłogę i Dena zdmuchnęła świecę.

- Może i jestem szalona - stwierdziła. - Ale wiem, o czym mówię - kołdra uniosła się i dziewczyna wśliznęła się do łóżka obok niego. - Wiem. To była nasza wina.

Dotyk jej gładkiej skóry przeszył jego bok niczym prąd elektryczny. Gordon odniósł wrażenie, że jego ciało podniosło się z własnej inicjatywy, choć - skryty za powiekami - usiłował ratować się dumą i szukać ucieczki we śnie.

- Ale my, kobiety, nie pozwolimy, by zdarzyło się to raz jeszcze - wyszeptała Dena. Wtuliła mu twarz w szyję. Przebiegła palcami po jego barku i bicepsie. - Poznałyśmy już prawdę o mężczyznach. O bohaterach i sukinsynach, i o tym, jak ich od siebie odróżnić. Poznajemy też prawdę o sobie.

Jej skóra była gorąca. Gordon otoczył dziewczynę ramionami i ułożył obok siebie.

- Tym razem - westchnęła Dena. - Wywrzemy wpływ na wypadki.

Gordon stanowczo zamknął jej usta własnymi, choćby tylko po to, aby wreszcie przestała gadać.

- Jak zademonstruje Mark, nawet dziecko może za pomocą naszego nowego noktowizora na podczerwień - połączonego z celownikiem laserowym - odnaleźć cel w niemal całkowitej ciemności.

Rada Obrony Doliny Willamette siedziała za długim stołem, ustawionym na podwyższeniu w największej auli dawnego campusu Uniwersytetu Stanu Oregon, patrząc, jak Peter Aage demonstruje najnowszą "tajną broń", stworzoną w laboratoriach sług Cyklopa.

Gdy wyłączono światła i zamknięto drzwi, Gordon ledwie mógł dojrzeć chudego technika. Głos Aage'a był jednak donośny i czysty.

- Z tyłu sali umieściliśmy klatkę z myszą, która ma stanowić nieprzyjacielski obiekt. Mark włącza celownik noktowizyjny - w ciemności rozległ się cichy trzask. - A teraz poszukuje promieniowania cieplnego emitowanego przez mysz...

- Widzę ją! - rozległ się piskliwy głos dziecka.

- Świetnie, chłopcze. Teraz Mark przełącza laser, by wymierzyć w zwierzę...

- Mam ją!

- ...a gdy wiązka jest już wycelowana, nasze urządzenie zmienia częstotliwość światła lasera i w plamce widzialnego światła dostrzegamy... mysz!

Gordon wpatrzył się w ciemny obszar znajdujący się z tyłu sali. Nic się nie wydarzyło. Nadal panował głęboki mrok.

Ktoś spośród widzów zachichotał.

- Może coś ją zeżarło! - powiedział jakiś żartowniś.

- Aha. Hej, technicy, może by tak przestawić to cudo na szukanie kota!

Rozległo się grzmiące: "Miau!"

Choć przewodniczący rady walił młotkiem, by uciszyć salę, Gordon roześmiał się głośno wraz z siedzącymi niżej mądralami. Czuł pokusę, by dorzucić jakąś uwagę, lecz wszyscy znali jego głos. Musiał grać rolę poważnego. Zapewne uraziłby tylko czyjeś uczucia.

Nagła krzątająca po lewej stronie powiedziała mu, że zgromadzili się tam technicy i naradzają się, szepcząc gorączkowo. Wreszcie ktoś kazał włączyć światło. Rozbłysły świetlówki. Członkowie Rady Obrony zamrugali powiekami, gdy ich oczy przyzwyczajały się do blasku.

Mark Aage, dziesięcioletni chłopiec, którego Gordon uratował kilka miesięcy temu przed surwiwalistami w ruinach Eugene, zdjął hełm umożliwiający widzenie w ciemności i podniósł wzrok.

- Widziałem mysz - upierał się. - Całkiem dobrze. I trafiłem ją wiązką laserową. Ale kolor nie chciałem zmienić!

Peter Aage wyglądał na zawstydzonego. Blondyn miał na sobie wyszywany czarną nicią biały strój - taki sam, jak technicy wciąż tłoczący się wokół ciężkiego urządzenia.

- Wczoraj, na próbach, zadziałało pięćdziesiąt razy - tłumaczył. - Może zaciął się przetwornik parametryczny. Czasem tak się dzieje. Oczywiście to tylko prototyp, a do tego od prawie dwudziestu lat nikt w Oregonie nie próbował zbudować czegoś w tym rodzaju. Powinno jednak udać się nam usunąć wszystkie usterki, nim rozpoczniemy produkcję.

Rada Obrony składała się z trzech różnych grup. Dwaj mężczyźni i kobieta, ubrani podobnie jak Peter w stroje sług, skinęli głowami ze zrozumieniem. Reszta jej członków wyglądała na mniej usatysfakcjonowanych.

Dwaj mężczyźni siedzący po prawej stronie Gordona ubrani byli w niebieskie bluzy oraz

POCZTA ODRODZONYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Pozostali “listonosze” popatrzeli na siebie nawzajem. Jeden z nich miał w oczach prawdziwy niesmak.

W środku siedziały dwie kobiety i trzech mężczyzn, w tym przewodniczący rady, reprezentujący różne regiony wchodzące w skład sojuszu: okręgi, które ongiś połączył szacunek dla Cyklopa, później rozrastająca się sieć pocztowa, a teraz również strach przed wspólnym wrogiem. Stroje mieli różne, lecz każdy nosił na ramieniu opaskę z lśniącym godłem - nałożonymi na siebie literami D i W, oznaczającymi Dolinę Willamette. Chromowane znaki były jedynym towarem, którego zapasy wystarczyły dla całej ich armii. Zdjęto je z dawno porzuconych samochodów.

To jeden z cywilnych delegatów odezwał się pierwszy.

- Jak sądzicie, ile tych maszynek zdołacie wyprodukować do wiosny?

Peter zastanowił się.

- Cóż, jeśli skoncentrujemy się na tym maksymalnie, do końca marca powinniśmy zmontować jakiś tuzin.

- I pewnie wszystkie będą potrzebować prądu.

- Dołączymy oczywiście ręczne prądnice. Cały zestaw nie powinien ważyć więcej niż pięćdziesiąt funtów.

Farmerzy popatrzeli na siebie. Kobieta reprezentująca indiańskie osady z Gór Kaskadowych najwyraźniej przemówiła w imieniu wszystkich.

- Jestem pewna, że te noktowizory mogą się przydać przy obronie kilku ważnych miejsc przed niespodziewanym atakiem. Chcę się jednak dowiedzieć, na co się nam przydadzą, kiedy stopnieją śniegi i ci ucinający kutasy holniści zaczną palić po kolei nasze małe wioski i sioła. Wiecie, że nie możemy ściągnąć wszystkich ludzi do Corvallis. Głód wykończyłby nas w kilka tygodni.

- No właśnie - dodał inny farmer. - Gdzie się podziały wszystkie te superbronie, które mieliście wymyślić wy, wielkie łby? Wyłączyliście Cyklopa, czy co?

Teraz z kolei słudzy popatrzeli na siebie. Ich przywódca, doktor Taigher, zaczął protestować.

- To krzywdzące! Nie mieliśmy dosyć czasu. Cyklopa zbudowano dla pokojowych celów i musiał się przeprogramować, żeby sobie poradzić z takimi sprawami jak wojna. I tak zresztą zdołał stworzyć wspaniałe plany, ale to omylni ludzie muszą je realizować!

Gordonowi wydawało się to cudem. Tutaj, w publicznym miejscu, ten facet naprawdę sprawiał wrażenie urażonego, starającego się bronić swej mechanicznej wyroczni... którą mieszkańcy doliny nadal czcili jak wielkiego Oza. Przedstawiciel północnych okręgów potrząsnął głową, pełen szacunku, lecz nieustępliwy.

- No więc, jestem ostatni z tych, którzy chcieliby krytykować Cyklopa. Nie wątpię, że strzela pomysłami tak szybko, jak tylko potrafi. Ale po prostu nie rozumiem, czemu ten noktowizor miałby być lepszy od balonu, o którym wciąż opowiadacie, albo bomb gazowych, czy tych małych, chytrych min. Tego wszystkiego jest po prostu za mało, by mogło nam pomóc choć cholerną odrobinę! A nawet gdybyście wyprodukowali setki, tysiące tych rzeczy, to byłyby świetne, gdybyśmy walczyli z prawdziwą armią, jak w Wietnamie czy Kenii przed czasem zagłady. Ale przeciw tym pieprzonym survivalistom nie przydadzą się prawie na nic!

Choć Gordon siedział cicho, nie mógł nie zgodzić się z mówcą. Doktor Taigher spojrział na swe ręce. Po szesnastu latach pokoju i dobrotliwego nabierania - wydzielania wąskim strumieniem zregenerowanych, dwudziestowiecznych zabawek, by zachwycać miejscowych farmerów - od niego i jego techników zażądano, żeby wreszcie wyprodukowali prawdziwe cuda. Przestało już wystarczać naprawianie zabawek i prądnic, napędzanych wiatrowymi silnikami, i imponowanie tubylcom.

Mężczyzna siedzący po prawej stronie Gordona poruszył się. Był to Eryk Stevens, dziadek młodego Johnny'ego Stevensa. Staruszek miał na sobie taki sam mundur jak Gordon. Reprezentował region górnego Willamette, te kilka położonych tuż na południe od Eugene miasteczek, które przyłączyły się do sojuszu.

- A więc wróciliśmy do punktu wyjścia - oznajmił Stevens. - Wynalazki Cyklopa mogą nam tu i ówdzie pomóc. Przede wszystkim uczynią kilka silnych punktów trochę silniejszymi. Myślę jednak, że wszyscy się zgadzamy, iż nie będą dla nieprzyjaciela niczym więcej niż niedogodnością. Ponadto Gordon mówi, że nie możemy liczyć na to, by pomoc z cywilizowanego wschodu przybyła na czas. Minie dziesięć albo i więcej lat, nim Odrodzone Stany Zjednoczone będą tu mogły skierować większe siły. Musimy utrzymać się przynajmniej do momentu nawiązania z nimi prawdziwego kontaktu. - Stary popatrzył wściekle na pozostałych. - Jest tylko jeden sposób, by to osiągnąć! Trzeba walczyć! - Grzmotnął pięścią w stół. - Wszystko raz jeszcze trzeba zacząć od podstaw. To uzbrojeni mężczyźni rozstrzygną sprawę.

Wokół stołu rozległy się pomruki aprobaty. Gordon zdawał sobie jednak sprawę z obecności Deny, która siedziała na jednym z krzeseł na dole, czekając na szansę zwrócenia się do rady. Potrząsała głową. Gordon czuł się tak, jakby potrafił czytać w jej myślach.

“Nie tylko mężczyźni...” Wysoka, młoda kobieta miała na sobie strój sługi, lecz Gordon wiedział, komu naprawdę jest oddana. Siedziała obok trzech swych uczennic - odzianych w kożle skóry kobiet-zwiadowców z Armii Willamette. Wszystkie były członkiniami jej ekscentrycznej koterii.

Aż do dzisiejszego dnia rada odrzuciłaby ich plan bez zastanowienia. Dziewczynom ledwie pozwolono na wstąpienie do armii, i to tylko dzięki uśpionemu wspomnieniu o zesłowiecznym feminizmie, które wciąż jeszcze utrzymywało się w cywilizowanej dolinie.

Jednak dziś Gordon wyczuwał narastającą za stołem desperację. Wieści, które przyniósł z południa Johnny Stevens, były straszliwym ciosem. Wkrótce, gdy przestanie padać śnieg i nadejdą ciepłe deszcze, rada zacznie się chwytać każdego planu. Każdego idiotyzmu.

Postanowił przyłączyć się do dyskusji, zanim sprawy wyrwą się spod kontroli. Przewodniczący natychmiast udzielił mu głosu.

- Jestem pewien, że rada zechce przekazać Cyklopowi - i jego technikom - naszą wdzięczność za ich nieustające wysiłki.

Rozległ się pomruk zgody. Ani Taigher, ani Peter Aage nie patrzyli mu w oczy.

- Zostało jeszcze jakieś sześć do ośmiu tygodni złej pogody, a potem możemy oczekiwać wznowienia poważniejszych działań przez nieprzyjaciela. Po wysłuchaniu raportów komisji szkolenia i zaopatrzenia jasno widać, że czeka nas mnóstwo roboty.

W rzeczy samej, krótki raport Philipa Bokuto zapoczątkował poranną litanię złych wieści. Gordon zaczerpnął tchu.

- Gdy latem zaczęła się inwazja holnistów, powiedziałem wam, byście nie liczyli na żadną pomoc ze strony reszty kraju. Ustanowienie sieci pocztowej, co zrobiłem z waszą pomocą, jest tylko pierwszym etapem długiego procesu ponownego jednoczenia kontynentu. W najbliższych latach Oregon pozostanie praktycznie sam.

Udało mu się skłamać przez implikację - wypowiedział zdania będące dosłowną prawdą. Dobrze opanował tę umiejętność, nie był jednak z tego dumny.

- Nie będę owijał w bawełnę. Fakt, że ludzie z okolic Roseburga przysłali nam na pomoc jedynie garstkę, był najgorszym ze wszystkich ciosów. Południowcy mają doświadczenie, umiejętności i, co najważniejsze, przywództwo, a to jest nam najbardziej potrzebne. Moim zdaniem przekonanie ich, by nam pomogli, musi mieć bezwzględny priorytet.

Przerwał.

- Dlatego - zaczął znowu - udam się osobiście na południe, by nakłonić ich do zmiany zdania.

To oświadczenie wywołało prawdziwy tumult.

- Gordon, to szaleństwo!

- Nie możesz...

- Jesteś nam potrzebny tutaj!

Zamknął oczy. W ciągu czterech miesięcy stworzył sojusz wystarczająco silny, by opóźnić marsz najeźdźców i utrudnić im życie. Dokonał tego głównie dzięki swym talentom gawędziarza, nabieracza... kłamcy.

Nie łudził się, że jest prawdziwym przywódcą. To jego postać utrzymywała w całości Armię Willamette... jego legendarne pełnomocnictwa inspektora reprezentującego odrodzone państwo.

“Państwo, którego jedyna ocalała iskra będzie wkrótce martwa jak kamień, jeśli nie zrobi się czegoś cholernie szybko. Nie potrafię poprowadzić tych ludzi! Potrzebny im generał! Wojownik!

Ktoś taki jak George Powhatan”.

Uciszył wrzawę podniesieniem ręki.

- Pojadę tam. Chcę też, byście wszyscy mi obiecali, że nie zgodzicie się pod moją nieobecność na żadne zwariowane, desperackie przedsięwzięcia.

Spojrzał prosto na Denę. Przez moment patrzyła mu w oczy. Wargi miała jednak zaciśnięte, a po chwili oczy jej ściemniały i odwróciła nagłym ruchem głowę.

“Czy niepokoi się o mnie? - zastanowił się Gordon. Czy o swój plan?”

- Wrócę, nim nadejdzie wiosna - obiecał. - I sprowadzę pomoc.

Pod nosem całkiem cicho dodał:

- Albo zginę.

Przygotowania zajęły trzy dni. Przez cały ten czas Gordon był poirytowany. Żałował, że nie może odjechać po prostu.

Całe przedsięwzięcie zamieniło się jednak w ekspedycję. Rada nalegała, żeby przynajmniej do Cottage Grove towarzyszył mu Bokuto wraz z czterema innymi mężczyznami. Johnny Stevens ruszył przodem w towarzystwie jednego z ochotników z południa, by przygotować drogę. Ostatecznie przybycie inspektora powinno być zapowiedziane.

Dla Gordona wszystko to było nonsensem. W ciągu godziny spędzonej z Johnnym nad przedwojenną mapą samochodową zorientowałby się, jak dotrzeć do celu. Jeden szybki koń plus drugi na zapas byłyby równie dobrą ochroną jak cały oddział.

Szczególnie niezadowolony był z tego, że musi zabrać ze sobą Bokuto. Był on potrzebny tutaj. Rada okazała się jednak niewzruszona. Albo zgodzi się na ich warunki, albo w ogóle nie pozwoli mu jechać.

Grupa opuściła Corvallis wczesnym rankiem. Dotkliwie zimno sprawiało, że z koni biła para. Gdy przejeżdżali obok starego boiska oregońskiego uniwersytetu, minęła ich kolumna maszerujących rekrutów. Choć postacie były szczelnie opatulone, ich śpiew wskazywał niedwuznacznie na żołnierki Deny.

Nie wyjdę za faceta, który pali papierosy,
Drapie się, beka i wrzeszczy wniebogłosy.
Może nie wyjdę za mąż i już,
Nie wyjdę za mąż i już!

Lepiej usiądę w cieniu sama jedna.
Stara panna grymaśna i wybredna.
Może nie wyjdę za mąż i już,
Nie wyjdę za mąż i już!

Gdy przejeżdżali mężczyźni, oddział wykonał “na prawo patrz”. Odległość nie pozwalała odczytać wyrazu twarzy Deny, lecz Gordon czuł na sobie jej spojrzenie.

Ich pożegnanie było fizycznie namiętne i emocjonalnie napięte. Gordon nie był pewien, czy nawet przedwojenna Ameryka, ze wszystkimi swymi seksualnymi wariacjami, miała nazwę dla takiego związku jak ich. Czuł ulgę, że ją opuszcza. Wiedział, że będzie za nią tęsknił.

Gdy głosy kobiet ucichły za jego plecami, Gordon poczuł ucisk w gardle. Próbował częściowo wytłumaczyć go dumą z ich oczywistej odwagi. Nie można jednak było całkowicie wykluczyć strachu.

Grupa mijała w szybkim tempie nagie sady i skutą lodem okolicę, by o zachodzie słońca dotrzeć do palisady w Rowland. Linia frontu była już tak blisko, oddalona tylko o jeden dzień jazdy od centrum tego, co uchodziło za cywilizację. Dalej rozciągała się kraina bandytów.

W Rowland słyszano nowe pogłoski - że jeden kontyngent holnistów ustanowił już w ruinach Eugene małe księstwo. Uchodźcy opowiadali o bandach barbarzyńców, odzianych w białe stroje maskujące, którzy grasowali po okolicy, paląc małe sioła, grabiąc żywność i porywając kobiety oraz niewolników.

Jeśli to była prawda, Eugene stanowiło problem. Musieli się jakoś przedostać przez zburzone miasto.

Bokuto nalegał, by nie podejmowali żadnego ryzyka. Gordon spoglądał na niego spode łba i niemal w ogóle się nie odzywał, gdy ekspedycja zmarnowała trzy dni na asfaltowych, pokrytych wybojami szosach, omijając Springfield daleko od wschodu, a potem zawracając na południe, by wreszcie przybyć do ufortyfikowanego miasteczka Cottage Grove.

Ułynęło niewiele czasu od chwili, gdy kilka osad leżących na południe od Eugene zjednoczyło się z zamożniejszymi, północnymi społecznościami. Teraz najeźdźcy odcięli je ponownie.

Na mapie wielkiego ongiś stanu Oregon, którą Gordon stworzył w myślach, dwie trzecie jego obszaru na wschodzie pokrywała puszcza, wyżynna pustynia, starożytne wycieki lawy oraz skalne wały Gór Kaskadowych.

Na zachodzie szary Pacyfik graniczył z omywanymi deszczem Górami Nadbrzeżnymi.

Północne i południowe kresy stanu również stanowiły praktycznie niemożliwe do przejścia plamy. Na północy Dolina Kolumbii wciąż jarzyła się od bomb, które zamęczyły Portland i zniszczyły tamy na wielkiej rzece.

Druga plama wychodziła z nieznanej Kalifornii i sięgała o sto mil na północ od południowych granic stanu. Jej centrum stanowiła górzysta, pełna kanionów kraina znana jako Rogue.

Nawet w szczęśliwszych czasach tereny otaczające Medford słynęły z pewnego "dziwnego" elementu. Przed wojną zagłady oceniano, że w dolinie Rogue River znajduje się więcej tajemnych schowków i nielegalnych karabinów maszynowych niż gdziekolwiek indziej, nie licząc Everglades.

Gdy władze usiłowały się jeszcze utrzymać, szesnaście lat temu, właśnie plaga hipersurwiwalistów zadała im śmiertelny cios, najgroźniejszy w całym cywilizowanym świecie. W południowym Oregonie zwolennicy Nathana Holna byli szczególnie gwałtowni. Losu nieszczęsnych obywateli tego regionu nigdy nie poznano.

Między pustynią a morzem, między promieniowaniem a holnistowskimi obłąkańcami, dwa małe obszary przetrwały trzyletnią zimę z zasobami wystarczającymi na odrobinę więcej niż zwierzęca vegetacja... Willamette na północy i miasteczka wokół Roseburga na południu. Na początku jednak ten południowy obszar wydawał się nieuchronnie skazany na niewolnictwo lub jeszcze gorszy los z rąk nowych barbarzyńców.

Nagle, gdzieś między Rogue a Umpqua, wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Postępy raka zahamowano. Nieprzyjaciela powstrzymano. Gordon żywił rozpaczliwą nadzieję, że dowie się, jak do tego doszło, nim przerzut choroby w pełni zawładnie podatną na atak doliną Willamette.

Na mapie stworzonej w jego myślach paskudny, czerwony naciek wtargnął w głąb kraju z przyczółków utworzonych przez najeźdźców na zachód od Eugene. Cottage Grove było już niemal odcięte.

W odległości niespełna mili od miasteczka po raz pierwszy ujrzeli, jak źle wyglądają sprawy. Przy drodze wisiały ciała sześciu mężczyzn ukrzyżowanych na przechylonych słupach telefonicznych. Zwłoki były okaleczone.

- Zdejmijcie ich - rozkazał. Serce mu waliło. Czuł suchość w ustach. Dokładnie taką reakcję chciał wywołać nieprzyjaciel tym pokazem terroru. Najwyraźniej patrol z Cottage Grove nie zapuszczały się już tak daleko od osady. Nie rokowało to dobrze.

W godzinę później zobaczył, jak wiele się zmieniło od czasu jego poprzedniej wizyty w mieście. W narożnikach nowych, usypanych z ziemi wałów stały wieże strażnicze. Na zewnątrz przedwojenne budynki zrównano z ziemią, by stworzyć szeroką, zabezpieczającą przed ogniem strefę.

Napływ uchodźców trzykrotnie zwiększył liczbę ludności. Większość z nich mieszkała w

zatłoczonych chatach tuż za główną bramą. Dzieci, trzymając się spódnic kobiet o wymizerowanych twarzach, gapiły się na jeźdźców z północy. Mężczyźni stali w grupach, grzejąc dłonie nad ogniskami. Dym mieszał się z zapachem niemytych ciał, tworząc nieprzyjemne opary.

Niektórzy z mężczyzn wyglądali na podejrzone typy. Gordon zastanowił się, ilu z nich to agenci holnistów, udający tylko uchodźców. Takie rzeczy już się zdarzały.

Były też gorsze wieści. Od Rady Miejskiej dowiedzieli się, że burmistrz Peter Von Kleek zginął w zasadzce zaledwie kilka dni temu, gdy próbował poprowadzić oddział z odsieczą oblężonej wiosce. Straty nie sposób było ocenić. Był to ciężki cios dla Gordona. Wiadomość ta tłumaczyła również nastrój milczącego oszołomienia panujący na zimnych ulicach.

Wieczorem, przy świetle pochodni na zatłoczonym placu, Gordon wygłosił jedną ze swych najlepszych, podnoszących morale przemów. Tym razem jednak okrzyki zapału w tłumie były zmęczone i ochryple. Wystąpienie dwukrotnie przerywał odległy, słaby odgłos strzałów, dobiegający z leżących za wałami obronnymi, pokrytych lasem wzgórz.

- Nie daję im dwóch miesięcy, gdy śniegi już stopnieją - wyszeptał następnego dnia Bokuto, kiedy wyjeżdżali z Cottage Grove. - Dwa tygodnie, jeśli pieprzeni surwiwaliści postarają się mocno.

Gordon nie musiał odpowiadać. Miasteczko stanowiło południową podporę sojuszu. Gdy padnie, nic nie przeszkodzi całej armii nieprzyjaciela zawrócić na północ, ku środkowi doliny i samemu Corvallis.

Kierowali się na południe podczas lekkiej śnieżycy, wspinając się wzdłuż najbliższej morza odnogi rzeki Willamette ku jej źródłu. Ciemnozielony las sosnowy lśnił pod białą powłoką śniegu. Tu i ówdzie jasnoczerwona kora mirtu kontrastowała z tłem szarych brzegów na wpół zamrożonego strumienia.

Mimo to kilka upartych traczy łowiło ryby w lodowatej wodzie, starając się we właściwy dla siebie sposób doczekać wiosny.

Na południe od porzuconego miasta London oddalili się od coraz węższej rzeki. Wjechali na rozległy, nie zamieszkaną teren, gdzie widziało się jedynie porośnięte zielskiem ruiny farm oraz, od czasu do czasu, zrujnowaną stację benzynową.

Była to, jak dotąd, milcząca podróż. Teraz jednak osłabili nieco czujność, gdyż nawet podejrzliwy Philip Bokuto uznał, że opuścili już obszary, na których prawdopodobne było napotkanie holnistowskich patroli. Zezwolono na rozmowy, ten i ów roześmiał się głośno.

Wszyscy mężczyźni byli po trzydziestce, zaczęli więc bawić się we wspomnienia... opowiadali stare kawały, które nie byłyby ani trochę zabawne dla kogoś z młodszego pokolenia, spierali się niefrasobliwie o niezbyt dobrze zapamiętane arkana różnych dyscyplin sportu. Gordon omal nie spadł z siodła ze śmiechu, gdy Aaron Schimmel parodiował nosowym głosem popularne gwiazdy telewizyjne lat dziewięćdziesiątych.

- To zdumiewające, jak wiele szczegółów z młodości człowiek może przechowywać w pamięci - zwrócił się do Philipa. - Kiedyś się mówiło, że jeśli łatwiej przypomnieć sobie wydarzenia sprzed dwudziestu lat niż niedawne wypadki, starość jest blisko.

- Aha - odparł z uśmiechem Bokuto. Jego głos przerodził się nagle w gderliwy falset. - O czym to mówiliśmy?

Gordon postukał się w głowę.

- He? Nie słyszę cię, facet... Za dużo w niej rock and rolla z dawnych czasów.

Przyzwyczajali się już do przenikliwego chłodu zimowych poranków oraz cichego odgłosu końskich kopyt uderzających o porośniętą trawą autostradę międzystanową. Przyroda wróciła do siebie - w lasach znowu pasły się jelenie - lecz ludzie jeszcze przez długi czas będą zbyt nieliczni,

aby zasiedlić wszystkie opuszczone wioski.

Dopływy pobliskiego odgałęzienia rzeki zniknęły wreszcie. Wędrowcy przekroczyli wąską linię wzgórz i następnego dnia znaleźli się nad brzegami nowego strumienia.

- Umpqua - oznajmił przewodnik.

Przybysze z północy wytrzeszczyli oczy. Lodowaty potok nie wlewał swych wód do spokojnej Willamette, a później do wielkiej Kolumbii, lecz torował sobie, nieposkromiony, drogę na zachód, ku morzu.

- Witajcie w słonecznym południowym Oregonie - mruknął Bokuto, po raz kolejny przytłoczony. Niebiosy groźnie spoglądały na nich z góry. Nawet drzewa wydawały się dziksze niż na północy.

Wrażenie nie zniknęło, gdy jadąc dalej, zaczęli mijać małe, otoczone palisadami osady. Milczący mężczyźni przymrużonymi oczami przyglądali się im ze stanowisk obserwacyjnych na zboczach wzgórz, pozwalając im przejechać bez słowa. Wiadomość o ich przybyciu dotarła tu przed nimi. Było jasne, że ci ludzie nie mają nic przeciwko pocztowcom. Równie oczywiste było jednak, że nie przepadają zbyt za obcymi.

Spędziwszy noc w wiosce Sutherlin, Gordon przypatrzył się z bliska życiu południowców. Ich domostwa były proste i skromne. Niewiele było tam wygod, które mieli jeszcze mieszkańcy północy. Niemal wszyscy wyglądali na zniszczonych przez chorobę, niedożywienie, przepracowanie czy wojnę.

Choć tubylcy nie gapili się na nich zbyt natrętnie ani nie mówili nic nieuprzejmego, było jasne, jaka jest ich opinia o ludziach z Willamette.

„Zniewieściali”.

Ich przywódcy wyrażali współczucie, lecz było oczywiste, że myślą po cichu: “Jeśli holniści zostawiają południe w spokoju, dlaczego mielibyśmy się wtrącać?”

W dzień później, w handlowym centrum Roseburga, Gordon spotkał się z komitetem złożonym z okolicznych wódzów. Porozbijane kulami okna wychodziły na teren przypominający o niszycielskiej siedemnastoletniej wojnie z barbarzyńcami znad Rogue River. Wysadzony w powietrze bar ze zwisającym smętnie nadtopionym, plastikowym szyldem wskazywał miejsce, gdzie zatrzymano nieprzyjaciela wtedy, gdy przedarł się najgłębiej, prawie dziesięć lat temu.

Od tego czasu dzicy surwiwaliści nigdy nie zapuścili się tak daleko. Gordon był pewien, że miejsce spotkania wybrano po to, by gościom coś udowodnić.

Różnica w nastroju i osobowości ludzi była łatwa do zauważenia. Legendarny Cyklop czy zapowiadane odrodzenie techniki wzbudzały niewiele ciekawości. Nawet opowieści o ojczyźnie wstającej z popiołów na obszarach leżących daleko na wschodzie wywoływały jedynie umiarkowane zainteresowanie. Nie w tym rzecz, że tubylcy wąpili w ich słowa. Ludzi z Glide, Winston i Lookinglass po prostu nie obchodziło to zbyt.

- To strata czasu - powiedział Gordonowi Philip. - Te kmiotki toczą swoją małą wojenkę od tak dawna, że guzik ich obchodzi cokolwiek poza codzienną egzystencją.

“Czy to przypadkiem nie znaczy, że są mądrzejsi?” - zadał sobie pytanie Gordon.

Philip miał jednak rację. Nie było właściwie ważne, co myśleli szefowie, burmistrzowie, szeryfowie czy wódzowie. Chętni się głośno swą autonomią, ale nie ulegało wątpliwości, że jest tylko jeden człowiek, którego opinia liczy się w tych okolicach.

W dwa dni później Johnny Stevens przybył z zachodu na buchającym parą wierzchowcu. Nie rozglądając się na boki, zeskoczył z konia i podbiegł zdyszany do Gordona. Tym razem wiadomość, którą przyniósł, składała się z trzech słów.

“Przyjedźcie do mnie”.

George Powhatan zgodził się wysłuchać ich prośby.

Góry Callahan ciągnęły się na odcinku siedemdziesięciu mil od Roseburga i doliny Camas do morza. U ich stóp główna odnoga małej rzeki Coquille gnała na zachód pod roztrzaskanymi szkieletami zniszczonych mostów, nim spotkała się z odgałęzieniem północnym i południowym w porannym cieniu góry Sugarloaf.

Tu i ówdzie, wzdłuż północnego stoku doliny, nowe płoty odgradzały pokryte teraz sypkim śniegiem pastwiska. Gdzieś tam, zza otaczającej szczyt wzgórza palisady, wznosił się słup bijącego z komina dymu.

Na południowym stoku nie było jednak nic poza wypalonymi, walącymi się ruinami, ulegającymi powoli nieubłaganym gąszczom jeżyn.

Brodów na rzece nie strzegły żadne fortyfikacje. Wędrowców zdziwiła ich nieobecność, gdyż podobno to właśnie w tej dolinie obrońcy okopali się i powstrzymali wreszcie ofensywę holnistów.

Calvin Lewis spróbował im to wyjaśnić. Chudy, ciemnooki, młody mężczyzna był już przewodnikiem Johnny'ego Stevensa podczas jego poprzedniej podróży do południowego Oregonu. Cal, gestykulując, wskazywał ręką w lewo i w prawo.

- Nie strzeże się rzeki, budując umocnienia - tłumaczył powoli z wyraźnym, lokalnym akcentem. - Bronimy północnego brzegu w ten sposób, że od czasu do czasu urządzamy wypadki na drugi. Obserwujemy też wszystko, co rusza się po tamtej stronie.

Philip Bokuto chrząknął i skinął głową na znak aprobaty. Najwyraźniej sam postępowałby identycznie. Johnny Stevens nie odezwał się, gdyż słyszał to wszystko już wcześniej.

Gordon nieustannie spoglądał między drzewa, zastanawiając się, gdzie kryją się obserwatorzy. Niewątpliwie obie strony były nimi zainteresowane i posuwającą się naprzód grupę od razu zauważono. Niekiedy Gordon dostrzegał przelotnie na pewnej wysokości jakieś poruszenie bądź błysk czegoś, co mogło być szklami lornetki. Tropiciele byli jednak dobrzy. Bez porównania lepsi niż ktokolwiek w Armii Willamette - z wyjątkiem, być może, Philipa Bokuto.

To, co działo się na południu, nie przywodziło na myśl wojny prowadzonej przez armie, gdzie liczą się oblężenia i manewry strategiczne. Przypominało raczej bitwy toczone przez Indian... gdzie szybkie, krwawe ataki przynosiły zwycięstwo mierzone liczbą zdobytych skalpów.

Survivaliści byli specjalistami od tego rodzaju podstępnej, ukradkowej walki. Nie przyzwyczajeni do podobnego terroru mieszkańcy Willamette stanowili dla nich idealne ofiary.

Tutaj jednak farmerom udało się ich powstrzymać. Nie potrafiliby zrecenzować ich taktyki, pozwolił więc, by większość pytań zadawał Bokuto. Gordon wiedział, że są to umiejętności, na których opanowanie potrzeba całego życia. A on przybył tutaj tylko w jednym celu - nie aby uczyć się, lecz aby przekonywać.

Gdy wspinali się starym szlakiem wiodącym na górę Sugarloaf, na dole rozciągał się wspaniały widok na łączące się ze sobą odnogi rzeki Coquille. Pokryte śniegiem sosnowe lasy wyglądały tak, jak musiały wyglądać przed przybyciem człowieka, całkiem jakby groza ostatnich siedemnastu zim była sprawą istotną jedynie dla efemerycznych stworzeń, a nie dla cierplivej ziemi.

- Czasem te sukinsyny próbują się do nas zakraść w wielkich czółnach - wyjaśniał Cal Lewis. - Południowa odnoga dociera tu niemal prosto z okolic Rogue, a w chwili, gdy łączy się ze środkową, nurt staje się bardzo wartki.

Młody mężczyzna uśmiechnął się.

- Ale George zawsze skądś wie, co kombinują. Zawsze jest gotowy na ich przybycie.

Znowu to samo. Pełne szacunku, a nawet czci przywiązanie, zawsze gdy była mowa o wodzu mieszkańców doliny Camas. Czy ten facet jadł gwoździe na śniadanie? Albo raził wrogów błyskawicami? Wysłuchawszy tylu opowieści, Gordon był gotów uwierzyć we wszystko, co dotyczyło George'a Powhatana.

Nagle Bokuto wysunął nos, a jego szerokie nozdrza rozszerzyły się jeszcze bardziej. Były komandos ściągnął nagle wodze, przezornie powstrzymując Gordona ramieniem. Uniósł błyskawicznym ruchem pistolet maszynowy.

- Co się stało, Phil?

Gordon zdjął karabin, przyglądając się zadrzewionym stokom. Konie tańczyły i parskały, wyczuwając podniecenie jeźdźców.

- To... - Bokuto zaczął wachać. Zmrużył oczy z niedowierzaniem. - Czuję niedźwiedzie sadło!

Cal Lewis spojrzał na rosnące przy drodze drzewa i uśmiechnął się. Tuż nad nimi rozległ się basowy, gardłowy śmiech.

- Świetnie, chłopie! Ale ty masz czułe zmysły!

Gdy Gordon i pozostali popatrzyli w tamtą stronę, między dagleziejami poruszyła się wielka, skryta w cieniu postać rysująca się na tle popołudniowego słońca. Gordona przeszył przelotny dreszcz. Jakaś część jego jaźni zastanawiała się przez krótką chwilę, czy to w ogóle jest człowiek czy też być może legendarny sasquatch-bigfoot z północnego zachodu.

Nagle postać ruszyła naprzód i okazało się, że to mężczyzna w średnim wieku o szorstkiej twarzy, którego sięgające ramion, posiwiałe włosy podtrzymywała zdobiona paciorkami opaska. Ręcznie tkana koszula z krótkimi rękawami wystawiała na działanie powietrza grube niczym uda ramiona, lecz mężczyźnie zimno najwyraźniej nie przeszkadzało.

- Jestem George Powhatan - powiedział z uśmiechem. - Panowie, witajcie na górze Sugarloaf.

Gordon przełknął ślinę. Co takiego było w głosie tego człowieka, że harmonizowało to z jego wyglądem? Świadczyło o sile tak niewymuszonej, że niepotrzebne były żadne przechwałki ani popisy. Powhatan rozłożył ramiona. - Chodź na górę, ty z czułym nosem. I reszta, z waszymi eleganckimi mundurkami! Poczuliście zapach niedźwiedziego sadła? No to chodźcie do mojej domowej stacji meteorologicznej! Zobaczycie, jaki jest z niego pożytek.

Goście odprężyli się i schowali broń, uspokojeni jego swobodnym śmiechem. "To nie sasquatch - powiedział sobie Gordon. Po prostu serdeczny góral. Nic więcej".

Poklepał swego płochliwego konia z północy i powiedział sobie, że jego własną reakcję z pewnością wywołała jedynie woń wytapianego z niedźwiedzia tłuszczu.

Senior góry Sugarloaf używał słoików niedźwiedziego sadła do przepowiadania pogody. Udoskonalił tradycyjną metodę drogą skrupulatnego, naukowego prowadzenia zapisków. Hodował krowy z myślą o lepszym mleku, a owce z myślą o lepszej wełnie. Jego ogrzewane biogenym metanem cieplarnie przez cały rok, nawet podczas najsurowszych zim, produkowały świeże jarzyny.

Ze szczególną satysfakcją zademonstrował im swój browar, w czterech okręgach słynący z najlepszego piwa.

Ściany wielkiej sali w centrum jego rezydencji zdobiły pięknie utkane draperie i demonstrowane z dumą prace dzieci. Gordon spodziewał się, że zobaczy broń i trofea wojenne, lecz nigdzie nic takiego nie było widać. W gruncie rzeczy, gdy przeszło się za wysoką palisadę i zasieki, niemal nic nie przypominało o długotrwałej wojnie.

Pierwszego dnia Powhatan nie chciał rozmawiać o interesach. Cały czas poświęcił na oprowadzanie gości i nadzorowanie przygotowań do uczy, jaką miał wydać na ich cześć. Późnym popołudniem, gdy pokazano im pokoje, w których mieli się zatrzymać, ich gospodarz zniknął.

- Chyba widziałem, jak szedł na zachód - odparł Philip Bokuto na pytanie Gordona. - W stronę tego urwiska.

Gordon podziękował mu i ruszył we wskazanym kierunku zwirowaną ścieżką między drzewami. Przez długie godziny Powhatan zrećnie unikał wszelkiej poważnej dyskusji, zawsze odwracał uwagę gości, pokazywał im coś nowego albo zagadywał, cytując jakąś ludową mądrość, których zasób posiadał nie wyczerpany.

W nocy mogło ich czekać to samo w jeszcze większej ilości, jako że na spotkanie z nimi przybyło bardzo wielu ludzi. Może w ogóle nie będą mieli okazji porozmawiać o ważnych sprawach.

Oczywiście wiedział, że nie powinien być tak niecierpliwy, ale nie miał ochoty na spotkanie z nowymi ludźmi. Chciał porozmawiać sam na sam z George'em Powhatanem.

Znalazł go siedzącego z twarzą zwróconą ku krawędzi stromego urwiska. Daleko w dole szumiały wody zlewających się ze sobą odnóg Coquille. Na zachodzie szczyty Gór Nadbrzeżnych błyszczały w fioletowej mgielce, która ciemniała szybko, przechodząc w pomarańczowy i ochrowy zachód słońca. Wiecznie obecne chmury płonęły setką jesiennych odcieni.

George Powhatan siedział w pozycji zazen na zwykłej trzciniowej macie. Jego zwrócone ku górze dłonie spoczywały na kolanach. Gordon widywał niekiedy przed wojną podobny wyraz twarzy. Nazywał go, z braku lepszego określenia, "uśmiechem Buddy".

"A niech mnie... - pomyślał. Ostatni neohippis. Kto by w to uwierzył?"

Pozbawiona rękawów bluza górala odsłaniała wyblakły, niebieski tatuaż na grubym ramieniu - potężną pięść z wysuniętym nieco jednym palcem, na którym przycupnął delikatnie gołębek. Pod spodem widniało jedno doskonale czytelne słowo: POWIETRZNY.

To zestawienie nie zaskoczyło właściwie Gordona, podobnie jak spokojny wyraz twarzy Powhatana. Z jakiegoś powodu wydawało się na miejscu.

Wiedział, że uprzejmość nie wymaga, by się oddalił, lecz by nie przeszkadzał siedzącemu. Najciszej, jak potrafił, uprzątnął miejsce odległe o kilka stóp na prawo od wodza . i usiadł na ziemi, patrząc w tę samą co on stronę. Nawet nie próbował przyjąć pozycji lotosu. Nie ćwiczył tego od chwili, gdy skończył siedemnaście lat. Usiadł jednak z wyprostowanymi plecami i spróbował oczyścić swój umysł. W oddali, tam gdzie było morze, kolory migotały i zmieniały się.

W pierwszej chwili mógł myśleć jedynie o tym, jak jest zeszywniały. Jak obolały od konnej

jazdy i spania na twardej, zimnej ziemi. Podmuchy wiatru sprawiły, że poczuł chłód, gdy dające ciepło słońce skryło się za górami. Jego myśli tworzyły kotłujące się mrowisko dźwięków, trosk i wspomnień.

Wkrótce jednak, choć wcale tego nie chciał, powieki zaczęły mu ciążyć, odrobinę opadły, po czym zatrzymały się półotwarte, niezdolne się podnieść ani opaść bardziej.

Gdyby nie wiedział, co się dzieje, z pewnością wpadłby w panikę. Był to jednak tylko lekki trans medytacyjny. Rozpoznał to wrażenie. "Niech się dzieje, co chce" - pomyślał i poddał się ogarniającej go fali.

Czy robił to z chęci rywalizacji z Powhatanem, czy też chciał mu udowodnić, że nie jest jedynym dzieckiem odrodzenia, które jeszcze pamiętało?

A może po prostu dlatego, że czuł się zmęczony, a zachód słońca był taki piękny?

Miał w sobie wrażenie pustki. Wydawało mu się, że jego płuca są zamknięte, i to już od długiego czasu. Próbował wciągać powietrze mocno i głęboko, lecz rytm jego oddechów nie zmienił się w najmniejszym stopniu, całkiem jakby jego ciało dysponowało własną, niedostępną dla niego mądrością. Spokój, który ogarnął skostniałą od wiatru twarz Gordona, wydawał się spływać powoli w dół. Dotykał jego gardła niczym palce kobiety, przebiegał po napiętych ramionach i głaskał mięśnie, aż wreszcie rozluźniły się z własnej inicjatywy.

"Kolory..." - pomyślał, widząc tylko niebo. Serce kołysało delikatnie jego ciałem.

Czy upłynęło już całe życie od chwili, gdy siedział tak, zapomniawszy o wszystkim? A może po prostu było zbyt wiele spraw, o których chciał zapomnieć?

"Są..."

Pod wpływem ulgi, do której nigdy nie mógłby się zmusić, ucisk w jego płucach ustąpił. Gordon zaczął oddychać. Zużyte powietrze wydostało się na zewnątrz i umknęło na zachodnim wietrze. Następny oddech smakował tak słodko, że wyszedł z jego ust jako westchnienie.

Kolory...

Po lewej stronie coś się poruszyło. Odezwał się cichy głos.

- Zastanawiałem się kiedyś, czy te zachody słońca to pożegnalny dar Boga... coś takiego jak tęcza, którą dał Noemu, tylko że tym razem chciał powiedzieć... "Zegnajcie"...nam wszystkim.

Gordon nie odpowiedział. Nie było potrzeby.

- Ale po tylu latach przyglądania się im doszedłem do wniosku, że atmosfera powoli się oczyszcza. Nie są już takie, jak zaraz po wojnie.

Gordon skinął głową. Dlaczego ludzie mieszkający na wybrzeżu zawsze uważali, że mają monopol na zachody słońca? Przypomniawszy sobie, jak to wyglądało na prerii, gdy skończyła się trzyletnia zima i niebo stało się na tyle czyste, by można było dojrzeć słońce. Wydawało się wtedy, że niebiosy rozprysnęły swą paletę w jaskrawym bryzgu odcieni o cudownym, choć śmiercionośnym pięknie.

Nie odwracając się, Gordon wiedział, że Powhatan się nie poruszył. Siedział w tej samej pozycji, uśmiechając się łagodnie.

- Kiedyś - ciągnął siwowłosa wódz - może dziesięć lat temu, gdy siedziałem sobie tutaj tak jak teraz, przychodząc do siebie po niedawno odniesionej ranie i kontemplując zachód słońca, nagle dojrzałem coś, co poruszało się brzegiem rzeki, tam na dole. Z początku pomyślałem, że to ludzie. Wyrwałem się z transu i zszedłem na brzeg, by przyjrzeć się im z bliska. Coś jednak - nawet z tej odległości - mówiło mi, że nie jest to nieprzyjaciel. Zbliżałem się tak cicho, jak tylko mogłem, aż wreszcie, gdy miałem już tylko kilkaset metrów, wyciągnąłem małą lunetę, którą trzymałem w kieszeni, i skierowałem ją na to coś. To w ogóle nie byli ludzie. Wyobraź sobie moje zaskoczenie,

gdy zobaczyłem, jak idą ręka w rękę brzegiem rzeki, on pomaga jej przejść przez kamienne nasypy, a ona pomrukuje cicho, niosąc coś zawiniętego w szmaty. To była para szympansów, na Boga. Albo może jeden szympans i jedna mniejsza małpa. Zniknęły w mokrym od deszczu lesie, zanim zdążyłem się upewnić.

Po raz pierwszy od dziesięciu minut Gordon zamrugał powiekami. Widział wszystko tak doskonale w wyobraźni, jakby nad ramieniem swego rozmówcy zaglądał w jego wspomnienia z tego dawno minionego dnia. "Dlaczego mi o tym opowiada?"

- Na pewno uwolniono je z portlandzkiego zoo razem z tymi lampartami, które biegają teraz na swobodzie w Górach Kaskadowych - ciągnął Powhatan. - To było najprostsze wyjaśnienie... że przez te lata dotarły na południe, szukając pożywienia i unikając ludzi, pomagając sobie nawzajem, wędrując w kierunku, gdzie na pewno miały nadzieję odnaleźć cieplejsze obszary. Zdałem sobie sprawę, że idą wzdłuż południowej odnogi Coquille, prosto na terytorium holnistów. Cóż mogłem zrobić? Pomyślałem, czyby za nimi nie podążyć. Spróbować je złapać albo przynajmniej zawrócić. Było jednak wątpliwe, czy udałoby mi się zrobić coś więcej niż je przestraszyć. Do tego, jeśli udało im się zejść tak daleko, nie potrzebowały moich ostrzeżeń, by wiedzieć, że bliskość ludzi jest zagrożeniem. Przedtem żyły w klatce, a teraz na swobodzie. Och, nie byłem na tyle naiwny, by sądzić, że są szczęśliwsze, ale przynajmniej nie były już poddane woli innych.

Głos Powhatana przycichł.

- Wiem, że to może być bardzo cenne. - Nastąpiła kolejna przerwa. - Pozwoliłem im odejść - powiedział, kończąc swą opowieść. - Gdy siedzę tu, obserwując te zachody słońca, które uczą skromności, często zastanawiam się, co się z nimi stało.

Oczy Gordona zamknęły się wreszcie do końca. Cisza się przeciągała. Wciągnął powietrze i z pewnym wysiłkiem sprawił, że opadł z niego ciężar. Powhatan próbował mu coś przekazać swą dziwną opowieścią. On również miał mu coś do powiedzenia.

- Obowiązek niesienia pomocy innym nie musi być tożsamy z poddaniem woli...

Przerwał, gdyż wyczuł, że coś się zmieniło. Otworzył oczy. Gdy się odwrócił, zobaczył, że Powhatan zniknął.

Tego wieczoru przyszli ludzie ze wszystkich stron. Gordon nie wyobrażał sobie, że w rzadko zaludnionej dolinie nadal mieszka ich aż tylu. Na cześć odwiedzającego ich pocztowca i jego towarzyszy urządzili coś w rodzaju ludowego festynu. Dzieci śpiewały, a niewielkie zespoły wykonywały krótkie, dowcipne skecze.

W przeciwieństwie do północy, gdzie popularnymi piosenkami były często te, które zapamiętano z czasów telewizji i radia, tutaj nie było czule wspomnianych komercyjnych hitów i tylko nieliczne rockandrollowe melodie przerobiono na banjo i akustyczną gitarę. Muzyka wróciła do dawniejszych tradycji.

Brodaci mężczyźni, kobiety w długich sukniach podające do stołów, śpiewy przy kominku i światle lamp - równie dobrze mogłoby to być spotkanie sprzed niemal dwóch stuleci, z czasów, gdy pierwsi przybyli do tej doliny biali ludzie zbierali się dla towarzystwa i po to, by strząsnąć z siebie chłód zimy.

Johnny Stevens wystąpił jako reprezentant mieszkańców północy. Przywiózł aż tutaj swą drogocenną gitarę, a jego talent oszołomił słuchaczy i sprawił, że zaczęli klaskać i przytupywać.

W normalnych warunkach byłaby to świetna zabawa i Gordon z radością przyłączyłby się do niej, wykonując numery ze swego dawnego repertuaru, z czasów gdy nie był jeszcze "listonoszem", a tylko wędrownym minstrelem, wymieniającym piosenki i opowieści na posiłki podczas drogi przez

połowę kontynentu.

Nocą przed odjazdem z Corvallis słuchał jednak jazzu i Debussy'ego. Mimo woli rozmyślał wtedy, czy miał to być ostatni raz.

Wiedział, co starał się osiągnąć George Powhatan, urządzając tę fetę. Odwlekał konfrontację... kazał przybyszom z Willamette siedzieć i czekać... oceniał ich wartość.

Upewnił się, że wrażenie, jakie odniósł nad urwiskiem, było prawdziwe. Ze swymi długimi włosami i kpiarskim tonem Powhatan stanowił żywy obraz starzejącego się neohippisa. Od dawna martwy ruch z lat dziewięćdziesiątych zdawał się pasować do stylu jego przywództwa.

W dolinie Camas wszyscy byli niezależni i równi.

Niemniej, kiedy George się śmiał, pozostali szli za jego przykładem. Sprawiało to całkowicie naturalne wrażenie. Nie wydawał żadnych rozkazów ani poleceń. Nikomu nie przychodziło do głowy, by tego oczekiwać. W sali nie działo się nic, co by go gniewało, nic, co mogłoby wywołać choćby podniesienie brwi.

W tym, co ongiś nazywano "miękkimi" dziedzinami - tymi, które nie wymagały metali ani elektryczności - ludzie ci nie ustępowali pracowitym rzemieślnikom z Willamette. Pod pewnymi względami mogli ich nawet przewyższać. Nie było wątpliwości, że właśnie dlatego Powhatan uparł się, iż pokaże im swą farmę. Chciał zademonstrować gościom, że nie mają do czynienia z zacofanym społeczeństwem, lecz z ludźmi na swój sposób cywilizowanymi. Część planu Gordona polegała na wykazaniu, że Powhatan się myli.

Nadszedł wreszcie czas, by zademonstrować "dary Cyklopa", które przywieźli z tak daleka.

Ludzie przyglądali się z wybałuszonymi oczyma, jak Johnny Stevens demonstrował na kolorowym monitorze animowaną grę, z wielką dbałością naprawioną przez techników z Corvallis. Zademonstrował im na wideo przedstawienie kukiełkowe o dinozaurze i robocie. Obrazy i głośne dźwięki sprawiły wkrótce, że wszyscy zaczęli się śmiać z zachwytem, zarówno dorośli jak i dzieci.

Gordon jednak ponownie wykrył w ich zachowaniu owo niesamowite "coś". Ludzie krzyczeli i śmiali się, lecz ich aplauz wydawał się reakcją na sprytny trik. Maszyny przywieziono po to, by pobudzić ich apetyt, sprawić, aby ponownie zapragnęli zaawansowanej techniki. Gordon nie widział jednak w oczach obserwatorów pożądanego błysku i rozpalonego na nowo pragnienia.

Niektórzy z mężczyzn usiedli, gdy nadeszła kolej Philipa Bokuto. Czarny eks-komandos wystąpił naprzód z poobijaną, skórzaną walizką, z której wydobyl kilka nowych typów broni.

Zademonstrował bomby gazowe oraz miny i wyjaśnił im, jak można je wykorzystać do obrony punktów umocnionych przed atakiem. Opisał noktowizory, które wkrótce miały opuścić warsztaty Cyklopa. Fala niepewności przemknęła od jednego widza do drugiego, którymi byli pokryci bliznami weterani długiej wojny ze straszliwym wrogiem. Podczas przemowy Bokuto ludzie nieustannie spoglądali na potężnego mężczyznę siedzącego w kącie.

Powhatan nie powiedział ani nie zrobił niczego niedwuznacznego. Był uosobieniem uprzejmości. Ziewnął tylko raz, zasłaniając z przesadną skromnością usta. Uśmiechał się pobłaźliwie, gdy demonstrowano wszystkie bronie po kolei. Gordona przejmowało lekkiem to, że wódz miał sposób, aby samym tylko ciałem przekazywać opinię na temat tego, co widzi. Zdawał się mówić, że te prezenty są zabawne, może nawet pomysłowe... ale tak naprawdę bez znaczenia.

Sukinsyn. Gordon nie wiedział właściwie, jak ma z tym walczyć. Wkrótce uśmiezek seniora rozprzestrzenił się na twarzach wszystkich obecnych. Gordon zrozumiał, że pora zapobiec dalszym stratom.

Dena zawracała mu głowę, by zabrał prezenty z listy, którą ona przygotowała. Igły i nici, niezasadowe mydło, próbki nowej serii półbawełnianej bielizny, którą na krótko przed inwazją

zaczęto ponownie tkać w Salem.

- To przekona kobiety, Gordon. Zrobi więcej dobrego niż te wszystkie twoje błyskotki i pukawki. Zaufaj mi.

Gdy jednak poprzednim razem zaufał Denie, skończyło się to znalezieniem żalostnego, drobnego ciała pod zasypanym śniegiem żywotnikiem. Gordon miał już serdecznie dosyć pseudofeminizmu Deny.

“Czy jednak skutki mogłyby być gorsze? Czy zbyt się pośpieszyłem? Może powinniśmy przywieźć trochę więcej prozaicznych rzeczy - proszek do zębów, podpaski, wyroby garncarskie i nową lnianą pościel”.

Potrząsnął głową. Co się stało, to się nie odstanie. Dał Bokuto znak, by schował wszystko. Sięgnął po swego trzeciego asa. Wydobył sakwę i wręczył ją Johnny'emu Stevensowi.

W tłumie zapadła cisza. Gordon i Powhatan patrzyli na siebie z przeciwnych końców sali, gdy Johnny - prezentujący się dumnie w swym mundurze - stanął przed migotliwym kominkiem. Młodzieniec przerzucił koperty i zaczął odczytywać na głos nazwiska, by wręczyć ludziom pocztę.

Wiadomość wysłano do wszystkich części Willamette, w których zachowała się jeszcze cywilizacja. Każdego, kto kiedykolwiek znał kogoś na południu, poproszono, by do niego napisał. Oczywiście większość adresatów zapewne od dawna już nie żyła, lecz kilka listów z pewnością trafi we właściwe ręce bądź dotrze do krewnych. Kryła się za tym teoria, że stare więzy można odnowić. Prośba o pomoc stałaby się w ten sposób czymś mniej abstrakcyjnym, a bardziej osobistym.

Pomysł był dobry, lecz po raz kolejny reakcja okazała się inna od spodziewanej. Stos niemożliwych do dostarczenia listów narastał. Gdy Johnny odczytywał jedno nazwisko za drugim, nie spotykając się z żadnym odzewem, Gordon dostrzegł, że tubylcy odczuli to inaczej. Ludziom z Camas przypominano, jak wielu z nich zginęło. Jak mała garstka przeżyła straszliwe czasy.

A teraz, gdy wydawało się, że osiągnęli wreszcie pokój, łatwo było zrozumieć, że nie podoba im się, iż prosi się ich znowu o poświęcenie dla niemal nie znanych ludzi, których życie przez całe lata było znacznie łatwiejsze niż ich. Ci nieliczni, którzy zgłosili się po listy, przyjmowali je niechętnie i składali, nie czytając.

George Powhatan wyglądał na zaskoczonego, gdy wywołano jego nazwisko. Iskierka zdziwienia zgasła jednak szybko. Wzruszył ramionami i odebrał paczuszkę oraz cienką kopertę.

Gordon zdawał sobie sprawę, że bynajmniej nie idzie im dobrze. Johnny uporał się ze swym zadaniem i obdarzył swego szefa spojrzeniem, które zdawało się mówić: co teraz?

Gordonowi została tylko jedna karta - ta, której najbardziej nienawidził, lecz którą najlepiej potrafił się posługiwać.

“Cholera. Nie ma innego wyboru”.

Stanął przed kominkiem i zwrócił się ku milczącym ludziom, czując na plecach ciepło ognia. Zaczerpnął głęboko tchu i zaczął ich okłamywać.

- Przybyłem opowiedzieć wam historię - rzekł. - Historię o tym, że był sobie kiedyś pewien kraj. Może się wam wydawać znajoma, ponieważ wielu z was tam się urodziło. Mimo to powinna was wprawić w zdumienie. Mnie zdumiewa zawsze. To niezwykła opowieść o ćwierćmiliardowym narodzie, który ongiś wypełniał niebo, a nawet przestrzeń między planetami, swoimi głosami, tak jak wy, dobrzy ludzie, wypełniście dzisiaj tę piękną salę piosenkami. Był to silny naród, najsilniejszy, jaki świat kiedykolwiek znał. Jego przedstawiciele nie przywiązywali jednak do tego większej wagi. Gdy nadarzyła się szansa podbicia całego świata, po prostu ją zignorowali, całkiem jakby mieli znacznie ciekawsze zajęcia. Byli w cudowny sposób szaleni. Śmiali się, budowali różne rzeczy i spierali... Uwielbiali oskarżać siebie samych jako naród o straszliwe zbrodnie: dziwna praktyka,

dopóki się nie zrozumie, że jej ukrytym celem było uczynienie siebie lepszymi - lepszymi dla siebie nawzajem - lepszymi dla Ziemi - lepszymi od poprzednich pokoleń ludzkości. Wszyscy wiecie, że patrząc nocą na Księżyc albo na Marsa, widzicie miejsca, na których nieliczni z tych ludzi odcisnęli ślady swych stóp. Niektórzy z was pamiętają chwilę, gdy siedzieli w domu i przyglądali się, jak je tam zostawiają.

Po raz pierwszy tego wieczoru Gordon poczuł, że całkowicie przyciągnął uwagę słuchaczy. Widział ich oczy skierowane na symbole na swoim mundurze oraz na błyszczącego mosiężnego jeźdźca na czapce listonosza.

- To fakt, że ci ludzie byli szaleni - ciągnął. - Lecz szaleni na sposób, który był wspaniały... sposób, jakiego nigdy przedtem nie widziano.

W tłumie rzuciła się w oczy pokryta bliznami twarz jakiegoś mężczyzny. Gordon rozpoznał stare, nigdy nie leczone rany po nożu. Mówiąc, spoglądał na tego człowieka.

- Dziś naszym życiem rządzi zabijanie - powiedział. - Lecz w tej baśniowej krainie ludzie na ogół rozstrzygali swe spory pokojowo.

Popatrzył na zmęczone kobiety, które siedziały bezwładnie na ławach, wyczerpane zarzynaniem i patroszeniem zwierząt oraz przygotowywaniem jedzenia dla tak wielu ludzi. Ich pokryte zmarszczkami twarze wydawały się w migotliwym świetle ogniska kamiennymi płaskorzeźbami. Na kilku widać było charakterystyczne blizny po ospie albo ciężkiej śwince, wojennych chorobach lub po prostu starych epidemiach, które powróciły z nową siłą, gdy przestały działać urządzenia sanitarne.

- Uważali higieniczne i zdrowe życie za coś oczywistego - przypomniał im. - Życie znacznie łagodniejsze i słodsze od wszystkiego, co znano wcześniej. Albo może - dodał cicho - słodsze od wszystkiego, co jeszcze kiedykolwiek nadejdzie.

Ludzie patrzyli teraz na niego, nie na Powhatan. Nie tylko starszym oczy powilgotniały. Chłopiec, który zaledwie skończył piętnaście lat, załkał głośno.

Gordon rozłożył ramiona.

- Jacy to byli ludzie, ci Amerykanie? Pamiętacie, jak krytykowali sami siebie, nierzadko słusznie. Byli arogancy, niezgodni, często krótkowzroczni... Ale nie zasłużyli na to, co się z nimi stało! Zaczęli władać boskimi mocami. Budowali myślące maszyny, dawali swym ciałom nowe możliwości i kształtowali samo życie. To jednak nie pycha wywołana tymi osiągnięciami stała się przyczyną ich upadku.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę w to uwierzyć! Nie może być prawdą, że spotkała ich kara za marzenia, za sięganie po coś więcej.

Jego zaciśnięta pięść zbielała.

- Nie jest powiedziane, że ludzie zawsze mają żyć jak zwierzęta! Albo by tak wiele rzeczy, których się nauczyli, poszło na marne...

Kompletnie zaskoczony, Gordon poczuł, że jego głos załamał się w pół zdania. Zawiódł go wtedy, gdy nadszedł czas na wygłoszenie kłamstwa... odpłacenie Powhatanowi opowieścią za opowieść.

Serce zabiło mu jednak szybko, a w ustach zaschło tak, że niemal nie mógł mówić. Zamrugał powiekami. Co się działo? "Powiedz im - pomyślał. Powiedz im teraz!"

- Na wschodzie... - zaczął Gordon, zdając sobie sprawę, że Bokuto i Stevens gapią się na niego z napięciem.

- Na wschodzie, za górami i pustyniami, podnosi się z popiołów wielkie państwo...

Znowu przerwał. Dyszał ciężko. Czuł się tak, jakby na sercu zaciskała mu się jakaś dłoń, która groziła, że je zmiażdży, jeśli będzie mówił dalej. Coś uniemożliwiało mu wygłoszenie jego sprawdzonego tekstu, jego bajki.

Wszyscy wokół czekali na jego słowa. Miał ich w ręku. Byli gotowi!

W tej właśnie chwili Gordon spojrzał na oblicze George'a Powhatan, które w migotliwym blasku kominka wydawało się szorstkie i nieprzeniknione niczym powierzchnia urwiska. Zrozumiał wtedy nagle, na czym polega problem.

Po raz pierwszy próbował puścić w obieg swój mit o "Odrodzonych Stanach Zjednoczonych" w obecności człowieka, który był bez porównania silniejszy od niego.

Wiedział, że liczy się nie tylko wiarygodność opowieści, lecz również stojąca za nią osobowość. Mógłby przekonać ich wszystkich o istnieniu gdzieś za górami na wschodzie wskrzeszonego państwa i w ostatecznym rozrachunku nic by to nie dało... ponieważ George Powhatan jednym uśmiechem, pobłażliwym skinieniem głowy czy ziewnięciem potrafi sprawić, że cała opowieść wyda się nieistotna.

Stanie się rzeczą z dawnych dni. Anachronizmem. Czymś bez znaczenia.

Gordon zamknął na wpół uchylone usta. Rzędy twarzy spoglądały na niego z oczekiwaniem. Potrząsnął jednak głową, rezygnując z bajki, a wraz z nią z przegranej walki.

- Wschód jest daleko - powiedział cicho. Nagle uniósł głowę. Jego głos odzyskał część siły.

- To, co tam się dzieje, może wpłynąć na nas wszystkich, jeśli pożyjemy wystarczająco długo. Tymczasem jednak istnieje problem Oregonu. Oregonu, który musi poradzić sobie sam, tak jakby tylko on nadal był Ameryką. Państwo, o którym mówiłem, tli się pod popiołami, gotowe - jeśli mu pomożecie - ponownie rozblęsnąć swym światłem. Poprowadzić milczący świat z powrotem ku nadziei. Uwierzcie w to, a przyszłość rozstrzygnie się dzisiaj w tym miejscu. Jeśli bowiem Ameryka kiedykolwiek coś znaczyła, to dzięki ludziom, którzy stają się najlepsi, kiedy czasy są najgorsze, i pomagają sobie nawzajem wtedy, gdy jest to najważniejsze.

Gordon odwrócił się i popatrzył prosto na George'a Powhatan. Jego głos stał się cichy, lecz nie brzmiał już słabo.

- A jeśli zapomnieliście o tym, jeśli nic z tego, o czym wam mówiłem, się nie liczy, mogę tylko powiedzieć, że mi was żal.

Wydawało się, że coś wisi w powietrzu. Chwila przypominała przesycony roztwór. Powhatan siedział nieruchomo niczym rzeźbione wyobrazenie zakłopotanego patriarchy. Ściągną na szyi uwydatniły się wyraźnie, jak pokryte węzłami sznury.

Bez względu jednak na to, jaki konflikt toczył się w jego umyśle, został on rozstrzygnięty w ciągu kilku sekund. Powhatan uśmiechnął się ze smutkiem.

- Rozumiem - powiedział. - Możliwe nawet, że masz rację, inspektorze. Nie przychodzi mi do głowy żadna łatwa odpowiedź. Mogę tylko rzec, że większość z nas służyła i służyła, aż po prostu nie zostało już nic, co moglibyśmy z siebie dać. Możecie oczywiście raz jeszcze poprosić o ochotników. Nikomu nie zabronię. Wątpię jednak, by zgłosiło się wielu. - Potrząsnął głową. - Mam nadzieję, że uwierzycie, jeśli powiemy, że nam przykro. I to bardzo. Ale prosicie nas o zbyt wiele. Zasłużyliśmy sobie na pokój. Jest teraz dla nas cenniejszy niż honor, a nawet litość.

"Taki kawał drogi - pomyślał Gordon. Pokonaliśmy taki kawał drogi i wszystko na nic".

Powhatan wziął z kolan dwie kartki papieru i wręczył je Gordonowi.

- To jest list, który otrzymałem dziś wieczorem z Corvallis. Całą drogę pokonał w twej torbie. Choć jednak na kopercie widnieje moje nazwisko, nie jest adresowany do mnie. Miałem go przekazać tobie... tak jest napisane na początku pierwszej strony. Mam jednak nadzieję, że mi

wybaczysz, iż pozwoliłem go sobie przeczytać.

W jego głosie brzmiało współczucie. Gordon wyciągnął rękę po pożółkłe kartki. Po raz pierwszy usłyszał, by Powhatan powtórzył swoje słowa. Powiedział cicho, tak cicho, żeby pozostali nie mogli go usłyszeć:

- Przykro mi. Jestem też zdumiony.

Mój najdroższy Gordonie,

W chwili gdy to czytasz, jest już za późno, by nas powstrzymać, proszę Cię więc, byś zachował spokój, podczas gdy ja spróbuję Ci wszystko wyjaśnić. Mam nadzieję, że jeśli nadal nie będziesz mógł zrozumieć tego, co zrobiliśmy, w głębi serca zdołasz mi wybaczyć.

Rozmawiałam o tym wiele razy z Susanną, Jo i resztą kobiet z armii. Przeczytałyśmy tyle książek, ile tylko zdołałyśmy, w czasie, który pozostał nam po wypełnieniu obowiązków. Suszyłyśmy głowę naszym matkom i ciotkom, by usłyszeć ich wspomnienia. Na koniec byłyśmy zmuszone wyciągnąć dwa wnioski.

Pierwszy jest prosty. Wydaje się oczywiste, że było błędem, iż pozwolono mężczyznom na władanie światem przez te wszystkie stulecia. Niektórzy spośród was są niewiarygodnie wspaniali, lecz wielu innych zawsze będzie krwiożerczymi szaleńcami.

Wasza płęć jest po prostu tak skonstruowana. Jej lepsza strona dała nam moc i światło, naukę i rozum, medycynę i filozofię. Jednocześnie wasza mroczna połowa spędzała czas na wymyślaniu piekielnych wizji i wprowadzaniu ich w życie.

Niektóre ze starych książek wymieniają możliwe POWODY tego dziwnego podziału, Gordonie. Nauka przed czasem zagłady mogła nawet stać u progu odpowiedzi. Istnieli socjologowie (głównie kobiety), którzy badali ten problem, zadając trudne pytania.

Lecz bez względu na to, czego się wówczas dowiedziały, wszystko to jest dla nas stracone, poza najprostszymi prawdami.

Och, SŁYSZĘ Cię, Gordonie, jak mówisz, że znowu przesadzam, że upraszczam zagadnienie i “uogólniam, mając za mało danych”.

Po pierwsze, bardzo wiele kobiet miało udział w wielkich “męskich” osiągnięciach, a także w wielkich zbrodniach.

Jest też oczywiste, że większość mężczyzn znajduje się gdzieś pomiędzy skrajnościami dobra i zła, o których wspominałam.

Ale, Gordonie, ci, którzy są pomiędzy, nie mają władzy! Nie zmieniają świata na lepsze ani na gorsze. Są nieważni.

Widzisz? Odpieram twoje zarzuty, całkiem jakbyś był na miejscu! Choć nigdy nie zapomnę, że życie okradło mnie z tak wielu rzeczy, z pewnością otrzymałam dobre wykształcenie, jak na kobietę w dzisiejszych czasach. Przez ostatni rok nauczyłam się od Ciebie jeszcze więcej. Znajomość z Tobą przekonała mnie, że miałam rację co do mężczyzn.

Pogódź się z tym, najdroższy. Was, dobrych facetów, zostało po prostu za mało, byście mogli zwyciężyć w tym starciu. Ty i inni podobni do Ciebie to nasi bohaterowie, ale wygrywają sukinsyny! Sprowadzą noc, która nastaje po zmierzchu. Nie zdołacie powstrzymać ich sami.

Ludzkość kryje w sobie jeszcze jedną siłę, Gordonie. W dniach przed wojną zagłady mogła ona przeważać szalę waszej odwiecznej walki. Była jednak zbyt leniwa lub coś odwróciło jej uwagę... sama nie wiem. Z jakiegoś powodu nie interweniowała. Nie w zorganizowany sposób.

To właśnie jest druga rzecz, którą zrozumiłyśmy my, kobiety z Armii Willamette: że mamy jeszcze jedną, ostatnią szansę, żeby zrobić to, czego kobiety nie zdołały dokonać w przeszłości.

Same powstrzymamy sukinsynów, Gordonie. Wykonamy wreszcie nasze zadanie... dokonamy WYBORU między mężczyznami i wyeliminujemy wściekłe psy.

Wybacz mi, proszę. Inne chciały, bym Ci napisała, że nigdy nie przestaniemy Cię kochać.

- Przestań!... O Boże... Nie rób tego!

Gdy Gordon przebudził się nagle, stał już na nogach. Resztki wieczornego ogniska tliły się w odległości kilku cali od palców jego bosych stóp. Ramiona miał rozłożone, jakby chciał w nie złapać coś albo kogoś.

Chwiejąc się na nogach czuł, że strzępki jego snu uciekają we wszystkie strony w leśną noc. Jego duch odwiedził go znowu, we śnie, zaledwie kilka chwil temu. Głos martwej maszyny przemówił do niego przez dziesięciolecia, oskarżając go z narastającą niecierpliwością.

“...Kto weźmie na siebie odpowiedzialność... za te niemądre dzieci...?”

Szeregi mknących świateł i głos smutnej, odwiecznej mądrości doprowadzonej do rozpacznie kończącymi się słabościami żywych ludzi.

- Gordon? Co się dzieje?

Johnny Stevens usiadł na posłaniu, trąc oczy. Pod zachmurzonym niebem było bardzo ciemno. Widać było tylko dogasające węgielki oraz tu i ówdzie kilka bladych gwiazd przebłyaskujących słabo przez zwisające w górze gałęzie.

Gordon potrząsnął głową, częściowo po to, by nie dać po sobie poznać, że drży.

- Pomyślałem sobie tylko, że sprawdzę konie i straże - wyjaśnił. - Kładź się z powrotem spać, Johnny.

Młody pocztowiec skinął głową.

- Dobra. Powiedz Philipowi i Calowi, żeby mnie obudzili, kiedy przyjdzie czas na zmianę warty. – Chłopak położył się i nakrył śpiworem ramiona. - Uważaj na siebie, Gordon.

Wkrótce znowu oddychał spokojnie, poświstując cicho, a jego twarz stała się gładka i beztroska. Wydawało się, że trudne życie odpowiada Johnny'emu - co nigdy nie przestało zdumiewać Gordona, który przez siedemnaście lat nie pogodził się z myślą, że musi żyć w ten sposób. Często - choć zbliżał się już do wieku średniego - wyobrażał sobie, jak budzi się w swym pokoju w akademiku w Minnesocie, a cały ten brud, śmierć i obłęd okazują się tylko koszmarem, alternatywnym światem, który nigdy nie zaistniał.

W pobliżu dogasającego ogniska znajdował się szereg ciężkich posłań ułożonych blisko siebie dla zachowania ciepła. Obok Johnny'ego widać było osiem postaci: Aarona Schimmla oraz wszystkich ochotników, których udało im się zwerbować w dolinie Camas.

Czterech z nich było chłopcami, którzy dopiero niedawno zaczęli się golić. Pozostali byli starzy.

Gordon nie chciał o tym myśleć, lecz gdy włożył buty i wełniane ponczo, wspomnienia wróciły nieproszone.

Bez względu na swe niemal całkowite zwycięstwo, George Powhatan zapewne chciałby jak najszybciej pozbyć się Gordona i jego grupy. Goście sprawiali, że patriarcha góry Sugarloaf czuł się niepewnie. Dopóki nie odjechali, jego kraina nie mogła odzyskać swojej tożsamości.

Okazało się, że Dena wysłała dwie przesyłki - jeszcze jedną jako dodatek do swego zwariowanego listu. W tej drugiej udało jej się na przekór Gordonowi umieścić dary dla kobiet otaczających Powhatana. Przekazała je za pośrednictwem “Poczty Stanów Zjednoczonych”. Żalonym, niewielkim opakowaniom mydła, igieł i bielizny towarzyszyły maleńkie, odbite na powielaczu ulotki. Były tam też buteleczki z pigułkami i maściami. Gordon rozpoznał je jako pochodzące z centralnej apteki Corvallis. Widział też kopie listu, który wysłała do niego.

Cała ta sprawa zdumiała Powhatana. List Deny zaniepokoił go przynajmniej w takim samym

stopniu, jak przemowa Gordona.

- Nie rozumiem tego - stwierdził, siedząc okrakiem na krześle, podczas gdy Gordon pośpiesznie pakował swe rzeczy. - Jak niewątpliwie inteligentnej młodej kobiecie mogły przyjść do głowy tak dziwaczne poglądy? Czy nikomu nie chciało się wbić jej do głowy trochę rozsądku? Co, jej zdaniem, można z grupką dziewczynek osiągnąć przeciw holnistom?

Gordon nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć, wiedząc, że zirytuje tylko Powhatan. Zresztą śpieszyło mu się. Wciąż miał nadzieję, że zdąży powstrzymać dziewczęta, nim popełnią największy idiotyzm od czasu samej wojny zagłady.

Powhatan jednak nie przestał szukać rozwiązania zagadki. Wydawał się autentycznie zdziwiony. Nie był też przyzwyczajony do tego, by go zbywano. Na koniec Gordon złapał się na tym, że naprawdę zaczął bronić Deny.

- Jaki to rodzaj "zdrowego rozsądku" powinien jej ktoś wbić do głowy, George? Logikę, jaką kierują się te bezbarwne popychadła, które gotują posiłki dla zadowolonych z siebie mężczyzn, tutaj, w dolinie Camas? Albo może powinna odzywać się tylko wtedy, gdy ją pytają, jak te nieszczęsne kobiety żyjące niby bydło w Rogue, a teraz również w Eugene? Mogą się mylić. Mogą nawet być szalone. Ale przynajmniej Denę i jej towarzyszkę obchodzi coś więcej niż one same i mają odwagę o to walczyć. A ty, George? A ty?

Powhatan wbił wzrok w podłogę. Gordon ledwie usłyszał jego odpowiedź.

- Gdzie jest napisane, że człowieka powinny obchodzić tylko wielkie sprawy? Walczyłem za nie, dawno temu... za idee, zasady, ojczyznę. Gdzie one wszystkie się podziały?

Szare jak stal oczy były przymrużone i smutne, gdy Powhatan ponownie spojrzał na Gordona.

- Wiesz, czegoś się dowiedziałem. Przekonałem się, że wielkie sprawy nie odwzajemniają twojej miłości. Biorą i biorą, a nigdy nie dają nic w zamian. Wyssą z ciebie krew i duszę, jeśli im na to pozwolisz. Nigdy cię nie zwolnią. Straciłem żonę i syna, kiedy byłem daleko, walcząc za wielkie sprawy. Potrzebowali mnie, ale ja musiałem próbować ocalić świat. - Powhatan zachnął się, wypowiadając ostatnie zdanie. - Dzisiaj walczę za moich ludzi i moją farmę. Za mniejsze rzeczy. Takie, które potrafię zachować.

Gordon patrzył, jak wielkie, stwardniałe dłonie Powhatana wygięły się, jakby próbowały pochwycić samo życie. Do tej chwili nigdy nie przyszło mu do głowy, że senior boi się czegokolwiek na świecie, teraz jednak dostrzegł jego strach, widoczny tylko przez ułamek sekundy.

Jakiś prawie nigdy nie spotykany w jego oczach wyraz przerażenia.

W drzwiach pokoju gościnnego Gordona Powhatan odwrócił się. Jego ostro rzeźbiona twarz rysowała się w migotliwym blasku łojowych świec.

- Tak sobie myślę, że wiem, dlaczego twoja zwariowana babka chce wykręcić ten jakiś szalony numer, który sobie wykombinowała. To nie ma nic wspólnego z tymi górnolotnymi pierdołami o "dobrych i złych facetach", które powypisywała. Inne kobiety słuchają jej, bo jest urodzoną przywódczynią, a czasy są beznadziejne. Pociągnęła je za sobą, biedne dziewczyny. Ale sama... - Powhatan potrząsnął głową. - Wydaje jej się, że robi to z wielkich powodów, ale za wszystkim kryje się jedna z tych małych rzeczy. Robi to z miłości, inspektorze. Sądzę, że robi to tylko dla ciebie.

Popatrzyli na siebie po raz ostatni. Gordon zdał sobie sprawę, że Powhatan z nawiązką odpłaca przybyłemu z wizytą pocztowcowi za nie zamówione poczucie winy, które ten mu doręczył.

Gordon skinął głową wodzowi góry Sugarloaf, przyjmując brzemię - z opłatą pocztową wniesioną z góry.

Oddaliwszy się od ciepłych węgielków, Gordon wymacał drogę do koni i sprawdził z uwagą

ich postronki. Wszystkie wydawały się w porządku, choć zwierzęta wciąż były lekko podenerwowane. Ostatecznie gnano je dzisiaj bezlitośnie. Za nimi leżały ruiny przedwojennego miasta Remote i stare obozowiska nad Bear Creek. Calvin Lewis sądził, że jeśli jutro będą pędzić naprawdę szybko, mogą dotrzeć do Roseburga tuż po zachodzie słońca.

Powhatan szczerze obdarował ich zapasami na drogę. Dał im najlepsze konie ze swych stajni. Przybysze z północy mogli dostać wszystko, czego tylko chcieli. Oprócz George'a Powhatana, oczywiście.

Gdy Gordon poklepał ostatniego, rżącego niespokojnie konia, część jego jaźni wciąż nie była w stanie uwierzyć, że pokonali tak długą drogę na próżno. Smak porażki wywoływał gorycz w jego ustach.

“...falujące światła... głos dawno nieżyjącej maszyny...”

Uśmiechnął się gorzko.

- Czy sądzisz, że gdybym mógł go zarazić twoim duchem, nie zrobiłbym tego, Cyklopie? Nie jest jednak łatwo dotrzeć do podobnego człowieka! Jest zrobiony z twardszego materiału niż ja.

“...Kto weźmie na siebie odpowiedzialność...”

- Nie wiem! - niecierpliwie i bezgłośnie wyszeptał w otaczającą go ciemność. - A nawet mnie to już nie obchodzi!

Oddalił się od obozu na jakieś czterdzieści stóp. Przyszło mu do głowy, że gdyby zechciał, mógłby po prostu odejść. Gdyby zniknął teraz w lesie i tak byłby w lepszej sytuacji niż szesnaście miesięcy temu, kiedy - obrabowany i ranny - natknął się w pokrytym kurzem górskim lesie na starego, rozbitego pocztowego dżipa.

Wziął mundur i torbę tylko po to, by ocalić życie, lecz owej dziwnej nocy coś w niego wstąpiło, pierwszy z wielu duchów.

W małym Pine View narodziła się legenda, której nie pragnął. Utrzymana w stylu historyjek o Johnnym Appleseedzie^[1] bzdura o “listonoszu”, która już dawno wyrwała się spod kontroli, obciążając go niechcianą odpowiedzialnością za całą cywilizację. Od tej chwili jego życie nie należało już do niego. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że może to zmienić!

„Po prostu odejść” - pomyślał.

Wymacywał drogę w czarnej jak smoła nocy, używając jedynej nabytej w lesie umiejętności, która nigdy go nie zawiodła - poczucia kierunku marszu. Szedł pewnym krokiem, wyczuwając, gdzie muszą być korzenie drzew i małe rozpadliny. Kierował się logiką kogoś, kto dobrze poznał las.

Poruszanie się w niemal całkowitej ciemności wymagało szczególnego, jakby zdalnego rodzaju koncentracji... Było to przypominające zen, budujące ćwiczenie, równie oderwane, lecz bardziej aktywne niż przedwczorajsza medytacja o zachodzie słońca nad grzmiącym miejscem połączenia odnóg Coquille. Odnosił wrażenie, że, idąc, wznosi się coraz wyżej nad swe kłopoty.

Komu potrzebne oczy, aby widzieć, czy uszy, aby słyszeć? Jego przewodnikiem było tylko dotknięcie wiatru. Ono, woń żywotników oraz cichy szum odległego, oczekującego morza.

„Po prostu odejść...” Zdał sobie z radością sprawę, że znalazł zakłęcie zaradcze! Przeciwdziało ono falowaniu światłek w jego umyśle i neutralizowało je. Antidotum na duchy.

Niemal nie czuł ziemi, gdy szedł przez ciemność, powtarzając je z narastającym entuzjazmem: “Po prostu odejść!”

Pełna egzaltacji podróż skończyła się nagłym zgrzytem, gdy Gordon potknął się o coś nieoczekiwanego, coś, co nie powinno się znajdować wśród leśnego podszycia.

Padł na ziemię niemal bezgłośnie. Zatrzymał się w stosie pokrytych śniegiem igieł sosnowych. Pomacał rękoma wokół siebie, lecz nie mógł rozpoznać przeszkody, która spowodowała jego

upadek. Była jednak miękka i ustępowała pod jego dotykiem. Gdy cofnął dłoń, była ona lepka i ciepła.

Jego źrenice nie powinny rozszerzyć się bardziej, lecz nagły strach dokonał tej sztuki. Pochyliwszy się do przodu, Gordon ujrzał przed sobą martwą twarz.

Młody Cal Lewis spoglądał na niego z wyrazem znieruchomiłego zaskoczenia. W gardle chłopca ział otwór. Było fachowo poderżnięte.

Gordon umykał do tyłu, aż wreszcie oparł się o pień pobliskiego drzewa. W oszołomieniu zdał sobie sprawę, że nie ma noża ani torby, które zwykle nosił u pasa. Z jakiegoś powodu, może na skutek czaru góry George'a Powhatana, pozwolił, by zapuścił w nim korzenie śmiercionośny pęd spokoju ducha. Mógł to być jego ostatni błąd.

Słyszał w ciemności wartki nurt środkowego odgałęzienia Coquille. Za nim ciągnęło się terytorium nieprzyjaciela. Teraz jednak wróg przeszedł na drugą stronę rzeki.

“Napastnicy nie wiedzą, że tu jestem” - zdał sobie sprawę. Ale nie wydawało się to możliwe, gdyż jakiś czas wałęsał się po okolicy i mamrotał do siebie, nie zważając na nic. Być może jednak w zaciskającym się kręgu była luka.

Być może byli zajęci czymś innym.

Gordon dobrze rozumiał zasady. Najpierw wykańcza się strażników, a potem, nie zwlekając, atakuje niczego nie podejrzewający obóz. Chłopcy i starszycy, którzy spali teraz przy ogniu, nie mieli ze sobą George'a Powhatana. Nie powinni byli opuszczać swej góry.

Zgarbił się. Napastnicy nie znajdą go tutaj, w konarach drzewa, dopóki będzie siedział cicho. Gdy zacznie się jatka, gdy holniści będą zajęci zbieraniem trofeów, wymknie się bez śladu w głąb lasu.

Dena mówiła, że są dwa rodzaje mężczyzn, ci, którzy się liczą... i ci pomiędzy, którzy są nieważni. “Świetnie - pomyślał. Mogę należeć do tych drugich. W każdej sytuacji lepiej jest żyć niż się liczyć”.

Przykucnął, starając się zachowywać tak cicho, jak tylko mógł.

Trzasnęła gałązka - zaledwie najcichszy odgłos skierowany w stronę obozu. W minutę później, trochę dalej, zagruchał “nocny ptak”. Naśladownictwo było niedopowiedziane i w pełni wiarygodne.

Teraz, kiedy nasłuchiwał, Gordon zorientował się, że naprawdę potrafi śledzić zamykające się mordercze okrażenie. Jego drzewo zostało z tyłu. Znalazł się daleko na zewnątrz zamykającego się pierścienia śmierci.

“Cisza - powiedział sobie. Przeczekaj to”.

Próbował nie wyobrazić sobie skradającego się wroga, pomalowanych maskującymi farbami twarzy uśmiechających się niecierpliwie, gdy surwiwaliści głaskali naoliwione noże.

“Nie myśl o tym!” Zacisnął mocno oczy, starając się słuchać jedynie własnego serca, walącego w ciemnościach. Dotknął cienkiego łańcuszka, który wisiał na jego szyi. Nosił go - razem z małą pamiątką, którą dostał od Abby - od chwili, gdy opuścił Pine View.

“Tak jest, myśl o Abby”. Spróbował ją sobie wyobrazić, uśmiechniętą, radosną i kochającą, lecz wewnętrzny komentarz w głowie nie chciał ucichnąć.

Holniści zechcą się upewnić, że wszyscy strażnicy są unieszkodliwieni, nim zamkną pułapkę. Jeśli jeszcze nie załatwili drugiego wartownika - Philipa Bokuto - wkrótce to zrobią.

“Bokuto...” - strzegący swego dowódcy nawet wówczas, gdy ten tego nie pochwalał... wykonujący za Gordona brudną robotę w sypiącym śniegu... służący z całego serca mitowi... państwu, które umarło i nigdy już się nie odrodzi.

“Bokuto...”

Po raz drugi tej nocy zerwał się na nogi, nie pamiętając, kiedy to się stało. Nie było w tym żadnej świadomej woli. Przenikliwy gwizd przeszył noc, gdy Gordon dmuchnął mocno w gwizdek Abby. Następnie krzyknął z całej siły:

- Philip! Uważaj!

...żaj! ...żaj! ...żaj! Wydawało się, że donośne echo wręcz ogłuszyło cały las.

Przez przeciągającą się sekundę utrzymywała się cisza. A potem raz za razem powietrze przeszyło sześć ostrych trzasków. Nagle noc wypełniły krzyki.

Gordon zamrugał powiekami. Bez względu na to, co go naszło, było już za późno, by się wycofać. Musiał odegrać przedstawienie do końca.

- Wpadli prosto w naszą pułapkę! - rozdarł się tak głośno, jak tylko potrafił. - George mówi, że załatwi się z nimi nad rzeką! Phil, pilnuj prawej flanki!

Cóż za wspaniała improwizacja! Choć jego słowa zapewne zostały zagłuszone przez krzyki, odgłosy strzałów i skowyt bojowy surwiwalistów, zamieszanie z pewnością pokrzyżowało ich plany. Gordon nie przestawał wrzeszczeć i dmuchać w gwizdek, aby zdezorientować napastników.

Krzyki i wrzaski nie ustawały. Ciemne kształty toczyły się przez podszycie w rozpaczliwej walce. Płomienie z poruszonego ogniska strzeliły wysoko, rzucając na drzewa cienie mocujących się ze sobą postaci.

Jeśli po całych dwóch minutach walka trwała jeszcze, Gordon wiedział, że znaczy to, iż jednak mają szansę. Darł się tak, jakby dowodził całą kompanią odwodów.

- Nie pozwólcie sukinsynom wrócić za rzekę! - wrzeszczał. I rzeczywiście wydawało się, że coś poruszało się szybko nad jej brzegiem. Przemykał się od drzewa do drzewa, zbliżając się do miejsca walki, choć nie miał broni. - Trzymajcie ich w okrążeniu! Nie pozwólcie...

I wtedy właśnie zza sąsiedniego pnia wychynęła nagle jakaś postać. Gordon zatrzymał się w odległości zaledwie dziesięciu stóp od twarzy pomalowanej w zygzakowate czarno-białe wzory, które sprawiały, że tak trudno było ją dojrzeć. Przypominające szramę usta otworzyły się w szerokim uśmiechu, który ujawniał liczne szczyrby w uzębieniu. Ciało faceta z tym nieprzyjaznym grymasem było ogromne.

- To jakiś hałaśliwy facet - stwierdził surwiwalista. - Trzeba by go na chwilę uciszyć. Mam rację, Nate?

Ciemne oczy spojrzały nad ramieniem Gordona, który odwrócił się na ułamek sekundy, choć mówił sobie, że to tylko trik i holnista zapewne jest sam.

Jego uwaga osłabła tylko na chwilę, lecz to wystarczyło. Zamaskowana postać poruszyła się niczym błyskawica. Jeden cios wielkiej jak szynka i twardej jak kamień pięści wystarczył, by Gordon runął na ziemię.

Świat zamienił się w wir gwiazd i bólu. "Jak ktokolwiek może się ruszać tak szybko?" - zastanowił się w przeblysku gasnącej świadomości.

Była to jego ostatnia jasna myśl.

Lodowata mżawka zamieniła grząski szlak w bagnisko wciągające stopy więźniów, którzy wlekli się z trudem. Walczyli z błotem ze spuszczoneymi głowami, usiłując dotrzymać kroku jeźdźcom na koniach. Po trzech dniach tym, co liczyło się w ograniczonym świetle jeńców, było nie zostać z tyłu i uniknąć dalszego bicia.

Zwycięzcy nie mieli już barw wojennych na twarzach, lecz wyglądali prawie tak samo straszliwie. Jechali jak wielcy panowie na wierzchowcach zagarniętych z doliny Camas, odziani w zimowe maskujące parki. Ostatni, najmłodszy z holnistów - z jego ucha zwisał tylko jeden złoty pierścień - odwracał się od czasu do czasu, by warknąć na więźniów i pociągnąć za postronek owiązany wokół nadgarstka pierwszego z nich, po czym przez pewien czas cały szereg włókł się naprzód szybciej.

Wzdłuż całego szlaku leżały śmieci pozostawione przez kolejne fale uchodźców. Po niezliczonych małych bitwach i masakrach na tym terytorium przewaga należała do najsilniejszych. Był to raj Nathana Holna.

Kilkakrotnie karawana mijiała niewielkie skupiska chat, brudnych nor zbudowanych z kawałków przedwojennych materiałów. W każdej nędznej wioszczynie zamieszkujący ją nieszczęśnicy, powłócząc nogami, wychodzili na zewnątrz, by złożyć ze spuszczoneymi oczyma hołd. Od czasu do czasu jakiś pechowiec kulił się pod kilkoma leniwymi ciosami wymierzonymi bez widocznego powodu przez tych, którzy jechali konno.

Dopiero gdy wojownicy już przejechali, wieśniacy podnosili wzrok. W ich zmęczonych oczach nie było nienawiści, tylko głód, z którym spoglądali na oddalające się zady dobrze odżywionych koni.

Poddani prawie wcale nie patrzyli na nowych więźniów. Ci odwzajemniali ich brak uwagi.

Wędrówka zajmowała cały dzień, z nielicznymi przerwami. Nocą jeńców oddzielano od siebie, by uniemożliwić im rozmowy. Każdego z nich przywiązywano do spętanego konia, aby zapewnić mu ciepło bez rozpalania ognia. O świcie i po posiłku z rzadkiej kaszy długi marsz zaczynał się na nowo.

Czwartego dnia dwóch więźniów już nie żyło. Dwóch innych, którzy byli zbyt słabi, by iść dalej, zostawiono holnistowskiemu baronowi, właścicielowi małego dworku o pokrytych bazyliami ścianach. Mieli zastąpić poddanych, których ukrzyżowane zwłoki wciąż wisały nad szlakiem jako lekcja pokazowa dla każdego, kto zechciałby okazać nieposłuszeństwo.

Przez cały ten czas Gordon widział niewiele więcej od pleców wlokącego się przed nim mężczyzny. Zaczął nienawidzić więźnia przywiązanego z tyłu do jego nadgarstka. Za każdym razem, gdy tamten się potykał, nagłe szarpnięcie przeszywało umęczone mięśnie jego ramion i pleców. Mimo to niemal nie zauważył chwili, gdy ów mężczyzna również zniknął i za ciężko stąpającymi końmi szło już tylko dwóch jeńców. Zazdrościł temu, którego zostawiono, nie wiedząc nawet, czy umarł.

Podróż zdawała się ciągnąć bez końca. Ocknął się po kilku dniach jej trwania i od tego czasu właściwie nie odzyskał pełnej świadomości. Mimo odczuwanego cierpienia drobna część jego jaźni cieszyła się z otępienia i monotonii. Nie niepokoiły go tu żadne duchy. Nie było żadnych komplikacji ani poczucia winy. Wszystko stało się całkiem proste. Stawiało się jedną nogę za drugą, jadło odrobinę, którą dawali, i trzymało głowę spuszczoną.

W pewnej chwili zauważył, że jego towarzysz niedoli pomaga mu, przejmując część jego ciężaru na swoje barki podczas wędrówki przez błoto. Półświadomie zastanawiał się, dlaczego ktoś miałby

robić coś takiego.

Wreszcie nadszedł czas, gdy zamrugał powiekami i ujrzał, że ma rozwiązane ręce. Stali obok budowli o drewnianych ścianach, oddalonej nieco od labiryntu walących się, cuchnących chat. Gdzieś z bliska dobiegał szum płynącej wody.

- Witajcie w Agness Town - odezwał się jeden z mężczyzn ochryplym głosem.

Ktoś pchnął go dłonią w plecy. Rozległ się śmiech, gdy więźniowie popychani wpadali do środka i toczyli się na brudną, słomianą matę.

Żadnemu z nich nie chciało się ruszyć z miejsca, w którym się zatrzymał. Mieli okazję się wyspać. W tej chwili tylko to się liczyło. Nadal nie nawiedzały go żadne sny. Przez resztę dnia, noc i cały następny ranek łapał go tylko od czasu do czasu kurcz udreńczonych mięśni.

Gordon obudził się dopiero wtedy, gdy jasne słońce wzniosło się wystarczająco wysoko, by zaświecić mu boleśnie w zamknięte oczy. Przetoczył się z jękiem na bok. Przesunął się nad nim jakiś cień. Jego powieki poruszyły się niczym zardzewiałe okiennice.

Potrzebował kilku sekund, by odzyskać jasność widzenia. Rozpoznanie przyszło w chwilę później. Pierwszą jego myślą było to, że w znajomym uśmiechu brakuje zęba.

- Johnny - wychrypiał.

Twarz młodzieńca pokrywały pęcherze i siniaki. Mimo to Johnny Stevens uśmiechał się radośnie, demonstrując szczerbę.

- Cześć, Gordon. Witaj wśród pechowców - tych, którzy żyją.

Pomógł Gordonowi usiąść. Ujął mocno łyżkę wazową napełnioną chłodną, rzeczną wodą, by dać mu się napić. Jednocześnie cały czas mówił:

- Tam w kącie jest jedzenie. Podśluchałem też, jak strażnik mówił, że wkrótce trzeba będzie doprowadzić nas do porządku. To znaczy, że istnieje powód, dla którego nasze jaja nie wiszą jeszcze u pasa któregoś z tych dupków jako trofea. Przywlekli nas aż tutaj chyba po to, żebyśmy porozmawiali z jakimś ważniakiem. - Johnny roześmiał się niewesoło. - Tylko poczekaj, Gordon. Zamącimy facetowi w głowie bez względu na to, kim jest. Może zaproponujemy, że zrobimy go naczelnikiem poczty albo coś w tym stylu. Czy to właśnie miałeś na myśli, kiedy mnie pouczałeś, jak ważne jest zdobycie praktyki w polityce?

Gordon był zbyt osłabiony, żeby udusić Johnny'ego za jego niewiarygodną, drażniącą wesołość. Spróbował zamiast tego odwzajemnić jego uśmiech, lecz zaboląły go spękane wargi.

Szybki ruch w przeciwnym kącie uprzytomnił mu, że nie są sami. Razem z nimi w szopie znajdowało się jeszcze trzech więźniów - brudne straszidła o dzikich spojrzeniach, niewątpliwie przebywające tu już od dłuższego czasu. Gapili się na nich wielkimi jak spodki oczyma, z których najwyraźniej dawno już zniknął wszelki ślad człowieczeństwa.

- Czy... czy komuś udało się uciec z miejsca potyczki?

Gordon po raz pierwszy odzyskał świadomość na tyle, by móc o to zapytać.

- Myślę, że tak. Twoje ostrzeżenie spierdoliło sukinsynom cały plan. Dało nam szansę na stawienie poważnego oporu. Jestem pewien, że załatwiliśmy paru, nim nas zalali - oczy Johnny'ego zalśniły. Wydawało się, że podziw chłopca wzrósł jeszcze. Gordon odwrócił wzrok. Nie chciał pochwał za swe zachowanie tamtej nocy.

- Jestem prawie pewien, że zabiłem skurwiela, który rozbił moją gitarę. Następny...

- A co z Philem Bokuto? - przerwał mu Gordon.

Johnny potrząsnął głową.

- Nie wiem, Gordon. Nie zauważyłem żadnych czarnych uszu ani... innych rzeczy... wśród

“trofeów” zebranych przez te gnidy. Może mu się udało.

Gordon, oparty o listwy, z których zbudowano budę, osunął się w dół. Odgłos wartkiego nurtu, huk, który towarzyszył im przez całą noc, dobiegał zza ściany. Odwrócił się i wyjrzał na zewnątrz przez szczeliny między nie heblowanymi deskami.

W odległości około dwudziestu stóp znajdowała się krawędź urwiska. Za nim, przez postrzępione kosmyki unoszącej się w powietrzu mgły, dostrzegł porośniętą gęstym lasem ścianę kanionu przeciętą wąską, bystrą rzeką.

Wydawało się, że Johnny czyta w jego myślach. Po raz pierwszy głos młodzieńca brzmiał cicho i poważnie.

- Tak jest, Gordon. Jesteśmy w samym sercu. Tam na dole płynie ta dziwka. Cholerna Rogue.

W następnym tygodniu mgła i lodowata mżawka ponownie przerodziły się w opady śniegu. Dzięki jedzeniu i odpoczynkowi obaj więźniowie odzyskiwali powoli siły. Za towarzystwo mieli tylko siebie nawzajem. Ani strażnicy, ani współwięźniowie nie odzywali się do nich inaczej niż monosylabami.

Mimo to nie było im trudno dowiedzieć się czegoś o życiu w królestwie holnistów. Posiłki przynosili im milczący, trzęsący się ze strachu słudzy z pobliskiej, złożonej z szop osady. Jedynymi widzianymi przez nich postaciami, które nie wyglądały na wymizerowane - nie licząc noszących kolczyki samych survivalistów - były kobiety dostarczające holnistom przyjemności.

Ale nawet one za dnia pracowały: nosiły wodę z lodowatego strumienia, szczotkowały dobrze odżywione konie z holnistowskiej stajni.

Wydawało się, że wszystko toczy się ustalonym trybem, całkiem jakby ten sposób życia był już dobrze ugruntowany. Mimo to Gordon wyrobił w sobie przekonanie, że w tej neofeudalnej społeczności cały czas coś się zmienia.

Przygotowują się do wielkiej wędrówki - powiedział Johnny'emu, gdy pewnego popołudnia obserwowali przybycie karawany.

Do Agness ciężkim krokiem przywlekli się nowi wystraszeni poddani. Przyciągnęli ze sobą wozy i rozbili obozowisko w coraz bardziej zatłoczonej wiosce. Było oczywiste, że mała dolina nie zdoła na dłuższą metę pomieścić tak liczne ludzkie zbiorowisko.

- Wyznaczyli tę wioskę na miejsce zbiórki.

- Te tłumy mogłyby ułatwić nam zadanie, gdyby udało nam się stąd wyrwać - rzucił Johnny od niechcienia.

Gordon mruknął coś niewyraźnie. Nie liczył zbytnio na pomoc znajdujących się na zewnątrz niewolników. Zabito już w nich wszelką chęć oporu, a poza tym mieli pod dostatkiem własnych problemów.

Pewnego dnia, po południowym posiłku, Gordonowi i Johnny'emu kazano wyjść z szopy i rozebrać się do naga. Dwie obdarte, milczące kobiety podeszły wziąć ich ubrania. Gdy przybysze z północy byli odwróceny plecami, wylano na nich wiadra zimnej wody z rzeki. Gordon i Johnny wciągnęli głośno powietrze i otrząsnęli się. Strażnicy ryknęli śmiechem, lecz kobiety nawet nie zamrugały powiekami i oddaliły się ze spuszczonej głowami.

Holniści - ubrani w zielono-czarne stroje maskujące, ze złotymi pierścieniami w uszach - ćwiczyli leniwie walkę na noże, zataczając ukrytymi w dłoniach ostrzami szybkie łuki.

Dwaj więźniowie owinęli się ciasno w poplamione koce i usiedli obok małego ogniska, starając się zachować ciepło.

Wieczorem oddano im ich ubrania, wyprane i połatane. Tym razem jedna z kobiet podniosła na chwilę wzrok, dając Gordonowi szansę ujrzenia swej twarzy. Mogła mieć ze dwadzieścia lat, choć jej otoczone bruzdami oczy wyglądały znacznie starzej. W brązowych włosach widać było pasemka siwizny. Zerknęła na Gordona tylko przelotnie, kiedy się ubierał. Gdy jednak odważył się uśmiechnąć, odwróciła się szybko i uciekła, nie oglądając się za siebie.

O zachodzie słońca dostali do jedzenia coś lepszego niż codzienna kwaśna kasza. Wśród prażonej kukurydzy znajdowały się kawałki czegoś, co przypominało dziczyznę. Być może była to konina.

Johnny rzucił wyzwanie losowi, prosząc o repetę. Pozostali więźniowie zamrugali ze zdumienia

powiekami i wcisnęli się jeszcze głębiej w swe kąty. Jeden z milczących strażników warknął i zabrał talerze. Ku zdziwieniu jeńców wrócił jednak, niosąc dodatkowe porcje dla nich obu.

Gdy zapadła już całkowita ciemność, pojawiło się trzech holnistowskich wojowników w oklapłych beretach, którzy maszerowali za przygarbionym sługą niosącym pochodnię.

- Wstawać! - rozkazał dowódca. - Generał chce się z wami zobaczyć.

Gordon popatrzył na Johnny'ego, który prezentował się dumnie w swym mundurze. Oczy młodzieńca lśniły pewnością. Ostatecznie - zdawały się mówić - co mogą te głąby przeciwstawić władzy, jaką dysponuje Gordon jako przedstawiciel odrodzonej republiki?

Przypomniawszy sobie, jak chłopak na wpół niósł go przez długą drogę na południe od Coquille. Nie miał już wielkiej ochoty oszukiwać, lecz ze względu na Johnny'ego spróbuje raz jeszcze wykręcić swój stary numer.

- W porządku, listonoszu - powiedział swemu młodemu przyjacielowi. Mrugnął znacząco. - Ani deszcz, ani grad, ani ciemna noc...

Johnny odwzajemnił jego uśmiech.

- Przez piekło bandytów, przez pożary...

Odwrócili się i przed strażnikami wyszli z szopy, w której ich więziono.

- Witajcie, panowie.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył Gordon, był kominek, w którym buzował ogień. Przytulna, zbudowana przed wojną zagłady leśniczówka była szczelnie zamknięta i nagrzana. Gordon niemal już zapomniał, jakie to wrażenie.

Drugą rzeczą, która przyciągnęła jego uwagę, był szelest jedwabiu. Siedząca przy kominku długonoga blondynka podniosła się z poduszki. Kontrastowała uderzająco z niemal wszystkimi kobietami, które tu widzieli - czysta, wyprostowana i obwieszona lśniącymi klejnotami, które przed wojną były warte fortunę.

Lecz jej oczy otaczały zmarszczki, a na obu mieszkańców północy spoglądała jak na przybyszy z drugiej strony Księżyca. Wstała i bez słowa wyszła z pokoju przez zasłonę z paciorków.

- Powiedziałem witajcie, panowie. Witajcie w Wolnym Królestwie.

Gordon odwrócił się wreszcie i zauważył chudego, łysego mężczyznę z krótko przystryżoną brodą, który wstał zza pokrytego papierami biurka, aby ich przywitać. Z płątka jednego ucha zwisały mu cztery, a drugiego trzy złote pierścienie - symbole rangi. Nieznajomy podszedł do nich, wyciągając rękę.

- Pułkownik Charles Westin Bezoar, do usług. Były członek adwokatury stanu Oregon oraz komisarz republikańców w okręgu Jackson. Obecnie mam zaszczyt być sędzią cywilnym Amerykańskiej Armii Wyzwoleńczej.

Gordon uniósł brwi, ignorując wyciągniętą dłoń.

- Od czasu upadku mieliśmy mnóstwo "armii". W której to pan służy?

Bezoar uśmiechnął się i opuścił rękę.

- Zdaję sobie sprawę, że niektórzy określają nas innymi nazwami. Odłóżmy na razie tę sprawę. Powiedzmy tylko, że jestem adiutantem generała Volsci Macklina, który jest tu gospodarzem. Generał wkrótce się zjawi. Czy tymczasem mogę panów poczęstować *sour mash*^[4] z naszych górzystych okolic? - Wydobył z rzeźbionego dębowego kredensu karafkę z ciętego szkła. - Bez względu na to, co słyszeliście o naszym prostym stylu życia, jestem pewien, że przekonacie się, iż udoskonaliśmy przynajmniej niektóre z dawnych umiejętności.

Gordon potrząsnął głową. Johnny wbił wzrok w pustkę nad głową pułkownika. Bezoar wzruszył ramionami.

- Nie? Szkoda. Może innym razem. Mam nadzieję, że nie będziecie mieli mi, panowie, za złe, jeśli sobie pociągnę - napełnił szklaneczkę brązowym płynem i wskazał ręką na dwa stojące przy kominku krzesła. - Proszę bardzo, panowie. Z pewnością jesteście zmęczeni po długiej podróży. Usiądźcie wygodnie. Jest wiele rzeczy, których chciałbym się dowiedzieć. Na przykład, panie inspektorze, jak mają się sprawy w stanach leżących na wschodzie, za pustyniami i górami?

Gordon nawet nie mrugnął, siadając na krzesle. A więc "Armia Wyzwoleńcza" posiadała wywiad. Nie było zaskoczeniem, że Bezoar wiedział, kim są... a przynajmniej za kogo uważano Gordona w północnym Oregonie.

- Mniej więcej tak samo, jak na zachodzie, panie Bezoar. Ludzie starają się jakoś żyć, a gdzie mogą, zaczynają odbudowę.

Gordon usiłował odtworzyć w myślach swą fantastyczną wizję Saint Paul, Odessy i Green Bay - żywych miast kierujących śmiałym, zmartwychwstałym państwem, i zapomnieć o tym, jak je zapamiętał: zamieszkane przez duchy ruin, w których hulał wiatr, oczyszczone ze wszystkiego przez

obdarte bandy nieufnych niedobitków.

Zaczął mówić o miastach, jakie sobie wymarzył. Jego głos brzmiał surowo.

- W niektórych okolicach obywatele mieli więcej szczęścia niż gdzie indziej. Odzyskali wiele i liczą na jeszcze więcej dla swoich dzieci. Na innych obszarach odbudowa spotkała się z... przeszkodami. Niedobitki tych, którzy przed pokoleniem omal nie zniszczyli naszego kraju, wciąż sięją spustoszenie, wciąż nękają naszych kurierów i przerywają łączność. Skoro już o tym mowa - ciągnął zinnym tonem Gordon - nie mogę dłużej odwlekać pytania o to, co stało się z pocztą ukradzioną przez waszych ludzi Stanom Zjednoczonym.

Bezoar nałożył okulary w drucianej oprawie i podniósł z sąsiedniego biurka grubą teczkę.

- Mówi pan o tych listach, jak sądzę? - Dotknął pakietu. Tuziny poszarzałych i pożółkłych kopert zaszeleściły sucho. - Widzi pan? Nawet nie próbuję temu zaprzeczyć. Sądzę, że jeśli to spotkanie ma cokolwiek dać, powinniśmy rozmawiać ze sobą szczerze i otwarcie. Tak jest, grupa naszych zwiadowców znalazła w ruinach Eugene jucznego konia - pańskiego, jak sądzę - którego sakwy zawierały ten bardzo dziwny ładunek. O ironio, jestem przekonany, że w chwili, gdy zabierali te próbki, pan zabijał dwóch ich towarzyszy w innej części opuszczonego miasta.

Bezoar uniósł rękę, nim Gordon zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Proszę się nie obawiać odwetu. Nasza holnistsowska filozofia go nie uznaje. Pokonał pan dwóch surwiwalistów w otwartej walce. W naszych oczach czyni to pana równym nam. Jak pan sądzi, dlaczego po schwytaniu potraktowano was jak mężczyzn, zamiast wykastrować jak poddanych albo barany?

Bezoar uśmiechał się serdecznie, lecz Gordon kipiał złością. Poprzedniej wiosny w Eugene widział, co holniści zrobili z ciałami nieszkodliwych szabrowników, których wcześniej skosili z broni maszynowej. Przypominał sobie matkę młodego Marka Aage'a, która jednym bohaterskim gestem uratowała życie swemu synowi oraz jemu. Bezoar najwyraźniej mówił poważnie, lecz Gordon w jego logice widział przyprawiającą o mdłości, gorzką ironię.

Łysy surwiwalista rozłożył rękę.

- Przyznajemy się do zagarnięcia pańskiej poczty, panie inspektorze. Czy możemy powołać się na nieświadomość jako okoliczność łagodzącą? Ostatecznie do chwili, gdy te listy trafiły w moje ręce, żaden z nas nawet nie słyszał o Odrodzonych Stanach Zjednoczonych! Niech pan sobie wyobrazi nasze zdumienie, kiedy zobaczyliśmy podobne listy transportowane przez wiele mil, z jednego miasteczka do drugiego, nominacje nowych naczelników poczty i te... - uniósł w górę plik ulotek wyglądających na oficjalne - ...te deklaracje tymczasowego rządu w Saint Paul.

Słowa były pojednawcze i brzmiały szczerze. W tonie głosu Bezoara było jednak coś... Gordon nie potrafił tego dokładnie określić, lecz czuł się zaniepokojony.

- Teraz już o nich wiecie - powiedział - a mimo to nie zaprzestaliście swej działalności. Dwaj nasi kurierzy zniknęli bez śladu w chwili, gdy rozpoczęliście inwazję na północ. Wasza "Amerykańska Armia Wyzwoleńcza" jest w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi już od wielu miesięcy, pułkownik Bezoar. Tego nie można usprawiedliwić nieświadomością.

Tym razem kłamstwa przychodziły mu łatwo. Ostatecznie jego słowa były w zasadzie prawdziwe.

Już w ciągu kilku tygodni, które nastąpiły po tym, jak wielka wojna zakończyła się "zwycięstwem" - kiedy Stany Zjednoczone miały jeszcze rząd, a żywność i sprzęt transportowane autostradami były chronione - poważny problem stanowili nie tyle rozbici wrogowie zewnętrzni, co chaos wewnętrzny.

Zboże marnowało się w przepelnionych silosach, a farmerzy ginęli od epidemii, przed którymi

mogły ich uchronić szczepienia. Szczepionki były dostępne w miastach, gdzie głód pochłaniał krocie ofiar. Więcej ludzi zginęło z powodu załamania się systemu i bezprawia - zniszczenia sieci handlu i wzajemnej pomocy - niż od bomb i drobnoustrojów, a nawet trwającego trzy lata półmroku.

To właśnie tacy ludzie zadali ten ostateczny cios, który odebrał wszelkie szansę milionom nieszczęśliwych.

- Być może, być może. - Bezoar przełknął łyk trunku o ostrym zapachu. Uśmiechnął się. - Ale z drugiej strony, wielu może się podawać za prawowitych dziedziców amerykańskiej państwowości. A więc pańskie "Odrodzone Stany Zjednoczone" posiadają znaczny obszar i ludność, a wśród ich przywódców znajduje się kilku starych pierdzieli, którzy kiedyś za pieniądze i uśmiech w telewizji kupili sobie wybieralny urząd. Czy to oznacza, że są prawdziwą Ameryką?

Przez moment wydawało się, że maska spokoju i rozsądku pęka. Gordon dostrzegł kryjącego się pod nią fanatyka, który przez te wszystkie lata nie zmienił się ani trochę, może nawet stał się jeszcze bardziej nieprzejednany. Słyszał już ten ton... dawno temu, w radiowych audycjach Nathana Holna - nim jeszcze surwiwalistycznego "świętego" powieszono - a potem w wypowiedziach jego wyznawców.

Była to ta sama solipsystyczna filozofia ego, która dostarczała paliwa furii nazizmu czy stalinizmu. Hegel, Hörbiger, Holn - korzenie były identyczne. Prawda wywiedziona z przesłanek, arogancka i zadufana, nigdy nie poddawana sprawdzianowi światła rzeczywistości.

W Północnej Ameryce holnizm, wynik powrotu do egoistycznych lat osiemdziesiątych, był na marginesie życia i przemawiał tylko do maniaków, a poza tym były to lata nieporównanego rozkwitu. Jednakże to samo zło, tyle że w wersji "słowiańskiego mistycyzmu" - na drugiej półkuli naprawdę zdobyło władzę. Owo szaleństwo popchnęło na koniec świat do wojny zagłady.

Gordon uśmiechnął się z zawziętą surowością.

- Po wszystkich tych latach któż może powiedzieć, co jest prawomocne? Jedno jednak jest pewne, Bezoar. Wygląda na to, że "prawdziwy duch Ameryki" wyraża się teraz w pasji do łowów na holnistów. Wasz kult silnych budzi odrazę nie tylko w Odrodzonych Stanach Zjednoczonych, lecz niemal wszędzie, dokąd zaprowadziły mnie moje wędrówki. Walczące ze sobą wioski łączą siły na wiadomość, że gdzieś widziano jedną z waszych band. Każdego człowieka schwytanego w ubiorze maskującym z demobilu wieszają się bez sądu.

Gordon zrozumiał, że cios był celny. Nozdrza noszącego kolczyki oficera rozwarły się.

- Proszę do mnie mówić pułkowniku Bezoar, jeśli łaska. Założę się też, panie inspektorze, że są regiony, w których nie jest to prawdą. Być może Floryda? Albo Alaska?

Gordon wzruszył ramionami. Oba te stany umilkły w dzień po wybuchu pierwszych bomb. Istniały również inne miejsca, takie jak południowy Oregon, gdzie milicja nie odważała się wówczas zapuszczać, nawet z silnymi oddziałami.

Bezoar wstał i podszedł do półki z książkami. Zdjął z niej gruby tom.

- Czy czytał pan kiedyś Nathana Holna? - zapytał. Jego głos odzyskał spokojne brzmienie. Gordon potrząsnął głową.

- Ależ, mój panie! - oburzył się Bezoar. - Jak może pan poznać nieprzyjaciela, nie zaznajamiając się z jego sposobem myślenia? Proszę wziąć ten egzemplarz *Utraconego imperium*... napisanej przez Holna biografii wielkiego człowieka, Aarona Burra. Może akurat zmieni pan zdanie. A wie pan, Krantz, jestem przekonany, że mógłby pan zostać holnistą. Często silnym potrzeba tylko otworzyć oczy, by ujrzeli, że oszukała ich propaganda słabych, że mogliby zdobyć świat, gdyby tylko wyciągnęli po niego rękę.

Gordon w pierwszej chwili powstrzymał się od odpowiedzi. Wyciągnął rękę po oferowaną

książkę. Zapewne nie byłoby rozsądnie zanadto prowokować tego faceta. Ostatecznie wystarczyłoby jedno jego słowo, aby obu przybyszy z północy zabito.

- Proszę bardzo. To może pomóc w zabiciu czasu, nim zorganizujecie nasz powrót do Willamette - odparł ze spokojem.

- No właśnie - wtrącił Johnny Stevens, który odezwał się po raz pierwszy. - A skoro już o tym mowa, to co z pokryciem dodatkowej opłaty pocztowej za doręczenie skradzionej korespondencji, którą zabierzemy ze sobą?

Bezoar odwzajemnił zimny uśmiech Johnny'ego, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, usłyszeli kroki na drewnianym ganku dawnej leśniczówki. Drzwi otworzyły się i do środka weszło trzech brodatych mężczyzn, ubranych w tradycyjne zielono-czarne mundury robocze.

Jeden z nich - najniższy, lecz z pewnością najbardziej imponujący - nosił tylko jeden kolczyk. Niemniej lśnił on wielkimi, wprawionymi w niego klejnotami.

- Panowie - odezwał się Bezoar, wstając z miejsca. - Pozwólcie, bym wam przedstawił przeniesionego do rezerwy generała brygady, Macklina, zjednoczyciela oregońskich klanów Holna i dowódcę Amerykańskich Sił Wyzwoleńczych.

Gordon podniósł się otepiał. Przez chwilę mógł tylko się gapić. Generał i jego dwaj adiutanci byli najdziwniej wyglądającymi ludźmi, jakich w życiu widział.

Nie było nic niezwykłego w ich brodach i kolczykach... czy krótkim sznurze zasuszonych "trofeów", który każdy z nich nosił jako ceremonialną ozdobę. Wszyscy jednak mieli niesamowite blizny, które tylko częściowo zasłonięte były przez mundury. Pod niewyraźnymi śladami jakichś dawnych operacji mięśnie i ścięgna zdawały się wybrzuszać i supłać w bardzo dziwny sposób.

Wyglądało to osobliwie, lecz Gordon uświadomił sobie, że chyba kiedyś widział już coś podobnego. Nie przypominał sobie jednak, kiedy i gdzie.

Czy ci ludzie ucierpieli od jednej z powojennych epidemii? Może superświnki? Albo jakiegoś rodzaju przerostu tarczycy?

Gordon rozpoznał nagle większego z adiutantów Macklina. Był to brzydal przypominający wyglądem świnię, ten sam, który zadał mu tak szybki cios w noc zasadzki u brzegów Coquille. Obalił wtedy Gordona na ziemię z siłą byka, nim ten zdążył się choć poruszyć.

Żaden z mężczyzn nie należał do nowego pokolenia surwiwalistycznych feudałów, młodych opryszków pochodzących z naboru w całym południowym Oregonie. Podobnie jak Bezoar, przybysze byli niewątpliwie w wieku wystarczająco zaawansowanym, by być dorosłymi przed wojną zagłady. Nie wydawało się jednak, by wiek dojrzały czynił ich mniej sprawnymi. Generał Macklin poruszał się z kocią szybkością, która sprawiała onieśmielające wrażenie. Nie marnował czasu na uprzejmości. Gwałtownym ruchem głowy wskazał na Johnny'ego.

Bezoar splótł palce.

- Hmm. Tak jest. Panie Stevens, czy zechciałby pan udać się z tymi panami z powrotem do swej... hmm... kwatery? Wygląda na to, że generał chce porozmawiać z pańskim zwierzchnikiem na osobności.

Johnny popatrzył na Gordona. Najwyraźniej gotów był walczyć, gdyby otrzymał takie polecenie.

Gordon załamał się pod brzemieniem wyrazu oczu młodzieńca. Takie oddanie było czymś, czego nigdy nie pragnął, od nikogo.

- Wracaj, John - polecił swemu młodemu przyjacielowi. - Zobaczymy się później.

Dwóch potężnych adiutantów wyszło z Johnny'm na zewnątrz. Gdy drzwi się zamknęły, a odgłos kroków oddalił w noc, Gordon zwrócił się w stronę dowódcy zjednoczonych holnistów. Czuł w sercu wielką determinację. Nie było tam skruchy ani obawy przed hipokryzją. Jeśli stać go na to. by

kłamać wystarczająco dobrze, aby nabrać tych sukynów, zrobi to. Czuł się zjednoczony ze swym mundurem. Był gotowy do najlepszego występu w życiu.

- Morda w kubę! - warknął Macklin.

Ciemnobrody mężczyzna wycelował w niego potężną pięść.

- Jedno bzdurne słowo o "Odrodzonych Stanach Zjednoczonych", a wepchnę ci w gardło twój pieprzony mundurek!

Gordon zamrugał powiekami. Spojrzał na Bezoara i zobaczył, że ten się uśmiecha.

- Obawiam się, że nie byłem z panem w pełni szczerzy, panie inspektorze - w słowach Bezoara tym razem zabrzmiała wyraźna nuta sarkazmu. Holnistowski pułkownik pochylił się, by otworzyć szufladę swego biurka. - Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o panu, wysłałem natychmiast oddziały, by podały trasę, którą pan przybył. Swoją drogą, ma pan rację, mówiąc, że holnizm nie jest zbyt popularny w niektórych okolicach. Przynajmniej jak dotąd. Dwie grupy nie wróciły.

Generał Macklin strzelił palcami.

- Nie przeciągaj tego, Bezoar, bo nie mam czasu. Wezwij tego przygłupa.

Bezoar skinął pośpiesznie głową i sięgnął do zwisającego u ściany sznurka. Gordon zastanawiał się, co przed chwilą próbował znaleźć w szufladzie.

- Jedna z grup naszych zwiadowców napotkała w Górach Kaskadowych bandę pokrewnych duchów, na przełęczy położonej na północ od Jeziora Kraterowego. Doszło do pewnych nieporozumień. Obawiam się, że większość biednych tubylców zginęła. Udało nam się jednak przekonać jednego, który ocalał...

Rozległy się kroki. Zastona z paciorków rozsunała się. Smukła blondynka rozchyliła ją i popatrzyła chłodno na poobijanego mężczyznę z obandażowaną głową, który wpadł do środka. Miał na sobie wyblakły, połatany mundur w maskujących barwach, nóż u pasa i jeden maleńki nauszник. Ten surwiwalista nie sprawiał wrażenia uradowanego faktem, że tu przebywa.

- Przedstawiłbym pana naszemu najnowszemu rekrutowi, panie inspektorze - powiedział Bezoar. - Ale sądzę, że już się znacie.

Gordon potrząsnął głową, całkowicie zdezorientowany. Co tu było grane? Nigdy w życiu nie widział tego faceta!

Bezoar szturchnął pochylonego przybysza, który podniósł wzrok.

- Nie jestem całkiem pewny... - odezwał się chwiejający się na nogach holnistowski rekrut, spoglądając na Gordona. - Możliwe, że to ten. To był właściwie przelotny epizod. Wydawał się wtedy tak... nieistotny...

Pięści Gordona zacisnęły się nagle. Ten głos.

- To ty, sukiny! -

Zawadiacki tyrolski kapelusz zniknął, lecz Gordon rozpoznał teraz upstrzone siwizną bokobrody i pożółkłą cerę. Roger Septien wydawał się znacznie mniej pogodny niż owego dnia, gdy Gordon widział go poprzednim razem - na stokach suchej jak pieprz góry, gdy współuczestniczył w zagarnięciu prawie całego jego ziemskiego dobytku, radośnie i z sarkazmem zostawiając go na niemal pewną śmierć.

Bezoar skinął głową z zadowoleniem.

- Możecie odejść, szeregowy Septien. Jestem przekonany, że twój oficer wyznaczył dla ciebie na noc odpowiednią służbę.

Były rabuś - a przedtem makler - skinął ze znużeniem głową. Nawet nie spojrział już na Gordona. Wyszedł na zewnątrz bez słowa.

Gordon zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, reagując tak szybko. Powinien zignorować faceta,

udając, że go nie poznaje.

Czy jednak coś by to zmieniło? Macklin od samego początku wydawał się bardzo pewny siebie...

- No, Bezoar, jedź dalej - rozkazał generał.

Adiutant ponownie sięgnął do szuflady. Tym razem wydobył z niej mały, postrzępiony, czarny notes. Pokazał go Gordonowi.

- Poznaje to pan? Jest na tym pańskie nazwisko.

Gordon zamrugął powiekami. Był to oczywiście jego dziennik, ukradziony - razem z rzeczami - przez Septiena i resztę bandytów tylko na kilka godzin, zanim natknął się na zniszczony pocztowy furgon i wstąpił na drogę wiodącą do nowej kariery.

Wówczas opłakiwał tę stratę, gdyż dziennik opisywał dokładnie jego podróże od czasu, kiedy opuścił Minnesotę, siedemnaście lat temu, i zawierał starannie prowadzone notatki na temat życia w postkatastroficznej Ameryce.

Teraz jednak cienka książeczka była ostatnią rzeczą, jaką pragnąłby zobaczyć. Usiadł ciężko. Nagle ogarnęło go zmęczenie. Zdał sobie sprawę, jak bezwzględnie bawiły się z nim te diabły. Jego kłamstwo zostało wreszcie zdemaskowane.

Na żadnej ze stron małego dzienniczka nie było ani jednego słowa o listonoszach, odbudowie czy jakichś "Odrodzonych Stanach Zjednoczonych".

Była tam tylko prawda.

Dzisiaj, gdy zbliżamy się do końca dwudziestego stulecia, największy bój naszych czasów toczy się rzekomo między tak zwaną lewicą i tak zwaną prawicą - tymi potężnymi lewiatanami wymyślonego, fikcyjnego spektrum politycznego. Wydaje się, iż tylko bardzo niewielu zdaje sobie sprawę, że te przeciwieństwa są w rzeczywistości dwiema twarzami tej samej chorej bestii. Mamy do czynienia z ogólną ślepotą, która uniemożliwia milionom dojrzenie, jak gruntownie oszukał ich ten wymysł.

Nie zawsze jednak tak było. I nie zawsze tak będzie.

W innych traktatach pisałem o odmiennych typach systemów: honorze średniowiecznej Japonii, wspaniałych, dzikich Indianach Ameryki Północnej oraz promiennej Europie epoki, którą dzisiejsi zdegenerowani uczeni nazywają jej "ciemnym wiekiem".

Historia, fakt po fakcie, uczy nas jednej rzeczy. We wszystkich erach jedni rozkazywali, a inni słuchali. Ten porządek wierności i władzy jest zarówno honorowy, jak i naturalny.

Feudalizm zawsze odpowiadał naszemu gatunkowi, już od czasów, gdy zerowaliśmy jako dzikie bandy i krzyczeliśmy na siebie na znak wyzwania ze szczytów przeciwległych wzgórz.

Odpowiadał nam dopóty, dopóki ludzie nie zostali zepsuci. Dopóki silnych nie obezwładniła skomląca propaganda słabych.

Cofnijcie się myślą do czasów, gdy dziewiętnasty wiek wstawał dopiero nad Ameryką. Pojawiła się wówczas wyjątkowo wyraźna sposobność odwrócenia chorych trendów tak zwanego oświecenia. Żołnierze zwycięskiej wojny o niepodległość przegnali angielską dekadencję z przeważającej części kontynentu. Granice stały otworem, a nieugięty duch indywidualizmu władał niepodzielnie całym nowo narodzonym narodem.

Aaron Burr wiedział o tym, gdy postanowił zdobyć nowe terytoria leżące na zachód od pierwszych trzynastu kolonii. Jego marzenie było marzeniem każdego żyjącego w zgodzie z naturą mężczyzny - dominacja, podbój, zdobycie imperium!

Jak wyglądałby świat, gdyby Burr zwyciężył? Czy byłby on w stanie zapobiec pojawieniu się tych poronionych bliźniaczych plugastw, socjalizmu i kapitalizmu?

Któż może to wiedzieć? Jednak powiem wam, w co ja wierzę. Wierzę, że era wielkości była w zasięgu ręki, gotowa się narodzić!

Burra obalono, nim udało mu się osiągnąć wiele więcej niż ukaranie tego narzędzia zdrajców, Alexandra Hamiltona. Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że jego głównym nieprzyjacielem był Jefferson, który spiskował, by pozbawić go fotela prezydenckiego. W rzeczywistości jednak korzenie owego spisku sięgały znacznie głębiej.

To geniusz zła, Benjamin Franklin, znajdował się w centrum zmywy, by zabić imperium, zanim zdążyło się narodzić. Jego instrumenty były liczne, zbyt liczne, by mógł z nimi walczyć człowiek nawet tak silny, jak Burr.

A najważniejszym z tych instrumentów było Stowarzyszenie Cyncynatów...

Gordon cisnął otwartą książkę obok słomianej maty. Jak ktokolwiek mógł czytać podobne brednie, nie mówiąc już o ich publikowaniu?

Po wieczornym posiłku było jeszcze wystarczająco jasno, by czytać. Do tego po raz pierwszy od

wielu dni pokazało się słońce. A jednak wzdłuż kręgosłupa Gordona przebiegał dreszcz, gdy szalona dialektyka niosła się echem w jego głowie.

“Geniusz zła, Benjamin Franklin...”

Nathan Holn przedstawiał przekonujące dowody na to, że “Biedny Richard” był kimś znacznie więcej niż bystrym, własnym sumptem wydającym swe dzieła filozofem, który w przerwach między naukowymi eksperymentami i uganianiem się za spódniczkami bawił się w ambasadora. Jeśli choć drobna część przedstawionych przez Holna cytatów była autentyczna, Franklin faktycznie znajdował się w centrum niezwykłych wypadków. Podczas wojny o niepodległość wydarzyło się coś ważnego, co w jakiś sposób pokrzyżowało szyki ludziom takim, jak Aaron Burr i doprowadziło do stworzenia państwa, które znał Gordon.

Pomijając jednak tę kwestię, największe wrażenie na Gordonie wywarła głębia obłędu Nathana Holna. Bezoar i Macklin musieli być kompletnie pomyleni, jeśli sądzili, że te bredzenia zdołają go przekonać do wyrażenia zgody na ich propozycję!

W rzeczywistości książka wywarła wprost przeciwny efekt. Gdyby w tej chwili w Agness wybuchł wulkan, Gordon cieszyłby się, że całe to gniazdo węży pójdzie do piekła razem z nim.

Nieopodal płakało niemowlę. Gordon podniósł wzrok, lecz w ciemności zaledwie mógł dostrzec obdarłe postacie poruszające się za pobliskim olchowym zagajnikiem. Nocą przyprowadzono nowych jeńców. Jęczeli skupieni ciasno wokół małego ogniska, które pozwolono im rozpalić. Nie zasługiwali nawet na schronienie w postaci zadaszanej szopy.

Gordona i Johnny’ego mógł wkrótce czekać los tych nieszczęsnych poddanych, jeśli Macklin nie otrzyma odpowiedzi, na jaką liczył. “Generał” tracił cierpliwość. Ostatecznie z jego punktu widzenia propozycja, którą przedstawił więźniowi, musiała brzmieć rozsądnie.

Miał tylko chwilę na to, by się zdecydować. Gdy nadejdzie odwilż, holniści wznowią ofensywę, z jego kompromisową współpracą bądź bez niej.

Nie miał w tej sprawie wielkiego wyboru.

Nie przywoływane, wróciło do niego wspomnienie Deny. Tęsknił za nią, zastanawiał się, czy żyje jeszcze, pragnął jej dotknąć i być z nią... bez względu na dokuczliwe pytania i całą resztę.

Teraz jednak było już pewnie za późno, by zniszczyć nie znany mu, zwariowany plan stworzony przez nią i jej zwolenniczki. Gordon szczerze się dziwił, dlaczego Macklin nie pochwalił się jeszcze przed nim kolejną katastrofą nieszczęsnej Armii Willamette.

“Może to tylko kwestia czasu” - nawiedziła go ponura myśl.

Johnny skończył płukać niemal doszczętnie wytartą szczoteczkę do zębów, która była ich jedyną wspólną własnością. Usiadł obok Gordona i wziął w rękę biografię Burra. Czytał ją przez chwilę, po czym podniósł wzrok, wyraźnie zdziwiony.

- Wiem, że nasza szkoła w Cottage Grove nie była wiele warta według przedwojennych standardów, Gordon. Dziadek jednak dawał mi mnóstwo rzeczy do czytania i bardzo dużo opowiadał o historii i innych sprawach. Nawet ja widzę, że ten cały Holn wymyślił połowę tych głupot. Jak udało mu się wydać podobną książkę? Jak to możliwe, że ktoś mu uwierzył?

Gordon wzruszył ramionami.

- To się nazywa metoda “wielkiego kłamstwa”, Johnny. Po prostu staraj się zrobić wrażenie, że wiesz, o czym mówisz. Że przytaczasz autentyczne fakty. Mów bardzo szybko. Nadawaj swym kłamstwom kształt teorii spiskowej i ciągle powtarzaj wygłaszane tezy. Tych, którzy szukają pretekstu do nienawiści czy zrzucenia na kogoś winy - którzy mają wielkie, lecz słabe ego - uraduje proste i zgrabne wyjaśnienie tego, jak urządzony jest ten świat. Takie typki nigdy nie zażądają trzymania się faktów. Hitler opanował tę sztukę znakomicie. Podobnie jak mistyk z Leningradu. Holn

był po prostu kolejnym mistrzem wielkiego kłamstwa.

“A co z tobą?” - zapytał siebie Gordon. Czy on, twórca bajeczki o “Odrodzonych Stanach Zjednoczonych”, współdziałający w oszustwie, jakim był Cyklop, miał prawo rzucić kamieniem?

Johnny czytał jeszcze przez kilka minut, po czym znowu przerwał i zapytał:

- Kim był ten cały Cyncynat? Czy jego Holn też wymyślił?

Gordon położył się na macie. Zamknął oczy.

- Nie. O ile dobrze pamiętam, był wielkim wodzem w starożytnym Rzymie, jeszcze w czasach republiki. Legenda mówi, że miał już dosyć wojny i odszedł z armii, by w spokoju uprawiać ziemię. Pewnego dnia jednak przybyli do niego wysłannicy z miasta. Wojska Rzymu poniosły klęskę. Ich dowódcy okazali się nieudolni. Katastrofa wydawała się nieunikniona. Delegacja zwróciła się do Cyncynata - znaleźli go za pługiem - błagając, by objął dowództwo nad ostatnią linią obrony.

- I co odpowiedział Cyncynat tym facetom z Rzymu?

- No więc - Gordon ziewnął. - Zgodził się. Z niechęcią. Pozbierał siły Rzymian, pokonał wojska najeźdźców i przegnał je aż do ich miasta. To było wielkie zwycięstwo.

- Założę się, że zrobili go królem albo kimś w tym rodzaju - wtrącił Johnny.

Gordon potrząsnął głową.

- Armia chciała to zrobić. Lud również... Ale Cyncynat powiedział im, żeby się ugryźli. Wrócił na swoje gospodarstwo i nigdy go już nie opuścił.

Johnny podrapał się w głowę.

- Ale... dlaczego tak postąpił? Nie rozumiem.

Gordon jednak rozumiał. Teraz, gdy zastanowił się nad tą opowieścią, pojął ją w całości. Wytłumaczono mu powody nie tak dawno temu i nigdy nie miał tego zapomnieć.

- Gordon?

Nie odpowiedział. Odwrócił się, usłyszawszy słaby dźwięk dobiegający z zewnątrz. Wyglądając przez szpary między deskami, zobaczył grupę mężczyzn zbliżających się ścieżką od nabrzeża. Przed chwilą do brzegu przybiła łódź.

Wydawało się, że Johnny nic jeszcze nie zauważył. Uporczywie powtarzał swe pytania, tak jak robił to przez cały czas, odkąd odzyskał siły po pojmaniu. Podobnie jak Dena, młodzieniec nie chciał zmarnować żadnej szansy poszerzenia swej edukacji.

- Rzym istniał na długo przed amerykańską rewolucją, prawda, Gordon? To czym było to... - ponownie podniósł książkę - ...to Stowarzyszenie Cyncynatów, o którym pisze tutaj Holn?

Gordon obserwował, jak orszak zbliża się do ich szopy. Dwóch poddanych dźwigało nosze pilnowane przez surwiwalistycznych żołnierzy odzianych w stroje koloru khaki.

- Jerzy Waszyngton założył Stowarzyszenie Cyncynatów po wojnie o niepodległość - odpowiedział z roztargnieniem w głosie. - Najważniejszymi członkami byli jego dawni oficerowie...

Przerwał, gdy strażnik podszedł do drzwi i otworzył je. Obaj przyglądali się, jak poddani wchodzi do środka i stawiają swój ciężar na słomie. Następnie odwrócili się i wyszli wraz z eskortą, nie odezwawszy się ani słowem.

- Jest paskudnie poharatany - stwierdził Johnny, gdy podeszli do rannego, by mu się przyjrzeć. - Tego kompresu nie zmieniało od wielu dni.

Od czasu, gdy jego rocznik college'u wcielono do milicji, Gordon widział mnóstwo rannych. Służąc w plutonie porucznika Vana, nauczył się wiele o diagnostyce w warunkach polowych. Jedno spojrzenie powiedziało mu, że te rany od kul mogły się po jakimś czasie zagoić, gdyby je należycie opatrzone. Teraz jednak nad nieruchomą postacią unosił się odór śmierci. Bił od kończyn pokrytych ropiejącymi śladami tortur.

- Mam nadzieję, że ich okłamał - mruknął Johnny, starając się wygodnie ułożyć umierającego więźnia. Gordon pomógł otulić go ich kocami. Nie miał pojęcia, skąd pochodził ten facet. Nie wyglądał na mieszkańca Willamette. Było też widać, że w przeciwieństwie do większości ludzi z Camas i Roseburga do niedawna był gładko wygolony. Mimo śladów okrutnego traktowania na jego kościach było zbyt wiele mięśni, by mógł być poddanym.

Siedzący w kucki Gordon znieruchomiał nagle. Zamknął oczy i znów je otworzył. Szeroko.

- Johnny, popatrz no tutaj. Czy to jest to, co mi się zdaje?

Johnny skierował spojrzenie tam, gdzie wskazywał Gordon. Następnie odsunął koc, by zobaczyć to lepiej.

- A niech mnie... Gordon, to wygląda na mundur!

Gordon skinął głową. Mundur... i to niewątpliwie wyprodukowany po wojnie. Jego kolor i krój absolutnie nie przypominały niczego, co nosili holniści, a - jeśli już o tym mowa - również niczego, co obaj widzieli dotąd w Oregonie.

Na jednym z barków umierającego mężczyzny widniał naramiennik, na którym wyszyto symbol znany Gordonowi z dawnych czasów - brązowy niedźwiedź grizzly kroczący po czerwonym pasie... a to wszystko na złotym tle.

* * *

W chwilę później Gordona znów wezwano. Pojawiła się wyposażona w pochodnie eskorta.

- Ten człowiek w szopie umiera - poinformował dowódcę strażników.

Małomówny, noszący trzy kolczyki holnista wzruszył ramionami.

- No to co? Zaraz przyjdzie kobieta, to go opatrzy. No, jazda. Generał czeka.

Idąc oświetloną blaskiem księżyca ścieżką, napotkali zgarbioną kobiecą postać, zmierzającą w stronę szopy. Ustąpiła mężczyznom z drogi, czekając, aż przejdą. Spuściła oczy, patrząc na niesioną przez siebie tacę pełną zwiniętych bandaży i maści. Żaden z wyniosłych strażników nie okazał niczym, że w ogóle ją zauważył.

W ostatniej chwili podniosła jednak wzrok i spojrzała na Gordona. Rozpoznał niewysoką kobietę o usianych siwizną brązowych włosach, tę samą, która kilka dni temu zabrała do naprawy jego mundur. Przechodząc obok, spróbował się do niej uśmiechnąć, lecz wydało mu się, że to tylko odebrało jej odwagę.

Pochyliła głowę i skryła się pośpiesznie w mroku.

Zasmucony tym Gordon podążył dalej ścieżką ze swymi strażnikami. Przypominała mu trochę Abby, a jedna z dręczących go obaw dotyczyła przyjaciół z Pine View. Holnistowscy zwiadowcy, którzy odkryli jego dziennik, zbliżyli się bardzo do małej, przyjaznej wioski. Nie tylko kruchej cywilizacji Willamette groziło straszliwe niebezpieczeństwo.

Wiedział, że nikt nigdzie nie jest już bezpieczny, z wyjątkiem, być może, George'a Powhatana, który żył sobie spokojnie na szczycie góry Sugarloaf, pilnując pszczoł i piwa, podczas gdy reszta tego, co zostało ze świata, płonęła.

- Zaczyna mnie męczyć twoja gra na zwłokę, Krantz - stwierdził generał Macklin, gdy strażnicy opuścili pełną książek byłą leśniczkę.

- Stawia mnie pan w trudnej sytuacji, generale. Studiuję książkę, którą pożyczył mi pułkownik Bezoar. Staram się zrozumieć...

- Przestań pieprzyć, dobra? - Macklin zbliżył się, aż jego twarz znalazła się tuż przy twarzy Gordona. Nawet gdy spoglądało się na niego z góry, dziwnie zniekształcone oblicze holnisty budziło strach. - Znam się na ludziach, Krantz. To fakt, że jesteś silny. Byłby z ciebie dobry wasal. Ale zapaskudziło cię poczucie winy i inne "cywilizowane" trucizny. Tak mocno, iż zaczynam sądzić, że

może jednak okażesz się beзуzyteczny.

Implikacje były jasne. Gordon nie pozwolił sobie okazać słabości, od której ugięły mu się kolana.

- Możesz zostać baronem Corvallis, Krantz. Wysokim rangą arystokratą naszego nowego imperium. Możesz nawet pielęgnować niektóre ze swych śmiesznych, staromodnych sentymentów, jeśli zechcesz... i jeśli okażesz się wystarczająco silny, by to przeprowadzić. Chcesz być miły dla swych wasali? Chcesz mieć urzędy pocztowe? Mogą nam się nawet do czegoś przydać te twoje "Odrodzone Stany Zjednoczone". - Macklin wyszczerzył zęby. Jego oddech cuchnął. - Dlatego właśnie tylko Charlie i ja wiemy o tym twoim czarnym dzienniczku, dopóki nie wypróbujemy tego pomysłu w praktyce. Rozumiesz, to nie znaczy, że cię lubię. Rzecz w tym, że współpraca z tobą przyniosłaby nam pewne drobne korzyści. Potrafiłbyś rządzić tymi technikami z Corvallis lepiej niż którykolwiek z moich chłopaków. Moglibyśmy nawet pozwolić działać temu całemu Cyklopowi, jeśli zarobiłby na swe utrzymanie.

A więc holniści nie przejrżeli jeszcze legendy wielkiego komputera. Nie miało to jednak większego znaczenia. Technika nigdy ich szczególnie nie obchodziła, poza tym, co było potrzebne do prowadzenia wojny. Nauka mogła przynieść zbyt wiele korzyści wszystkim, a szczególnie słabym.

Macklin wziął pogrzebacz i uderzył nim w dłoń.

- Alternatywą jest zdobycie Corvallis po naszymu, a wtedy ta dziura spłonie. I nie będzie już nigdzie żadnej poczty, chłopcze. Ani przemądrzałych maszyn.

Macklin dotknął pogrzebaczem leżącej na biurku kartki papieru. Obok spoczywało pióro oraz kałamarz. Gordon dobrze wiedział, czego tamten od niego oczekuje.

Gdyby wystarczyło jedynie wyrazić zgodę, Gordon uczyniłby to natychmiast. Okazywałby posłuszeństwo, dopóki nie znalazłby szansy ucieczki.

Macklin był jednak na to za sprytny. Chciał, by jeniec napisał list do rady w Corvallis i przekonał ją, aby zanim zostanie zwolniony, oddała kilka kluczowych miasteczek jako akt dobrej woli.

Miał za to zapewnienie generała, że zostanie później mianowany "baronem Corvallis". Wątpił, by słowo Macklina było warte więcej niż jego własne.

- Być może nie wierzysz, że jesteśmy wystarczająco silni, aby rozbić waszą załosną "Armię Willamette" bez twojej pomocy?

Macklin roześmiał się. Zwrócił się ku drzwiom.

- Shawn!

Jego krzepki strażnik przyboczny wpadł do pokoju tak szybko i płynnie, że niemal wydawał się rozmazaną plamą. Zamknął drzwi, podszedł marszowym krokiem do generała i stanął sztywno na baczność.

- W coś cię wtajemniczę, Krantz. Shawn, ja i ten złośliwy skurczybyk, który cię złapał, jesteśmy ostatnimi osobnikami szczególnego rodzaju - wyznał Macklin. - To był ściśle tajny projekt, ale mogłeś słyszeć jakieś pogłoski. Eksperymenty doprowadziły do powstania specjalnych jednostek bojowych, niepodobnych do niczego, co znano przedtem.

Gordon zamrugał powiekami. Nagle wszystko stało się dla niego zrozumiałe: niesamowita szybkość generała, przedziwna siatka blizn pod skórą jego i jego dwóch adiutantów.

- Wzmocnieni!

Macklin skinął głową.

- Bystrzak z ciebie. Uważnie słuchałeś, jak na chłopaka z college'u z głową osłabioną przez psychologię i etykę.

- Myśleliśmy wszyscy, że to tylko plotki! Chce pan powiedzieć, że naprawdę wzięli żołnierzy i przerobili ich tak, by...

Przerwał. Spojrzał na pokryte dziwnymi supłami mięśnie na nagich ramionach Shawna. Choć wydawało się to niemożliwe, ta opowieść musiała być prawdziwa. Nie było innego racjonalnego wyjaśnienia.

- Po raz pierwszy wypróbowali nas w Kenii. I rządowi spodobały się wyniki, jakie osiągnęliśmy w walce. Chyba jednak nie zachwycało go zbytnio to, co zaczęło się dziać, gdy nastał pokój, i sprowadzono nas do domu.

Gordon przyglądał się z wytrzeszczonymi oczyma, jak Macklin podał pogrzebacz adiutantowi. Ten ujął go za jeden koniec. Nie w masywną pięść, lecz między dwa palce i kciuk. Generał chwycił przedmiot z drugiej strony w podobny sposób.

Pociągnęli. Macklin nie przestawał mówić. Nie był nawet zdyszany.

- Eksperyment trwał przez późne lata osiemdziesiąte i wczesne dziewięćdziesiąte. Głównie w oddziałach specjalnych. Wybrali wojowniczych typków, takich jak my. Innymi słowy, talenty.

Stałowy pogrzebacz nie kołysał się ani nie drżał. Niemal całkowicie sztywny, zaczął się rozciągać.

- Och, dokopaliśmy tym Kubańczykom jak się patrzy - Macklin zachichotał. Patrzył tylko na Gordona. - Ale armii nie spodobało się, jak zachowywali się niektórzy weterani, kiedy akcja się skończyła, i wszyscy wróciliśmy do domu. Rozumiesz, już wtedy bali się Nathana Holna. Trafiał do silnych i oni o tym wiedzieli. Program wzmacniania przerwano.

Na środku pogrzebacza pojawiła się plama ciemnej czerwieni. Stał się półtora raza dłuższy niż na początku. Wreszcie zaczął się zwężać i strzępić niczym rozciągany cukierek toffi. Gordon spojrzał pośpiesznie na Charlesa Bezoara, który stał za dwoma wzmocnionymi. Holnistowski pułkownik, z widocznym niezadowoleniem, oblizywał nerwowo wargi. Gordon potrafił odgadnąć jego myśli.

Oto była siła, na zdobycie której nigdy nie mógł liczyć. Uczni oraz szpitale, w których wykonano tę robotę, dawno już zniknęły. Zgodnie z religią Bezoara, ci ludzie musieli być jego panami.

Końcówki rozerwanego pogrzebacza rozdzieliły się z głośnym hukiem. Wydzielone przy tym ciepło tarcia dawało się wyczuć nawet z pewnej odległości. Żaden z udoskonalonych żołnierzy nie zachwiał się przy tym.

- To już wszystko, Shawn.

Macklin wrzucił kawałki do kominka. Jego adiutant obrócił się dziarsko i wymaszerował z pokoju. Generał popatrzył z ironią na Gordona.

- Czy nadal wątpisz, że w maju będziemy w Corvallis? Z tobą albo bez ciebie? Każdy z niewzmocnionych chłopaków w naszej armii jest wart dwudziestu waszych niedołączonych farmerów. Albo ściwirowatych żołnierek.

Gordon spojrzał szybko w górę, lecz Macklin mówił dalej:

- Ale nawet gdyby siły były bardziej wyrównane i tak nie mielibyście szans! Myślisz, że my, garstka wzmocnionych, nie potrafilibyśmy prześliznąć się do każdej z waszych redut, by zrównać je z ziemią, kiedy tylko byśmy chcieli? Moglibyśmy wasze głupie umocnienia rozwalić na kawałki gołymi rękoma. Nawet przez sekundę nie wahaj się, żeby w to uwierzyć.

Przesunął papier i pióro w stronę Gordona.

Ten wbił wzrok w poślizgniętą kartkę. Jakie to miało znaczenie? W samym środku wszystkich tych rewelacji poczuł, że wie, jak wyglądają sprawy. Spojrzał Macklinowi w oczy.

- Jestem pod wrażeniem. Naprawdę. To była przekonująca demonstracja. Niech mi pan jednak

coś powie, generale. Jeśli jesteście tacy świetni, to dlaczego nie zdobyliście jeszcze Roseburga?

Gdy Macklin poczerwieniał, Gordon obdarzył go bladym uśmiechem.

- Skoro już poruszyliśmy ten temat, to kto wypiera was z waszych terenów? Powiniennem być się wcześniej domyślić, dlaczego prowadzicie tę wojnę z taką szybkością i rozmachem, a wasi ludzie gromadzą swych poddanych i dobytek, by przenieść wszystko na północ. W ten sposób zaczynała się większość inwazji barbarzyńców w dziejach. Jak kostki domina przewracające się po kolei. Niech mi pan powie, generale, kto dał wam takiego kopa w tyłek, że musicie zmiatać znad Rogue?

Na twarzy Macklina odmalowało się wielkie wzburzenie. Jego gruzłowate dłonie zacisnęły się, a twarde pięści zbieleły. Gordon spodziewał się, że lada moment zapłaci ostateczną cenę za swój wielce satysfakcjonujący wybuch.

Macklin ledwo panował nad sobą. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Gordona.

- Zabierz go stąd! - warknął do Bezoara.

Gordon wzruszył ramionami i odwrócił się tyłem do rozjuszonego generała ze specjalnych oddziałów.

- A kiedy wrócisz, chcę zbadać tę sprawę, Bezoar! Chcę wiedzieć, kto się wygadał!

Głos Macklina ścigał jego szefa wywiadu jeszcze na schodach, gdy schodzili ze strażnikami.

Dłoń Bezoara spoczywająca na łokciu Gordona trzęsła się przez całą drogę do szopy.

- Kto zamknął tu tego faceta! - krzyknął holnistowski pułkownik, gdy zobaczył umierającego jeńca leżącego na słomianej macie między Johnnym a wybałuszającą oczy kobietą.

Jeden ze strażników zamrugnął powiekami.

- Chyba Isterman. Dopiero co wrócił z frontu nad Salmon River...

"...front nad Salmon River..." Gordon rozpoznał nazwę rzeki w północnej Kalifornii.

- Zamknij się! - wrzasnął Bezoar.

Gordon jednak uzyskał już potwierdzenie. Ta wojna miała szerszy zasięg, niż im się zdawało do dzisiejszego wieczoru.

- Zabierz go stąd! Potem natychmiast przyprowadź Istermana do wielkiego domu!

Strażnicy poderwali się szybko.

- Hej, uważajcie z nim! - krzyknął Johnny, gdy chwycili nieprzytomnego mężczyznę niczym worek kartofli. Bezoar zaszczyił go miażdżącym spojrzeniem. Holnistowski pułkownik rozładował swój gniew, próbując kopnąć wyrobnicę. Ta jednak nauczona była uników. Wypadła przez drzwi, zanim kopniak trafił w cel.

- Zobaczymy się jutro - oznajmił Bezoar Gordonowi. - Radzę, by pan tymczasem ponownie zastanowił się nad napisaniem tego listu do Corvallis. To, co zrobił pan dzisiaj, nie było rozsądne.

Gordon obrzucił go przelotnym spojrzeniem, całkiem jakby pułkownik niemal nie zasługiwał na uwagę.

- To, co dzieje się między generałem a mną, nie powinno pana obchodzić - odpowiedział. - Tylko równi sobie mają prawo wymieniać groźby albo wyzwania.

Wydawało się, że cytat z Nathana Holna wstrząsnął Bezoarem tak, jakby go uderzono. Gordon siadł na słomie i splótł ręce na karku, całkowicie ignorując byłego prawnika.

Dopiero gdy ten się oddalił, a w ciemnej szopie ponownie zapadła cisza, Gordon wstał i podbiegł do Johnny'ego.

- Czy ten żołnierz z flagą z niedźwiedziem na naramienniku coś powiedział?

Johnny potrząsnął głową.

- Ani na chwilę nie odzyskał przytomności, Gordon.

- A co z kobietą? Może ona coś mówiła?

Johnny popatrzył w lewo i w prawo. Pozostali więźniowie skryli się w swych kątach, zwróceniem twarzami do ściany, tak jak to robili od tygodni.

- Ani słowa. Ale podała mi to.

Gordon wziął w rękę postrzępioną kopertę. Rozpoznał kartki, gdy tylko je z niej wydobył.

To był list od Deny - ten, który dostał od George'a Powhatan na górze Sugarloaf. Musiał być w kieszeni jego spodni, gdy kobieta zabrała je do prania. Na pewno go ukryła.

Nic dziwnego, że Macklin i Bezoar nigdy o nim nie wspomnieli.

Gordon bardzo nie chciał, by list wpadł w ręce generała. Bez względu na to, jak zwariowana była Dena i jej przyjaciółki, zasługiwały na to, by dać im szansę. Zaczął drzeć go na kawałki, by następnie je zjeść, ale Johnny wyciągnął rękę i powstrzymał go.

- Nie, Gordon! Ona coś napisała na ostatniej stronie.

- Kto? Kto napisał... - Gordon przesunął papier tak, by oświetlił go delikatny blask księżyca przenikający do środka przez szparę między deskami. Wreszcie ujrzał nabazgrane ołówkiem gryzmoły, proste, drukowane litery ostro kontrastujące z wyrobionym pismem Deny.

to prawda?

czy kobiety mają na północy tyle wolności?

czy zdarzają się męszczyźni i silni i dobrzy?

czy ona dla ciebie umrze?

Gordon siedział przez długi czas, wpatrując się w proste, pełne smutku słowa. Mimo rezygnacji, którą znowu odczuł, jego duchy podążały za nim wszędzie. To, co powiedział o motywach Deny George Powhatan, nadal go gryzło.

Wielkie sprawy nie chciały go zwolnić.

Zjadł powoli list. Nie zechciał podzielić się z Johnnym tym szczególnym posiłkiem. Uczynił z każdego kawałka sakrament pokuty.

W jakąś godzinę później na zewnątrz zaczął się ruch. Była to swego rodzaju ceremonia. Po drugiej stronie polany, obok starego domu towarowego w Agness, podwójna kolumna holnistowskich żołnierzy maszerowała w rytm stłumionego bicia w bęben. W środku szedł wysoki, jasnowłosy mężczyzna. Gordon rozpoznał w nim jednego z żołnierzy w strojach maskujących, którzy wcześniej zostawili w szopie umierającego jeńca.

- To na pewno Isterman - zauważył zafascynowany Johnny. - To go nauczy, że jak się wraca, należy najpierw zameldować się u głównodowodzącego.

Gordon pomyślał, że Johnny chyba za dużo się naoglądał starych filmów o drugiej wojnie światowej dostępnych w wypożyczalni kaset wideo w Corvallis.

Na końcu szeregu strażników rozpoznał Rogera Septiena. Nawet po ciemku widział, że były górski rabus trzęsie się, niemal niezdolny utrzymać karabin.

W adwokackim głosie Charlesa Bezoara również brzmiało zdenerwowanie, gdy odczytywał zarzuty. Isterman stał oparty plecami o wielkie drzewo. Twarz miał bez wyrazu. Sznur z trofeami przebiegał mu przez pierś niczym bandolier... szarfa z makabrycznymi odznaczeniami.

Bezoar usunął się na bok. Generał Macklin podszedł do skazańca, by do niego przemówić. Uścisnął mu dłoń i pocałował go w oba policzki. Następnie stanął obok swego adiutanta, by obserwować zakończenie. Sierżant z dwoma kolczykami wydał warkliwym tonem rozkaz. Członkowie plutonu egzekucyjnego przyklękli, podnieśli karabiny i wystrzelili jak jeden.

Z wyjątkiem Rogera Septiena, który zemdłał.

Wysoki, jasnowłosy holnistowski oficer leżał teraz zgięty w kałuży krwi u stóp drzewa. Gordon pomyślał o umierającym więźniu, który był towarzyszem ich niedoli przez tak krótki czas i który powiedział im tak wiele, nie otwierając nawet oczu.

- Śpij dobrze, Kalifornijczyku - szepnął. - Zabrałeś ze sobą jeszcze jednego z nich. Gdyby tylko reszta z nas dokonała choć tyle.

Tej nocy Gordonowi śniło się, że widzi, jak Benjamin Franklin gra w szachy z pudełkowatym żelaznym piecem.

- Sednem problemu jest równowaga - powiedział do swego wynalazku siwiejący uczoney i mąż stanu. Przypatrywał się szachownicy, ignorując Gordona. - Zastanawiałem się nad tym przez pewien czas. Jak możemy ustanowić system, który zachęca jednostki do starań i osiągnięć, a jednocześnie okazuje pewne współczucie słabym i eliminuje szaleńców oraz tyranów?

Płomienie lizały rozżarzoną kratę pieca niczym tańczące rzędy świateł. Słowami raczej widzianymi niż słyszczanymi urządzenie zapytało:

“...Kto weźmie na siebie odpowiedzialność...?”

Franklin wykonał ruch białym skoczkiem.

- Celne pytanie - powiedział, odchylając się do tyłu. - Bardzo celne pytanie. Oczywiście możemy ustanowić konstytucyjne gwarancje, lecz nie będą one nic znaczyć, jeśli obywatele nie dopilnują, by traktowano je poważnie. Chciwi i żądni władzy zawsze będą szukali sposobów na złamanie zasad bądź naciągnięcie ich zgodnie z własnym interesem.

Język płomieni wysunął się na zewnątrz. W trakcie tego procesu w jakiś sposób poruszył się czerwony pion.

“...Kto...”

Franklin wyciągnął chusteczkę i otarł sobie czoło.

- Nie kto inny, jak kandydaci na tyranów. Mają do dyspozycji zestaw starych jak świat metod: manipulację szarym człowiekiem, okłamywanie go bądź miażdżenie jego wiary w siebie. Mówi się, że władza korumpuje, lecz w rzeczywistości bardziej prawdziwa jest teza, że władza przyciąga tych, którzy pragną być skorumpowani. Zdrowych na umyśle ludzi zwykle pociągają inne rzeczy. Kiedy podejmują działanie, traktują je jak służbę, która ma swoje granice. Tyran natomiast dąży do panowania i jest w tym nienasycony i nieubłagany.

“...niemądre dzieci...” - zamigotały płomienie.

- Tak. - Franklin skinął głową, przecierając dwuogniskowe szkła. - Niemniej jestem przekonany, że pewne innowacje mogłyby okazać się pomocne. Na przykład: odpowiednie mity. Wtedy, o ile dobro będzie gotowe do poświęceń...

Wyciągnął rękę, ujął królową, zawahał się chwilę, po czym przesunął delikatną figurę z kości słońskiej aż na drugi koniec szachownicy, prawie pod rozgrzaną do czerwoności kratę.

Gordon pragnął ostrzec go krzykiem. Pozycja królowej była całkowicie odsłonięta. W pobliżu nie było nawet pionka, który by ją osłaniał.

Jego najgorsze obawy niemal natychmiast stały się rzeczywistością. Płomienie wyszły na zewnątrz. Po chwili czerwony król stał na stosie popiołów tam, gdzie przed chwilą była smukła, biała figura.

- O Boże, nie - jęknął Gordon. Nawet we śnie, gdy jego krytycyzm był osłabiony, wiedział, co się dzieje, i co to symbolizuje.

“...Kto weźmie na siebie odpowiedzialność...?” - zapytał po raz kolejny piec.

Franklin nie odpowiedział. Przesunął się tylko i zasiadł wygodniej w krześle, które zaskrzypiało, gdy się odwracał. Popatrzył prosto na Gordona nad oprawkami okularów.

“Ty też?” Śniącego opuściła odwaga. “Czego wszyscy ode mnie chcecie?”

Falująca czerwień. I uśmiech Franklina.

Obudził się nagle. Wytrzeszczył oczy, aż wreszcie dojrzał przykucniętego obok Johnny'ego Stevensa, który właśnie miał szarpnąć go za ramię.

- Gordon, lepiej chyba na to popatrz. Coś się stało ze strażnikami.

Usiadł i potarł powieki.

- Daj mi zobaczyć.

Johnny poprowadził go do wschodniej ściany szopy, w pobliże drzwi. Potrwało chwilę, nim jego oczy przyzwyczyły się do światła księżyca. Wreszcie Gordon dostrzegł dwóch surwiwalistycznych żołnierzy, którzy mieli ich pilnować.

Jeden leżał oparty o ławę z kłód. Usta miał szeroko rozdziawione, a szkliste oczy wbite w niskie chmury, od których dobiegały pomruki grzmotów.

Drugi holnista bulgotał jeszcze. Darł dłońmi ziemię, usiłując doczołgać się do swego karabinu. W jednej dłoni trzymał wydobyty z pochwy, wypolerowany nóż, lśniący w słabym blasku ogniska. Obok jego kolan leżał przewrócony gliniany kufel z pokrywką. Wokół ułamanego dziobka rozlało się brązową plamą piwo.

W kilka sekund po tym, jak zaczęli obserwować tę scenę, głowa drugiego ze strażników opadła na ziemię. Jego zmagania dobiegły końca.

Johnny i Gordon popatrzyli na siebie. Jak jeden pomknęli ku drzwiom, by sprawdzić, były jednak zamknięte. Johnny wysunął rękę przez szparę między deskami, usiłując dosięgnąć munduru strażnika. Klucze...

- Cholera! Jest za daleko!

Gordon zaczął podważać deski. Szopa z pewnością była tak słaba, że można by ją rozwalić ręcznie. Gdy jednak zabrał się do dzieła, zardzewiałe gwoździe zaskrzypiały. Włosy na karku stanęły mu dęba.

- Co zrobimy? - zapytał Johnny. - Jeśli pociągniemy mocno, obaj jednocześnie, może uda się nam szybko wydostać i pognać ścieżką do czółen...

- Psst!

Gordon nakazał gestem ciszę. W ciemności na zewnątrz coś się poruszyło.

Mała, obdarta postać, zdradzając nerwowość i niepewność, pomknęła ku oświetlonej blaskiem księżyca, położonej tuż obok szopy polance, na której leżeli obaj strażnicy.

- To ona! - wyszeptał Johnny. Gordon również rozpoznał ciemnowłosą wyrobnicę, tę samą, która napisała mały, żaloszny dodatek do listu Deny. Widział, jak przezwycięża zniewolenie i choć jest przerażona, podchodzi do każdego ze strażników, by sprawdzić, czy oddychają.

Kobieta trzęsła się jak liść. Jęczała cicho, gdy szukała kółka z kluczami za pasem drugiego z mężczyzn. By się do nich dostać, musiała precyzyjnie przesuwać palce przez sznur makabrycznych trofeów. Zamknęła jednak oczy i wydobyła pobrzękując cicho przedmiot.

Każda sekunda była udręką, gdy ich wybawicielka zmagiała się z zamkiem. Zeszła z drogi obu mężczyznom, gdy ci wypadli na zewnątrz i podbiegli do strażników, by pozbawić ich noży, pasów z amunicją oraz karabinów. Wciągnęli ciała do szopy i zamknęli za sobą drzwi.

- Jak masz na imię? - zapytał Gordon, przykucnąwszy obok skulonej kobiety. Oczy miała zamknięte, gdy odpowiedziała:

- H... Heather.

- Heather. Dlaczego nam pomogłaś?

Jej oczy otworzyły się. Były zdumiewająco zielone.

- Twoja... twoja kobieta napisała... - Opanowała się z widocznym wysiłkiem. - Nigdy nie

kapowała tego, co staruszki mówiły o dawnych czasach... Ale paru nowych więźniów opowiadało, jak jest na północy... a potem przyprowadzili ciebie... N... nie zbijesz mnie za mocno za to, że przeczytałam twój list, co?

Skuliła się, gdy Gordon wyciągnął rękę, by dotknąć jej policzka. Cofnął dłoń. Czułość była dla niej czymś zupełnie obcym. Przyszły mu do głowy różne możliwe zapewnienia, wybrał jednak najprostsze. Takie, jakie mogła zrozumieć.

- W ogóle cię nie zbiję - odparł. - Nigdy.

Obok niego pojawił się Johnny.

- Przy czólnach jest tylko jeden strażnik, Gordon. Chyba mam pomysł, jak go podejść. Może być znad Rogue, ale nie będzie się niczego spodziewał. Damy radę go załatwić.

Gordon skinął głową.

- Musimy ją zabrać ze sobą - stwierdził.

Johnny sprawiał wrażenie rozdartego między współczuciem a wymogami rozsądku. Najwyraźniej uważał, że jego głównym obowiązkiem jest wydostać stąd Gordona.

- Ale...

- Zorientują się, kto otrul strażników. Jeśli zostanie, ukrzyżują ją.

Johnny zamrugał powiekami, po czym skinął głową. Sprawiał wrażenie zadowolonego, że jego dylemat znalazł tak proste rozwiązanie.

- Dobra. Ale już ruszajmy!

Zaczęli się podnosić, lecz Heather złapała Gordona za rękaw.

- Mam przyjaciółkę - powiedziała i kiwnęła ręką w kierunku ciemności.

Z cienia drzew wyszła szczupła postać odziana w spodnie i w koszulę o kilka numerów za dużą, ciasno przewiazaną wielkim pasem. Mimo to kobietę tę łatwo było rozpoznać. Kochanka Charlesa Bezoara związała jasne włosy do tyłu. Niosła mały pakunek. Wyglądała na jeszcze bardziej podenerwowaną niż Heather.

Ostatecznie, pomyślał Gordon, ma więcej do stracenia, jeśli spróbuje ucieczki. Była widocznie bardzo zdesperowana, jeśli chciała połączyć swój los z dwoma przypadkowymi nieznajomymi z prawie mitycznej północy.

- Nazywa się Marcie - wyjaśniła starsza kobieta. - Nie byliśmy pewne, czy zechcecie nas przyjąć, więc przyniosła wam kilka prezentów.

Drżącymi dłońmi Marcie rozwiązała czarne opakowanie z nieprzemakalnego materiału.

- T... tu jest wasza p... poczta - oznajmiła. Wyjęła delikatnie papiery, jakby się obawiała, że sprofanuje je dotykiem.

Gordon omal nie roześmiał się w głos, ujrawszy plik niemal bezwartościowych listów. Umilkł jednak nagle, kiedy zobaczył, co jeszcze kobieta trzyma w ręku: małą, wystrzępioną książeczkę w czarnej oprawie. Mógł tylko zamrugać powiekami, zdawszy sobie sprawę, jakie wielkie ryzyko podjęła, by ją zdobyć.

- W porządku - powiedział. Wziął paczuszkę i zawiązał ją z powrotem. - Idźcie za nami i bądźcie cicho! Kiedy machnę ręką, padnijcie na ziemię i zaczekajcie na nas.

Obie uciekinierki skinęły z powagą głowami. Gordon odwrócił się z zamiarem poprowadzenia grupy, lecz Johnny pomknął już jako pierwszy ścieżką ku rzece.

“Tym razem się z nim nie sprzeczasz. Ma rację, do cholery!”

Wolność była czymś niewiarygodnie cudownym. Razem z nią zjawiał się jednak ten sukinsyn obowiązek.

Nienawidząc faktu, że ponownie stał się “ważny”, pochylił się i podążył za Johnnym,

prowadząc kobiety ku czółnom.

Nie mieli wyboru. Zaczęła się wiosenna odwilż i Rogue przerodziła się już w rwący strumień. Mogli popłynąć tylko z prądem i modlić się.

Johnny wciąż upajał się udanym zabójstwem. Wartownik nie odwrócił się, dopóki nie zbliżył się do niego na odległość dwóch kroków. Padł na ziemię niemal bezgłośnie, gdy Johnny rzucił się na niego, kończąc walkę trzema szybkimi uderzeniami noża. Młodzieniec z Cottage Grove był pochłonięty własnym bohaterskim wyczynem, gdy załadowywali obie kobiety do łodzi i odbijali od brzegu, pozwalając, by prąd wyniósł ich na środek rzeki.

Gordon nie miał serca powiedzieć tego swemu młodemu przyjacielowi, lecz widział twarz strażnika, nim wrzucili go do wody. Biedny Roger Septien sprawiał wrażenie zaskoczonego. Dotkniętego. Nie przypominał bynajmniej holnistsowskiego nadcześnika.

Przypominał sobie, jak sam zabił po raz pierwszy, prawie dwa dziesięciolecia temu. Strzelał do rabusiów i podpalaczy, gdy istniał jeszcze łańcuch dowodzenia, zanim jednostki milicji rozproszyły się w zamieszkach, celem uśmierzenia których je wysłano. Nie przypominał sobie, by czuł się wtedy dumny. Płakał w nocy nad ludźmi, których uśmiercił.

Ale teraz czasy były trudne, a martwy holnista cieszył, jakkolwiek by na to patrzeć.

Zostawili za sobą plażę pełną porozbijanych czołen. Każda chwila zwłoki przysparzała udreki, musieli jednak się upewnić, że pościg nie będzie zbyt łatwy. Poza tym, dało to kobietom jakieś zajęcie. Zabrały się do swego zadania z entuzjazmem. Zarówno Marcie, jak i Heather wydawały się później odrobinę mniej zastraszone i spłoszone.

Skupiły się w środku czołna. Gordon i Johnny chwycili za wiosła i zaczęli walkę o zapanowanie nad nie znaną im łodzią. Księżyc nieustannie chował się za chmurami i wynurzał zza nich, gdy szarpali wiosła, rozbryzgując wodę i usiłując jednocześnie złapać właściwy rytm.

Nie dotarli daleko, nim po raz pierwszy natknęli się na wartki nurt nad płycizną. Po chwili czas na praktykowanie się skończył. Pomknęli na łeb na szyję przez spienione bystrza, ledwie omijając połyskujące, wyniosłe głazy, które często dostrzegali dopiero w ostatniej chwili.

Rzeka była szalona. Napędzały ją roztopy. Jej gniewny ryk wypełniał powietrze. W pianie wodnej ugiwały się promienie księżyca. Nie sposób było walczyć z nurtem. Można było jedynie przymilać się mu, przekonywać go i odwracać jego uwagę. W ten sposób przeprowadzali kruchy stateczek przez ledwie dostrzegalne niebezpieczeństwa.

Na pierwszym spokojnym odcinku Gordon nakierował ich na wir. Obaj z Johnnym wsparli się o wiosła, popatrzyli na siebie i jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Marcie i Heather gapiły się na obu mężczyzn, którzy chichotali bez opamiętania pod wpływem adrenaliny oraz poszumu wolności we krwi. Johnny krzyknął głośno i uderzył w wodę wiosłem.

- No jazda, Gordon. To było fajne! Płyniemy dalej.

Gordon wstrzymał oddech. Otarł sobie z oczu wodną pianę.

- Dobra. - Potrząsnął głową. - Ale ostrożnie, zgoda?

Uderzyli jednocześnie wiosłami. Przechylił się mocno, gdy ponownie schwytał ich prąd.

- Cholera jasna - zaklął Johnny. - Myślałem, że poprzednim...

Jego słowa zagłuszył huk wody, lecz Gordon dokończył myśl.

“Myślałem, że poprzednim razem było kiepsko!”

Prześwity między skałami były wąskimi, śmiertcionośnymi gardłami. Czołno zgrzytnęło straszliwie, przepływając przez pierwsze z nich, po czym wystrzeliło do przodu, przechylając się

ostro.

- Schylcie się mocno! - krzyknął Gordon. Nie śmiał się już teraz, lecz walczył o życie.

“Trzeba było iść piechotą... trzeba było iść piechotą... trzeba było iść piechotą...”

Nieuniknione wydarzyło się jednak szybciej, niż się tego spodziewał - niecałe trzy mile w dół rzeki. Zatopione drzewo - kłoda ukryta tuż za twardą, skalną powierzchnią zakrętu ściany kanionu - smuga falującej wody ukryta w ciemności, nim stało się za późno, żeby Gordon mógł zrobić coś więcej niż zakląć i wbić wiosło w dno, by spróbować zmienić kierunek.

Aluminiowe czołno mogłoby wytrzymać takie zderzenie, lecz po latach wojny nie było już ani jednego. Wykonany z drewna i kory produkt domowej roboty pękł z udręczonym trzaskiem. Rozległy się krzyki kobiet, gdy wszyscy wpadli do lodowatej wody.

Nagły chłód spowodował szok. Gordon pochwyił haust powietrza i przytrzymał jedną ręką przewrócone do góry dnem czołno. Drugą wyciągnął przed siebie i złapał ciemne włosy Heather, akurat na czas, by nie pozwolić, aby porwał ją prąd. Starał się uniknąć jej rozpaczliwych objęć i utrzymać głowę nad wodą... usiłując jednocześnie zaczerpnąć tchu we wzburzonej pianie wodnej.

Na koniec poczuł pod stopami piasek. Musiał wyęźać wszystkie siły, by walczyć z prądem i wciągającym stopy błotem. Wreszcie wywlókł na brzeg swój zdyszany ciężar i runął na matę gnijącej roślinności, pokrywającą stromy brzeg.

Heather kasłała i łkała tuż u jego boku. Usłyszał Johnny'ego i Marcie, którzy nieopodal parskali i pluli. Oznaczało to, że im również się udało. Nie została mu jednak ani iskierka energii, by mógł się ucieszyć. Leżał, oddychając ciężko, niezdolny się poruszyć. Miał wrażenie, że minęło wiele godzin.

Wreszcie odezwał się Johnny.

- Nie mieliśmy właściwie żadnego ekwipunku, który moglibyśmy utracić. Ale moja amunicja chyba zamokła. Zgubiłeś karabin, Gordon?

- Aha.

Usiadł z jękiem, dotykając rany na czole, którą miał od uderzenia rozpadającego się czołna.

Wydawało się, że nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń, choć kaszel zmienił się w trudny do opanowania dygot. Pożyczone przez Marcie ubranie przylegało do ciała jasnowłosej konkubiny w sposób, który mógłby mu się wydać interesujący, gdyby Gordon nie czuł się tak nieszczęśliwy.

- C... co zrobimy teraz? - zapytała.

Gordon wzruszył ramionami.

- Na początek wrócimy, żeby poszukać wraka i pozbyć się go.

Spojrzeli na niego, wytrzeszczając oczy.

- Jeśli go nie znajdą, uznają zapewne, że dotarliśmy dziś w nocy znacznie dalej - wyjaśnił. - Może się okazać, że to jedyna rzecz działająca na naszą korzyść. Potem, kiedy już to zrobimy, ruszymy dalej lądem.

- Nigdy nie byłem w Kalifornii... - powiedział Johnny.

Gordon musiał się uśmiechnąć. Od chwili gdy odkryli, że holniści mają jeszcze jednego wroga, chłopak niemal nie mówił o niczym innym.

Pomysł był kuszący. Ścigający z całą pewnością nie będą się spodziewać, że uciekli na południe.

Oznaczałoby to jednak, że musieliby sforsować rzekę. Ponadto, jeśli Gordon dobrze pamiętał, Salmon River leżała dość daleko na południe. Nawet gdyby istniały szanse, by przemknąć się przez kilkaset mil surwiwalistycznych baronii, po prostu nie mieli na to czasu. Nastąpiła wiosna i bardziej niż kiedykolwiek konieczne było, by wrócili do domu.

- Ukryjemy się wśród tych wzgórz, dopóki pościg nas nie minie - zdecydował. - Później możemy równie dobrze ruszyć w stronę Coquille.

Johnny, wiecznie radosny i pełen dobrej woli, nie pozwolił, by ich marne szanse go przygnębiły. Wzruszył ramionami.

- No to wracajmy po czółno.

Wskoczył do lodowatej wody, sięgającej do pasa. Gordon wybrał mocny kawał wyrzuconego przez prąd drewna, by użyć go jako oszczepu, po czym podążył za chłopakiem, lecz nieco ostrożniej. Za drugim razem zimno było tak samo przenikliwe. Palce u nóg zaczynały mu drętwieć.

Dotarli już niemal obaj do przewróconego do góry dnem czółna, gdy Johnny wskazując palcem, krzyknął głośno:

- Poczta!

Na krawędzi wiru, w którym się znajdowali, widać było owinięty w nieprzemakalną tkaninę pakunek, oddalający się ku bystremu prądowi na środku rzeki.

- Nie! - krzyknął Gordon. - Zostaw ją!

Johnny jednak skoczył już głową naprzód w wartkie wody. Płynął z wysiłkiem ku oddalającej się paczce, choć Gordon wrzeszczał do niego:

- Wracaj, Johnny, ty durniu! To nic niewarte! Johnny!

Przyglądał się bezsilnie, jak zawiniątko wraz ze ścigającym je chłopakiem zniknęło za zakrętem rzeki. Tylko odrobinę dalej słychać było ciężki, bezlitosny łoskot bystrz.

Z przekleństwem na ustach Gordon rzucił się w lodowaty prąd. Płynął ze wszystkich sił, by doścignąć Johnny'ego. Serce mu waliło. Z każdym rozpaczliwym oddechem wciągał do płuc lodowatą wodę. Omal nie zniosło go w ślad za chłopakiem za zakręt, lecz w ostatniej chwili złapał za zwisającą nad rzeką gałąź i przytrzymał się jej... akurat na czas.

Przez zasłonę piany dostrzegł, jak jego młody przyjaciel runął w ślad za czarnym pakunkiem w najgorszą z dotychczasowych kaskad, straszliwy chaos hebanowych zębów i piany wodnej.

- Nie - wyszeptał ochryple. Patrzył, jak Johnny'ego i paczkę zniosło razem za występ. Zniknął w czeluści.

Nie przestawał się gapić, choć włosy przesłaniały mu oczy i lepiły się do skóry, a piekące kropelki oślepiały go, mijały jednak minuty i nic nie wyłaniało się ze straszliwego wiru.

Wreszcie gałąź zaczęła mu się wyslizgiwać z dłoni i Gordon musiał się wycofać. Przesuwał się, ręka za ręką, wzdłuż chwiejnego konaru, dopóki nie dotarł na płytką, wolno płynącą wodę u brzegu. Potem, mechanicznie, zmusił swe stopy, by poniosły go w górę rzeki. Przelazł obok wytrzeszczających oczy kobiet i podszedł do zniszczonego czółna z kory.

Użył kawału wyrzuconego na brzeg drewna jako haka, by pociągnąć łódkę za sobą ku wystającemu fragmentowi ściany kanionu i tam roztrzaskał ją na niemożliwe do rozpoznania drzazgi.

Łkając, nie przestawał uderzać i chłostać wody na długo po tym, jak kawałki łódki zatoneły bądź odpłynęły daleko.

Spędzili cały dzień wśród jeżyn i zielska pod walącym się betonowym bunkrem. Przed wojną zagłady musiała to być wysoko ceniona kryjówka jakiegoś surwiwalisty. Teraz jednak obróciła się w ruinę - zniszczoną, poraną śladami kul i splądrowaną.

Kiedyś, w przedwojennych czasach, Gordon wyczytał gdzieś, że niektóre okolice kraju były wprost usiane podobnymi schronieniami, wyposażonymi w zapasy przez ludzi, których hobby polegało na rozmyślaniu o upadku społeczeństwa i wyobrażaniu sobie, co uczynią, gdy już do niego dojdzie. Istniały kursy, ćwiczenia, hobbystyczne czasopisma... cały przemysł zaspokajający "potrzeby" znacznie szersze niż wymagania przeciętnych wędrowców czy turystów.

Niektórzy po prostu lubili marzyć bądź żywili stosunkowo nieszkodliwą namiętność do broni palnej. Tylko nieliczni byli zwolennikami Nathana Holna, a większość zapewne poczuła przerażenie, gdy ich fantazje wreszcie się zrealizowały.

Kiedy ten czas nadszedł, większość samotniczych "surwiwalistów" zginęła w swych bunkrach, w samotności.

Walki i deszczowy las pochłoneły nieliczne resztki pozostawione przez kolejne fale szabrowników. Zimna ulewa uderzała w betonowe bloki, gdy troje uciekinierów na zmianę pełniło straż bądź spało.

Raz usłyszeli krzyki i plusk końskich kopyt w błocie. Ze względu na kobiety Gordon starał się zachować dobrą minę. Uważał, by zostawić jak najmniej śladów, lecz jego obie podopieczne nie miały doświadczenia zwiadowczyń z Armii Willamette. Nie był bynajmniej pewien, czy zdołają oszukać najlepszych leśnych tropicieli od czasów Cochise'a.

Jeźdźcy ruszyli dalej. Zbiegowie mogli się na moment uspokoić. Gordon zapadł w drzemkę.

Tym razem nic mu się nie śniło. Był zbyt wyczerpany, by marnować energię na duchy.

Musieli zaczekać na wschód księżyca, nim tej nocy ruszyli w drogę. W pobliżu było kilka szlaków, które często krzyżowały się ze sobą, lecz Gordon zdołał jakoś poprowadzić grupkę we właściwym kierunku, używając jako przewodnika półtrwałego lodu, pokrywającego pnie drzew od północy.

Trzy godziny po zachodzie słońca natknęli się na ruiny małej wioski.

- Illahee - zidentyfikowała ją Heather.

- Jest opuszczona - zauważył Gordon.

Skąpana w blasku księżyca osada duchów sprawiała niesamowite wrażenie. Wydawało się, że wyczyszczono ją ze wszystkiego, zarówno w dawnej posiadłości barona jak i w najnędniejszej chacie.

- Wszystkich żołnierzy i poddanych wysłano na północ - wyjaśniła Marcie. - W ostatnich tygodniach opróżniono w ten sposób mnóstwo wiosek.

Gordon skinął głową.

- Toczą walkę na trzy fronty. Macklin nie żartował, kiedy mówił, że w maju będzie w Corvallis. Musi zdobyć Willamette lub zginąć.

Krajobraz był księżycowy. Wszędzie widać było młode drzewka, lecz wysokich drzew było mało. Gordon pojął, że musi to być jedno z miejsc, w którym holniści próbowali wprowadzić uprawę ziemi opartą na wyrębie i wypalaniu lasów. Tutejsze gleby nie były jednak tak żyzne, jak w dolinie Willamette. Eksperyment musiał zakończyć się niepowodzeniem.

Heather i Marcie, idąc, trzymały się za ręce. Z obawą rozglądały się na wszystkie strony. Gordon nie mógł nie porównywać ich z Deną i jej dumnymi, odważnymi Amazonkami albo radosną, pełną optymizmu Abby z Pine View. Uznał, że prawdziwy ciemny wiek nie był dla kobiet szczęśliwą epoką. Przynajmniej pod tym względem Dena miała rację.

- Pójdźmy przeszukać wielki dom - zaproponował. - Może znajdzie się tam coś do jedzenia.

To wzbudziło ich zainteresowanie. Pobiegły przed nim do opuszczonej rezydencji. Solidny, przedwojenny dom otaczały palisada i zasieki.

Gdy dogonił kobiety, siedziały przykucnięte nad dwoma ciemnymi kształtami leżącymi tuż za bramą. Gordon wzdrygnął się, gdy zobaczył, że obdzierają ze skóry dwa wielkie owczarki niemieckie. Ich pan nie mógł zabrać ich ze sobą w podróż morską - zrozumiał, ogarnięty lekkimi mdłościami. Niewątpliwie holnistowski baron Illahee odczuwał większy żal po cenionych zwierzętach niż po niewolnikach, którzy mieli umrzeć podczas masowego exodusu do ziemi obiecanej na północy.

Mięso wydzielalo już przykrą woń. Gordon postanowił, że wstrzyma się od jedzenia, dopóki nie znajda czegoś lepszego. Kobiety nie były jednak tak wybredne.

Jak dotąd sprzyjało im szczęście. Wydawało się, że poszukiwania zwróciły się na zachód, oddalając się od kierunku, w którym zmierzali uciekinierzy. Być może ludzie generała Macklina znaleźli ciało Johnny'ego, co stało się fałszywym potwierdzeniem, że ślad prowadzi ku morzu.

Tylko czas jednak mógł pokazać, jak długo szczęście będzie im sprzyjało.

Wąski, wartki strumień zawracał na północ z okolic opuszczonego Illahee. Gordon uznał, że nie może to być nic innego, jak południowa odnoga Coquille. Oczywiście nigdzie nie leżały żadne przydatne czółna. Nurt zresztą nie sprawiał wrażenia żeglownego. Musieli wędrować na piechotę.

Wzdłuż wschodniego brzegu, w kierunku, w którym pragnęli się udać, wiodła stara droga. Nie mieli innego wyboru, jak z niej skorzystać, bez względu na oczywiste niebezpieczeństwa. Tuż przed nimi piętrzyły się rysujące się na tle rozświetlonych blaskiem księżyca chmur góry, blokujące każdą inną możliwą do pomyślenia trasę.

Dobrze chociaż, że będą się posuwać szybciej niż grząskimi szlakami. Taką przynajmniej Gordon żywił nadzieję. Pochlebstwami nakłaniał pełne stoickiej rezygnacji kobiety do utrzymania powolnego, miarowego tempa. Obie ani razu nie poskarżyły się ani nie sprzeciwiły. W ich oczach nie dostrzegł też śladu wyrzutu. Nie potrafił określić, czy to odwaga, czy brak nadziei każe im wlec się naprzód mila za milą.

Nie był też pewien, dlaczego sam się nie poddaje. Po co to wszystko? Po to, by żyć w świecie ciemności, którego nadejście wydawało się nieuniknione? Biorąc pod uwagę, w jakim tempie gromadził duchy, "przejście na drugą stronę" zapewne wyda mu się powrotem do domu.

"Dlaczego? - zadał sobie pytanie. Czy jestem jedynym dwudziestowiecznym idealistą, który pozostał przy życiu?"

Być może, zadumał się. Możliwe, że idealizm naprawdę był chorobą, szalbierstwem, tak jak twierdził Charles Bezoar".

George Powhatan również miał rację. Nie było rozsądne walczyć o wielkie sprawy... na przykład o cywilizację. Osiągało się w ten sposób tylko tyle, że młode dziewczęta i młodzi chłopcy uwierzywszy w nie, poświęcali życie, czyniąc bezużyteczne, niczego nie przynoszące gesty.

Bezoar miał rację. Powhatan miał rację. Nawet Nathan Holn, choć był potworem, powiedział w zasadzie prawdę o Benie Franklinie i jego koleżkach konstytucjonalistach. O tym, jak oszustwem skłonili ludzi do uwierzenia w podobne rzeczy. Byli propagandystami, przy których Himmler i Trocki

powinni się czerwień z wstydu jako amatorzy.

“...Uważamy te prawdy za oczywiste...”

Ha!

A potem było Stowarzyszenie Cyncynatów utworzone przez oficerów Jerzego Waszyngtona, którzy - choć pewnej nocy niemal już rozpoczęli rebelię - dali się zawstydzić swemu surowemu dowódcy do tego stopnia, iż złożyli płacziwą, solenną przysięgę... że pozostaną przede wszystkim farmerami i obywatelami, a żołnierzami będą tylko wtedy, gdy ojczyzna znajdzie się w potrzebie.

Czym pomysłem była ta bezprecedensowa przysięga? Obietnicy dotrzymywano przez całe pokolenie, wystarczająco długo, by ideał się utrwalił. Jej zasady przetrwały aż do ery zawodowych armii i technicznej wojny.

To znaczy, do końca dwudziestego wieku, gdy pewne siły uznały, że z żołnierzy powinno się zrobić coś więcej niż zwykłych ludzi. Myśl o tym, jak Macklin i jego wzmocnieni weterani rzucają się na niczego nie podejrzewających mieszkańców Willamette, przyprawiała Gordona o rozpacz. Nie było jednak nic, co on lub ktokolwiek inny mógłby w tej sprawie zrobić.

“Guzik można na to poradzić - pomyślał z przekąsem. Ale to nie przeszkodzi cholernym duchom mnie dręczyć”.

Z każdą milą mozolnej wędrówki południowa Coquille stawała się coraz szersza. Wzmacniały ją strumyczki spływające z okolicznych wzgórz. Zaczął padać drobny, dokuczliwy deszcz. Dał się słyszeć grom, tworzący kontrast z grzmiącym nurtem po ich lewej stronie. Gdy wyszli zza zakrętu, północną część nieba rozjaśniły odległe błyskawice.

Spoglądając na złowieszcze chmury, Gordon omal nie wpadł na Marcie, gdy ta zatrzymała się nagle. Wyciągnął rękę, by popchnąć ją delikatnie. Przez kilka ostatnich mil był zmuszony robić to coraz częściej. Tym razem jednak jej stopy wrosły w ziemię.

Odwróciła się do niego. W jej oczach kryło się przygnębienie przerastające wszystko, co Gordon widział w ciągu siedemnastu lat wojny. Zmrożony złowieszczy przeczuciem, ominął ją i spojrzał na dalszy odcinek drogi.

W odległości około trzydziestu jardów przed nimi leżały ruiny starego przydrożnego punktu handlowego. Wyblakły szyld zachęcał do nabywania bajkowo tanich rzeźb z mirtowego drewna. Dwa zardzewiałe szkielety samochodów leżały przed budynkiem, na wpół pograżone w błocie.

Do szopy o pochyłych ścianach przywiązano cztery konie oraz dwukołowy wóz. Na ganku, pod pochyłym daszkiem, stał ze skrzyżowanymi rękoma generał Macklin. Uśmiechał się do Gordona.

- Zwiewajcie! - krzyknął Gordon do kobiet. Zanurkował w rosnący przy drodze gąszcz i padł na ziemię za porośniętym mchem pnem z karabinem Johnny'ego w dłoniach. Gdy tylko się poruszył, zrozumiał, że postąpił głupio. Macklin mógł jeszcze żywić szczątkowe pragnienie, aby nie pozbawiać go życia, lecz jeśli miałoby dojść do wymiany ognia, był już trupem.

Wiedział, że skoczył kierowany instynktem. Chciał oddalić się od kobiet i ściągnąć uwagę na siebie, by dać im szansę ucieczki. “Głupi idealista” - przeklął sam siebie. Marcie i Heather stały po prostu na drodze, zbyt zmęczone bądź zrezygnowane, by się poruszyć.

- No, to nie było za mądre - odezwał się Macklin swym najuprzejmiejszym i najbardziej niebezpiecznym głosem. - Wydaje ci się, że dasz radę mnie zastrzelić, panie inspektorze?

Gordonowi ta myśl zaświtała w głowie. Zależało to oczywiście od tego, czy wzmocniony pozwoli mu zbliżyć się na tyle, by mógł podjąć próbę. I od tego, czy dwudziestoletnia amunicja zadziała po kąpiel w Rogue.

Macklin nadal się nie ruszał. Gordon uniósł głowę. Ujrzał przez liście, że obok generała stoi Charles Bezoar. Na otwartej przestrzeni obaj sprawiali wrażenie łatwych celów. Gdy jednak Gordon

odciągnął zamek karabinu i zaczął się czołgać naprzód, zrobiło mu się niedobrze. Przypomniawszy sobie, że były tam cztery konie.

Tuż nad jego głową rozległ się nagły trzask. Nim zdążył zareagować, miażdżący ciężar runął mu na plecy. Uderzył mostkiem w łożysko karabinu.

Gordon otworzył szeroko usta, lecz nie mógł wciągnąć przez nie powietrza! Zaledwie był w stanie naprężyć mięśnie, gdy poczuł, że ktoś unosi go za kołnierz w powietrze. Karabin wysliznął mu się z niemal całkowicie odrętwiających palców.

- Czy ten typek naprawdę załatwił w zeszłym roku dwóch naszych?! - krzyknął za jego uchem niski, ochrypły, pełen radosnej drwiny głos. - Wygląda mi raczej na muła.

Wydawało się, że trwa to wieczność, lecz wreszcie coś wewnątrz Gordona otworzyło się. Znowu mógł oddychać. Wessał głośno powietrze do płuc. W tej chwili obchodziło go to bardziej niż godność.

- Nie zapominaj o tych trzech żołnierzach z Agness! - zawołał do swego człowieka Macklin. - Oni również są na jego koncie. To znaczy, że ma u pasa pięć holnistowskich uszu, Shawn. Nasz pan Krantz zasługuje na uznanie. A teraz przyprowadź go tu, proszę. Jestem pewien, że i on, i panie ucieszą się z możliwości ogrzania się.

Stopy Gordona ledwie dotykały ziemi, gdy napastnik prawie poniósł go za kołnierz przez gąszcz, a potem w poprzek drogi. Wzmocniony nawet nie był zdyszany, kiedy rzucił go bez ceremonii na ganek.

Stojący pod dziurawym daszkiem Charles Bezoar wpatrywał się intensywnie w Marcie. Oczy holnistowskiego pułkownika płonęły wstydem i obietnicą zemsty. Marcie i Heather patrzyły jednak tylko na Gordona. Milczały.

Macklin przykucnął obok jeńca.

- Zawsze podziwiałem mężczyzn, którzy mają podejście do pań. Muszę przyznać, że potrafisz sobie z nimi radzić, Krantz. - Uśmiechnął się i kiwnął głową do muskularnego adiutanta. - Wprowadź go do środka, Shawn. Kobiety muszą zająć się swoją robotą, a ja i pan inspektor mamy trochę nie ukończonych spraw do obgadania.

- Rozumiesz, wiem już wszystko o twoich babkach.

Porośnięty pleśnią, walący się punkt handlowy wciąż wirował przed oczami Gordona. Trudno mu było skupić wzrok na czymkolwiek, a co dopiero na mówiącym do niego mężczyźnie.

Wisiał na sznurze owiązanym wokół kostek. Jego ręce zwisały około dwóch stóp nad zabłoconą, drewnianą podłogą. Generał Macklin siedział przy kominku, strugając nożem kij. Spoglądał na Gordona za każdym razem, gdy nieustanne, dręczące kołysanie się jeńca sprawiało, że znajdowali się twarzą w twarz. Przez większość czasu uśmiechał się.

Ucisk w kostkach i ból w czole oraz w mostku były niczym w porównaniu z ciężarem krwi napływającej do mózgu. Zza tylnych drzwi dobiegało ciche skomlenie - dźwięk sam w sobie żaloszny, lecz przynoszący niewątpliwą ulgę po krzykach słyszalnych przez ostatnie pół godziny. Wreszcie Macklin kazał Bezoarowi przestać i pozwolić kobietom wziąć się do roboty. Miał w sąsiedniej izbie pojmaną, którą trzeba się było zająć, i nie życzył sobie, by Marcie i Heather pobito do nieprzytomności, kiedy mogły się jeszcze przydać.

Chciał też, by pozwolono mu w spokoju i ciszy przeciągać rozmowę z Gordonem.

- Kilka tych zwariowanych agentek z Willamette żyło wystarczająco długo, by można je było przesłuchać - wyjaśnił mu łagodnym tonem holnistowski dowódca. - Ta, która przebywa w sąsiednim pokoju, nie okazała się dotąd skłonna do współpracy, ale mamy też raporty od naszych sił inwazyjnych, więc obraz jest dosyć jasny. Muszę wyrazić moje uznanie, Krantz. To był bardzo pomysłowy plan. Szkoda, że się nie udał.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym, u licha, mówisz, Macklin.

Obrzęknięty język sprawiał, że trudno mu było mówić.

- Och, ależ widzę po twojej twarzy, że masz - stwierdził jego strażnik. - Nie ma już potrzeby dochowrywać tajemnicy. Nie musisz się więcej niepokoić o swe dzielne, młode żołnierki. Ze względu na to, jak podstępnie zaatakowały, ponieśliśmy pewne straty, idę jednak o zakład, że znacznie mniejsze niż na to liczyłeś. Wszystkie twoje "kobiety-zwiadowcy z Willamette" oczywiście już nie żyją bądź są w łańcuchach. Niemniej, gratuluję godnego uznania planu.

Gordonowi zabiło serce.

- Ty sukinsynu. Nie przypisuj zasługi mnie. To był ich pomysł! Nie wiem nawet, co miały zamiar zrobić!

Dopiero po raz drugi Gordon zobaczył na twarzy Macklina wyraz zaskoczenia.

- No, no - odezwał się wreszcie wódz barbarzyńców. - Kto by pomyślał. Feministki w tej epoce! Mój drogi inspektorze, wygląda na to, że przybyszymy na ratunek nieszczęsnym ludziom z Willamette doprawdy w ostatniej chwili.

Na jego twarz powrócił uśmiech.

Zadowolenie na tym obliczu było czymś, czego Gordon nie był w stanie znieść. Poszukał czegokolwiek, czym mógłby je stamtąd wymazać.

- Nigdy nie zwyciężycie, Macklin. Nawet jeśli spalicie Corvallis, zmiążdżycie każdą wioskę i rozwalicie Cyklopa na kawałki, ludzie nigdy nie przestaną z wami walczyć!

Lecz spokojny uśmiech nie zniknął z twarzy Macklina. Generał cmoknął i potrząsnął głową.

- Masz nas za niedoświadczonych? Mój drogi kolego, w jaki sposób Normanowie ujarzmili licznych i dumnych Sasów? Jakiego sekretu użyli Rzymianie, aby poskromić Galów? Jesteś doprawdy romantykiem, mój panie, jeśli nie doceniasz siły terroru. Poza tym - ciągnął Macklin, który

znów usiadł i wrócił do strugania - zapominasz, że nie pozostaniemy obcymi na długo. Będziemy werbować waszych ludzi. Niezliczeni młodzi mężczyźni rozumieją, że lepiej jest być panem niż poddanym. Ponadto, w przeciwieństwie do średniowiecznej szlachty, my, nowi feudałowie, wierzymy, że wszyscy mężczyźni powinni mieć prawo walczyć o swój pierwszy kolczyk. To właśnie jest prawdziwa demokracja, mój przyjacielu. Taka, do której Ameryka zmierzała przed zdradą konstytucjonalistów. Nawet moi synowie muszą zabić, by zostać holnistami. W przeciwnym razie będą orać ziemię dla tych, którzy potrafią zabijać. Znajdziemy rekrutów. Uwierz mi, że aż nazbyt wielu. Dzięki zdumiewającej liczbie ludności, jaką macie na północy, zbudujemy w ciągu dziesięciolecia armię, jakiej nie widziano od czasu, gdy "Franklinsteińska" cywilizacja załamała się pod ciężarem własnej hipokryzji.

- Co każe ci sądzić, że inni wasi wrogowie dadzą wam aż dziesięć lat? - Gordon zazgrzytał zębami. - Wydaje ci się, że Kalifornijczycy pozwolą wam siedzieć na zdobytych terenach wystarczająco długo, żebyście mogli wylizać się z ran i zbudować tę waszą armię?

Macklin wzruszył ramionami.

- Wypowiesz się o sprawach, o których wiesz bardzo mało, mój drogi kolego. Gdy tylko się wycofamy, luźna konfederacja na południu rozpadnie się i zapomni o nas. A nawet gdyby zdołali puścić w niepamięć swe nieustanne spory i zjednoczyć się, ci "Kalifornijczycy", o których mówisz, potrzebowałiby całego pokolenia, by dosięgnąć nas w naszym nowym królestwie. Wtedy będziemy już w pełni przygotowani do kontrataku. Ponadto - i to jest najbardziej zachwycające - nawet gdyby nas ścigali, żeby nas dopaść, musieliby ominąć twojego przyjaciela z góry Sugarloaf!

Macklin roześmiał się, dojrawszy wyraz twarzy Gordona.

- Sądziłeś, że nie wiem o twojej misji? Och, panie Krantz, jak ci się zdaje, czemu przygotowałem zasadzkę na waszą grupę i kazałem przyprowadzić cię do mnie? Wiem dokładnie, że senior odmówił udzielenia pomocy komukolwiek poza linią łączącą Roseburg z morzem. Czy to jednak nie wspaniałe? "Mur Gór Callahan", sławny George Powhatan będzie trzymał się swej doliny i w ten sposób osłoni naszą flankę, pozwalając nam utrwalić panowanie na północy... aż wreszcie będziemy mogli rozpocząć wielką kampanię.

Generał uśmiechnął się melancholijnie.

- Często żałowałem, że Powhatan nigdy nie wpadł w moje ręce. Gdy nasze armie ścierały się ze sobą, zawsze mi się wymykał, zawsze kąsał nas w jakimś innym miejscu. Sądzę jednak, że tak będzie nawet lepiej! Niech sobie jeszcze żyje dziesięć lat na swej farmie, podczas gdy ja podbiję resztę Oregonu. Potem przyjdzie kolej na niego. Jestem pewien, panie inspektorze, że nawet patrząc ze swego punktu widzenia, zgodzisz się, iż zasłużył sobie wtedy na to, co go spotka.

Nie sposób było na to odpowiedzieć inaczej niż milczeniem. Macklin stuknął swym kijem w Gordona na tyle mocno, by ten znowu zaczął się obracać. W rezultacie jeńcowi trudno było skupić spojrzenie, gdy otworzyły się frontowe drzwi i ukazała się para ciężkich mokasynów.

- Bili i ja sprawdziliśmy okolicę góry - zameldował swemu dowódcy potężny wzmocniony, Shawn. - Znaleźliśmy te same ślady, które widzieliśmy przedtem, te, które szły w górę rzeki. Jestem pewien, że to ten sam czarny sukinsyn, który podciął gardła strażnikom.

"Czarny sukinsyn..."

Gordon wydyszał bezgłośnie jedno słowo. Phil?

Macklin roześmiał się.

- No, nie! Wiesz co, Shawn? Nathan Holn nie był rasistą i ty również nie powinieneś nim być. Zawsze żałowałem, że mniejszości rasowe znalazły się w tak ciężkiej sytuacji podczas zamieszek i powojennego chaosu. Nawet silni spośród nich nie mieli większych szans się wykazać. Pomyśl o tym

murzyńskim żołnierzu. Poderżnął gardła trzem naszym wartownikom nad rzeką. Jest silny. Byłby z niego znakomity rekrut.

Nawet wisząc głową w dół i kręcąc się wokół osi, Gordon dostrzegł skwaszony wyraz twarzy Shawna. Wzmocniony nie sprzeciwił się jednak głośno swemu dowódcy.

- Szkoda, że nie mamy czasu na zabawy z tym facetem - ciągnął Macklin. - Idź go zabić, Shawn.

Krzepki weteran zniknął za drzwiami bez słowa i niemal bez dźwięku, zostawiając za sobą tylko wir poruszonego powietrza.

- Naprawdę wolałbym udzielić waszemu zwiadowcy ostrzeżenia - wyznał Gordonowi Macklin.

- Byłoby bardziej fair, gdyby wiedział, że ma przeciw sobie coś... niezwykłego.

Wzmocniony roześmiał się raz jeszcze.

- Niestety, w tych czasach grać uczciwie nie zawsze jest rozsądnie.

Gordon sądził, że do tej chwili czuł nienawiść. Zimny gniew, który ogarnął go teraz, nie był jednak podobny do niczego, co sobie przypominał.

- Philip, uciekaj! - krzyknął tak głośno, jak tylko mógł, modląc się, by jego głos przebił się przez bębnienie kropli deszczu. - Uważaj, to są...

Kij Macklina uderzył Gordona w policzek jak błyskawica. Jego głowa odskoczyła do tyłu. Świat rozmazał się. Omal nie pochłonęła go ciemność. Upłynęło wiele czasu, nim jeniec odzyskał jasność widzenia, mrugając oczyma pełnymi łez. Poczł smak krwi.

- Tak. - Macklin skinął głową. - Jesteś mężczyzną. Muszę to przyznać. Kiedy nadejdzie czas, postaram się dopilnować, byś zginął jak mężczyzna.

- Nie proszę cię o żadne przysługi. - Gordon zakrztusił się.

Macklin uśmiechnął się tylko i wrócił do strugania kija.

W kilka minut później otworzyły się drzwi znajdujące się z tyłu zniszczonego sklepu.

- Wracaj pilnować swoich bab! - warknął Macklin.

Charles Bezoar zamknął szybko drzwi do pozbawionego okien magazynu, gdzie Marcie i Heather zapewne nadal opatrywały pojmaną kobietę, której Gordon jeszcze nie widział.

- Najlepszy dowód na to, że nie każdy silny mężczyzna da się lubić - zauważył kwaśnym tonem Macklin. - Niemniej on jest użyteczny. Na razie.

Gordon nie miał pojęcia, czy upłynęły godziny czy tylko kilka minut, nim za oknami zabitymi deskami dał się słyszeć głośny tryl. Sądził, że to tylko okrzyk nocnego ptaka, lecz Macklin zareagował szybko. Zdmuchnął małą lampkę naftową i zasypał ogień w kominku.

- To za dobra zabawa, żeby ją sobie darować - powiedział do Gordona. - Wygląda na to, że chłopaki zaczęły fajny pościg. Mam nadzieję, że wybaczysz mi, jeśli opuszczę cię na kilka minut?

Złapał Gordona za włosy.

- Oczywiście jeśli wydasz z siebie choć najcichszy dźwięk pod moją nieobecność, zabiję cię, kiedy tylko wrócę. To obietnica.

Gordon nie mógł w swej pozycji wzruszyć ramionami.

- Idź spotkać się z Nathanem Holnem w piekle - odparł.

Macklin uśmiechnął się.

- Z pewnością przyjdzie taki dzień.

Ruszył do drzwi i pognął w ciemność i deszcz.

Gordon wisiał spokojnie, a jego wahadłowy ruch uspokajał się. Następnie zaczerpnął głęboko tchu i zabrał się do roboty.

Trzykrotnie próbował unieść ciało, by złapać sznur krępujący kostki. Za każdym razem opadał w

dół, jęcząc z bólu wywołanego nagłym szarpnięciem grawitacji. Za trzecim podejściem było to prawie nie do zniesienia. W uszach mu dzwoniło. Miał wrażenie, że słyszy jakieś głosy.

Wydawało mu się, że oczyma pełnymi łez dostrzega widzów przyglądających się jego wysiłkom. Że wszystkie duchy, które nagromadził w ciągu lat, ustawiły się pod ścianami. Przyszło mu do głowy, że chcą się zakładać o jego los.

“...weź... to...” - powiedział Cyklop w imieniu ich wszystkich, posługując się kodem falujących światełek widocznych wśród węgla kominka.

- Zostaw mnie - wymamrotał ze złością Gordon, rozgniewany na swą wyobraźnię. Nie miał czasu ani energii na podobne zabawy. Syknął mocno, przygotowując się do kolejnej próby, po czym z całej siły podźwignął się w górę.

Ledwie udało mu się złapać śliski od deszczu sznur. Chwycił się mocno obiema rękoma. Jego ciało drżało z wysiłku, zgięte wpół niczym złożony scyzoryk. Wiedział jednak, że nie wolno mu zwolnić uchwytu. Po prostu nie miał już sił na podjęcie następnej próby.

Mając obie ręce zajęte, nie mógł uwolnić się z więzów. Nie miał czym przeciąć sznura. Skoncentrował się maksymalnie. “Do góry. Będzie lepiej, jak staniesz”.

Powoli, ręka za ręką, podciągnął się po sznurze. Mięśnie mu drżały, grożąc napadem kurczów. Czuł też dotkliwy ból w klatce piersiowej i plecach. Wreszcie jednak udało mu się “stanać” z kostkami uwięzionymi w pętlach sznura, który przecinał prawie skórę. Trzymał się mocno, kołysząc się niczym żyrandol.

Pod ścianą Johnny Stevens, nie tracąc kontenansu, krzyknął z radości. Tracy Smith i inne z kobiet-zwiadowców uśmiechnęły się. “Całkiem niezłe, jak na mężczyznę” - zdawały się mówić.

Cyklop siedział w swym obłoku superzimnej mgły, grając w warcaby z dymiącym piecem Franklina. Oba urządzenia również wyglądały na zadowolone.

Gordon spróbował opuścić się w dół, by dobrać się do węzłów, lecz zacisnęło to pętle wokół jego nóg tak mocno, że omal nie zemdlął z bólu. Musiał się ponownie wyprostować.

“Nie w ten sposób”. Ben Franklin potrząsnął głową. Wielki manipulator popatrzył na niego nad oprawkami dwuogniskowych okularów.

- Nad szczytami jego... nad szcz...

Gordon popatrzył na mocną belkę, na której zawieszono sznur.

“A więc do góry i nad szczytem”.

Uniósł ręce i owinał je sobie sznurem. “Robiłeś to na gimnastyce, przed wojną” - powiedział sobie, gdy zaczął ciągnąć.

“Aha. Ale jesteś już stary”.

Łzy popłynęły mu z oczu, gdy zaczął się wspinać, ręka za ręką. Tam gdzie mógł, pomagał sobie kolanami. W plamie rzęs między powiekami duchy Gordona wydawały się tym bardziej realne, im bardziej wycężał siły. Awansowały z wytworów wyobraźni na halucynacje pierwszej klasy.

- Jazda, Gordon! - krzyknęła do niego Tracy.

Porucznik Van wzniósł w górę kciuk. Johnny Stevens uśmiechnął się zachęcająco, wraz z kobietą, która uratowała Gordonowi życie w ruinach Eugene.

Widmowy szkielet w wełnianej koszuli i skórzaney kurtce również się uśmiechnął. Wzniósł pozbawiony ciała kciuk. Na nagiej czaszce spoczywała niebieska czapka z daszkiem. Błyszczała na niej mosiężna odznaka.

Nawet Cyklop przestał zrzędzić, gdy Gordon włożył w nie kończącą się wspinaczkę wszystko, co mu zostało.

“Do góry...” - jęknął, chwytając śliskie konopie i walcząc z miazdzącym uściskiem grawitacji.

“Do góry, ty bezwartościowy intelektualisto... Ruszaj się albo zginiesz...”

Przełożył rękę nad szczytem nie heblowanej, drewnianej belki. Utrzymał się i po chwili dołączył do niej drugą.

To było wszystko. Nie mógł już dać z siebie nic więcej. Zawisł na belce za pachy, niezdolny ruszyć dalej. Przez płamę rzes spoglądały na niego duchy, wyraźnie rozczarowane.

“Och, ugryźcie się” - powiedział w myśli, nie mogąc wydobyć głosu.

“...Kto weźmie na siebie odpowiedzialność...” - zamigotały węgielki w kominku.

- Ty umarłeś, Cyklopie. Wszyscy umarliście! Zostawcie mnie w spokoju!

Doszczętnie wyczerpany Gordon zamknął oczy, by uciec przed swymi prześladowcami.

Dopiero tam, w ciemności, napotkał ostatniego ze swych duchów. Tego, którego wykorzystywał najbardziej bezwstydnie i który z kolei wykorzystywał jego.

To było państwo. Świat.

Twarze, pojawiające się i znikające wraz z plamkami pod jego powiekami... miliony twarzy, zdradzonych i zniszczonych, lecz nie zaprzestających walki...

...za Odrodzone Stany Zjednoczone.

...za odrodzony świat.

...za wymysł... ale taki, który uparczywie nie chciał umrzeć... który nie mógł umrzeć... dopóki żył Gordon.

Zastanowił się zdumiony. Czy to dlatego kłamał przez tak długi czas, dlatego opowiadał takie bajki? Dlatego, że nie mógł się ich wyrzec? Odpowiedział sam sobie.

“Bez nich załamałbym się i umarł”.

To śmieszne, że nigdy przedtem nie patrzył na to w ten sposób, nie z tak zdumiewającą jasnością. W mroku jego jaźni marzenie lśniło - nawet jeśli nie istniało w żadnym innym miejscu we wszechświecie - migocząc jak okrzemek, jasny pyłek unoszący się w ciemnym morzu.

Poza tym była absolutna ciemność i wyglądało to tak, jakby Gordon stał tuż przed nim. Wydało mu się, że ujął go w dłoń, zdumiony jego blaskiem. Klejnot zaczął rosnać. W jego fasetkach Gordon ujrzał coś więcej niż ludzi, więcej niż pokolenia.

Przyszłość ukształtowała się wokół niego, otaczając go i przenikając do serca.

Gdy ponownie otworzył oczy, leżał na szczycie belki, nie mogąc sobie przypomnieć, jak się tam znalazł. Usiadł, pełen niedowierzania. Zamrugał powiekami. Wydało mu się, że spektralne światło trysnęło z niego we wszystkich kierunkach, przenikając zniszczone ściany walącego się budynku, całkiem jakby one były snem, a jaskrawe promienie rzeczywistością. Jasność szerzyła się coraz dalej, bez granic. Przez krótki czas miał wrażenie, że może w owej łunie widzieć na nieskończoną odległość.

Nagle, równie tajemniczo jak się zjawilo, światło zniknęło. Energia najwyraźniej odpłynęła z powrotem do nieodgadnionego źródła, do którego się podłączył. W chwilę później powróciła rzeczywistość, fizyczne wyczerpanie i ból.

Drżąc, Gordon szarpał zasupłane pęta krępujące mu kostki. Bose, poranione stopy miał śliskie od krwi. Gdy wreszcie rozluźnił sznury, przywrócone krążenie wydało mu się milionem gniewnych owadów szalejących pod skórą.

Duchy wreszcie zniknęły. Wydawało się, że pochłonęła je niezwykła światłość, czymkolwiek była. Gordon był ciekawy, czy jeszcze kiedyś wróca.

Gdy spadła ostatnia pętla, usłyszał w oddali strzały, pierwsze od czasu, gdy Macklin go zostawił. Być może - miał taką nadzieję - znaczyło to, że Phil Bokuto jeszcze nie zginął. Bezgłośnie zyczył przyjacielowi szczęścia.

Przykucnął na belce, gdy przed wrotami magazynu rozległy się kroki. Drzwi otworzyły się powoli. Charles Bezoar spojrział na puste pomieszczenie. W jego oczach ukazała się panika. Wyciągnął automatyczny pistolet i wszedł do środka.

Gordon wolałby zaczekać, aż tamten znajdzie się pod nim, lecz Bezoar nie był idiotą. Na jego twarzy pojawił się wyraz mrocznego podejrzenia. Podniósł oczy w górę...

Gordon skoczył. Czterdziestkapiątka podniosła się i wypaliła w tej samej chwili, gdy się zderzyli.

W ferworze walki Gordon nie miał pojęcia, gdzie uderzyła kula ani czyja kość złamała się z trzaskiem. Złapał za pistolet, gdy potoczyli się razem po podłodze.

- ...zabiję cię! - warknął holnista.

Czterdziestkapiątka uniosła się ku twarzy Gordona. Musiał uchylić się na bok, gdy huknęła raz jeszcze, osmalając jego szyję parzącym prochem.

- Nie ruszaj się! - warknął Bezoar, przyzwyczajony do posłuszeństwa. - Niech no tylko...

Szamocząc się z przeciwnikiem, Gordon nagle wypuścił z ręki pistolet i zadał nią cios. Trafił pięścią w nasadę żuchwy Bezoara. Ciało holnisty ogarnęły konwulsje, a jego głowa walnęła o podłogę. Czterdziestkapiątka wystrzeliła dwukrotnie w ścianę.

Nagle Bezoar znieruchomiał.

Tym razem najbardziej bolała Gordona ręka. Podniósł się powoli i ostrożnie, uświadamiając sobie, że z pewnością oprócz innych licznych obrażeń ma złamane żebro.

- Nigdy nie rozmawiaj podczas walki - poradził nieprzytomnemu mężczyźnie. - To paskudny nawyk.

Marcie i Heather wypadły z magazynu. Wyciągnęły noże Bezoara. Gdy zobaczył, co zamierzają uczynić,omal ich nie powstrzymał,omal im nie kazał, by go tylko związały.

Nie zrobił tego jednak. Pozwolił im postąpić tak, jak chciały. Odwrócił się i wszedł do magazynu.

W środku było jeszcze ciemniej, lecz gdy jego oczy przyzwyczały się do mroku, dostrzegł w kącie szczupłą postać leżącą na brudnym kocu. Ręka uniosła się ku niemu. Rozległ się słaby głos.

- Gordon. Wiedziałam, że przyjdiesz po mnie... Czy to głupie? Brzmi... brzmi jak tekst bajki, ale... ale po prostu skądś wiedziałam.

Opadł na kolana obok umierającej kobiety. Podjęto prymitywne próby oczyszczenia i zabandażowania jej ran, lecz skłębione włosy i splamione krwią ubranie skrywały tyle uszkodzeń, że nawet nie odważył się na nie spojrzeć.

- Och, Deno.

Odwrócił głowę i zamknął oczy. Ujęła go za rękę.

- Użądliłyśmy ich, kochanie - powiedziała głosem cienkim jak brzmienie piszczałki. - Ja i inne dziewczyny... W niektórych miejscach naprawdę zaskoczyłyśmy sukinsynów! To... - Dena musiała przestać. Atak kaszlu sprawił, że niemal zgięła się w pół. Z ust popłynął jej strumyk płynu o barwie ochry. Kąciki ust miała poplamione.

- Nic nie mów - szepnął Gordon. - Znajdziemy sposób, by cię stąd wydostać.

Chwyciła jego podartą koszulę.

- Dowiedzieli się skądś o naszym planie... w więcej niż połowie miejsc byli ostrzeżeni, nim zdążyłyśmy uderzyć. Może któraś z dziewczyn zakochała się w tym, kto ją zgwałcił, jak według legendy z... zdarzyło się to H... Hypermestrze... - Dena potrząsnęła z niedowierzaniem głową. - Tracy i mnie niepokoiła ta możliwość, bo ciotka Susan powiedziała, że w dawnych czasach tak się niekiedy działo...

Gordon nie miał pojęcia, o czym mówi Dena. Bredziła. Wysilał swój umysł, by wykombinować jakiś sposób na przeniesienie beznadziejnie rannej, mającej kobiety przez całe mile nieprzyjacielskiego terytorium, zanim wróci Macklin i pozostali holniści.

Zrozpaczony, zrozumiał, że to po prostu niemożliwe.

- Chyba spieprzyliśmy sprawę, Gordon... ale próbowaliśmy! Próbowaliśmy...

Dena potrząsnęła głową. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy Gordon wziął ją w ramiona.

- Tak, wiem, kochanie. Wiem, że próbowaliście.

Przed oczyma miał mgłę. Pod brudem i ranami wyczuł jej zapach. Zdał sobie sprawę - o wiele za późno - ile to dla niego znaczy. Przytulił ją mocniej niż powinien. Nie chciał wypuścić jej z objęć.

- Wszystko będzie dobrze. Kocham cię. Jestem tu i zaopiekuję się tobą.

Westchnęła.

- Jesteś tu. Jesteś... - złapała go za ramię. - Jes...

Jej ciało wygięło się nagle. Zadrżała.

- Och, Gordon! - krzyknęła. - Widzę! Czy ty...

Spojrzał na chwilę w jej oczy. Dostrzegł w nich światło, które rozpoznał. Wtem wszystko się skończyło.

- Tak, widziałem to - powiedział łagodnym głosem, nadal trzymając jej ciało w ramionach. - Może nie tak wyraźnie jak ty. Ale ja też to widziałem.

Heather i Marcie siedziały w kącie zewnętrznego pomieszczenia, odwrócone do Gordona plecami. Były zajęte czymś, na co nie chciał patrzeć.

Czas na żałobę przyjdzie później. Teraz miał inne zadania, na przykład wydostanie stąd obu kobiet. Szansę były niewielkie, lecz jeśli zdoła doprowadzić je do gór Callahan, będą bezpieczne.

To jedno było wystarczająco trudne, lecz później czekały go inne obowiązki. Wróci jakoś do Corvallis, jeśli tylko leżało to w ludzkich możliwościach, a potem spróbuje sprostac śmiesznemu, pięknemu wyobrażeniu Deny o tym, co powinien uczynić bohater. Być może zginąć w obronie Cyklopa lub poprowadzić ostatnią szarżę "listonoszy" przeciw niezwyciężonemu wrogowi.

Zastanowił się, czy buty Bezoara będą na niego pasować, czy też - z uwagi na paskudnie spuchnięte kostki - lepiej będzie, jeśli pójdzie na bosaka.

- Przestańcie marnować czas - warknął na kobiety. - Musimy stąd zmiatać.

Gdy jednak nachylił się, by podnieść z podłogi automatyczny pistolet Bezoara, rozległ się niski, ochryply głos.

- Bardzo dobra rada, mój młody przyjacielu. Wiesz przecież, że chciałbym nazywać kogoś takiego jak ty przyjacielem. Oczywiście nie znaczy to, że nie wypruję ci flaków, jeśli spróbujesz podnieść tę broń.

Gordon zostawił pistolet tam, gdzie leżał. Podniósł się ciężko. Generał Macklin blokował otwarte drzwi, trzymając w ręku gotowy do rzucenia sztylet.

- Odsuń go kopniakiem - nakazał spokojnie.

Gordon usłuchał. Pistolet zakręcił się i pomknął w zakurzony kąt.

- Tak lepiej - Macklin schował nóż do pochwy. Gwałtownym ruchem głowy nakazał kobietom, żeby uciekały.

- Biegiem! Spróbujcie ocalić życie, jeśli chcecie i potrafcie.

Wybałuszając oczy, Marcie i Heather przemknęły obok Macklina. Uciekły w noc. Gordon nie wątpił, że będą biec przez deszcz, dopóki nie padną ze zmęczenia.

- Nie sądzę, by to samo odnosiło się do mnie? - zapytał ze zmęczeniem w głosie.

Macklin uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Chcę, byś udał się ze mną. Potrzebna mi twoja obecność.

Nakryta kołpakiem lampa naftowa oświetlała część położonej po drugiej stronie drogi polany. Od czasu do czasu wspomagały ją odległe błyskawice oraz blask księżyca przeświecający niekiedy przez skraj deszczowych chmur. Bębniąca ulewa przemoczyła Gordona do suchej nitki w kilka minut po tym, jak kuśtykając poszedł za Macklinem. Jego wciąż krwawiące kostki zostawiały w kałużach rozszerzające się plamy różowej mgły.

- Twój Murzyn jest lepszy, niż mi się zdawało - oznajmił Macklin, pociągnawszy Gordona na bok oświetlonego przez lampę okręgu. - Albo ktoś mu pomagał, a to jest raczej nieprawdopodobne. Moi chłopcy, którzy patrolują brzeg rzeki, zauważyliby więcej śladów, gdyby miał towarzystwo. Tak czy inaczej, Shawn i Bill byli nieostrożni, więc zasłużyli na to, co ich spotkało.

Po raz pierwszy Gordon zaczął się domyślać, co się dzieje.

- Chcesz powiedzieć...

- Nie ciesz się jeszcze - warknął Macklin. - Moi żołnierze są w odległości niecałej mili, a w sakwie u siodła mam pistolet Very. Nie widzisz, bym krzyczał o pomoc, co? - Uśmiechnął się raz

jeszcze. - Teraz ci pokażę, o co chodzi w tej wojnie. Zarówno ty, jak i twój zwiadowca jesteście silnymi ludźmi, którzy powinni byli zostać holnistami. Tak się nie stało z uwagi na propagandę słabości, w której zostaliście wychowani. Wykorzystam tę sposobność, by wam zademonstrować, jak słabymi was to czyni.

Macklin ścisnął ramię Gordona z siłą imadła i krzyknął w noc:

- Murzynie! Mówi generał Volski Macklin. Mam tu twojego dowódcę... twojego inspektora pocztowego Stanów Zjednoczonych! - Uśmiechnął się szyderczo. - Chcesz zdobyć dla niego wolność? Moi ludzie będą tu o świcie, mamy więc bardzo mało czasu. Chodź do mnie! Będziemy walczyć o niego! Masz prawo wyboru broni!

- Nie rób tego, Philip! To wzm...

Ostrzeżenie Gordona zmieniło się w jęk, gdy Macklin pociągnął go za ramię, omal nie wrywając mu go ze stawu. Szarpnięcie było tak silne, że runął na kolana. Poczł pulsujący ból w żebrach. Przez jego ciało przebiegły fale cierpienia.

- A fe! Daj spokój. Jeśli twój człowiek nie zna prawdy o Shawnie, to znaczy, że załatwił mojego przybocznego strażnika szczęśliwym strzałem. W takim przypadku z pewnością nie zasługuje na żadne specjalne względy. Mam rację?

Wymagało to ogromnego wysiłku woli, lecz Gordon uniósł głowę, sycząc przez zaciśnięte zęby. Przewyciężając kolejne fale mdłości, zdołał jakoś stanąć na chwiejnych nogach. Choć świat wokół niego kołysał się, nie zamierzał pozwolić, by zobaczono go na kolanach obok Macklina.

Ten chrząknął, jakby chciał powiedzieć, że tego należało oczekiwać od prawdziwego mężczyzny. Ciało wzmocnionego drżało jak ciało kota. Dygotało w oczekiwaniu na walkę. Czekali we dwóch, tuż za kręgiem światła. Mijały minuty. Deszcz nadchodził i odchodził szeleszczącymi strugami.

- To ostatnia szansa, Murzynie!

Szybkim jak błyskawica ruchem Macklin dotknął nożem gardła Gordona. Silny niczym anakonda uścisk wykręcił mu lewą rękę za plecy.

- Twój inspektor zginie za trzydzieści sekund, jeśli się nie pokażesz! Zaczynam liczyć czas!

To pół minuty mijało wolniej niż jakiegokolwiek dotąd w życiu Gordona. Co dziwne, czuł się obojętny, niemal zrezygnowany.

Wreszcie Macklin potrząsnął głową. W jego głosie brzmiało rozczarowanie.

- Fatalnie, Krantz - nóż przesunął się pod jego lewe ucho. - Chyba jest bystrzejszy niż...

Gordon wciągnął powietrze. Nie usłyszał nic, lecz nagle zdał sobie sprawę, że na granicy światła, w odległości niespełna piętnastu stóp, pojawiła się nowa para mokasynów.

- Obawiam się, że pańscy ludzie zabili tego odważnego żołnierza, którego pan wzywał.

Cichy głos przybysza rozległ się w chwili, gdy Macklin zasłaniając się Gordonem, obrócił się błyskawicznie.

- Philip Bokuto był wspaniałym człowiekiem - ciągnął tajemniczy nieznajomy. - Przybyłem zamiast niego, by odpowiedzieć na pańskie wyzwanie, gdyż on by tak uczynił.

W świetle lampy załśniła ozdobiona paciorkami opaska na głowę. Do kręgu wszedł mężczyzna o szerokich barach. Posiwałe włosy były związane z tyłu. Jego twarz o szorstkich rysach miała spokojny, smutny wyraz.

Gordon niemal wyczuwał radość Macklina, którą ten przekazywał mu za pośrednictwem swego potężnego uścisku.

- No, no. Sądząc z opisów, które słyszałem, może to być tylko senior Sugarloaf. Wreszcie opuścił pan swą górę i dolinę! Cieszę się bardziej niż może pan się domyślać. Witam doprawdy

serdecznie.

- Powhatan - Gordon zazgrzytał zębami, niezdolny nawet wyobrazić sobie, w jaki sposób i dlaczego tamten tu dotarł. - Zmiataj stąd do wszystkich diabłów, ty durniu! Nie masz szans! To wzmocniony!

Phil Bokuto był jednym z najlepszych żołnierzy, jakich Gordon spotkał w życiu. Jeśli jemu ledwo udało się złapać w zasadzkę słabszego z tych diabłów i do tego przy tym zginął, jakie szansę miał ten stary człowiek?

Powhatan wysłuchał ostrzeżenia Gordona. Zmarszczył brwi.

- Tak? Chodzi ci o te eksperymenty z wczesnych lat dziewięćdziesiątych? Myślałem, że wszystkich znormalizowano bądź zabito przed wybuchem wojny słowiańsko-tureckiej. Fascynujące. To wyjaśnia wiele wydarzeń dwóch ostatnich dziesięcioleci.

- A więc słyszałeś o nas.

Macklin wyszczerzył zęby.

Powhatan skinął z powagą głową.

- Słyszałem jeszcze przed wojną. Wiem także, dlaczego ów eksperyment przerwano. Głównie dlatego, że zwerbowano do niego najgorszy rodzaj ludzi.

- Tak twierdzili słabi - zgodził się Macklin. - Albowiem popełnili błąd, przyjmując ochotników spośród silnych.

Powhatan potrząsnął głową. Całemu światu mogłoby się wydawać, że toczy uprzejmy spór o charakterze semantycznym. Jedyne jego ciężki oddech zdradzał jakikolwiek ślad emocji.

- Przyjmowali wojowników... - ostatnie słowo wymówił z naciskiem - ...ten ogarnięty boskim szaleństwem typ ludzi, który ma tak wielką wartość, gdy jest potrzebny, a sprawia tak dużo kłopotów, kiedy jest zbędny. Dostali wtedy, w latach dziewięćdziesiątych, straszliwą nauczkę. Mieli ogromne trudności ze wzmocnionymi, którzy wróciwszy do domu, nadal kochali wojnę.

- Trudności to właściwe określenie - Macklin roześmiał się. - Pokażę ci, co to takiego trudności, Powhatan.

Odrzucił Gordona na bok, jakby nagle sobie o nim przypomniał. Schował nóż do pochwy, nim ruszył ku swemu dawnemu wrogowi.

Gordon po raz drugi padł z pluskiem w kałużę. Mógł tylko leżeć w błocie i jęczeć. Cały lewy bok szarpał go i palił, jakby był wypełniony rozżarzonymi węgielkami. Omal nie stracił przytomności. Nie opuściła go jedynie dlatego, że absolutnie nie chciał na to pozwolić. Gdy wreszcie był w stanie ponownie spojrzeć w górę przez ściśnięte bólem powieki, zobaczył, że obaj mężczyźni krążą wokół siebie wzdłuż granicy małej oazy światła, rzucanego przez lampę.

Oczywiście Macklin bawił się tylko z przeciwnikiem. Postura Powhatana robiła wrażenie, był silny jak na mężczyznę w jego wieku, lecz przy okropieństwach uwypuklających się na szyi, ramionach i udach Macklina mięśnie normalnego mężczyzny wyglądały żałośnie. Gordon przypomniał sobie pogrzebacz rozerwany przez wzmocnionego niczym cukierek toffi.

George Powhatan wciągał powietrze do płuc ciężkimi, drżącymi wdechami. Twarz miał zaczerwienioną. Mimo beznadziejności jego położenia, jakaś głęboko ukryta część jaźni Gordona była zaskoczona, gdy ujrzał na twarzy seniora tak wyraźne oznaki strachu.

“Wszystkie legendy muszą się opierać na kłamstwach - zrozumiał. Przesadzamy, a po chwili sami zaczynamy wierzyć we własne opowieści”.

Ślad spokoju pozostał jeszcze tylko w głosie Powhatana. Właściwie wydawał się on niemal obojętny.

- Jest coś, co, jak sędzę, powinien pan wziąć pod uwagę, generale - powiedział w przerwie między szybkimi oddechami.

- Później - warknął Macklin. - Później podyskutujemy o hodowli bydła i warzeniu piwa, seniorze. Najpierw udzielę panu lekcji bardziej przydatnych umiejętności.

Macklin runął naprzód szybko jak kot. Powhatan w ostatniej chwili odskoczył na bok. Gordona przeszył jednak dreszcz radości, gdy wyższy z walczących odwrócił się nagle i wymierzył kopniaka, który minął holnistę tylko o kilka cali.

Gordon poczuł nadzieję. Być może Powhatan miał wrodzony talent i szybkością - nawet w średnim wieku - niemal dorównywał Macklinowi. Jeśli tak było - biorąc też pod uwagę większy zasięg jego rąk - może mu się uda uniknąć straszliwego uścisku nieprzyjaciela...

Wzmocniony ponowił wypad. Złapał koszulę przeciwnika i rozerwał ją. Tym razem Powhatan umknął mu z jeszcze większym trudem. Zrzucił z siebie wyszywaną bluzę i uchylił się przed gradem uderzeń, z których każde mogłoby zabić wołu. Już prawie udało mu się zadać straszliwy cios kantem dłoni w nerki, gdy niższy mężczyzna przemknął obok niego. Holnista odwrócił się jednak z szybkością błyskawicy i złapał Powhatana za nadgarstek!

Ten, rzucając wyzwanie losowi, zbliżył się do przeciwnika i zdołał się uwolnić szarpnięciem do tyłu.

Wydawało się jednak, że Macklin oczekiwał tego manewru. Generał przetoczył się obok Powhatana, a gdy ten odwrócił się błyskawicznie, by podążyć za nim, wyciągnął szybko dłoń i złapał wyższego mężczyznę za drugą rękę. Uśmiechnął się, gdy Powhatan spróbował raz jeszcze się wysliznąć, tym razem bez skutku.

Oddalony od przeciwnika na odległość wyciągniętego ramienia, człowiek z doliny Camas szarpał się i dyszał. Pomimo zimnego deszczu sprawiał wrażenie zgrzanego.

“To koniec” - pomyślał rozczarowany Gordon. Mimo swych dawnych sporów z Powhatanem, próbował wymyślić jakiś sposób, by mu pomóc. Rozglądał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby rzucić we wzmocnionego potwora i odwrócić jego uwagę na chwilę wystarczającą, aby przeciwnik zdołał się wyrwać.

Wokół było jednak tylko błoto oraz kilka mokrych gałązek. Brakowało mu zresztą siły, by mógł choć odczołgać się z miejsca, gdzie go ciśnięto. Pozostawało mu leżeć bez ruchu i obserwując zakończenie, czekać na własną kolej.

- Teraz - oznajmił swemu nowemu jeńcowi Macklin. - Teraz może mi pan powiedzieć to, co ma pan do powiedzenia. Ale lepiej niech to będzie zabawne. Dopóki się uśmiecham, pan żyje.

Powhatan skrzywił twarz, gdy szarpnął się w rękach przeciwnika, sprawdzając jego żelazny uścisk. Nie przestawał ciężko dyszeć. Wyraz jego twarzy wydawał się teraz nieobecny, całkiem jakby senior był kompletnie zrezygnowany. Gdy wreszcie odpowiedział, jego głos brzmiał dziwnie rytmicznie.

- Nie chciałem tego. Mówiłem im, że nie mogę... za stary... opuścił mnie fart... - wypuścił z wysiłkiem powietrze i westchnął. - Błagałem je, żeby mnie nie zmuszały. I teraz, żeby skończyć z tym tutaj... - szare oczy zalśniły. - Ale to się nigdy nie kończy... chyba że śmiercią.

“Załamał się” - pomyślał Gordon. “Facet całkiem się rozkleił”. Nie chciał być świadkiem jego upokorzenia. “A ja opuściłem Denę, żeby odszukać tego sławnego bohatera...”

- To nie jest zabawne, seniorze - stwierdził zimnym tonem Macklin. - Proszę mnie nie nudzić, jeśli ceni pan chwile, które panu zostały.

Powhatan jednak sprawiał wrażenie roztargnionego, tak jakby naprawdę myślał o czymś innym, być może skupiał się na przypominaniu sobie czegoś, a rozmowę podtrzymywał tylko z uprzejmości.

- Po prostu... sądziłem, że powinien się pan dowiedzieć, iż wszystko zmieniło się trochę... gdy już opuścił pan program.

Macklin potrząsnął głową, ściągając brwi.

- O czym, u diabła, pan mówi?

Powhatan zamrugał powiekami. Po całym jego ciele przebiegł dreszcz. Macklin uśmiechnął się na ten widok.

- Chodzi mi o to... że nie chcieli zrezygnować z czegoś tak obiecującego, jak wzmacnianie... nie z tak błahego powodu, jak te niedociągnięcia, które wystąpiły pierwszym razem.

- Za bardzo się bali, by kontynuować eksperyment - warknął Macklin. - Bali się nas!

Powhatan zatrzepotał powiekami. Nie przestawał oddychać potężnymi, bezgłośnymi haustami.

Gordon wybałuszył oczy. Z tym facetem coś się działo. Oleiste kropelki potu załśniły na jego barkach i piersi, nim zmył je gęsty, nierówno padający deszcz. Jego mięśnie zadrżały, całkiem jak w ataku kurczów.

Gordon zastanawiał się, czy Powhatan rozpadnie się na jego oczach.

Jego głos wydawał się odległy, jakby odurzony.

- ...nowe wszczepy nie były tak wielkie ani tak potężne... miały raczej uzupełniać szkolenie w pewnych wschodnich sztukach... w biologicznym sprzężeniu zwrotnym...

Macklin odchylił głowę i roześmiał się głośno.

- Wzmocnieni neohippisi? Uch! Brawo, Powhatan! Świetny blef! To jest bomba!

Wydawało się jednak, że senior go nie słucha. Koncentrował się. Jego wargi poruszały się, całkiem jakby recytował coś, czego nauczył się na pamięć dawno temu.

Gordon wytrzeszczył oczy, mruganiem strząsnął z nich krople deszczu i wytrzeszczył je jeszcze bardziej. Wydało mu się, że na ramionach i barkach Powhatana załśniły smugi krzyżujące się na szyi i klatce piersiowej. Drżenie wzmogło się, przechodząc w miarowy rytm, który sprawiał teraz wrażenie nie tyle chaotycznego co... celowego.

- Ten proces wymaga też mnóstwa powietrza - wyjaśnił George Powhatan tonem tak łagodnym, jakby to była zwyczajna rozmowa. Nadal oddychając głęboko, zaczął się prostować.

Macklin przestał się już śmiać. Gapił się teraz z niedowierzaniem.

Powhatan mówił dalej, nie zmieniając tonu.

- Jesteśmy zamknięci w podobnych klatkach... choć pan najwyraźniej ma do swojej upodobanie... Obu nas uwięził ostatni akt arogancji aroganckich czasów...

- Pan nie może...

- Doprawdy, generale. - Powhatan uśmiechnął się bez złości do trzymającego go mężczyzny. - Skąd ta zdziwiona mina... Z pewnością nie sądził pan, że pan i pańskie pokolenie byliście ostatnimi?

Macklin musiał nagle dojść do tego samego wniosku, co Gordon. Zrozumiał, że George Powhatan mówi tylko po to, by zyskać na czasie.

- Macklin! - krzyknął Gordon.

Holnista nie pozwolił jednak, by odwróciło to jego uwagę. Długi, przypominający maczetę nóż wysunął się z pochwy z szybkością błyskawicy. Załśnił wilgotnym blaskiem w świetle lampy, gdy Macklin machnął nim w dół, ku unieruchomionej prawej ręce Powhatana.

Wciąż pochylony i nie przygotowany na atak, senior zareagował, uchylając się błyskawicznie. Nóż ześliznął się, pozostawiając jedynie drobną rysę. Powhatan złapał wolną dłoń nadgarstek przeciwnika.

Holnista krzyknął głośno, gdy zaczęli się ze sobą szamotać. Generał był silniejszy i sprawił, że ociekający wodą nóż zaczął się zbliżać do celu.

Powhatan postąpił nagle jeden krok i poruszył biodrami. Padł na plecy, przerzucając sobie Macklina nad głowę. Generał wylądował na nogach, nie puszczając przeciwnika. Tym razem on z kolei szarpnął mocno. Kręcąc się wokół niczym dwa ramiona bąka, rzucali nawzajem sobą z coraz większym impetem, aż wreszcie zniknęli w otaczającej krąg światła ciemności. Rozległ się trask. Potem następny. Dla Gordona brzmiało to tak, jakby słonie tratowały podszycie.

Krzywiąc twarz z bólu wywoływanego nawet najmniejszym ruchem, odczołgał się na tyle daleko od światła, by jego oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności. Zatrzymał się pod zmoczonym deszczem żywotnikiem. Popatrzył w kierunku, w którym zniknęli, lecz był w stanie śledzić walkę jedynie dzięki hałasowi oraz pierzchaniu małych leśnych zwierzątek, uciekających ze szlaku zniszczenia.

Gdy dwie zmagające się ze sobą postacie ponownie wypadły na polanę, ich ubrania zwisały w strzępach, a ciała pokrywały tuziny czerwonych strużek, wypływających z dziesiątków skaleczeń i zadrapań. Nóż zniknął, lecz nawet bez broni obaj wojownicy budzili przerażenie. Na ich drodze nie ocalały żadne chaszczki czy nawet małe drzewka. Strefa spustoszenia podążała za nimi wszędzie tam, gdzie przetaczała się bitwa.

W walce nie było rytuału ani żadnej elegancji. Mniejsza, silniejsza postać nacierała wściekle, usiłując zewrzeć się z przeciwnikiem. Wyższy mężczyzna starał się trzymać na dystans. Wydawało się, że jego ciosy przeszywają ze świstem powietrze.

“Nie przesadzaj - powiedział sobie Gordon. To tylko ludzie i do tego starzy”.

Niemniej częścią jaźni czuł pokrewieństwo ze starożytnymi, którzy wierzyli w olbrzymów - w podobnych ludziom bogów - od których pojedynków wrzały morza i wypiętrzały się łańcuchy górskie. Gdy walczący ponownie zniknęli w mroku, Gordona nawiedziła fala abstrakcyjnego zaciekawienia, które pojawiała się w jego umyśle zawsze wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewał. Z pełnym obiektywizmem zastanawiał się nad tym, że wzmacniania - podobnie jak wielu innych, nowo odkrytych mocy, użyto najpierw na potrzeby wojny. Tak jednak było zawsze, nim znaleziono inne zastosowania... chemia, samoloty, loty kosmiczne... Prawdziwe korzyści nadchodziły dopiero później.

Co by się stało, gdyby nie wybuchła wojna zagłady... gdyby ta technika połączyła się z szerzącymi się na całym świecie ideałami nowego odrodzenia i stała się dostępna dla wszystkich obywateli?

Co mogłaby wtedy osiągnąć ludzkość? “Czy cokolwiek byłoby poza naszym zasięgiem?”

Gordon oparł się o szorstki pień żywotnika i zdołał z trudem podźwignąć się na nogi. Chwiał się na nich niepewnie przez moment, po czym postawił ostrożnie jedną stopę przed drugą i zaczął kuśtykać krok za krokiem w kierunku, z którego dobiegały traski. Nawet nie myślał o ucieczce. Chciał być świadkiem tego, jak ostatni wielki cud dwudziestowiecznej nauki, w lesie ciemnego wieku, pod bębniącym deszczem i błyskawicami, odegra do końca swą partię.

Lampa rzucała ostre refleksy na stratowane krzaki jeżyn, lecz wkrótce znalazł się poza zasięgiem jej światła. Szedł kierując się hałasami do chwili, gdy wszystko nagle ucichło. Nie było już żadnych krzyków ani ciężkich wstrząsów, a tylko uderzenia piorunów i szum rzeki.

Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Osłaniając je dłonią przed deszczem, ujrzał wreszcie - na tle szarych chmur - dwie ostro zarysowane, czerwone sylwetki stojące na wzgórzu wznoszącym się nad rzeką. Jedna - skulona, przysadzista, o byczym karku - przypominała legendarnego minotaura. Druga była bardziej podobna do człowieka, ale jej długie włosy łopotwały na wietrze niczym wystrzępiony sztandar. Zupełnie już nadzy, obaj wzmocnieni spoglądali na siebie, kołysząc się i dysząc pod niebem, w którym szalała burza.

Nagle, jakby na znak, zwarli się ze sobą po raz ostatni.

Uderzył grom. Oślepiające schody błyskawicy trafiły w górę na drugim brzegu rzeki, smagając hukiem konary leśnych drzew.

W tej właśnie chwili Gordon ujrzał rysującą się na tle zygzakowatej drabiny postać. W ramionach wyciągniętych nad głową trzymała swego przeciwnika. Oślepiająca jasność trwała wystarczająco długo, by Gordon ujrzał, jak stojący człowiek naprężył się, zgiął i cisnął tego drugiego w powietrze. Czarny kształt wznosił się w górę przez całą sekundę, nim elektryczny blask zniknął i ponownie nastąpiła ciemność.

Odbicie tego obrazu w jego umyśle stopniowo zanikało. Gordon wiedział, że wirująca postać musiała spaść w dół, do kanionu i płynącego daleko w dole wzburzonego, lodowatego strumienia. W wyobraźni widział jednak, jak cień mknie prosto w górę, jakby odrzucono go od Ziemi.

Wiatr znosił potężne strugi deszczu na południe, w stronę wąskiego jaru. Gordon wymacał drogę do zwalonego pnia drzewa i usiadł na nim ciężko. Czekał tam po prostu, niezdolny nawet pomyśleć o poruszeniu się. Jego myśli kipiały tak samo, jak wezbrana, niosąca muł rzeka.

Wreszcie po lewej stronie rozległ się trzask łamanych gałązek. Z ciemności wyłonił się nagi człowiek, który podszedł do niego zmęczonym krokiem.

- Dena mówiła, że są tylko dwa typy mężczyzn, które się liczą - powiedział Gordon. - Zawsze uważałem to za zwariowaną ideę. Nie miałem pojęcia, że przed końcem rząd był tego samego zdania.

Tamten osunął się na rozdartą korę obok niego. Pod jego skórą falował i tętnił tysiąc maleńkich, pulsujących nitek. Krew sączyła się z setek zadrapań pokrywających całe ciało. Dyszał ciężko, wpatrując się w nicość.

- Przyjęli odmienną politykę, prawda? - zapytał Gordon. - Pod koniec odkryli na nowo mądrość.

Wiedział, że George Powhatan usłyszał go i zrozumiał. Nadal jednak nie odpowiadał.

Gordon uniósł się gniewem. Potrzebna mu była odpowiedź. Z jakiegoś głęboko ukrytego powodu musiał się dowiedzieć, czy Stanami Zjednoczonymi w ostatnich latach przed katastrofą zarządzili mężczyźni i kobiety honoru.

- Powiedz mi, George! Mówiłeś, że zrezygnowali z wykorzystywania wojowników. Kogo jeszcze mieli? Czy szukali ich przeciwieństwa? Niechęci do władzy? Ludzi, którzy walczyli dobrze, ale niechętnie?

Przed oczyma miał obraz zdziwionego Johnny'ego Stevensa - zawsze palącego się do nauki - szczerze próbującego przeniknąć zagadkę wielkiego wodza, który odrzuca koronę na korzyść pług. Nigdy właściwie nie wytłumaczył tego chłopakowi. A teraz było już za późno.

- No więc? Czy wskrzesili stary ideał? Czy celowo szukali żołnierzy, którzy uważali się przede wszystkim za obywateli? - Złapał Powhatana za drżące ramiona. - Niech cię cholera! Dlaczego nie powiedziałeś mi tego, kiedy przyjechałem aż z Corvallis, by cię błagać! Czy nie sądzisz, że kto jak kto, ale ja bym cię zrozumiał?

Senior doliny Camas miał zapadniętą twarz. Popatrzył Gordonowi w oczy przez bardzo krótką chwilę, po czym odwrócił z drżeniem wzrok.

- Możesz się założyć, że bym zrozumiał, Powhatan. Wiedziałem, co masz na myśli, kiedy powiedziałeś, że wielkie sprawy są nienasycone - zacisnął pięści. - Odbiorą ci wszystko, co kochasz, i będą żądać więcej. Ty to wiesz, ja to wiem... ten biedny głab Cyncynat też zdawał sobie z tego sprawę, kiedy im powiedział, że mogą sobie zatrzymać swoją głupią koronę! Twój błąd polegał na uwierzeniu, że to może się kiedyś skończyć, Powhatan! - Gordon dźwignął się chwiejnie na nogi. Wykrzyczał swój gniew na rozmówcę. - Czy naprawdę sądziłeś, że możesz się kiedykolwiek uwolnić od odpowiedzialności?

Gdy Powhatan wreszcie się odezwał, Gordon musiał się schylić, żeby go usłyszeć przez dźwięk gromu.

- Miałem nadzieję... byłem taki pewien, że mogę...

- Taki pewien, że możesz powiedzieć “nie” wszystkim wielkim kłamstwom! - Gordon roześmiał się z goryczą i sarkazmem. - Powiedzieć “nie” honorowi, godności i ojczyźnie? Co ci kazało zmienić zdanie? Wyśmiałeś Cyklopa i obietnicę techniki. Ani Bóg, ani litość, ani “Odrodzone Stany Zjednoczone” cię nie wzruszyły! Powiedz mi, Powhatan, jaka moc okazała się w końcu tak silna, że kazała ci podążyć za Philem Bokuto aż do tego miejsca i odszukać mnie?

Siedząc z zaciśniętymi pięściami, najsilniejszy człowiek na świecie - jedyny relikwiarz czasów, gdy żyli ludzie bliscy bogom - był podobny do małego chłopca, wyczerpanego i zawstydzonego.

- Masz rację - jęknął. - To nigdy się nie kończy. Wykonałem już swoją część, po tysiącokrotnie wykonałem! Chciałem tylko, by pozwolono mi zestarzeć się w spokoju. Czy to zbyt wiele? Powiedz mi? - W jego oczach widniał żal. - Ale to nigdy się nie kończy.

Powhatan podniósł wzrok. Po raz pierwszy spojrzał Gordonowi prosto w oczy.

- To były kobiety - stwierdził cicho, odpowiadając wreszcie na pytanie Gordona. - Od twojej wizyty i tych cholernych listów ciągle gadały, zadawały pytania. Potem nawet do mojej doliny dotarły wieści o tym szaleństwie na północy. Próbowałem... próbowałem im powiedzieć, że to, co zrobiły twoje Amazonki, to czyste wariactwo, ale one...

Głos Powhatana załamał się. Senior potrząsnął głową.

- Bokuto odjechał z hukiem zupełnie sam, żeby cię odnaleźć... a kiedy to się zdarzyło, patrzyły na mnie tak... Wciąż mnie dręczyły, dręczyły i dręczyły...

Jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

- Słodki Boże na niebie, wybac mi. Kobiety kazały mi to zrobić.

Gordon ze zdumienia zamrugał powiekami. Wśród bębniących kropli deszczu po szorstkiej, zgębnionej troskami twarzy ostatniego wzmocnionego popłynęły łzy. George Powhatan zadrżał i załkał rozdzierająco w głos.

Gordon osunął się na sękatą kłodę obok niego. Ciężar przepełnił go niczym zimowe roztopy pobliską rzekę Coquille. Po chwili jego wargi również zaczęły drżeć.

Uderzały błyskawice. Tuż obok szumiała rzeka. Obaj płakali razem w deszczu, lamentując tak, jak tylko mężczyźni potrafią lamentować nad sobą.

INTERLUDIUM

Sroga zima przeciąga się,

Aż ocean spełnia swój obowiązek

I przegania ją, przywołując wiosnę.

ANI CHAOS...

1

Nowa legenda rozniosła się po Oregonie, od Roseburga po Kolumbię na północy, od gór aż do morza. Przekazywano ją listownie i ustnie. Po każdym powtórzeniu obrastała w nowe szczegóły.

Była to opowieść smutniejsza od dwóch innych, które przysły przed nią - tej o mądrej, życzliwej maszynie i tej o odrodzonym państwie. Była też bardziej niepokojąca. Niemniej ta nowa bajka miała jedną istotną cechę, której brak było jej poprzedniczkom.

Była prawdziwa.

Opowiadała o grupie czterdziestu kobiet - wielu przyznawało, że szalonych - które złożyły wspólnie potajemną przysięgę, że zrobią wszystko, by zakończyć straszliwą wojnę, i to zanim wszyscy porządni mężczyźni zginą, próbując je ratować.

Kierowały się miłością - wyjaśniali jedni. Inni twierdzili, że zrobiły to dla ojczyzny.

Krążyły nawet pogłoski, że traktowały swą odyseję do piekła jako formę pokuty, zadośćuczynienia za jakieś przeszłe błędy kobiecego rodu.

Interpretacje były różne, lecz zasadniczy morał był zawsze taki sam, bez względu na to, czy przekazywano go ustnie czy za pośrednictwem Poczty Stanów Zjednoczonych. We wszystkich wioskach, osadach i gospodarstwach matki, córki i żony czytały listy i słuchały słów, a potem przekazywały je dalej.

* * *

Mężczyźni potrafią być wspaniali i silni - szeptały do siebie. Bywają też jednak wśród nich szaleńcy. I ci drudzy mogą zniszczyć świat.

“Kobiety, musicie ich osądzić...”

Nigdy już nie można pozwolić, by doszło do podobnych rzeczy, powtarzały jedna drugiej, myśląc o poświęceniu zwiadowczyń.

Nigdy już nie możemy pozwolić, by odwieczna walka toczyła się tylko między dobrymi a złymi mężczyznami.

“Kobiety, musicie wziąć na siebie część odpowiedzialności... i wykorzystać w walce własne uzdolnienia...”

Zawsze też pamiętajcie - taki był morał - że nawet najlepsi mężczyźni, bohaterowie, niekiedy zapominają o swych zadaniach.

“Kobiety, musicie od czasu do czasu im przypominać...”

28 kwietnia 2012

Szanowna Pani Thompson,

Dziękuję za Pani listy. Pomogły mi niezmiernie w powrocie do zdrowia, zwłaszcza że tak bardzo się niepokoilem, iż nieprzyjaciel mógł dotrzeć do Pine View. Wiadomość, że Pani, Abby i Michael jesteście bezpieczni, była dla mnie warta więcej, niż może Pani sobie wyobrazić.

Skoro już mowa o Abby, proszę jej powiedzieć, że wczoraj widziałem Michaela! Przybył, cały i zdrowy, wraz z pięcioma innymi ochotnikami, których Pine View przysłało na wojnę. Podobnie jak wielu naszych rekrutów, sprawiał wrażenie, że nie może się doczekać wyruszenia do walki.

Mam nadzieję, że nie stłumiłem jego entuzjazmu, kiedy mu opowiedziałem o niektórych swych doświadczeniach z holnistami. Sądzę jednak, że poświęci teraz więcej uwagi szkoleniu i być może będzie trochę mniej żądny wygrać wojnę w pojedynkę. Ostatecznie chcemy, żeby Abby i mała Caroline jeszcze go zobaczyły.

Cieszę się, że mogła Pani przyjąć Marcie i Heather. Wszyscy mamy dług u nich obu. Corvallis byłoby dla nich szokiem. Pine View powinno im umożliwić łatwiejsze przystosowanie.

Proszę powiadomić Abby, że przekazałem jej list paru dawnym profesorom, którzy mówią o wznowieniu wykładów. Za jakiś rok może tu powstać coś w rodzaju uniwersytetu, pod warunkiem, że wojna potoczy się pomyślnie.

Oczywiście to ostatnie nie jest absolutnie pewne. Fala się odwróciła, lecz czeka nas jeszcze bardzo długa walka ze strasliwym wrogiem.

Pani ostatnie pytanie jest kłopotliwe, Pani Thompson. Nie wiem, czy w ogóle potrafię na nie odpowiedzieć. Nie dziwi mnie, że opowieść o poświęceniu zwiadowczyń dotarła do was w góry. Powinna Pani jednak wiedzieć, że nawet tutaj nie jesteśmy jeszcze pewni wszystkich szczegółów.

Mogę teraz powiedzieć tylko tyle: Tak, dobrze znałem Denę Spurgen. I nie, nie sądzą, bym choć trochę ją rozumiał.

Szczerze się zastanawiam, czy kiedykolwiek ją zrozumiem.

Gordon siedział na ławce obok poczty w Corvallis. Opierając się plecami o chropowatą ścianę, grzał się w promieniach porannego słońca. Myślał o sprawach, których nie mógł poruszyć w liście do pani Thompson... sprawach, dla których nie potrafił znaleźć słów.

Do chwili wyzwolenia wiosek Chesire i Franklin, ludzie z Willamette znali jedynie pogłoski, gdyż ani jedna ze zwiadowczyń nie wróciła z samowolnego wypadu urządzonego w środku zimy. Po pierwszych kontratakach świeżo wyzwoleni niewolnicy zaczęli jednak powtarzać urywki opowieści. Powoli ułożyły się one w całość.

Pewnego zimowego dnia - w gruncie rzeczy już w dwa dni po tym, jak Gordon opuścił Corvallis, by wyruszyć w długą podróż na południe - zwiadowczynie zaczęły dezertować ze złożonej z farmerów i mieszkańców miasteczek armii. W kilkusobowych grupkach wymykały się na południowy zachód, by tam, nie uzbrojone, oddać się w ręce wroga.

Kilka zabito natychmiast. Inne zgwałcili i poddali torturom śmiejący się szaleńcy, którzy nie

chcieli nawet wysłuchać ich starannie przygotowanych deklaracji.

Większość jednak przyjęto - tak jak na to liczyły - z uwagi na nienasycony apetyt holnistów na kobiety.

Te, w ustach których mogło to zabrzmieć wiarygodnie, wyjaśniały, że mają dość życia jako żony farmerów i pragną dotyku "prawdziwych mężczyzn". Była to opowieść, w którą wyznawcy Nathana Holna byli skłonni uwierzyć. Tak przynajmniej wyobrażały sobie te, które stworzyły plan.

To, co nastąpiło później, z pewnością było trudne, być może nawet niewyobrażalne. Kobiety musiały bowiem udawać, i to przekonująco, dopóki nie nadeszła planowana noc krwawych noży. Noc, która miała ocalić kruche pozostałości cywilizacji przed niszczącymi je potworami.

Gdy wiosenna kontrofensywa przechodziła przez pierwsze odzyskane miasteczka, nie było jeszcze jasne, w którym dokładnie miejscu popełniono błąd. Być może któryś z najeźdźców stał się podejrzliwy i torturował jakąś biedną dziewczynę tak długo, aż zaczęła mówić. Niewykluczone też, że jedna z kobiet zakochała się w gwałtownym barbarzyńcy i odsłoniła przed nim serce w zdradzieckim wyznaniu. Dena miała rację. Historia wspomina o podobnych rzeczach. Mogło się to wydarzyć i tutaj.

A może po prostu niektóre z nich nie potrafiły kłamać wystarczająco dobrze bądź ukryć drżenia, gdy dotykali ich nowi panowie.

Bez względu na to, gdzie popełniono błąd, noc istotnie była krwawa. Tam gdzie ostrzeżenie nie dotarło na czas, kobiety ukradły kuchenne noże i wędrowały od pokoju do pokoju, nie przestając zabijać, aż wreszcie same padły w walce.

W innych miejscach po prostu ginęły, do końca przeklinając swych wrogów i plując im w twarz.

Rzecz jasna, była to klęska. Każdy potrafiłby to przewidzieć. Nawet tam, gdzie plan się "udał", zginęło zbyt mało najeźdźców, by sprawiło to jakąkolwiek różnicę. Poświęcenie kobiet-żołnierzy nie przyniosło nic w sensie militarnym.

Ich gest był tragicznym fiaskiem.

Więści rozeszły się jednak, docierając na drugą stronę frontu i w głąb górskich dolin. Mężczyźni słuchali, oniemiaли, i potrząsali głowami z niedowierzaniem. Kobiety również słuchały i, gdy były same, rozmawiały o tym z przejęciem. Spierały się i marszczyły w zamyśleniu brwi.

Na koniec wiadomość dotarła nawet daleko na południe. Przeobrażona w legendę trafiła na górę Sugarloaf.

I tam, wysoko nad miejscem połączenia odnóg grzmiącej Coquille, zwiadowczynie odniosły wreszcie zwycięstwo.

* * *

Mogę Pani jedynie powiedzieć, że mam nadzieję, iż cała sprawa nie przerodzi się w dogmat, w religię. W najgorszych snach widzę, jak kobiety wprowadzają tradycję topienia własnych synów, gdy ci zaczną wykazywać jakiegokolwiek oznaki chuligaństwa. Wyobrażam sobie, że uznają za swój obowiązek wyrokowanie o życiu i śmierci dziecka płci męskiej, zanim jeszcze stanie się ono zagrożeniem dla kogokolwiek.

Może pewien ułamek mężczyzn faktycznie jest "zbyt obłąkany, by pozwolić im żyć", lecz doprowadzone do takiego ekstremum owo "rozwiązanie" przeraża mnie... mój umysł nie jest w stanie ogarnąć wizji takiej ideologii.

Oczywiście sprawy zapewne jakoś się ułożą. Kobiety są zbyt rozsądne, by uciekać się do skrajności. To zapewne jest w ostatecznym rozrachunku naszą nadzieją.

Nadszedł już czas, by wysłać ten list. Spróbuję napisać do Pani i do Abby jeszcze z Coos Bay. Łączę wyrazy oddania.

- Kurier!

Zatrzymał przechodzącego obok młodzieńca odzianego w niebieskie drelichy oraz skórzaną kurtkę listonosza. Ten podbiegł do niego i zaszalutował. Gordon podał mu kopertę.

- Czy zechce pan to wrzucić do skrzynki na listy wysyłane na wschód?

- Tak jest. Już się robi, panie inspektorze!

- Nie ma pośpiechu - Gordon uśmiechnął się. - To tylko osobisty...

Młodzieniec gnał już jednak przed siebie. Gordon westchnął.

Minęły dawne dni bliskiego koleżeństwa, gdy znało się każdego spośród "pocztowców". Stał zbyt wysoko nad tymi młodymi kurierami, by mogli wymienić leniwy uśmiech i być może poplotkować minutkę.

"Tak, już z pewnością czas".

Wstał. Dźwigając sakwy, skrzywił się tylko lekko.

- A więc jednak nie zaczekasz na bibkę?

Odwrócił się. Przy bocznych drzwiach poczty zobaczył Eryka Stevensa. Stojąc ze złożonymi rękoma, gryzł źdźbło trawy i wpatrywał się w niego.

Gordon wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak po prostu odjadę. Nie chcę, by wydawano na moją cześć przyjęcie. Całe to zamieszanie to tylko strata czasu.

Stevens skinął głową na znak zgody. Jego spokój i siła - a zwłaszcza wzgardliwe odrzucenie sugestii, że Gordon jest odpowiedzialny za śmierć Johnny'ego - były prawdziwym błogosławieństwem dla rekonwalescenta. Zdaniem Eryka, jego wnuk zginął tak chwalebnie, jak to tylko było możliwe dla mężczyzny. Kontrofensywa stanowiła dla niego wystarczający dowód. Gordon postanowił nie spierać się z nim o tę sprawę.

Staruszek osłonił dłonią oczy i popatrzył nad pobliskimi ogródkami działkowymi na południowy koniec Autostrady 99.

- Nadjeżdżają kolejni południowcy.

Gordon zwrócił się w tamtą stronę i ujrzał kolumnę jeźdźców kierujących się powoli na północ, ku głównemu obozowisku.

- Kurczę - Stevens zachichotał. - Popatrz, jak wytrzeszczają oczy. Można by pomyśleć, że nigdy nie widzieli miasta.

W rzeczy samej, twardzi, brodaci mężczyźni z Sutherlin i Roseburga, z Camas i Coos Bay, wjeżdżali do Corvallis mrugając powiekami, wyraźnie zdumieni niezwykłymi widokami - wiatrowymi prądnicami, brzęczącymi przewodami elektrycznymi, czynnymi warsztatami mechanicznymi oraz dziesiątkami czystych, hałaśliwych dzieci bawiących się na szkolnych boiskach.

"Powiedzieć «miasto» to chyba lekka przesada" - pomyślał Gordon.

W słowach Eryka było jednak trochę racji.

Nad pełną ruchu pocztą główną powiewał gwiazdzisty sztandar. Od czasu do czasu umundurowani kurierzy wskakiwali na kuce i gnali na północ, wschód czy południe z wypchanymi torbami.

Z Domu Cyklopa dobiegały dźwięczne tony muzyki z innej epoki. Nieopodal mały, pstrokaty sterowiec podskakiwał uwięziony w swym rusztowaniu, a odziani w biel pracownicy wiedli spór w zapomnianym, tajemnym języku inżynierii.

Na burcie maleńkiego statku powietrznego namalowano orła wzbijającego się ze stosu

pogrzebowego. Na drugiej stronie widniało godło suwerennego stanu Oregon.

Wreszcie, na samym placu ćwiczeń, przybysze napotkać mogli grupki kobiet-żołnierzy o bystrym spojrzeniu - ochotniczek z obszaru całej doliny, które przybyły tu wykonać zadanie, tak samo jak wszyscy inni.

Burkliwi południowcy musieli wchłonąć wiele wrażeń naraz. Gordon uśmiechał się, patrząc, jak twardzi, brodaci wojownicy wytrzeszczają oczy, przypominając sobie powoli, jak rzeczy wyglądały ongiś. Sądził, że przybywają na zniewieściałą, dekadencją północ jako zbawcy. Do domu jednak powrócą odmienieni.

- Do zobaczenia, Gordon - powiedział Eryk Stevens. W przeciwieństwie do niektórych, miał dosyć wycucia, by wiedzieć, że pożegnania powinny być krótkie. - Życzę szczęścia. Wróc kiedyś do nas.

- Wrócę. - Gordon skinął głową. - Jeśli zdołam. Do zobaczenia, Eryk.

Zarzucił sobie sakwę na plecy i ruszył w kierunku stajni, zostawiając za sobą wypełnioną zgiełkiem pocztę.

Mijając dawne boiska, ujrzał, że przerodziły się w morze namiotów. Konie rżały, a ludzie maszerowali. Po drugiej stronie obozu wypatrzył łatwą do rozpoznania postać George'a Powhatan, który przedstawiał swych nowych oficerów dawnym towarzyszom broni, przekształcając słabą Armię Willamette w nową Ligę Obronną Wspólnoty Oregonkiej.

Gdy Gordon przechodził obok, wysoki srebrnowłosa mężczyzna podniósł na chwilę wzrok i popatrzył mu w oczy. Gordon skinął głową, żegnając się bez słów.

Odniósł zwycięstwo - ściągnął seniora z jego góry - lecz cena tego sukcesu będzie towarzyszyć im obu przez całe życie.

Powhatan odwzajemnił się słabym uśmiechem. Obaj wiedzieli już, co robi się z podobnymi brzemionami.

“Dźwiga się je” - pomyślał Gordon.

Być może któregoś dnia będą mogli usiąść obaj - w spokojnym, górskim domu ozdobionym wiszącymi na ścianach dziecięcymi rysunkami - i porozmawiać o hodowli koni oraz wyrafinowanej sztuce warzenia piwa. Nastąpi to jednak dopiero wtedy, gdy wielkie sprawy zwolnią ich obu. Żaden z nich nie zamierzał wstrzymywać do tego czasu oddechu.

Powhatan musiał prowadzić wojnę, Gordona zaś czekało całkiem odmienne zadanie.

Dotknął daszka swej czapki listonosza i odwrócił się, by ruszyć w dalszą drogę.

Zdumiał wczoraj wszystkich, gdy zrezygnował z członkostwa w Radzie Obrony.

- Mam obowiązki wobec całego państwa, a nie tylko jego małego zakątka - wyjaśnił, nadal pozwalając im wierzyć w rzeczy, których w głębi serca nie uważał już za kłamstwa.

- Ponieważ Oregon jest już bezpieczny - mówił - muszę wrócić do mego zasadniczego zadania. Istnieją inne miejsca, w których trzeba rozszerzyć sieć pocztową, i ludzie zbyt długo odcięci od swych rodaków. Wy świetnie poradzicie sobie beze mnie.

Ich protesty nie zdały się na nic, gdyż była to prawda. Dał im wszystko, co miał do dania. Teraz bardziej użyteczny będzie w innym miejscu. Zresztą nie mógł zostać tu dłużej. W tej dolinie wszystko przypominałoby mu nieustannie, jakie szkody wyrządził, czyniąc dobro.

Postanowił, że wymknie się dziś z Corvallis, zamiast wziąć udział w zabawie urządzanej na jego cześć. Odzyskał już siły na tyle, że mógł podróżować, pod warunkiem, że nie będzie się przemęczał. Powiedział „do widzenia” tym, których opuszczał: Peterowi Aage'owi, doktorowi Lazarenskiemu oraz szkieletowi nieszczęsnej, martwej maszyny, której ducha już się nie obawiał.

Opiekujący się zapasowymi końmi stajenny wyprowadził ze stajni młodą klacz, którą Gordon

wybrał na ten etap podróży. Wciąż zatopiony głęboko w myślach, przytwierdził do siodła sakwy zawierające jego ekwipunek oraz pięć funtów poczty - listy adresowane, po raz pierwszy, do miejsc znajdujących się poza Oregonem.

Odjeżdżał absolutnie pewien jednego. Wojna była wygrana, choć najbliższe miesiące i lata bez wątplenia miały być okrutne. Jednym z elementów jego obecnej misji było poszukiwanie nowych sojuszników, nowych sposobów na przyspieszenie końca. Ten koniec był już jednak nieunikniony.

Nie żywił najmniejszych obaw, że George Powhatan przerodzi się w tyrana, gdy zwycięstwo będzie całkowite. Kiedy zawiśnie już ostatni holnista, mieszkańcy Oregonu usłyszą niedwuznacznie, że sami muszą pokierować własnymi sprawami albo iść do diabła. Gordon żałował, że nie będzie na miejscu, by zobaczyć grom, który uderzy, jeśli ktokolwiek zaoferuje Powhatanowi koronę.

Słudzy Cyklopa nadal będą szerzyć swój mit, zachęcając do odrodzenia techniki. Wyznaczeni przez Gordona naczelnicy poczt, nie wiedząc o tym, nadal będą kłamać i wykorzystywać opowieść o odrodzonej ojczyźnie w celu zjednoczenia kraju, aż wreszcie bajka przestanie być potrzebna.

Albo też - wierząc w nią - ludzie zmienią ją w prawdę.

A kobiety nie przestaną rozmawiać o tym, co wydarzyło się tu zimą. Będą ślęczały nad notatkami Deny Spurgen, czytały te same stare książki, co jej zwiadowczynie, i spierały się o sposoby osądzania mężczyzn.

Gordon doszedł do wniosku, że nie jest już ważne, czy Dena naprawdę była psychicznie nie zrównoważona. Długofalowe efekty nie będą znane za jego życia. Nawet on nie mógł zapobiec szerzeniu się legendy. Zresztą nie chciał tego robić.

Trzy mity... i George Powhatan. Wszystko razem wzięwszy, mieszkańcy Oregonu byli w dobrej sytuacji. Zresztą zapewne dadzą sobie radę sami.

Ognista klacz parsknęła, gdy Gordon wskoczył na siodło. Głaskał ją i uspokajał, aż wreszcie ucichła, drżąc z pragnienia ruszenia w drogę. Eskorta czekała już na skraju miasta, gotowa odprowadzić go bezpiecznie do Coos Bay i łodzi, którą pokona resztę drogi.

„Do Kalifornii...” - pomyślał.

Przypomniawszy sobie naramiennik z flagą z niedźwiedziem i milczącego, umierającego żołnierza, który powiedział mu tak wiele, nie odzywając się ani słowem. Był temu człowiekowi coś dłużny. I Philowi Bokuto. I Johnny’emu, który chciał wyruszyć na południe, by przekonać się osobiście.

„I Denie... tak bym chciał, by mogła wyruszyć ze mną”.

Pozna prawdę w ich imieniu. Wszyscy byli z nim teraz.

„Milcząca Kalifornio - zastanowił się - co się z tobą działo przez wszystkie te lata?”

Zawrócił klacz i pomknął przed siebie drogą wiodącą na południe, zostawiając za sobą ferwor armii wolnych mężczyzn i kobiet, pewnych zwycięstwa. Żołnierzy, którzy z radością wrócą do swych farm i wiosek, gdy przykre zadanie zostanie wreszcie wykonane.

Ich wrzawa była głośna, wyzywająca, świadcząca o zdeterminowaniu, pełna niecierpliwości.

Przejechał obok otwartego okna, z którego dobiegała głośna muzyka. Ktoś rozrzutnie obchodził się z elektrycznością. Kto wie? Niewykluczone, że tej hałaśliwej ekstrawagancji dopuszczono się na jego cześć.

Unióśł głowę. Nawet klacz zastrzygła uszami. Rozpoznał wreszcie starą melodię Beach Boysów, której nie słyszał od dwudziestu lat... pełną niewinności i niezachwianego optymizmu.

„Założę się, że w Kalifornii też mają elektryczność”.

Żywił taką nadzieję.

„I może...”

Powietrze pachniało wiosną. Ludzie krzyknęli z radości, gdy mały sterowiec wzniósł się w

powietrze, powodując trzask rusztowań, które go otaczały.

Trącił klacz piętami. Przeszła w cwał. Opuścił miasto i nie obejrzał się już za siebie.

[1] Fragmenty *Makbeta* w tłum. Józefa Paszkowskiego, w: William Szekspir *Tragedie* t.II, Warszawa 1974 r.

[2] Pony Express – system dostarczania poczty przez jeźdźców na kucykach w XIX wieku w Ameryce

[3] Johnny Appleseed - prawdziwe nazwisko John Chapman (1774- 1845), amerykański pionier, który przez ponad czterdzieści lat wędrował po Ohio, Indianie i zachodniej Pensylwanii, pomagając w zakładaniu sadów jabłoni. Bohater licznych ludowych opowieści.

[4] Sour mash - specjalny rodzaj fermentacji amerykańskiej whisky, uszlachetniający ją i powodujący wzmocnienie aromatu.

Spis treści

- [1]
- [2]
- [3]
- [4]